

NA POLU CHWAŁY

czyli Sobieski pod Wiedniem



POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.

NAPISAŁ HENRYK SIENKIEWICZ.

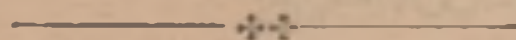
NA POLU CHWAŁY

CZYLI

SOBIESKI POD WIEDNIEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.



NAPISAŁ HENRYK SIENKIEWICZ.





A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO.

I.



Zima z roku 1682 na 1683 była tak mroźna, że nawet bardzo starzy ludzie nie pamiętali podobnej. Jesienią padały długie deszcze, a w połowie listopada przyszedł pierwszy mróz, który spętał wody i powlókł drzewa jakby szklanną skorupą. W borach złódź osiadła na sosnach i poczęła łamać gałęzie. W pierwszeych dniach grudnia ptastwo po ponownych mrozach jęło się zlatywać do wsi i miasteczek a nawet leśny zwierz wychylał się z gęstwiny i zbliżał do mieszkań ludzkich. Jednakże koło św. Damazego niebo zaciągnęło się chmurami a następnie śnieg walił przez dziewięć dni nieustannie. Pokrył krainę na parę łokci grubo, pozasypywał drogi leśne i opłotki a nawet okna w chałupach. Ludzie rozgarniali łopatami zaspy, aby z domu dostać się do stajen i obór, a gdy nareszcie śnieg ustał, chwycił znów trzaskający mróz, od którego drzewa strzelały w lesie jak rusznice.

Wówczas to chłopi, skoro im wypadło jechać do puszczy po drzewo, jeździli dla bezpieczeństwa nieinaczej, jak gromadnie, a i to bacząc, by noc ich nie zastała zdala odc wsi. Po zachodzie słońca żaden nie śmiał, wyjść na własne podwórze bez wideł lub siekiery, a psy poszczekiwały do rana krótkim i przerażonem szczekaniem, jak zwykle na wilki.

Jednakże w taką noc i w mróz okrutny sunął puszczańskim gościńcem wielki brożek na saniach, zaprzężony w cztery konie i otoczony ludźmi. Przed końmi jechał na krępej szkapie czeladnik z kafarkiem, to jest z żelaznym koszykiem, osadzonym na długiej tyczce, w którym płonęło smolne łuczywo — nie dla rozświecenia drogi, bo widno było od księżyca, — ale dla straszenia wilków. Na koźle siedział woźnica, na siodłowym koniu foryś, a po bokach karocy człapało na podjezdkach dwóch pachołków, zbrojnych w garłacze i kiścienie.

Cały ten orszak posuwał się bardzo wolno z powodu mało przetartej drogi i zasp śnieżnych, które gdzieniegdzie, zwłaszcza na zakrętach, wznosiły się nakształt wałów w poprzek drogi.

Powolność ta niecierpliwiła a zarazem niepokoiła pana Gedeona Pągowskiego, który, dufając w liczbę i dobre uzbro-

jenie czeladzi, postanowił był puścić się w drogę, chociaż w Radomiu ostrzegano go o niebezpieczeństwie, a to tem bardziej, że do Bełczączki trzeba było jechać przez puszczę Kozieniecką.

Ogromne te bory rozpoczynały się w owych czasach znacznie jeszcze przed Jedlnią, a szły daleko aż za Kozienice do Wisły, w stronę leżącej na tamtym brzegu Stężycy, a na północ do Ryczywoła.

Zdawało się panu Gedeonowi, że wyjechawszy przed południem z Radomia, stanie jak nic na zachód słońca w domu. Tymczasem w kilku miejscach trzeba było rozkopywać drogę w opłotkach, na czem schodziło po kilka godzin, tak, że Jedlnię przejechali już o zorzy wieczornej. Tam ostrzegano ich jeszcze raz, że lepiej zostać na nocleg, ale że u kowala znalazło się łuczywo, którem można było sobie poświecić w drodze, kazał pan Pągowski ruszać dalej.

I oto noc zaskoczyła ich w puszczy.

Trudno było jechać prędzej z przyczyny zasp coraz większych, więc pan Gedeon niepokoił się coraz bardziej, a wreszcie począł kląć, ale po łacinie, aby nie przestraszać swej krewnej pani Winnickiej, i swej przybranej córki, Anny Sienińsžiej, które jechały z nim razem.

Panna Sienińska była młoda, niefrasobliwa, więc niebardzo się bała. Owszem, odsunąwszy skórzaną firankę w oknie karocy rozkazawszy jadącemu wpobok pachołkowi, by nie przesłaniał widoku, wesoło patrzyła na zaspy i na pnie sosen, pokrytych długiemi rzutami śniegu, po których pełzały czerwone blaski łuczywa, czyniąc wraz z zielonem światłem księżyca miłą dla oczu igraszkę. Wyciągnąwszy następnie usta nakształt dzióbka, poczęła chuchać i bawiło ją to, że oddech jej był widzialny i od ognia różowszy.

Lecz bojaźliwa i wiekowa pani Winnicka poczęła biadać:

— Dlaczego było wyjeżdżać z Radomia, albo przynajmniej nie zanocować w Jedlni, gdzie ostrzegano ich o niebezpieczeństwie? Wszystko przez czyjś upór. Do Bełczączki jeszcze kawał drogi borem, więc wilcy zastąpią im niezawodnie, chybaby Archanioł Rafał, patron podróżnych, zmiłował się nad zbłąkanymi, czego na nieszczęście nie są wcale godni.

Słysząc to pan Pgowski zniecierpliwił się do ostatka. Tego tylko brakowało, by o zbłąkaniu gadać.

Gościniec przecie jak strzelił, a co do wilków, zastąpią,

albo nie zastąpią. Pachołków jest kilku dobrych, a przytem wilk nierad zastępuje żołnierzowi — i nietylko dlatego, że się go boi więcej od pospolitego człeka, ale i jakowegoś afektu, i jako bestya, mająca bystry dowcip.

Rozumie wilk dobrze, że ni mieszczanin, ni chłop nic mu darmo nie dadzą i tylko żołnierz nieraz godnie pożywi, albowiem wojnę nie napróżno ludzie wilczem żniwem nazywają.

Jednakże pan Pągowski, mówiąc tak, a zarazem schlebiając potrochu wilkom, niezupełnie był ich afektów pewny; zamyślił się więc, czyby nie kazać jednemu z czeladników zleźć z konia i usiąść koło panienki. W takim razie on sam broniłby jednych drzwiczek karocy, a pachoł drugich, nie mówiąc o tem, że pozostawiony koń pomknąłby prawodopodobnie w tył lub naprzód i mógłby pociągnąć za sobą wilki.

Ale zdawało się panu Gedeonowi, że na to jeszcze czas.

Tymczasem położył na przedniem siedzeniu koło panny Sienińskiej parę krucic i nóż, które chciał mieć na podorędziu, albowiem nie mając lewej ręki, mógł się posługiwać tylko prawą.

Przejechali wszelako spokojnie kilka stajen.

Gościniec począł się rozszerzać.

Pągowski, który tę drogę znał doskonale, odetchnął jakby z poczuciem ulgi i rzekł:

— Niedaleko Malikowa polana.

Spodziewał się bowiem, że na otwartem miejscu bądź co bądź bezpieczniej jest niż w borze.

Ale właśnie w tej chwili pachołek, jadący na przedzie z kafarkiem, zawrócił nagle konia, poskoczył ku karocy i począł mówić coś szybko do woźnicy i do czeladników, którzy odpowiadali mu urywanemi słowy, jak się mówi w chwilach, w których niema czasu do stracenia.

— Co tam? — zapytał pan Pągowski.

— Cości słychać, panie, od polany.

— Wilki?

— Jakowyś hałas. Bóg wie co!

Pan Pągowski miał już dać rozkaz aby czeladnik jadący z kafarkiem skoczył naprzód i zobaczył, co się dzieje; ale pomyślał, że w takich razach lepiej nie zostawać bez ognia i trzymać się kupy, a dalej, że na widnej polanie obrona łatwiejsza, niż wśród boru, więc kazał jechać dalej.

Po chwili jednak pachołek znów pojawił się przy oknie karocy.

— Dziki, panie — rzekł.

— Dziki?

— Słychać okrutne rechtanie, na prawo od drogi.

— To chwała Bogu!

— Ale je może wilcy napadli.

— To też chwała Bogu. Przejedziemy mimo bez zaczepki. Ruszać!

Jakoż przypuszczenie czeladnika okazało się słuszne.

Wyjechawszy na polanę, ujrzeli na jakie dwa lub trzy strzelenia z łuku przed sobą na prawo od drogi zbitą kupę dzików, którą otaczał ruchliwy wieniec wilków. Straszliwe rechtanie, w którem nie było trwogi ale wściekłość, rozlegało się coraz potężniej. Gdy karoca posunęła się ku środkowi polany, pachołkowie, poglądając z koni, dostrzegli, że wilki nie śmiały jeszcze rzucić się na stado, naciskały je tylko coraz mocniej.

Dziki ustawiły się w okrągłą kupę, jarczaki w środku, tęgie sztuki na obwodzie, tworząc jakby ruchomą fortecę, groźną, połyskującą białemi kłami, nieprzełamaną i nieustraszoną.

To też między wieńcem wilków a ową ścianą kłów i ryjów, widać było białe, śnieżne kolisko, oświecone, jak i cała polana, jasnem światłem księżyca.

Niektóre tylko wilki doskakiwały do stada, ale wnet cofały się jakby przerażone kłapaniem szabel i jeszcze groźniejszemi wybuchami rechtania.

Gdyby wilki były się już związały ze stadem, walka pochłonęłaby je całkowicie i karoca mogła przejechać wówczas niezaczepiona; skoro jednak się to nie stało, była obawa, że porzucą niebezpieczny atak, aby popróbować innego.

Jakoż po chwili niektóre poczęły odrywać się od gromady i biedz ku karocy. Za niemi poszyły inne. Ale widok zbrojnych ludzi stropił je.

Jedne poczęły się zbierać za orszakiem, inne osadzały się na kilkanaście kroków lub też obiegały naokoło w szalonym pędzie, jakby chcąc się przez to podniecić.

Pachołkowie chcieli strzelać, lecz pan Pągowski zabronił, w obawie, aby strzały nie ściągnęły całej gromady.

Tymczasem konie, lubo zwyczajne wilków, poczęły wspierać się bokami i wykręcać w bok głowy z głośnem chrapaniem, a po chwili zaszedł gorszy wypadek, który stokrotnie powiększył niebezpieczeństwo.

Oto młody podjezdek, na którym siedział pachołek z kafarkiem, wspiął się nagle raz i drugi, a potem rzucił się w bok.

Czeladnik, rozumiejąc, że gdyby spadł zostanie natychmiast rozszarpany, chwycił się łęku, ale jednocześnie upuścił tyczkę z kafarkiem, który pogrążył się głęboko w śnieg.

Łuczywo zaiskrzyło się, poczem zgasło i tylko światło księżyca zalewało teraz polanę.

Woźnica, rodem Rusin, z pod pomorzańskiego zamku, począł się modlić, chłopcy mazurowie — kląć.

Ośmielone ciemnością wilki nacierały zauchwalej, a od strony walki z dzikami nadbiegały inne. Niektóre przypadały dość blizko, kłapiąc zębami, ze zjeżoną szczeciną na karkach. Ślepia ich połyskiwały krwawo i zielono.

Nastała chwila poprosu straszna.

— Strzelać, panie? — zapytał jeden z pachołków.

— Krzykiem straszyć — odrzekł pan Pągowski.

Rozległo się wnet przeraźliwe: "a hu! a hu"! Koniem przybyło serca, a wilki, na których głos ludzki robi wrażenie, cofnęły się o kilkanaście kroków.

Ale stała się rzecz jeszcze dziwniejsza.

Oto nagle echa leśne powtórzyły za karocą krzyk czeladzi, lecz z większą mocą, potężniej rozlegały się przytem jakby dzikiego śmiechu, a w chwilę później gromada konnych zaczerniała po obu stronach brożka i skoczyła całym pędem koni ku stadu dzików i otaczającym je wilkom.

W mgnieniu oka, i jedne i drugie, nie dotrzymawszy pola, rozproszyły się po polanie, jakby je wicher rozegnał. Pachołkowie pana Pągowskiego skoczyli także za jeźdźcami, tak że przy karocy został tylko woźnica i pachołek, siedzący na lejcowym koniu.

W karocy zapanowało tak wielkie zdumienie, że przez pewien czas nikt nie śmiał ust otworzyć.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała wreszcie pani Winnicka — z nieba to chyba pomoc.

— Niech się święci, skądkolwiek jest — odrzekł pan Pągowski. — Źle już było z nami.

Panna Sienińska zaś, chcąc także wtrącić słówko, dodała:

— Bóg zesłał tych młodych rycerzy!

Z czego panna Sienińska mogła pomiarkować, że to byli rycerze, a do tego jeszcze młodzi — trudno było odgadnąć, gdy

jeźdźcy przesunęli się jak wicher koło sani; ale nikt jej o to nie zapytał, bo oboje starsi zbyt byli przejęci tem, co zaszło.

Tymczasem na polanie brzmiały jeszcze przez kilka pacierzy odgłosy pościgu, a niezbyt daleko od karocy jeden wilk, mając widocznie złamany grzbiet od uderzenia kiścienia, siedział na zadzie i wył z bólu tak strasznym głosem, że aż mrowie przechodziło po skórze.

Foryś zeskoczył na ziemię i poszedł go dobić, bo konie poczęły się rzuca tak, że aż dyszel chrupnął.

Ale po pewnym czasie oddział jezdnych zaczerniał znów na śnieżnej równinie.

Szli kupą bezładną we mgle, bo choć noc była jasna i przejrzysta, zmachane konie dymiły na mrozie jak kominy.

Jeźdźcy zbliżali się ze śmiechem i śpiewaniem, a gdy byli już blizko, jeden z nich poskoczył ku brożkowi i zapytał dźwięcznym wesołym głosem:

— Kto jedzie?

— Pągowski z Belczączki. Komu ratunek zawdzięczam?

— Cypryanowicz z Jedlinek.

— Bukojemscy!

— Dzięki waszmościom. W porę was Bóg zesłał. Dzięki!

— Dzięki! — powtórzył młody, niewieści głos.

— Chwalić Boga, że w porę! — odrzekł Cypryanowicz, uchylając futrzanej czapki.

— Skądeście się waszmościowie o nas dowiedzieli?

— Nie mówił nam nikt, jeno że wilki zbiły się w kupy, wyjechaliśmy ludzi ratować, między którymi, że tak znakomita persona się znalazła, tem większa nasza radość i przed Bogiem zasługa, — rzekł grzecznie Cypryanowicz.

A jeden z panów Bukojemskich dodał:

— Nie licząc skór.

— Prawdziwie kawalerska to robota — odpowiedział pan Gedeon — i piękny uczynek, za który daj Bóg, jak najprędzej się wywdzięczyć. Myślę, też, że i wilkom odeszła ochota na ludzkie mięso i że przezpiecznie dojedziemy do domu.

— Niecałkiem to pewne. Zwabią się znów wilcy niebawem i mogliby powtórnie zastąpić.

— To i niema rady. Nie damy się!

—Jest rada, a mianowicie ta, abyśmy waszmości do samego domu odprowadzili. Zdarzy się też może uratować jeszcze kogo na gościńcu.

— Nie śmiałem o to prosić, ale skoro łaska waszmościów,

to niechże i tak będzie, bo i moje niewiasty będą się mniej bały.

— Ja się i tak nie boję, alem z całej duszy wdzięczna! — ozwała się panna Sienińska.

Pan Pągowski dał rozkaz i ruszono. Ale ledwie przejechali kilkanaście krków, nadłamany dyszel pękł do reszty i karoca stanęła.

Nastała nowa mitręga.

Pachołkowie mieli wprawdzie powrozy i poczęli zaraz naprawiać połamane części, ale niewiadomo było, czy taka doryw cza robota nie popsuje się znowu po ujechaniu staj.

Więc młody Cypryanowicz zastanowił się nieco, poczem, uchyliwszy znów kołpaka, rzekł:

— Do Jedlinki przez pół bliżej niż do Bełcząceki. Uczyń że wasza mość naszemu domowi tę łaskę i zajedź na nocleg do nas. Nie wiem, coby nas w głębi boru spotkać mogło — i czy nie okazałoby się, że jeszcze nas za mało przeciw tym wszystkim bestyom, które się z całej puszczy na gościniec pewnikiem zbiegną. Karocę jakoś zaciągniem, a im bliżej, tem łatwiej. Po prawdzie, zaszczyt będzie nad zasługę, ale że to prawie dura necessitas, więc zbytnio w pychę nie urośniem.

Pan Pągowski nie odpowiedział odrazu na te słowa, albowiem poczuł w nich wymówkę.

Przypomniał sobie, że, gdy stary Cypryanowicz przyjechał przed dwoma laty pokłonić mu się w Bełczączce, przyjął go wprawdzie grzecznie, ale z pewną dumą — i wzajem w odwiedziny do niego wcale nie pojechał, a to z tego powodu, że to był "homo novus" — z rodu uszlachconego dopiero w drugiem pokoleniu — i z pochodzenia Ormianin, którego dziad jeszcze kupczył bławatami w Kamieńcu.

Syn tego bławatnika, Jakób, służył już pod wielkim Chodkiewiczem w artyleryi i pod Chocimem tak znaczne oddał usługi, że za protekcyą Stanisława Lubomirskiego otrzymał szlachectwo i królewszczyznę Jedlinkę w dożywocie. Dożywocie owo zmieniło następnie w zastaw jego następcy, Serafinowi za pożyczkę, udzieloną po inkwizycyi szwedzkiej skarbowi Rzeczypospolitej.

Młodzian, który przybył z tak skuteczną pomocą podróżnym, był właśnie synem Serafina.

Poczuł więc pan Pągowski wymówkę tem łatwiej, że słowa "zbytnio w pychę nie urośniem" wypowiedział młody Cypryanowicz nieco hardo i z umyślnym naciskiem.

Ale właśnie ta kawalerska fantazya podobała się staremu szlachcicowi, a że trudno mu było odmówić swemu zbawcy i że do Bełcząqczki droga była istotnie długa i niebezpieczna, więc, nie wahając się już dłużej, rzekł:

— Bez waścinej pomocy wilcy by się teraz może o nasze kości gryźli — niechże choć dobrą wolą odpłacę... Jedźmy!

Cypranowicz kazał wiązać karocę.

Dyszel złamany był, jakby kto toporem obciął, więc poprzywiązywano powrozy jednym końcem do płozów, drugim do kulbak — i ruszono raźno w dużej a wesołej kupie, przy okrzykach jeźdźców i śpiewach panów Bukojemskich.

Do Jedlinki która była więcej osadą leśną niż wsią, nie było zbyt daleko. Wkrótce więc otworzyła się przed podróżnymi obszerna kilkadziesiąt stajań licząca, polana, a raczej przestronne , zamknięte z czterech stron borem, pole, a na niem kilkanaście domostw których dachy, pokryte śniegiem, błyszczały i iskrzyły się w świetle księżyca.

Niece dalej za chłopskiemi chatami widać było zabudowania folwarczne, kręgiem wokół dziedzińca stojące — a w głębi dwór, bardzo niekształtny, bo przerobiony przez Cypryanowiczów z dworku w którym niegdyś mieszkali leśnicy królewscy ale obszerny, a nawet zbyt obszerny jak na tak małą osadę.

Z okien jego biło jasne światło, różowiąc śniegi przed przyzbą, krzewy rosnące przed domem i żórawie studzienne, sterczące po prawej stronie obejścia.

Widać stary Cypryanowicz oczekiwał syna, a może i gości z gościńca, którzy wraz z nim przybyć mogli, zaledwie bowiem karoca dotarła do bramy, na ganek wybiegło kilku pachołków z pochodniami, a za służbą i sam gospodarz w kunim tołubie i łasiczym kołpaku który zdjął naraz na widok karocy.

— Jakich-że to miłych gości Bóg nam zesłał na nasze leśne pustkowie? — zapytał, zstępując ze schodów ganku.

Młody Cypryanowicz, ucałowawszy rękę ojca, oznajmił kogo przywiózł, a pan Pągowski, wysiadłszy z karocy, rzekł:

— Dawno chciałem to uczynić do czego mnie ciężki termin dziś przymusił, więc tem bardziej błogosławię tej niewoli, która tak exqusita się z wolą moją zgodziła.

— Różne wydarzają się ludziom przygody, ale dla mnie szczęśliwa to przygoda, zaczem z radością proszę do komnat.

To powiedziawszy, pan Serafin skłonił się znów — i podał ramię pani Winnickiej, za którą reszta gromady weszła do domu.

Zaraz na wstępie ogarnęło gości to uczucie zadowolenia, jakie ogarnia zawsze podróżnych, którzy z ciemności i mrozu wchodzą do ciepłych i widnych komnat. Jakoż i w sieni i w innych pokojach, buzował się w przestronnych kaflowych kominach ogień, a prócz tego służba poczęła zapalać tu i owdzie jarzące świece.

Pan Pągowski rozglądał się naokół z pewnem zdziwieniem, albowiem zwykłym dworom szlacheckim daleko było do dostatku, który bił w oczy w domu Cypryanowiczów.

Przy blasku ognia i świec widać było we wszystkich pokojach sprzęty, jakich nie znalazłbyś nawet i w niejednym zameczku: skrzynie i krzesła włoskie z rzeźbionego drzewa, tu i owdzie zegar i szkło weneckie, świeczniki odlane z zacnego mosiądzu, broń wschodnią, sadzoną turkusami, a porozwieszaną na dzianych nićmi makatach. Na podłogach miękkie krymskie kilimy, a na dwóch dłużnych ścianach dwa obrazy, któreby u każdego magnata mogły stanowić ozdobę komnaty.

— Z kupiectwa im to przyszło — pomyślał z pewnym gniewem pan Pągowski — a teraz mogą się nad szlachtę wynosić i puszyć bogactwy, zdobytemi nie orężem.

Lecz urzejmość i szczera gościnność Cypryanowiczów rozbroiły starego szlachcica a gdy w chwilę potem usłyszał brzęk naczyń w przyległej stołowni, udobruchał sę zupełnie.

Aby rozgrzać przybyłych z mrozu gości podano tymczasem gorące wino z korzeniem. Rozpoczęła się rozmowa o minionem niebezpieczeństwie. Pan Pągowski chwalił bardzo młodego Cypryanowicza, że zamiast w ciepłej izbie siedzieć, ratował ludzi na gościńcach, nie bacząc na okrutne mrozy na trud i niebezpieczeństwo.

— Zaprawdę — mówił — tak dawniej czynili owi sławni rycerze, którzy jeżdżąc po świecie, bronili ludzi od smoków, od jędzonów i różnych innych bestyj.

— Jeśli zaś udało się któremu wybawić jaką cudną króle-

wnę — odrzekł młody Cypryanowicz — to taki był szczęśliwy, jako my jesteśmy w tej chwili.

— Prawda! Żaden cudniejszej nie wybawił! Jak mi Bóg miły! Sprawiedliwie mówi! — zawołali z zapaleniem czterej bracia Bukojemscy.

A panna Sienińska uśmiechnęła się mile, tak, że na policzkach utworzyły się dwa wdzięczne dołeczki — i spuściła oczy.

Lecz panu Pągowskiemu komplement wydał się trochę za poufały, albowiem panna Sienińska, lubo sierota bez majątku, pochodziła jednak z magnackiego rodu — więc odwrócił rozmowę i zapytał:

— I dawno tak waćpanowie jeździcie po gościńcach?

— Od czasu wielkich śniegów, a będziem jeździli, póki mrozy nie popuszczą — odpowiedział młody Stanisław Cyprya nowicz

— I siła-żeście wilków nabili?

— Starczy na wszystkich na wilczury.

Tu panowie Bukojemscy zaczęli się śmiać tak rozgłośnie, jakby cztery konie rżały, a gdy się nieco uspokoili najstarszy, Jan, rzekł:

— Będzie król jegomość rad ze swoich leśników.

— Prawda — odpowiedział pan Pągowski. — A słyszałem, że waćpanowie jesteście nadleśnymi w tutejszej królewskiej puszczy. Ale przecie Bukojemscy pochodzą z Ukrainy?

— My z tych samych.

— Proszę... proszę... dobry ród, Jeło-Bukojemscy... Są tam koligacye nawet z wielkiemi domami....

— I z świętym Piotrem! — zawołał Łukasz Bukojemski.

— Hę? — spytał pan Pągowski.

I począł spoglądać surowo a podejrzliwie na braci, jakby chcąc zbadać, czy nie pozwalają sobie z niego drwić. Lecz oni mieli oblicza pogodne i z głębokim przekonaniem kiwali głowami przyświadczając w ten sposób słowom brata. Więc zdumiał się wielce pan Pąkowski i powtórzył:

— Krewni świętego Piotra? A to quo modo?

— Przez Przegonowskich!

— Proszę! A zaś Przegonowscy?

— Przez Uświatów!

— A Uświatowie znowu tam przez kogoś — odrzekł już z

uśmiechem stary szlachcic — i tak dalej, aż do Pana Chrystusowego narodzenia... Tak!... Dobrze i w ziemskim senacie mieć krewnych, a cóż dopiero w niebieskim... Tem pewniejsza promocya... Ale jakim-że sposobem zawędrowaliście waćpanowie z Ukrainy, aż do naszej puszczy Kozienickiej, bo jako słyszałem, to już od lat kilku tu jesteście?

—Od trzech. Ukrainne majętności rebelia dawno już z ziemią zrównała, a potem i granica się tam zmieniła. Nie chcieliśmy w czambułach poganom służyć, więc naprzód sługiwaliśmy wojskowo, potem chodziliśmy dzierżawami aż wreszcie krewny nasz, pan Malczyński, nadleśniczymi nas tu uczynił.

— Tak — rzekł stary Cypryanowicz. — Aż mi dziwno, żeśmy się tak w tej puszczy obok siebie znaleźli, bo pono wszyscy jesteśmy nie tutejsi, jeno nas zmienność ludzkich losów tu przyniosła. Dziedzictwo waszmości pana (tu zwrócił się do Pągowskiego) też, jako mi wiadomo na Rusi wedle pomorzańskiego zamku, leży.

Drgnął na to Pan Pągowski, jakoby go kto w niezaschłą ranę uraził.

— Miałem i mam tam majętność — rzekł — ale mi obrzydły tamte strony, bo tam, jeno nieszczęścia we mnie, jako pioruny biły.

— Wola Boska — odrzekł Cypryanowicz.

— Pewnie, że próżno w grodzie przeciw niej protestować, ale też i żyć ciężko....

— Waszmość jak wiadomo, dłuższy czas wojskowo sługiwałeś.

— Pókim ręki nie stracił. Mściłem się krzywd ojczyzny i własnych. A jeśli Pan Jezus odpuści mi jeden grzech za każdą pogańską głowę, to żywię nadzieję, że piekła może nie zobaczę.

— Pewnie, pewnie! I służba i zasługa i boleść zasługa. Naj lepiej smutnych myśli zaniechać.

— Jabym rad ich zaniechał, jeno one nie chcą mnie poniechać. Ale dość o tem. Ostawszy kaleką a zarazem i opiekunem tej to panny, przeniosłem się na starość do spokojniejszego kraju, do którego czambuły nie dochodzą i siedzę, jak waszmość widzisz, w Bełczaczce.

— Słusznie, i ja tak samo — rzekł stary Cypryanowicz. — Młodzi, chociaż tam teraz spokojnie, rwą się w nadziei przygód

na szlaki, ale przecie okropne i żałobne to strony, w których każdy czegoś opłakuje.

Pan Pągowski przyłożył rękę do czoła i trzymał ją tak przez dłuższą chwilę poczem ozwał się smutnym głosem:

— Naprawdę to w tamtych stronach może się ostać tylko chłop albo magnat. Chłop dlatego, że gdy przyjdzie nawała pogańska — to umknie w lasy i potrafi tam żyć jako dziki zwierz przez całe miesiące, a magnat, bo ma warowne zamki i własne chorągwie, które go bronią... A i to jeszcze!... Byli Żółkiewscy i wyginęli, Byli Daniłowicze i wyginęli. Z Sobieskich zginął brat miłościwie nam dziś panującego króla Jana... A iluż innych!... Jeden z Wiśniowieckich wił się na haku w Stambule... Korecki drągami żelaznemi zabit... Zginęli Kalinowscy, a przedtem płacili daninę krwi Herburtowie i Jazłowieccy. Poległo też w różnych czasach kilku Sienińskich, którzy drzewiej całą prawie tamtejszą krainą władali... Co za cmentarz! Do ranabym nie skończył chcąc wszystkich wymienić... A gdyby nietylko magnatów, ale i szlachtę cytować, toby i miesiąca nie było docyć.

— Prawda! prawda! Ale też i to człeku aż dziwno, jak Pan Bóg to plugastwo tatarskie i tureckie rozmnożył. Bo przecie ich tytu tam nabito, że gdy chłop wiosną orze, to mu co krok czerepy pogańskie pod sochą zgrzytają... Miły Boże! ilu ich tam wygniótł choćby dzisiejszy nasz Pan... Na dobrą rzekę krwi by tej starczyło, a oni lezą i lezą!

Była to prawda.

Rzeczpospolita trawiona nierządem i swawolą nie mogła zdobyć się na potężne armie, które by zdołały w jednej wielkiej wojnie skoczyć raz na zawsze z turecko-tatarską anwałą.

Zresztą na taką armię nie mogła zdobyć się cała Europa.

Ale natomiast tę Rzeczpospolitą zamieszkiwał lud zuchwały, który bynajmniej nie poddawał dobrowolnie gardła pod nóż wschodnich najeźdźców. Owszem, na owo straszne, zjeżone mogiłami i zbroczone krwią pogranicze, więc: na Podole, na Ukrainę i Ruś czerwoną napływały coraz nowe fale polskich osadników, których nietylko nęciła urodzajna ziemia, ale właśnie żądza ustawicznej wojny, bitew i przygód.

"Polacy —pisał stary kronikarz — idą na Ruś dla harców z Tatary".

Płynęli więc chłopi z Mazowsza, płynęła bitna szlachta, któ rej wstyd było "w łożu zwykłą śmiercią umierać", wyrastali wreszcie an tych czerwonych ziemiach potężni magnaci, którzy nie poprzestając na odporze w domu szli nieraz aż hen—do Krymu lub na Wołoszczyznę, szukać tam władzy, zwycięstw śmierci, zbawienia i chwały.

Mówiono nawet, iż nie chcą Polacy jednej wielkiej wojny, aby jej ciągle zażywać. Ale chociaż nie była to prawda, niemniej jednak miła była hardemu plemneniu ciągła zawierucha — i najezdnik krwawo płacił czasem za swą zuchwałość.

Ani ziemie dobruckie, ani białogrodzkie, ani zwłaszcza bezpłodne komysze krymskie nie mogły wyżywić swych dzikich mieszkańców, więc głód gnał ich na bujne pogranicze, gdzie czekał ich łup obfity, ale równie często śmierć.

Łuny pożarów oświecały tam nieznane w dziejach pogromy. Pojedyncze pułki roznosiły w puch i proch na szablach i kopytach dziesięćkroć liczniejsze czambuły. Tylko niezmierna szybkość obrotów ratowała najeźdników, w ogóle bowiem każdy czambuł, dognany przez regularne wojska Rzeczypospolitej, był tem samem zgubiony bez ratunku.

Bywały wyprawy, zwłaszcza mniejsze, z których nie wracał do Krymu nikt. Straszne swego czasu były Tatarom i Turkom imiona Pretwica i Chmieleckiego. Z mniejszych rycerzy krwawo zapisali się w ich pamięci. Wołodyjowski, Pełka i starszy Ruszczyc, którzy od kilkunastu lub kilku już lat spoczywali w mogiłach i w sławie. Lecz nawet i z wielkich żaden nie wytoczył tyle krwi z wyznawców Islamu, ile ówczesny król Jan III Sobieski.

Pod Podhajcami, Kałuszem, Chocimem i Lwowem leżały dotychczas niepogrzebione stosy kości pogańskich, od których rozległe pola bieliły się jak pod śniegiem.

Aż wreszcie postrach padł na wszystkie ordy.

Odetchnęło wówczas pogranicze, a gdy i nienasycona potęga turecka łatwiejszych poczęła szukać podbojów, odetchnęła i cała skołatana Rzeczpospolita.

Zostały tylko bolesne wspomnienia.

Daleko od teraźniejszej siedziby Cypryanowiczów, w sąsiedztwie pomorzańskiego zamku, stał na wzgórzu wysoki krzyż z dwiema włóczniami, który wzniósł przed dwudziestu kilku laty pan Pągowski, na miejscu spalonego dworu — więc ilekroć pomyślał o tym krzyżu i tych wszystkich drogich ser-

cu głowach, które na tamtem miejscu utracił, skowyczało w nim jeszcze teraz z bólu stare serce.

Ale że to był człowiek twardy dla samego siebie i dla innych i że się przed obcymi łez wstydził — i taniej litości nie znosił, więc nie chciał dłużej mówić o swoich nieszczęściach —i począł wypytywać gospodarza, jak mu się też żyje na leśnej dziedzinie.

A ów rzekł:

— Ot cisza, cisza! Gdy bór nie szumi i wilcy nie wyją, to ledwie że nie słyszysz, jak śnieg pada. Jest spokój, jest ogień na kominie i dzbaniec grzanego wina wieczorem — starości więcej nic trzeba.

— Pewnie. Ale synowi?

— Młody ptak prędzej, później z gniazda wyleci. A szumią nam tu jakoś drzewa o wielkiej wojnie z pogany!

— Na tę wojnę i siwe sokoły wylecą. Poleciałbym. z innymi i ja, gdyby nie to ot!...

Tu pan Pągowski potrzasnął pustym rękawem, w którym tylko kawałek ramienia przy karku pozostał.

A Cypryanowicz nalał mu wina:

Daj-że Boże! Do dna.

— Za pomyślność chrześcijańskiego oręża!

Tymczasem młody Cypryanowicz częstował z równie dymiącego dzbana panią Winnicką, pannę Sienińską i czterech braci Bukojemskich. Panie ledwie że dotykały ustami brzegów szklanic, natomiast panowie Bukojemscy nie dali się prosić, skutkiem czego świat wydawał się im coraz weselszy, a panna Sienińska coraz ładniejsza. Więc nie mogąc znaleźć odpowiednich słów na wyrażenie swego zachwytu, poczęli spoglądać na nią ze zdumieniem, sapać i trącać się łokciami.

— Nakonicc najstarszy, Jan, rzekł!

— Nie dziwować się wilkom, że chciały kosteczek i mięsa waćpanny próbować, boć nawet i dzika bestya wie, co prawdziwy specyał!...

A trzej inni: Mateusz, Marek i Łukasz, nuż bić się dłońmi po udach:

—Utrafił w sedno utrafił!

— Specyał! nic innego!

— Marcepan!

Słysząc to panna Sienińska złożyła ręce i udając przestrach, rzekła do młodego Cypryanowicza:

— Ratuj-że waćpan, bo widzę, że ichmościowie dlatego jeno mnie od wilków ratowali, aby mnie sami zjedli.

— Mościa panno — odpowiedział wesoło Cypryanowicz — pan Jan Bukojemski mówił: nie dziwować się wilkom! a ja rzeknę: nie dziwować się panom Bukojemskim.

— To już zacznę chyba mówić: "Kto się w opiekę..."

— Jeno nie żartuj z rzeczy świętych! — zawołała pani Winnicka.

— Hej! gotowi ci kawalerowie i ciotuchnę razem ze mną zjeść. Nieprawda?

Ale pytanie to pozostała przez chwilę bez odpowiedzi. Owszem, łatwo było z twarzy panów Bukojemskich wyczytać, że znacznie mniejszą mają do tego ochotę. Jednakże Łukasz który miał dowcip od braci bystrzejszy, rzekł:

— Niech Jan mówi; on starszy brat.

A Jan zakłopotał się nieco i odrzekł:

— Kto tam wie, co go jutro spotka!

— Roztropna to uwaga, — zauważył Cypryanowicz —ale do czego ją waćpan stosujesz?

— Bo co?

— Bo nic: jeno pytam, czemu to o jutrze wspominasz?

— A to waść nie wiesz, że afekt gorszy od wilka, gdyż wilka można zabić, a afektu nie zabijesz.

— Wiem, ale to znów inna materya.

— Byle dowcip dopisał, mniejsza o materyę.

— Ha! jeśli tak, to Boże dopomóż dowcipowi.

Panna Sienińska poczęła się śmiać w piąstkę, za nią Cypryanowicz, a w końcu i panowie Bukojemscy. Lecz dalszą rozmowę przerwała służka, prosząc na wieczerzę.

Starszy pan Cypryanowicz podał ramię pani Winnickiej, po nich szedł pan Pągowski, młody zaś Cypryanowicz prowadził pannę Sienińską.

— Trudna dysputa z panem Bukojemskim! — rzekła roz weselona panienka.

— Bo jego racye są jak narowiste konie, z których każdy ciągnie w inną stronę; wszelako, powiedział on dwie prawdy, którym trudno negować.

— Jakaż to jest pierwsza?

— Że nikt nie wie, co go jutro spotka, jako i jam naprzykład nie wiedział, że oczy moje ujrzą dzisiaj waćpannę

— A druga?

— Że łatwiej wilka zabić niż afekt... Wielka to prawda.

To rzekłszy, westchnął młody pan Cypryanowicz, a panienka spuściła na oczy cieniste swe powieki i zamilkła.

Po chwili dopiero, gdy już siadali do stołu, rzekła:

— A waćpanowie prędko przyjedźcie do Bełcząaczki, aby zaś opiekun mógł wam wdzięczność za ratunek i za gościnę okazać.

Posępny humor pana Pągowskiego poprawił się znacznie przy wieczerzy — a gdy gospodarz wniósł w ozdobnych słowach, naprzód zdrowie niewiast, a następnie zacnego gościa, stary szlachcic odpowiedział bardzo uprzejmie, dziękując za wybawienie z ciężkich terminów i zapewniejąc o swej wiekuistej wdzięczności.

Mówiono potem de publicis, o królu, o jego zwycięstwach, o sejmie, który w kwietniu miał się zebrać, i o wojnie, która groziła cesarstwu niemieckiemu ze strony sułtana tureckiego, a na którą zaciągał już ochotników w Polsce pan Hieronim Lubomirski, kawaler maltański.

Panowie Bukojemscy słuchali z niemałą ciekawością, jako tam w Niemczech przyjmowano z otwartemi rękoma każdego Polaka; albowiem Turcy lekceważyli jazdę niemiecką, polska zaś budziła w nich należyty postrach.

Pan Pągowski ganił nieco dumę kawalera Lubomirskiego, który mawiał o grafach niemieckich: "dziesięciu takich w jedną moję rękawicę wlezie", ale chwalił jego przewagi rycerskie, niezmierną odwagę i wielką biegłość w sztuce wojennej.

Słysząc to, Łukasz Bukojemski oświadczył w imieniu swojem i braci, że niech tylko wiosna uczyni się na świecie, to nie wytrzymają, jeno do pana kawalera podążą, ale póki mrozy mocne, będą jeszcze bili wilki, aby się za pannę Sienińską godnie pomścić. Bo chociaż powiedział Jan, że niema co się wilkom dziwować, przecie, gdy pomyśli, że taki gołąbek niewinny stać się mógł ich pastwą, to aż serce pod szyję podchodzi od wściekłości,, a zarazem trudno utrzymać łez.

— Szkoda — mówi — że skóry wilcze takie tanie, i że Żydy zaledwie za trzy talara dają, ale łez trudno utrzymać i nawet lepiej poprostu im pofolgować, gdyż ktoby nie pożałował uciśniętej niewinności i cnoty, ten okazałby się barbarusem, nie godnym rycerskiego i szlacheckiego imienia.

To rzekłszy — pofolgował istotnie łzom, a za jego przykładem poszli zaraz i inni bracia; chociaż bowiem wilki mogły

w najgorszym razie grozić życiu nie zaś cnocie panny Sienińskiej, jednakże tak ich wzruszyła wymowa brata, że serca zmiękły w nich jak wosk przygrzany.

Chcieli też po wieczerzy palić z pistoletów na cześć panienki, ale sprzeciwił się temu gospodarz, mówiąc, że ma w domu borowego, człowieka wielkich zasług, który jest chory i potrzebuje spokoju.

Mniemał pan Pągowski, iż to może jaki zubożały krewny domu, a w najgorszym razie szlachcić z zaścianka, więc przez grzeczność począł wypytywać; dowiedziawszy się jednakże, iż to jest chłop służebny, wzruszył ramionami i spojrzawszy niechętnem i zdziwionem okiem na starego Cypryanowicza, rzekł:

— A tak! zapomniałem, co o waścinem, zbyt ludzkiem sercu opowiadają.

— Daj Boże, — odpowiedział pan Serafin — aby nie opowiadali nic gorszego. Siła temu człowiekowi zawdzięczam, a może i każdemu się to trafić, gdyż on wybornie zna się na ziołach i każdej chorobie umie zaradzić.

— To już mi tylko dziwne, że skoro innych tak uzdrawia, siebie nie uzdrowił. Przyślij go waszmość kiedy tej oto mojej krewniaczce, pani Winnickiej, która z ziół rozmaite extracta wyciąga i ludzi niemi morzy; ale tymczasem niech nam wolno będzie pomyślić o spoczynku, bo mnie droga okrutnie strudziła, a wino niecoś rozebrało, również jak panów Bukojemskich.

Bukojemskim rzeczywiście kurzyło się z czupryn, a oczy, mieli mgliste i rozrzewnione, więc gdy młody Cypryanowicz poprowadził ich do oficyny, gdzie miał razem z nimi nocować, to szli za nim wielce niepewnym krokiem po skrzypiącym od mrozu śniegu, dziwiąc się, że miesiąc śmieje się do nich i siedzi na dachu stodoły, zamiast świecić na niebie.

Lecz panna Sienińska tak głęboko zapadła im w serca, że chciało się jeszcze o niej mówić.

Młody Cypryanowicz nie czuł także ochoty do snu, kazał więc przynieść gąsior miodu, poczem zasiedli wedle wielkiego komina i przy jaskrawem świetle łuczywa pili z początku w milczeniu, słuchając tylko świerszczów, grających w izbie.

Wreszcie najstarszy, Jan, nabrał w piersi powietrza, poczem wydmuchnął je w komin z taką siłą, że aż się płomień pochylił, i rzekł:

— O Jezu! Bracia moi mili, zapłaczcie nade mną, bo przyszedł na mnie termin żałosny!

— Jaki termin? mów, nie ukrywaj!

— A to przecie miłuję tak, że aże mi kolana mdleją.

— A ja, to, myślisz, nie miłuję? — zawołał Łukasz.

— A ja? — krzyknął Mateusz.

— A ja? — zakończył Marek.

Jan chciał im coś odpowiedzieć, ale zrazu nie mógł, albowiem porwała go czkawka. Wytrzeszczał tylko oczy z wielkiego zdziwienia, i począł spoglądać na nich tak, jakby ich pierwszy raz w życiu widział.

Wreszcie gniew odbił się na jego obliczu.

— Jakto, tacy synowie, — zawołał — to starszemu bratu chcecie w drogę wchodzić i szczęśliwości go pozbawiać?

— O wa! — odpowiedział Łukasz — to cóż? Zali to panna Sienińska jakowaś ordynacya, że ją tylko starszy ma brać? Z jednegośmy ojca i matki, przeto jeśli nas takimi synami zowiesz — to rodzicielom w grobie uchybiasz. Każdemu wolno miłować.

— Wolno każdemu, ale wam wara, boście mi obedientiam powinni.

— Mamy całe życie końskiego łba słuchać? Co?

— Bluźnisz, poganinie, jako pies

— Ty sam bluźnisz. Bo Jacobus młodszy był od Ezawa, a Józef najmłodszy z braci, więc ty Pismu Świętemu przyganiasz i przeciw wierze szczekasz.

Przyciśnięty temi argumentami do muru, Jan nie umiał na razie znaleźć odpowiedzi, a gdy jeszcze Mateusz wspomniał o Kainie, jako starszym bracie, wówczas całkowicie stracił głowę.

Gniew wzbierał się w nim coraz większy, aż nakonice począł prawicą szukać szabli, której zresztą nie miał przy boku.

I niewiadomo, do czego byłoby doszło, gdyby nie Marek, który, trzymając od pewnego czasu palec przy czole, jak gdyby się porał z jakąś myślą, nagle wykrzyknął ogromnym głosem:

— Jam najmłodszy z braci, jam jest Józef, więc dla mnie panna Sienińska!

A inni zaraz zwrócili się do niego, z wzburzeniem w obliczach i skrami w oczach:

— Co? Dla ciebie? Dla ciebie, ty gęsie jaje, ty słomiana kukło, ty końska zołzo, suszykuflu, ty opoju!... Dla ciebie?

— Stulcie gęby, skoro tak stoi w Piśmie!

— W jakiem Piśmie, głąbie?

— Wszystko jedno — ale stoi. Samiście się popili — nie ja.

Lecz tu wdał się między nich Stanisław Cypryanowicz.

— Czy wam nie wstyd, — mówił — szlachtą i braćmi będąc, kłótnię wszczynać? Tak-że to obserwujecie miłość braterską? I o co kłótnia? Czy to panna Sineińska jest grzyb, który ten do kobiałki schowa, kto go pierwszy w borze zdybie? Żali taki jest między pelikanami obyczaj, którzy to pelikanowie, nie będąc ani szlachtą, ani nawet ludźmi, przecie z rodzinnych afektów jedne drugim we wszystkiem ustępują, a gdy ryb nie nałowią, to się krwią własną wzajemnie karmią? Wspominacie zmarłych rodziców waszych, ależ oni tam łzami się zalewają, widząc niezgodę synów, którym pewnie co innego pod błogosławieństwem nakazywali. Już im tam i pasza niebieska niesmakuje i oczu nie śmie ją podnieść na owych czterech Ewangelistów, których imiona na chrzcie świętym wam podawali.

Tak mówił Staszko Cypryanowicz i, choć z początku chciało mu się cokolwiek śmiać, jednakże, w miarę jak mówił, coraz więcej się własną wymową przejmował, albowiem dla kompanii także był nieco podpił. Atoli panowie Bukojemscy rozrzewnili się w końcu jego przemówieniem niezmiernie i zapłakali wreszcie wszyscy czterej, a najstarszy, Jan, zawołał:

— O dla Boga, zabijcie mnie, ale nie nazywajcie Kainem!

Na to Mateusz, który był o Kainie wspomniał, rzucił mu się w objęcia.

— Bracie, katu za to mnie oddać!

Wybacz, bo się z żalu rozpuknę — wołał Łukasz.

Marek zaś:

– Szczekałem przeciw przykazaniu, jako pies.

I poczęli się ściskać, lecz Jan, uwolniwszy się wreszcie z objęć braci, siadł nagle na ławie, rozpiął żupan, rozgarnął koszulę i, obnażywszy pierś, począł mówić przerywanym głosem:

— Macie! oto jako pelikan!... macie!

A tamci nuż jeszcze bardziej szlochać:

— Pelikan! czysty pelikan!... Jak mi Bóg miły! — pelikan!

— Bierzcie pannę Sienińską!

— Twoja ona! ty ją bierz.

— Młodsi niech biorą...

— Nigdy! Nie może być!

— Jechał ją sęk!

— Jechał ją sęk!

— Nie chcemy jej!

A wtem Łukasz uderzył się dłońmi po udach, aż rozległo się po izbie.

— Wiem! — zakrzyknął.

— Co wiesz? Mów, nie ukrywaj!

— Niech ją Cypryanowicz bierze!

Usłyszawszy to tamci, aż zerwali się z ław, tak im trafiła do serca myśl braterska i otoczyli Cypryanowicza.

— Bierz ją, Staszku.

— Najlepiej nas pogodzisz.

— Jak nas kochasz!

— Dla nas to uczyń!

— Niech ci Bóg błogosławi—wołał Jan, wznosząc oczy do nieba i wyciągając nad nim ręce.

A Cypryanowicz spłonął na twarzy i stał zdumiony, powtarzając:

— Bójcie się ran boskich!...

Lecz serce drgnęło mu w piersiach na samą myśl, bo siedząc od dwóch lat przy ojcu wśród głębokich lasów i mało ludzi widując, oddawna nie napotkał tak cudnej dziewczyny.

Widywał podobne niegdyś w Brzeżanach, gdy ojciec oddał go na tamtejszy dwór, aby nabrał ogłady i znajomości spraw publicznych. Lecz wówczas był jeszcze pacholęciem — i czas zatarł te dawne wspomnienia.

Aż oto teraz, gdy wśród borów ujrzał znów niespodzianie taki kwiat śliczny — ludzie mówią mu odrazu: bierz go!!...

Więc zmieszał się okrutnie i raz jeszcze powtórzył:

— Bójcie się Boga! gdzie wam, albo mnie do niej!

Lecz oni, jak to zwykle pijani, żadnej przeszkody nie widząc, poczęli nalegać.

— Nie będzie żaden z nas drugiemu zazdrościł, — mówił Łukasz — a ty ją bierz! Mieliśmy i tak na wojnę iść, bo dość nam tego leśnego stróżowania. Trzydzieści talarów na cały Boży rok... Na napitki nie starczy, a cóż na ochędostwo? Konie posprzedawaliśmy i na twoich za wilkami jeździmy, rzędy też... Wiadomo że ciężko sierotom. Lepiej na wojnie zginąć — a ty ją bierz, jak nas kochasz!

— Bierz ją! — wołał Jan — a my do Rakuz, do kawalera Lubomirskiego pociągniem, Nemiaszkom pomagać pogan łuszczyć.

— Bierz ją zaraz...

— Jutro! Do kościoła!...

Lecz Cypryanowicz ochłonął już ze zdumienia i wytrzeźwiał tak, jakby nic od rana w ustach nie miał.

— Ludzie, zastanówcie się co mówicie! Żali to tylko waszej albo mojej woli do tego potrzeba? A cóż ona sama, a cóż pan Pągowski, który jest człowiek dumny i nieużyty? Choćby też i panna stała mi się z czasem przyjacielem, wolałby on może, by rutę siała, niż aby została żoną takiego chudopachołka, jako ja, albo i któren z was.

— O wa! — zawołał Jan. — A cóż to pan Pągowski, kasztelan krakowski, czy hetman wielki? Jeśliś dla nas dobry, to i jemu wara nosem kręcić. Za mali mu na swatów Bukojemscy? A wiera! Stary jest, niedługo mu do śmierci, niechże się strzeże, aby mu święty Piotr palców we wrotach niebieskich nie przyskrzypnął. Ujmij-że się za nami święty Piotrze i powiedz mu tak: "Nie umiałeś, o taki synu, za życia mojej krwi uszanować, całuj-że psa w nos!" Tak mu po śmierci powiedz! Ale my się i zo życia nie pozwolim spostponować. Jakto? To dlatego, że nie stało fortuny, mają nas poniewierać i jako chłopów traktować?... Takaż ma być zapłata za nasze służby ojczyźnie, za naszą krew, za nasze rany? O bracia moi, sieroty wy boże! niejedna krzywda nas w życiu spotkała, ale cięższej nikt nam nigdy nie wyrządził.

— Prawda, prawda! — zawołali żałośliwie Łukasz, Marek i Mateusz.

I łzy żalu popłynęły im znów obficie po policzkach, lecz wypłakawszy się, poczęli się burzyć, albowiem zdawało im się, iż takiej obrazy nie wolno ludziom urodzonym puszczać w niepamięć.

Marek, który był najbardziej z braci porywczy, pierwszy sobie o tem przypomniał.

— Trudno go na szable pozywać — rzekł — bo stary jest i ręki nie ma, ale jeśliby nam wzgardę jakowąś okazał, trzeba się pomścić. Co nam czynić? — pomyślcie!...

— Nogi mi zmarzły na mrozie — odrzekł Łukasz — a teraz mnie palą okrutnie. Żeby nie to, zarazbym coś obmyślił.

— A mnie łeb pali, nie nogi.

— Z pustego i tak nie nalejesz.

— Kaczan głąbowi przygania! — rzekł Jan.

— Będziecie mi tu kłótnię zaczynać, zamiast odpowiedź obmyślać! — zawołał z gniewem Marek.

Lecz tu wdał się między nich Cypryanowicz.

— Odpowiedź? — zapytał — a komu?

— Pągowskiemu.

— A na co chcecie odpowiadać?

— Na co? Jakto: na co?

I poczęli na się spoglądać z niemałem zdziwieniem, a potem zwrócili się do Marka.

— Czego ty od nas chcesz?

— A wy czego chcecie?...

— Do jutra sessya — zawołał Cypryanowicz. — Ot i ogień już w grabie przygasa i północ dawno minęła. Łoża pod ścianą gotowe, a spoczynek słusznie nam się należy, bośmy się spracowali na mrozie.

Ogień przygasał istotnie i pociemniało w izbie, więc rada gospodarza trafiła do przekonania panów Bukojemskich.

Chwilę jeszcze trwała rozmowa, ale coraz mniej żywa, a potem zaszemrał w izbie szept pacierzy, odmawiających to ciszej to głośniej, a przerywanych głębokiemi westchnieniami.

Głownie w kominie poczęły pokrywać się popiołem i czernieć; czasem zapiszczało coś w dogasającem ognisku i świerszcze ozwały się po kątach żałosnem ćwierkaniem, jakby z żalu za światłem.

Rozległ się jeszcze w pomroku stukot butów, zrzucanych z nóg na podłogę, poczem krótki czas cisza, a następnie ogromne chrapanie czterech uśpionych braci.

Lecz młody Cypryanowicz nie mógł zasnąć, albowiem wszystkie jego myśli krążyły koło panny Sienińskiej, jak żwawe pszczoły wokół kwiatu.

Gdzie tam spać z takim rojem w głowie!

Przymknął wprawdzie powieki raz i drugi, lecz widząc, że to na nic, pomyślał:

— Pójdę obaczyć czy się u niej nie świeci jeszcze.

I wyszedł.

W oknie p. Sieneińskiej nie było światła, tylko blask miesiąca drgał na nierównych szybach, jak na bieżącej wodzie.

Świat był cichy i uśpiony tak głęboko, że nawet śniegi zdawały się spać w zielonawej topieli księżycowego światła.

— Czy ty wiesz, że mi cię rają? — szepnął młody Cypryanowicz, patrząc w srebrne okno dziewczyny.

Starszy pan Cypryanowicz, gwoli własnej, przyrodzonej mu gościnności i wedle zwyczaju, nie szczędził próśb i zaklęć aby goście zostali dłużej w Jedlni. Klękał nawet przed panią Winni-

cką, co z powodu lekkiej jeszcze, ale już dokuczliwej pedagry, nie przychodziło mu łatwo. Wszystko to jednak nie nie pomogło. Pan Pągowski uparł się jechać przed południem do domu — i w końcu trzeba było się na to zgodzić, gdyż na jego oświadczenie, że spodziewa się gości — nie było mu co rzec. Wyruszyli tedy przed południem w dzień jasny, mroźny, i w cudną pogodę. O-kiść na drzewach i śniegi na polach były obsypane jakby tysiącem iskier, które migotały tak w słońcu, iż ledwie oczy mogły znieść owe blaski, bijąc z nieba i z ziemi. Konie szły tęgo rysią, aż grały w nich śledziony; płozy sani świstały na twardym śniegu; firanki po bokach były odcunięte — i co chwila, to w jednem okienku, to w drugiem, ukazywała się różowa twarz panny Sienińskiej, z wesołemi oczkami i z zaczerwienionym od mrozu noskiem, właśnie jakby wdzięczny obrazek w ramach.

I jechała jakby królewna, bo karocę otaczała "salwa-gwardya", złożona z panów Bukojemskich i młodego Cypryanowicza. Ci, siedząc na dzielnych szkapach z jedlinkowej stajni (bo swoje posprzedawali lub pozastawiali wraz z lepszemi szablami panowie Bukojemscy), rwali po bokach, to wspinając konie, to puszczając je naprzód takim pędem, że aż wiory śnieżne, wyrywane kopytami ze zmarzłej drogi, warczały w powietrzu jak kamienie.

Może i niekoniecznie rad był z tej przybocznej straży pan Pągowski — i w chwili wyjazdu prosił nawet kawalerów, aby się nie trudzili bo droga w dzień bezpieczna, a o osacznikach w puszczy nie słychać, ale gdy uparli się, aby stanowczo niewiasty odprowadzić, nie pozostało mu nic innego jak, płacąc grzecznością za grzeczność, zaprosić ich do Bełczączki. Uzyskał też i obietnicę starszego pana Cypryanowicza, że go odwiedzi, ale dopiero za kilka dni, albowiem starszemu człowiekowi trudno było tak obcesowo wyrywać się z domu.

Prędko schodziła podróż, kawalerom na konnych popisach, a pannie Sienińskiej na pokazywaniu się w okienku karocy. Zatrzymali się dopiero w połowie drogi, aby dać odetchnąć koniom przy puszczańskiej karczmie, zwanej dość złowrogo: "Rozbój", obok której była kuźnia i szopa. Kowal kuł konia na dworze przed kuźnią, a wedle karczmy stało kilkoro sani chłopskich, zaprzężonych w poszerszeniałe i okryte sędzielizną chude szkapięta, z ogonami wtulonymi między zadnie nogi i wyobroczonemi torbami na głowach.

Ludzie wysunęli się z karczmy patrzeć na karocę, otoczoną przez jeźdźców i stanęli opodal. Byli to nie chłopi, tylko miesz-

czanie-zduni z Kozienic, którzy letnią porą robili garnki, a zimą podczas sanny rozwozili je po wsiach, a szczególniej na odpusty w okolicy. Wydawało im się, że to jakiś dygnitarz musi jechać w tej karocy, otoczonej przez tak dorodną szlachtę, więc mimo mrozu pozdejmowali czapki i patrzyli z ciekawością.

Podróżni, przybrani ciepło, nie wysiadali z karocy, jeźdźcy pozostali także na koniach; poszedł tylko pachołek pana Pągowskiego z gąsiorkiem wina, aby je zagrzać przy ogniu w karczmie. Tymczasem pan Pągowski kazał się zbliżyć łyczkom i począł ich wypytywać: skąd są, dokąd jadą i czy nie groziło im gdzie jakie niebezpieczeństwo od zwierza?''

— Gdzietam nie groziło, wasza miłość, — odpowiedział stary mieszczanin — jeno że kupa jedziemy i we dnie. Czekamy tu na naszych od Przytyka i z innych stron. Chłopów może się też dość ściągnie i jeśli się zbierze z piętnaście, albo dwadzieścia wozów, to pojedziem na noc — a nie, to nie, chociaż bez pałek nie jeździemy.

— A z ludźmi nie zdarzył się jakowy wypadek?

— Zagryzły wilki Żyda podobno w biały dzień. Jechał z gęsiami, bo pierze zostało na gościńcu, a z człowieka i z konia jeno gnaty. Tylko po krymce poznali ludzie, że to był Żyd. A dziś rano przyszedł tu piechotą szlachcic, który całą noc na sośnie przesiedział. Powiada, że koń mu padł i wilcy go w jego oczach zarznęli. Skostniał ci tak na drzewie, że ledwie mógł mówić, a teraz śpi?

— Jak się zwał? Nie mówił skąd jest?

— Nie. Piwa się jeno grzanego napił i zaraz potem padł jak nieżywy na ławę.

Pan Pągowski zwrócił się do kawalerów.

— Słyszycie waćpanowie?

— Słyszymy.

— Bo trzeba go będzie chyba obudzić i rozpytać. Bez konia został, jakże go tu poniechać. Mógłby pachołek mój na drugiego lejcowego sieść w parze z forysiem, a jemu swego oddać. Powiadają, że szlachcic może zdaleka?

— I pilno mu musiało być — odrzekł Stanisław Cypryanowicz — skoro nocą jechał i do tego sam jeden. Pójdę, rozbudzę go i rozpytam.

Lecz chęć ta okazała się zbyteczną, albowiem w tej chwili z karczmy wyszedł pachołek, niosąc stolnicę, a na niej dymiące kubki wina — i doszedłszy do karocy, rzekł:

— Proszę waszej miłości, pan Taczewski tu jest.

— Pan Taczewski? A on tu co u licha robi?

— Pan Taczewski? — powtórzyła panna Sienińska.

— Ogarnie się i zaraz wyjdzie — rzekł pachoł. Mało mi stolnicy z winem nie wytrącił, jak się dowiedział, że państwo tu są...

— A ciebie kto pyta o stolnicę?...

Pacholek umilkł, jakby głos stracił, a pan Pągowski wziął kubek wina pociągnął raz i drugi, poczem rzekł do Cypryanowicza jakby z pewną niechęcią:

— To nasz znajomek i niby sąsiad... od Czarnej... A... trochę warłogłów i szaławiła. — Z tych, tutejszych Taczewskich, co to niegdyś w całem pono województwie...

Dalsze objaśnienia przerwało ukazanie się pana Taczewskiego, który, wybiegłszy pośpieszne z karczmy, szedł ku karocy zamaszystym krokiem ale z pewną nieśmiałością w obliczu. Był to młody szlachcić, średniego wzrostu, z pięknemi, czarnemi oczyma, ale chudy jak trzaska, głowę miał pokrytą magierką, pamiętającą bodaj czasy Batorego, na sobie szary kubrak, podbity baranem, i żółte szwedzkie buty z ogromnemi cholewami, zakrywającemi nawet i uda. Nikt takich w Polsce już nie nosił, było więc widoczne, że to jest chyba jaka stara zdobycz wojenna z czasów Jana Kazimierza, wyciągnięta z lamusa z konieczności. — Idąc, patrzył naprzemian to na pana Pągowskiego, to na pannę Sienińską, i uśmiechał się, pokazując przytem białe, zdrowe zęby, ale uśmiech miał smutny i twarz zmieszaną, a nawet trochę zawstydzoną.

— Cieszę się okrutnie, — rzekł stanąwszy przy karocy i kłaniając się grzecznie magierką — że widzę w dobrem zdrowiu waćpanią, waćpannę i waszność pana dobrodzieja mego— gdyż droga niebezpieczna, o czem sam miałem sposobność się przekonać.

— Nakryj acan głowę bo ci uszy zmarzną, — rzekł szorstko pan Pągowski.—Dziękujemy za troskliwość. A czego to acan włóczysz się po puszczy?

Taczewski spojrzał bystro na panienkę, jakby chciał zapytać: "może ty wiesz dlaczego?" — ale widząc, że panienka oczy ma spuszczone i zabawia się przygryzaniem wstążek od kapturka, odrzekł nieco twardym głosem:

—At, przyszła m fantazya popatrzeć na miesiąc nad borem.

— Piękna fantazya. A konia ci wilcy zarznęli?

— Dorznęli jeno, bom sam z niego duszę wyparł.

— Wiemy. I przesiedziałeś noc na sośnie jak wrona.

Tu panowie Bukojemscy buchnęli tak ogromnym śmiechem, aż im konie poprzysiadały na zadach, a Taczewski odwrócił się i począł ich kolejno liczyć oczyma, mając w źrenicach błyski zimne jak lód i zarazem ostre jak brzeszczot.

Poczem rzekł do Pągowskiego:

— Nie jak wrona ale jak szlachcic bez konia, z którego waszmości dobrodziejowi śmiać się wolno, ale komu innemu może być niezdrowo.

— Oho! oho! oho! — jęli powtarzać panowie Bujemscy, przysuwając ku niemu konie. Twarze ich zmierzchły w jednej chwili i wąsy poczęły się poruszać, a on znów począł ich liczyć, zadzierając w górę głowę.

Lecz Pan Pągowski ozwał się tak surowym i rozkazującym głosem, jakby nad wszystkimi miał komendę:

— Proszę mi tu żadnych zwad!... To jest pan Taczewski, — rzekł po chwili łagodniej, wracając się do kawalerów — a to pan Cypryanowicz i panowie Bukojemscy, którym mogę rzec, iż życie zawdzięczamy bo i nas wczoraj wilcy napadli. Insperate przyszli nam z pomocą, ale skutecznie i w porę.

— W porę — powtórzyła z naciskiem panna Sienińska, wydymając nieco sta i spoglądając wdzięcznie na Cypryanowicza. A Taczewskiemu zakwitły jagody, na twarzy odbiło się, jakby upokorzenie, oczy zamgliły się i z niezmiernym żalem w głosie odrzekł:

— W porę! bo ich kupa i szczęśliwi, że na dobrych koniach a mojemu Wołoszynowi wilcy już zębami dzwonią i ostatniego przyjaciela mi zbrakło. Ale— i tu spojrzał życzliwiej na Bukojemskich — niechże się święcą ręce waszmościom, boście uczynili to, co i ja z całej duszy byłbym chciał uczynić, jeno Bóg nie pozwolił...

Panna Sienińka zmienna była widocznie, jak każda białogłowa, a może też żal jej się uczyniło pana Taczewskiego, bo nagle oczki jej stały się słodkie i migotliwe, powieki jęły się mrużyć raz po raz i całkiem już innym głosem zapytała:

— Stary Wołoszyn?... Mój Boże, takem go lubiła i on mnie znał.. Mój Boże!...

A Taczewski spojrzał zaraz na nią z wielką wdzięcznością.

— Znał, mościa panno znał...

— Waćpan, panie Jacku, nie martw się tak okrutnie...

— Martwiłem się już i przedtem, jeno że konno, a teraz się

będę martwił na piechotę. Ale Bóg waćpannie zapłać za dobre słowo...

— Tymczasem siadaj acan na myszatego — rzekł pan Pągowski. — Czeladnik siędzie obok forysia albo stanie z tyłu za karocą. A jest tam i zapaśna burka w trokach, to się odziej, boś marzł całą noc, a teraz znów mróz bierze.

— Nie — odpowiedział. — Umyślniem nie wziął szuby i ciepło mi!

— No, to w drogę!

I po chwili ruszyli. Jacek Taczewski zajął miejsce przy jednem okienku karocy, Stanisław Cypryanowicz przy drugiem, tak, że siedząca na przodzie panienka mogła, nie obracając głowy, swobodnie na obudwóch spoglądać.

Lecz panowie Bukojemscy nie radzi byli z Taczewskiego i gniewało ich to, że zajął miejsce przy boku karocy, więc, zebrawszy w kupę konie, tak, że niemal stykały się łbami, poczęli rozmawiać i radzić:

— Hardo ci na nas spoglądał — mówił Mateusz. — Jak Bóg w niebie, chciał nas spostponować.

— Teraz zaś konia zadem do nas obrócił. Cóż wy na to?

— Juści łbem nie może obrócić, bo koń tyłem, jako rak, nie chodzi. Ale że on się ma do tej panny, to pewna, — zauważył Marek.

— Toś dobrze rozpoznał. Widzicie, jako się nadstawia i przegina. Żeby się tak puślisko urwało, toby zleciał.

— Nie zleci taki syn, bo dobrze siedzi i w puśliskach zdrowy rzemień.

— Przeginaj się, przeginaj, póki my cię nie przegniem!

— Obaczcie-no! znów się do niej uśmiecha!

— Cóż, bracia rodzeni? Pozwolim na to?

— Nigdy, jako żywo! Nie dla nas dziewka, dobrze! ale pamiętacie, cośmy wczoraj uradzili?

— Jakże! Musiał on się tego domyślić, bo chytra widać sztuka — i teraz na złość nam się do niej zaleca.

— I na wzgardę naszemu sieroctwu i ubóstwu.

— O, wa! wielki mi magnat — na cudzym podjezdku!

— Ba! przecież i my nie na swoich.

— Ale jedna szkapa nam została, to jak trzech w domu siedzi, czwarty może jechać choćby na wojnę, a ów i siodła własnego nie ma, bo mu je wilcy zębami porozrywali.

— I nosa jeszcze zadziera. Co on do nas cierpi? — powiedzcie?

— To się go spytać.

— Zaraz?

— Zaraz, ale politycznie, by starego Pągowskiego nie urazić. Dopieroż wyrozumiawszy co odpowie, wyzwać.

— I wtedy już będzie nasz.

— Któryż ma z nas to uczynić?

— Juści ja, bom najstarszy. Sople jeno sobie z wąsów wykruszę i nu!

— Jeno zapamiętaj dobrze co ci rzeknie.

— Jako pacierz wam powtórzę.

To rzekłszy, najstarszy z panów Bukojemskich począł wycierać rękawicą grudki lodu, osiadłe na wąsach a potem przysunął konia do podjezdka Taczewskiego i ozwał się:

— Mosanie?

— A co? — zapytał Taczewski, odwracając niechętnie głowę od karocy.

— Co waćpan do nas cierpisz?

Taczewski popatrzył na niego przez małą chwilę ze zdziwieniem, poczem rzekł:

— Nic.

I ruszywszy ramionami, zwrócił się znów ku karocy.

Bukojemski jechał czas jakiś w milczeniu, rozważając czy ma wrócić i zdać braciom relacyę z odpowiedzi czy mówić dalej. Ta ostatnia myśl wydała mu się jednak lepszą, więc ozwał się znowu:

Bo jeśli myślisz że co wskórasz, to ja ci rzekę to, co i ty mnie: nic!

Na twary Taczewskiego odbiła się nuda i przymus zrozumiał bowiem, że szukają z nim zaczepki, na którą nie miał najmniejsze ochoty w tej chwili odpowiadać. Jednakże pomyślał, że trzeba coś odpowiedzieć i to coś takiego, coby mogło rozmowę zakończyć.

Więc zapytał:

— A czy tamci bracia także?...

— A jakże! ale co także?

— To się waść domyśl, a teraz nie przerywaj mi milszego dyskursu.

Bukojemski przejechał jeszcze wpobok kroków dziesięć lub piętnaście, ale wreszcie ściągnął konia.

— Co ci rzekł? mów otwarcie? — pytali bracia.

Starszy powtórzył. Nie byli radzi.

— Boś go nie umiał zażyć — rzekł Łukasz. — Trzeba mu było konia strzemieniem w brzuch połechtać, albo, skoroś wiedział, że mu na imię Jacek, powiedzieć: naści placek!

— Albo powiedzieć mu tak: zjedlić wilcy konia, to kup sobie kozę w Przytyku.

— To nieprzepadło, ale co znaczyło to, co rzekł: czy tamci bracia także?

— Może chciał spytać: czy także kpy?

— Pewnie! Jak mi Bóg miły! — zawołał Marek. — Nic innego nie mógł pomyślić! A teraz co?

— Jego śmierć albo nasza. Dla Boga, toż to jawne kacerstwo, o którem i Stachowi trzeba powiedzieć.

— Nie powiadaj nic, bo skoro Stachowi pannę oddajem to Stach musiałby go wyzwać, a tu chodzi, żeby my pierwej.

— Kiedy?

— U Pągowskiego nie idzie. A tu już Bełcząćzka.

Rzeczywiście Bełcząćzka była już niedaleko. Na skraju lasu stał krzyż fundacyi pana Pągowskiego z blaszanym Zbawicielem wśród dwóch włóczni; na prawo, kędy droga skręcała się za borem, widać było łąki obszerne z wstęgą olszyn, rosnących wzdłuż rzeczki; z olszyn, po drugiej wyższej stronie, widać było bezlistne korony wysokich drzew i dymy chat.

Wkrótce orszak znalazł się wśród chat, a gdy minął opłotki i zabudowania folwarczne, przed oczami jeźdźców ukazał się dwór pana Pągowskiego.

Obszerny dziedziniec otoczony był starym, spróchniałym a miejscami powywracanym częstokołem. Nie dochodził do tych stron od prastarych czasów żaden nieprzyjaciel, nikt przeto nie dbał o należytą obronność siedliska. Na obszernym dziedzińcu były aż dwa gołębniki po jednej stronie stała oficyna, po drugiej lamus, spichrz i duża sernica, sklecona w kratę z cienkich bierwion i desek. Przed domem i wokół dziedzińca tkwiły słupki z żelaznemi kółkami do przywiązywania koni; na każdym słupku siedziała czapka zmarzłego śniegu. Domostwo było stare, obszerne, z nizkim dachem słomianym. Po dziedzińcu wałęsały się gończe, a między niemi przechadzał się bezpiecznie oswojony bocian, ze złamanem skrzydłem, który widocznie opuścił przed chwilą ciepłą izbę aby zażyć ruchu i powietrza na mrozie.

W domu czekano ich, albowiem pan Pągowski wyprawił

był pacholika przodem z oznajmieniem. Tenże sam pacholek wyszedł teraz na ich spotkanie i, pokłoniwszy się, rzekł:

— Pan starosta rajgrodzki, Grothus, przyjechał.

— Dla Boga! — zawołał pan Pągowski — dawno-że czeka?

— Niema i godziny. Chciał wyjeżdżać, alem mu rzekł, że waszej miłości tylko co nie widać z powrotem.

— Toś dobrze rzekł.

Poczem do gości:

— Proszę waszmościów. Pan Grothus — to mój krewny przez żonę. Wraca widać tędy do Warszawy od brata, bo jest deputatem na sejm. Proszę! proszę.

Po chwili znaleźli się w izbie stołowej wobec starosty rajgrodzkiego, który głową niemal dotykał pułapu, bo wzrostem przewyższał nieco nawet panów Bukojemskich — a w całem domostwie komnaty były nadzwyczaj nizkie. Pan Grothus był to okazały szlachcic z mądrem wejrzeniem, z twarzą i łysiną statysty, i z czołem przeciętem tuż nad nosem między brwiami. Blizna ta, podobna do zmarszczki nadawała jego obliczu surowy i jakby gniewny wyraz. Uśmiechnął się jednak uprzejmie do pana Pągowskiego i otworzył ręce, mówiąc:

— Tak, to ja, gość, witam w jego własnym domu gospodarza.

A pan Pągowski otoczył jego szyję ręką i mówił:

— Otóż gość, otóż miły gość! Daj ci, Boże, zdrowie, panie bracie, żeś wstąpił. Co tam słychać?

— Deprivatis dobrze a de publicis też dobrze bo wojna.

— Wojna. Jakto? już? My!

— My jeszcze nic — ale przymierze z Jegomości - cesarzem będzie w marcu podpisane — a potem wojna pewna.

Jakkolwiek jeszcze przed nowym rokiem chodziły pogłoski o przyszłej wojnie z Turkami i nawet byli tacy, którzy uważali ją za niezawodną, jednakże potwierdzenie tych wieści z ust osoby tak znakomitej i tak blizko ze sprawami publicznemi obeznanej, jak pan Grothus wielkie uczyniło wrażenie i na panu Pągowskim, i na jego młodych gościach. Zaledwie też gospodarz przedstawił ich staroście — rozpoczęła się rozmowa o wojnie, o Tekelim i o krwawych zapasach na Węgrzech, od których jak od ogromnego pożaru, łuna biła już na kraje Rakuskie i na Polskę. Miała to by wojna straszna, przed którą drżał cesarz rzymski i wszystkie ziemie niemieckie. Mówił biegły w polityce pan Grothus, że Porta poruszy połowę Azyi i całą Afrykę,

aby wystąpić z taką siłą, jakiej świat dotąd nie oglądał; ale przewidywania te niepopsuły nikomu humoru, owszem, z radością słuchała tego młodzież której przykrzył się dłuższy domowy wypoczynek a której wojna otwierała pole do sławy, zasługi, a nawe i korzyści.

To też pan Mateusz Bukojemski, usłyszawszy słowa starosty Rajgrodzkiego, uderzył się dłonią w kolano, aż rozległo się po komnacie, i rzekł:

— Pół Azyi i kogo tam jeszcze? O wa! Albo to nam pierwszyzna!

— Nie pierwszyzna słusznie waść mówisz! — odrzekł gospodarz, którego posępna zwykle twarz zapłonęła przelotną radością. — Jeśli to jest rzecz już niechybna, to pewno i listy zapowiednie zostaną wkrótce wydane i zaciągi się rozpoczną. Daj Bóg! daj Bóg jaknajprędzej. Był stary Dziewiątkiewicz pod Chocimem, ślepy na oba oczy. Synowie mu kopię do ataku nastawiali — i uderzał w janczarów jak i inni. Ale ja nie mam syna!

— Już to panie bracie, jeśli kto ma prawo w domu ostać, to wy — rzekł starosta. — Źle nie mieć syna na wojnie, gorzej nie mieć oczu, ale pono najgorzej nie mieć ręki...

— Przyuczyłem do szabli obie ręce — odpowiedział pan Gedeon — a cugle można i w zębach trzymać. Wreszcie... chciałoby się poledz — przeciw poganom — w polu... I nie dlatego jeno, że mi potargali szczęście żywota... Nie z jakowejś zemsty prywatnej... nie!... Ale ot! szczerze mówię: stary już jestem siłam widział —siłam rozmyślał — i tylem się napatrzył na złość ludzką, na prywatę, na nieład w tej naszej Rzeczypospolitej, na naszą swawolę, na rwanie sejmów, na nieposłuszeństwo na wszelkie bezprawia, że powiem waściom, nieraz pytałem w desperacyi Pana Boga: po coś Ty Panie, stworzył tę naszą Rzeczpospolitą i ten nasz naród? Aż dopiero, gdy to morze pogańskie wzbiera, gdy ów sprosny smok otwiera paszczę, aby połknąć świat cały i chrześcijaństwo, gdy, jako waść mówisz, cesarz rzymski i wszystkie ziemie niemieckie drżą przed oną nawałnicą — to wtedy dopiero wiem, po co nas Bóg stworzył i jaki włożył na nąs obowiązek. Sami Turkowie mówią o tem. Niechże drżą inni — my nie zadrżym jakośmy i pierwej nie drżeli; niechże się leje ta nasza szczera krew, choćby do ostatniej kropli — i niech się moja z nią połączy — amen!

— Tu rozbłysły oczy pana Pągowskiego i wzruszył się bar-

dzo, ale jednak łzom nie pozwolił wypłynąć na policzki, może dlatego, że wszystkie już dawniej wypłakał, a może dlatego, że był to człowiek i dla siebie, i dla innych twardy. Jednakże pan Grothus, objął go za szyję, ucałował w oba policzki i tak rzekł:

— Prawda, prawda! Wiele u nas złego i tylko tą krwią można przed obliczem Pana naszą złość odkupić. To służba, bo straż, którą nam Bóg powierzył, to przeznaczenie naszego narodu. I idą już czasy w których złożym świadectwo tej służby... Tak jest! są wieści od pogan, że na Wiedeń zwróci się nawała. Tedy tam pójdziem i wobec świata całego pokażem, żeśmy nic co innego, jeno żołnierze Chrystusowi, na obronę wiary i krzyża stworzeni. Wszystkie narody które dotychczas żyły bezpiecznie za naszemi plecami, będą widziały w jasny boży dzień, jak ową straż sprawujem, i da Bóg, że póki ziemia nie przeminie, póty nie przeminie nasza zasługa i sława.

Na te słowa zapał ogarnął młodych. Panowie Bukojemscy zerwali się z krzeseł i poczęli wielkiemi głosami wołać:

— Daj Bóg! Na kiedy zaciągi? Daj Bóg!

A Cypryanowicz rzekł:

Aż dusza się rwie! Gotowiśmy choćby dziś!

Jeden Taczewski milczał i nie rozchmurzył oblicza, a te wieści, które napełniły radością wszystkie serca, były dla niego źródłem tylko bólu i goryczy. Jego myśl i jego oczy biegły do panny Sienińskiej, krzątającej się wesoło wedle zastawy stołowej, i mówiły do niej z wymówką i żalem niezmiernym:

"Gdyby nie ty, byłbym pojechał na jaki dwór pański i — choćbym tam fortuny nawet nie znalazł, — miałbym przynajmniej zbroiczkę grzeczną i konia i ot, zaciągnąłbym się teraz pod chorągiew szukać tam śmierci, albo chwały. Twoja to gładkość twoje spojrzenia, twoje dobre słowa, coś mi je jak jałmużnę czasem rzucała, sprawiły, żem tu siedział na tych kilku ostatnich zagonach i prawie głodem przymierał. I świata m przez ciebie nie poznał i nijakiego poloru nie nabrał. Com ja ci zawinił, ześ mnie z duszą i ciałem jakoby w jasyr zabrała?... A toćbym umrzeć wołał, niż cię przez rok jeden nie widzieć. I ostatniego konia stracił, na ratunek ci spiesząc, ty zaś jeszcześ się śmiała i wdzięcznie na innego spoglądasz... A teraz co pocznę? Idzie wojna. Żali za pachołka się zgodzę, albo się w piechocie pohańbię? Com ci takiego uczynił, że i miłosierdzia nigdy nademną nie miałaś?"

W taki to sposób biadał Jacek Taczewski, który niedolę swą czuł tem boleśniej, że był szlachcicem wielkiego rycerskiego ro-

du, choć strasznie biednym. A jakkolwiek nie była to prawda, że Panna Sienińska nigdy nie miała nad nim miłosierdzia, była natomiats prawda, że z jej przyczyny nie wyruszył nigdzie w świat i siedział jakoby na wygonie, o dwóch chłopach, nie mając często na pierwsze potrzeby życia. Siedmnaście lat miał, a ona trzynaście, gdy ją pokochał bez pamięci — i od pięciu la kochał z każdym rokiem więcej — i z każdym rokiem smutniej, bo bez nadziei. Pan Pągowski przygarniał go z początku chętnie, jako potomka wielkiej rodziny, do której ongi należały w tych stronach całe powiaty; ale później, gdy zmiarkował, jak rzeczy stoją, począł być dla niego szorstki, a czasem nawet okrutny. Nie zamykał mu wprawdzie domu, ale trzymał go zdala od panienki, mając zgoła inne dla niej nadzieje i widoki. A sama panienka doświadczała na nim swej mocy i bawiła się jego miłością, tak właśnie, jak każda dziewczyna bawi się z kwiatami na łące. Czasem się nad którym pochyli, czasem który zerwie, a czasem wplecie w warkocz, później rzuci, później nie myśli, a później znów wraca szukać nowych. Nigdy Taczewski nie mówił o swojej miłości, ale ona wiedziała o niej doskonale, choć udawała, że nie wie — i wogóle nie chce wiedzieć o niczem, co się w nim dzieje. Wydziwiała nad nim, jak się jej podobało. Raz, gdy goniły ją pszczoły, przypadła do niego pod opończę i przytuliła mu się do serca, ale potem przez dwa dni nie chciała mu tego przebaczyć. Traktowała go chwilami niemal pogardliwie, a gdy zdawało mu się już, że wszystko ostatecznie przepadło jednem słodkiem spojrzeniem, jednem serdecznem słowem napełniała mu serce niezmierzoną radością i nadzieją. Jeśli czasem, czy to z powodu jakiegoś wesela, czy to imienin lub łowców w sąsiedztwie, nie było go przez dni kilka w Bełczączce, tęskniła za nim porządnie, ale gdy wrócił, mściła się za swoją tęsknotę i dokuczała mu długo. Najcięższe chwile przechodził, gdy w domu byli goście, a między nimi zdarzył się jaki młodzian i urodziwy i dorzeczny. Wówczas to myślał Jacek Taczewski, że nie ma w jej sercu nawet prostej litości. Tak właśnie myślał teraz z powodu Cypryanowicza — a wszystko to, co pan Grothus opowiadał o przyszłej wojnie, dolewało jeszcze goryczy do i tak aż zbyt przepełnionego kielicha jego myśli.

Taczewski przywykł ogromnie w domu pana Pągowskiego do panowania nad sobą, jednakże przy wieczerzy zaledwie mógł wysiedzieć, słuchając rozmowy panienki ze Stanisławem Cypryanowiczem. Nieszczęsny młodzian spostrzegł, że ten podobał jej się

naprawdę, był bowiem istotnie dzielnym, miłym i wcale niegłupim chłopcem. Rozmowa przy stole toczyła się wciąż o przyszłych zaciągach. Cypryanowicz, dowiedziawszy się od pana Grothusa, że może on sam będzie zaciągał w tych stronach, zwrócił się nagle do panienki i zapytał:

— Jakie waćpanna wolisz chorągwie?

A panienka spojrzała mu na ramiona i odrzekła:

— Usarskie.

— Wedle skrzydeł?

— Tak. Raz widziałam usarzy i myślałam, że to chyba niemieskie wojsko. Śnili mi się potem przez dwie noce.

— Nie wiem czy się przyśnię, ostawszy usarzem, ale że waćpanna mi się nieraz przyśni, to pewna — i też ze skrzydłami.

— A czemu tak?

— Jako właśnie Anioł.

Panna Sienińska spuściła na to oczy, aż cień od rzęs padł na jej różane policzki, i po chwili odrzekła:

— Ostań waćpan usarzem.

Taczewski zaciął zęby i przeciągnął dłonią po spoconem czole, a przy wieczerzy nie doczekał się ani słówka, ani spojrzenia. Dopiero, gdy wszyscy wstawali już od stołu i w komnacie uczynił się rum krzeseł, słodki, ukochany głos zaszemrał mu nad uchem:

— A waćpan pójdziesz także na wojnę?

— By poledz! by poledz! — odpowiedział pan Jacek.

I w tej odpowiedzi był taki prawdziwy i szczery jęk bólu, że ukochany głos ozwał się znów jakby ze wzruszeniem:

— Po co ludzi zasmucać?

— Nie będzie nikt po mnie płakał.

— Skąd waćpan wiesz? — zaszemrał po raz trzeci głos dziewczyny.

Poczem przesunęła się do innych gości tak szybko, jak cudne, senne widzenie i zakwitła jak różany kwiat w drugim końcu komnaty.

Tymczasem starsi panowie zasiedli sobie po posiłku nad kubkami z miodem i nagadawszy się do woli o sprawach politycznych, poczęli gwarzyć o prywatnych. Pan Grothus wodził czas rozczulonemi oczyma za panną Sienińską, poczem rzekł:

— To ci świeca! Popatrz no waść, panie bracie, na tych młodych, którzy jako ćmy do ognia lecą! Ale nie dziwota, bo gdyby nie to, że człeku lata są, leciałby tak samo.

Lecz pan Pągowski machnął niechętnie ręką.

— Ćmy też to, szare ćmy, nic innego.

— Jakże? Przecie chyba Taczewski nie szarak.

— Ale chudopachołek. Bukojemscy także nie szaraki. Nawet są krewnymi świętego Piotra powiadają, co może im do promocyi w niebie dopomódz, ale tymczasem na ziemi w leśniczówce królewskiej we czterech siedzą, poprostu jako gajowi.

Pan Grothus zadziwił się pokrewieństwem Bukojemskich niemniej niż w swoim czasie pan Pągowski, więc począł o nie szczegółowo wypytywać, aż w końcu rozśmiał się i tak rzekł:

— Święty Piotr, wielki to apostoł i nie chcę ja mu czci umknąć, a to tem bardziej, że czując się starym, wkrótce będę jego łaski potrzebował, ale, mówiąc między nami, — jako parantela... no, — to tam niebardzo znów jest się czem chwalić... Juści rybitwa był — nic więcej... Święty Józef, któren od Dawida się wywodził — ba! o takim to mi waść gadaj!

— Ja jeno mówię, że niemasz tu dla tej dziewki nikogo odpowiedniego — i nietylko między tymi, których waść teraz widzisz pod moim dachem, ale i w całej okolicy.

— A ów że, który siedzi przy pani Winnickiej?... Grzeczny wydaje się kawaler.

— Cypryanowicz? Tak! grzeczny ci on jest, ale to ród ormiański, od trzech czy też od czterech pokoleń uszlachcony.

— To czemu ich waść prosisz? Kupido zdradny jest, i ani się obejrzysz, jak ci tu kaszy nawarzy.

Pan Pągowski, któren już przy przedstawieniu kawalerów wspomniał, ile im zawdzięcza, opowiedział jeszcze raz szczegółowo o napadzie wilków i o pomocy, jakiej doznał, wskutek czego przez samą wdzięczność musiał zbawców swych do domu zaprosić.

— Prawda, prawda, — potwierdził pan Grothus — ale swoją drogą może ci tu kaszy nawarzyć, bo i w dziewczynie krew nie woda.

— Ej! wykrętna to łasica — odpowiedział pan Pągowski. —Ukąsić, to ona może i potrafi ale sama się z pomiędzy palców wywinie, — i nie byle kto ją przychwyci. Taka to już przyrodzona cnota wielkiej krwi, że nie poddawać się, jeno panować i rządzić musi. Nie należę ja tam do takich, których łatwo za nos wodzić, a wszelako nieraz i ja jej ustąpię: Prawda, żem dużo Sienińskim powinien, ale choćbym był nie powinien, to jak ci sta nie przedemną, a pocznie warkocz z ramienia na ramię przekła,

dać, a głowę przechylać, a spoglągać, najczęściej zrobi co zechce. I jeszcze nieraz pomyślę, jaki to zaszczyt i jakie błogosławińs two Boskie, że ostatnie dziecko, ostatnia dziedziczka takiego rodu pod moim dachem się znajduje. Bo przecie waćpan o Sienińskich wiesz... całe Podole było ich. Po prawdzie to i Daniłowicze i Żółkiewscy, i Sobiescy z nich wyrośli... Król jegomość powinien o tem pamiętać — tembardziej, że z tych niezmiernych majętności nic prawie nie ostało — i że ta dziewka, jeśli co będzie miała, to tylko to, co po mnie zostanie...

— A co krewni powiedzą?

— Pągowscy są jeno bardzo dalecy, którzy się nie wylegitymują. Wszelako nieraz nie daje mi spokoju myśl, że po mojej śmierci mogą być jakoweś trudności, procesy, zwady... jak to u nas zwykle. Chodzi mi zwłaszcza o krewnych żony, po której mam część majętności i tę oto właśnie Bełcząckę.

— Ja wam z procesem nie wystąpię, odrzekł uśmiechając się pan Gorthus — ale za innych nie zaręczam.

— Otóż to! Otóż to... Myślałem właśnie w tych czasach jechać do Warszawy i samego króla prosić o opiekę nad sierotą w przyszłości, ale on ma teraz głowę czem innem zaprzątniętą.

— Żebyś tak waść miał syna, byłaby prosta rzecz dać mu dziewkę...

Na to Pągowski spojrzał na starostę Raygrdrodzkiego wzrokiem tak bolesnym, że ów urwał w połowie zdanie. Przez dłuższy czas milczeli obaj; poczem pan Gedeon rzekł przerywanym ze wzruszenia głosem:

— Mógłbym ci, panie bracie, powiedzieć z Wirgiliuszem: "infandum jubes renovare dolorem"... Tak... byłaby prosta rzecz... I powiem ci, że gdyby nie ta prosta rzecz, to byłbym może zeczł oddawna. Mój syn dzieckiem zagarnięty był przez Ordę. Trafiało się nieraz, że wracali ludzie z niewoli pogańskiej wtedy, kiedy i pamięć o nich zaginęła... Lata całe czekałem cudu — lata całe żyłem tą nadzieją. Dziś jeszcze, kiedy podpiję, myślę sobie: a nuż! Bóg większy, a ból jest długi, codzienny... Nie! Po co mam samego siebie zwodzić? Nie połączy się krew moja z krwią Sienińskich, a jeśli krewni rozdrapią moją fortunę to i to ostanie dziecko z rodu, któremu wszystko zawdzięczam, ostanie bez chleba na świecie!

Pili znów obaj w milczeniu. Pan Grothus rozmyślał, jakby załagodzić ból, który niechcący gospodarzowi zadał — i czemby

go w strapieniu pocieszyć. Aż wreszcie przyszło mu coś do głowy, co poczytał za bardzo szczęśliwy pomysł.

— Ej, — rzekł — na wszystko jest sposób: i waść, panie bracie, możesz dziewczynie kawałek chleba bez wszelakich przeszkód zapewnić.

— Jakiż to sposób? — zapytał z pewnym niepokojem pan Pągowski.

— Alboż to raz trafia się, że starzy ludzie biorą za żony niedorosłe nawet dziewki. Exemplum z historyi wielki hetman Koniecpolski, który starszym będąc od ciebie, zieloną jeszcze pannę poślubił. Prawdać i to, że zbyt wiele odmładzającej dryakwi spożywszy, zmarł w pierwszą noc po ślubie, ale ani pan Makowski, picillator wasz radomski, ani pan łowczy Rudnicki nie zmarli, choć obaj mieli po siedmdziesiątce... Waść też człek jary... Jeśliby Pan Bóg jeszcze pobłogosławił, to tem lepiej, a jeśli nie, to we wszelakim spokoju i dostatku młodą wdowę zostawisz, która wówczas wybierze sobie takiego męża, jakiego zechce.

Czy panu Pągowskiemu przychodziły kiedy takie myśli do głowy, trudno powiedzieć, dość, że wysłuchawszy słów starosty Raygrodzkiego, zmieszał się bardzo, drżącą nieco ręką nalał miodu staroście, przelał kubek, aż zacny napitek zaczął ściekać po stole na podłogę i rzekł:

— Napijmy się!... Za pomyślność oręża chrześcijańskiego.

— To swoją drogą, — odpowiedział pan Grothus, idąc dalej za biegiem własnych myśli — swoją drogą waść zastanów się nad tem, com powiedział — bo tak mi się widzi, żem utrafił.

— Ale co zaś! Gdzie tam co do czego! Napij się waść jeszcze.

Dalszą rozmowę przerwało im poruszenie krzeseł przy większym stole. Pani Winnicka i panna Sienińska chciały się udać na spoczynek. Dźwięczny, jak srebrny dzwonek, głos panienki począł powtarzać: "dobranoc waćpanu, dobranoc waćpanu" — potem dygnęła pięknie panu Grothusowi, pocałowała w rękę pana Pągowskiego, otarła się jak kotka, czołem i noskiem o jego ramię i poszła. — Cypryanowicz, Bukojemscy i Taczewski wyszli też zaraz za paniami. W izbie pozostali tylko dwaj starzy i gwarzyli długo, albowiem pan Pągowski kazał podać nowy gąsiorek miodu jeszcze zacniejszego miodu.

II.

Czy to był czysty przypadek, czy figiel panienki — nie wiadomo, dość, że umieszczono w oficynie czterech panów Bujemskich w jednej wielkiej izbie, a w drugiej mniejszej, Cypryanowicza i Taczewskiego razem. Zmieszało ich to niepomału, więc żeby do siebie nie gadać, poczęli zaraz pacierze i odmawiali je dłużej, niż zwykle. Jednakże, gdy je ukończyli, nastało kłopotliwe milczenie, które ciążyło obum, bo chociaż nie żywili dla się przyjaznych uczuć, czuli, że nie wypada się z tem zdradzać i że trzeba do czasu, a zwłaszcza w domu pana Pągowskiego, nadrabiać polityką.

Taczewski odpasał szablę, wydobył ją z pochwy, popatrzył na ostrze pod światło komina i począł ją chustką przecierać.

— Po mrozie rzekł nawpół do siebie, nawpół do Cypryanowicza — zapoci się w ciepłej izbie i rdza odrazu gotowa..

— A zeszłej nocy musiała dobrze zmarznąć — odpowiedział Cypryanowicz.

I rzekł to bez żadnej złośliwej intencyi, dlatego tylko, iż przyszło mu na myśl, że Taczewski spędził istotnie ową noc na trzaskającym mrozie; lecz ów oparł zaraz koniec szerpentyny o podłogę i począł mu patrzyć bystro w oczy.

— Waść do tego pijesz, żem siedział na sośnie?

— Tak, — odrzekł z prostotą Stanisław — już-ci tam komina nie było.

— A co byłbyś na mojem miejscu uczynił?

Cypryanowicz chciał już odpowiedzieć: "to samo" — ale że pytanie zadane było głosem ostrym, więc rzekł:

— A po co mam sobie głowę nad łamać, kiedym tam nie był.

Gniew mignął na twarzy pana Jacka, więc, żeby się pohamować, począł chuchać na szablę, i wycierać ją jeszcze mocniej; wreszcie wsunął ją napowrót w pochwę i rzekł:

— Bóg zsyła przygody i szkody.

I błyszczące przed chwilą oczy przeoblekły mu się znów zwykłym smutkiem, bo wspomniał na jedynego przyjaciela, konia, którego wilcy rozerwali.

Tymczasem drzwi się otwarły i weszli ze dwora czterej panowie Bukojemscy.

— Mróz zelżał i śniegi dymią — rzekł Mateusz.

— Będzie mgła — dodał Jan.

A wtem ujrzeli Taczewskiego, którego w pierwszej chwili nie spostrzegli.

— O! — zawołał, zwróciwszy się do Cypryanowicza Łukasz — to ty w takiej kompanii?

Wszyscy czterej wsparli się w boki i poczęli patrzyć wyzywającym wzrokiem na pana Jacka.

Ów zaś chwycił stołek i, wysunąwszy go na środek izby, obrócił nagłym ruchem ku panom Bujemskim, poczem okraczył go jak konia, wsparł łokieć na poręczy, podniósł głowę i odpowiedział im również wyzywającym wzrokiem.

I wten sposób tkwili naprzeciw siebie — on z szeroko rozstawionemi nogami, w swoich szwedzkich butach, oni zaś stojąc ramię przy ramieniu, ogromni, groźni i zaczepni.

Cypryanowicz widział, że zanosi się na kłótnię, ale zarazem chciało mu się śmiać. Mniemając też, że każdej chwili potrafi zwadzie zapobiedz, pozwolił im tymczasem patrzeć na siebie.

— Ej, zuchwała jakaś sztuka! — mówił sobie, myśląc o Taczewskim — nic się jakoś nie konfuduje.

Tymczasem milczenie trwało dalej, zarazem nieznośne i śmieszne. Odczuł to i pan Jacek, albowiem pierwszy je przerwał:

— Siadajcie, mopankowie,—rzekł — nietylko przyzwalam, ale proszę.

Bukojemscy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, zmieszani niespodzianem zwrotem.

— Proszę, proszę!... — powtórzył Taczewski, wskazując na zydle.

— Jakto? Cóż to? Co on sobie myśli?...

— Stojem, bo nam się podoba — rozumiesz?

— Zbytek ceremonii.

— Jakich ceremonij? — krzyknął Łukasz. — Cóż to biskupa, czy senatora udajesz, ty — ty Pompejuszu jakiś...

Taczewski nie ruszył się z krzesła, tylko grzbiet począł mu drgać, jakby z nagłego śmiechu.

— A czemu acan zowie mnie Pompejuszem? — zapytał.

— Boś tego godzien.

— A może dlatego, żeś kiep?

— Bij, kto w Boga wierzysz! — zawołał Jan.

Lecz pan Jacek miał już widocznie też dosyć rozmowy, bo

nagle poderwało go coś z miejsca i skoczył jak kot ku Bukojemskim.

— Słuchajcie, zawalidrogi, — rzekł zimnym jak stal głosem — czego wy odemnie chcecie?

— Krwi! — zawołał Mateusz Bukojemski.

— Nie wywiniesz się! — krzyknął Marek.

— Wychodź zaraz!... — dorzucił, chwytając się za bok, Mateusz.

Lecz Cypryanowicz wsunął się szybko między nich.

— Nie pozwolę! — zawołał. — To cudzy dom.

— Tak! — przyświadczył Taczewski — to cudzy dom i nie uczynię tego panu Pągowskiemu, abym was miał pod jego dachem popłatać, ale jutro znajdę was!

— To my cię jutro poszukamy! — huknął Mateusz.

— Szukaliście zaczepki, dawaliście okazye cały dzień — dlaczego? — nie wiem, bom was nie znał, ani wy mnie — ale przypłacicie mi to, bo za moją obrazę, nie czterem, ale dziesięciu do oczu stanę.

— O wa! o wa! dość będzie jednego. Widać to, żeś o Bukojemskich nie słyszał — zawołał Jan.

Lecz Taczewski zwrócił. się nagle do Cypryanowicza.

— Mówiłem o czterech — rzekł — ale może i waćpan łączysz się z tymi kawalerami?

Cypryanowicz skłonił się grzecznie.

— Skoro waść o to pytasz...

— Ale my pierwsi i po starszeństwie. Od tego nie odstąpipim. Obiecaliśmy ci ją i usieczem każdego, który ci w drogę wejdzie.

Taczewski spojrzał bystro na Bukojemskich, w jednej chwili domyślił się, o co chodzi, i przybladł.

— To tak! panie kawalerze? — rzekł znów do Cypryanowicza — to masz najmitów i za ich szablami się chowasz? A wiera, że to i pewnie, i przezpiecznie, ale czy po szlachecku i po rycersku, to inna rzecz! Tfu! w jakiej-żem się to znalazł kompanii.

Cypryanowicz lubo z natury duszę miał łagodną, usłyszawszy tak haniebny posąd, oblał się krwią, żyły wystąpiły mu na czoło, oczy poczęły ciskać błyskawice, zazgrzytał okropnie zębami i chwycił za rękojeść szabli.

— Wychodź! wychodź w tej chwili! — zawołał zdławionym przez gniew głosem.

Zabłysły szable i w izbie rozwidniło się od stali, na którą

padał blask płonącego w kominie łuczywa. Lecz trzej panowie Bukojemscy, skoczywszy między przeciwników, stanęli murem między nimi, czwarty zaś chwycił w ramiona Cypryanowicza i począł wołać:

— Staszku, na miły Bóg, pohamuj się! My pierwej!

— Puszczał! — rzęził Cypryanowicz.

— My pierwej! — powtórzyli inni.

— My pierwej!

— Puszczaj!...

— Trzymajcie Staszka a ja tymczasem się sprawię! — wołał Mateusz.

I, chwyciwszy za rękę Taczewskiego, począł go ciągnąć na stronę, ażeby zaraz zacząć, lecz ów ochłonął już, więc wyszarpnął dłoń, wbił szablę do pochwy i rzekł:

— Moja wola, kto pierwej i kiedy! Zaczem wam mówię: jutro, i nie tu, jeno w Wyrąbkach.

— O nie wymigasz się. Zaraz! zaraz!

Lecz Taczewski skrzyżował ręce na piersiach.

— Ha! jeśli pod cudzym dachem chcecie mnie bez bitwy mordować, to dobrze.

Na to wściekłość porwała braci. Poczęli bić napiętkami o podłogę, szarpać wąsy i sapać jak niedźwiedzie.

Ale żaden nie śmiał się już porwać na Taczewskiego, aby hańby na się nie ściągnąć!

Ów zaś stał jeszcze czas jakiś, jakby czekając czy ku niemu nie skoczą, wreszcie chwycił za magierkę, wtulił ją na czuprynę i rzekł:

— Tedy wam zapowiadam: jutro! Panu Pągowskiemu powiedzcie, że w goście do mnie idziecie — a pytajcie o drogę do Wyrąbek. Za strugą będzie Męka Pańska z czasów zarazy. Tam was w południe czekam... Bodaj was zabito!

I ostatnie słowa wymówił jakby z żalem, poczem otworzył drzwi i wyszedł.

Na dziedzińcu opadły go pieski i, znając go dobrze, poczęły się do niego łasić. On spojrzał mimowoli na słupki pod oknami, jakby szukając swego konia; przypomniał sobie, że go już niema na świecie, więc westchnął i, poczuwszy chłodny powiew wiatru, rzekł sobie w duszy:

— Biednemu wiatr w oczy! Pójdę piechotą!...

A tymczasem w izbie młody Cypryanowicz łamał ręce z bó-

łu, z gniewu i z okropną goryczą mówił do panów Bukojemskich.

— Kto was o to prosił? Najgłębszy wróg nie pogrążył by mnie głębiej, niż wy, razem z waszą przysługą.

Oni zaś żałowali go bardzo — i poczęli go ściskać jeden po drugim.

— Staszku — mówił Mateusz. — Przysłali nam gąsiorek na noc do izby. Na Boga, pociesz się!...

III.

Szaro było jeszcze na świecie, gdy ks. Woynowski człapał przez wysoki śnieg z latarką do swoich zajęcy, do gołębi i kuropatw, które w spichlerku w osobnej zagrodzie hodował. Oswojona liszka, z dzwoneczkiem na szyi, szła za nim w trop, a obok niej szpic łaciasty i jeż, którego w ciepłej księżej izbie nie zmorzył sen zimowy. Czwórka owa, przeszedłszy zwolna dziedziniec, zatrzymała się pod słomianym okapem spichlernym, z którego zwieszały się długie sople lodu. Tam zakołysała się latarka, zaskrzypiał klucz w kłódce, szczęknął skobel, zaskrzypiały jeszcze mocniej od klucza drzwi i staruszek wraz ze zwierzęty wszedł do środka. Po chwili, siadłszy na pieńku, postawił na drugim latarkę i, wziąwszy przed się płócienną torbę z ziarnem i z pachnącemi piwnicą liśćmi kapusty, począł, ziewając głośno, miotać je przed siebie na polepę.

Ale zanim jeszcze do tego się zabrał, z ciemnych kątów komórki przykicały zaraz trzy zające, a potem zamigotały w świetle latarki nakształt błyszczących paciorków oczka gołębi i rdzawych kuropatw, które przysunęły się zbitem stadkiem, kołysząc główkami na giętkich szyjach. Gołębie, jako śmielsze, wnet zaczęły kuć dziobkami w polepę, kuropatwy zaś zbliżały się ostrożniej, spoglądając to na padające ziarno, to na księdza, to na liszkę, z którą opatrzyły się zresztą oddawna, bo, schwytane jeszcze latem pisklętami i hodowane od maleńkości, widywały ją codziennie.

Ksiądz zaś sypał wciąż ziarno, i zaraz mruczał pacierz paranny.

— Pater noster, pui es in coelis, sanctificetur nomen....

Tu przerwał i zwrócił się do liszki, która, opierając się o niego bokiem, dygotała, jakby ją febra trzęsła.

— A zawsze skóra na tobie drży, skoro je ujrzysz... Codzień to samo... Naucz-że się przyrodzone żądze hamować, boć wikt masz zacny i głodu nie cierpisz. Na czem-żem stanął?...

Tu przymknął oczy, jakby czekając na jakowąś odpowiedź, a że jej nie usłyszał, więc zaczął od początku:

— Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum...

I znów przerwał.

— Wijesz się, wijesz, — mówił, kładąc rękę na grzbiecie liszki... Taka już paskudna w tobie natura, że ci nietylko jeść, ale i mordować trzeba. Chwyć ją Filuś za kitę, a jeśli ci co niepolitycznego pod nos uczyni, to ją ugryź... Adveniat regnum Tuum... O taka córko! wiem, cobyś odrzekła, że i człek libenter perdices mandukat ale to wiedz, człek chociaż w post daje im spokój, a tobie chyba sprośnego Lutra dusza siedzi, bo ty tyś i w wielki piątek mięso żarła. Fiat voluntas Tua... Truś! trus! truś!... sicut in coelo—naści jeden z drugim jeszcze po kaczanie!... et in terra...

I, tak mówiąc, rzucał głąbiki a następnie znów miotał ziarno, zrzędząc trochę i na gołębie, że choć wiosna jeszcze nieblizko, a one już coś nadto koło siebie zachodzą i depcą, i gruchają. Wreszcie, gdy już torba wypróżniła się zupełnie, wstał, podniósł latarnię i zabierał się do wyjścia, gdy wtem na progu spichrza ukazał się Taczewski.

— A! Jacuś — zawołał ksiądz — a ty tu co tak rano robisz?

Taczewski ucałował go wramię i odrzekł:

— Do spowiedzi, dobrodzieju, przyjechałem, a w czasie rannej mszy chciałbym do Stołu Pańskiego przystąpić.

— Do spowiedzi? Dobrze, ale cóż ci tak przypiliło? Gadaj no zaraz, bo to nie bez kozery!

— Powiem szczerze. Mam się dziś pojedynkować, a że z pięciu mężami łatwiej o przygodę niż z jednym, więc chciałbym duszę oczyścić.

— Z pięciu mężami? Rany Boskie! a tyś im co uczynił?

— Ot właśnie, że im nic nie uczyniłem. Sami szukali zwady i sami mnie pozwali.

— Cóż to za jedni?

— Bukojemscy leśniczowie i Cypryanowicz z Jedlinki.

— To ja ich znam. Pójdź-że na plebanię, powiesz mi, jako co było.

I wyszli. Ale na środku obejścia ksiadz Woynowski zatrzy-

mał się nagle, spojrzał bystro w oczy Taczewskiego i rzekł:

— Słuchaj Jasiek, wtem jest mulier!

A ów uśmiechnął się smutno.

— I jest, i niema, — rzekł — bo w rzeczy o nią poszło, ale ona temu niewinna.

— Aha! niewinna! wszystkie one niewinne. A czy ty wiesz, co mówi Ekleziasta o niewiastach?

— Nie pamiętam, dobrodzieju.

— I ja niepamiętam, ale czego sobie nie przypomnę, to ci w domu przeczytam. "Inveni (powiada) amariorem morte mulierem, quae lasqueus (powiada) venatorum est et sagena cor ejus. I coś tam dalej powiada, ale w końcu mówi: qui placet Deo, effugiet illąm, qui autem peccator est, capietur (powiada) ab illa". Ostrzegałem cię, nieraz i nie dziesięć razy, żebyś w tym domu nie przesiadywał — a teraz masz.

— Oj! łatwiej ostrzegać, niźli tam nie bywać — odpowiedział z westchnieniem Taczewski.

— Nic cię tam dobrego nie spotka.

— Pewnie— odrzekł cicho młody rycerz.

I szli ku plebanii w milczeniu, a ksiądz z twarzą stroskaną, bo kochał Jacka z całej duszy. Gdy po śmierci ojca, któren umarł z zarazy, młodzieczyk pozostał sam na świecie, bez blizkich krewnych, bez mienia, na kilku chłopach w Wyrąbkach, staruszek otoczył go tkliwą opieką. Majątku dać mu nie mógł, bo, mając duszę anielską, rozdawał biednym wszystko, co mu uboga parafia przynosiła, ale jednakże skrycie mu pomagał, a przytem pilnował go, uczył i to nietylko na książce, ale i sztuki rycerskiej. Był bowiem swego czasu zawołany żołnierz, jeden z przyjaciół i kommilitonów sławnego Wołodyjowskiego, i czarnieckzyk, który całą wojnę szwedzką odbył i dopiero po jej ukończeniu przywdział, wskutek pewnej okropnej przygody, suknię kapłańską. Pokochawszy Jacka, cenił w nim nietylko potomka znamienitego rycerskiego rodu, ale i duszę szlachetną, taką, jak była jego własna. Więc bolał i nad jego niezmiernem ubóstwem, i nad jego nieszczęsną miłością, z powodu której młodzian, zamiast szukać sławy i chleba na szerokim świecie, marniał w zapadłym wyczółku, prowadząc nawpół chłopskie życie. Stąd czuł pewną niechęć dla całego domu w Bełczączce, mając i to za złe panu Gedeonowi Pągowskiemu, że był dla kmieci przyostry.

On zaś miłował owych "robaków ziemnych" jak źrenicę oka — ale prócz nich kochał także wszystko, co żyje na świecie:

i te zwierzęta, na które zrzędził, i ptaki, i ryby, a nawet i żabi naród, który rechocze i kumka latem w przygrzanych słońcem wodach.

Jednakże w tej kapłańskiej sukni chodził nietylko anioł, ale i dawny żołnierz, więc, gdy teraz dowiedział się, iż Jacek ma się z pięcią mężami potykać, myślał już tylko o tem, jak się też młodzian popisze i czy wyjdzie ze sprawy bez szwanku.

Zatrzymał się przeto jeszcze przy samych drzwiach plebanii i rzekł:

— Ale się przecie nie dasz? Bo, com sam umiał i co mi Wołodyjowski pokazał, tegom ci nie ukrywał.

— Nie chciałbym, by mnie na śmierć usiekli, — odpowiedział skromnie Taczewski — bo idzie wielka wojna z Turczynem.

Na to zaświeciła jak gwiazdy oczy staruszka, w jednej chwili chwycił Jacka za pętlicę od kubraka i począł pytać:

— Pochwalone imię Pańskie! Skąd wiesz? kto ci mówił?

— Pan starosta Grothus — odpowiedział młodzieniec.

Długo trwała rozmowa Jacka z księdzem, długo spowiedź przede mszą, a gdy wreszcie znaleźli się obaj po mszy na plebanii i zasiedli do piwnej polewki, staruszkowi wciąż jeszcze nie schodziła z myśli wojna z pogany i począł z tego powodu narzekać na zepsucie obyczajów i na upadek pobożności w Rzeczypospolitej:

— Mój Boże, — mówił — toć że to pole chwały i zbawienia otwarte.... a wy wolicie prywatnych spraw dochodzić i wzajem się szczerbić. Mogąc krew przelać w obronie krzyża i wiary, gotowiście bratnią przelewać. I dla kogo? dla czego? dla uraz prywatnych, albo dla niewiast i tym podobnych marności światowych. Wiem ci ja, że w rzeczypospolitej stary to nałóg — i mea culpa, bom za czasów grzesznej i płochej młodości sam mu podlegał. Na leżach zimowych, gdy wojska jeno próżniactwem i pijaństwem zajęte, niemasz dnia bez pojedynków, ale przecież i Kościół je karci i prawo ich broni. Grzech też to jest zawsze, a przed wojną turecką grzech tem większy, bo tam każda szabla potrzebna i każda wierze prawdziwej i prawdziwemu Bogu służy. Dlatego to król nasz, któren jest defensor fidei, nienawidzi pojedynków, a wobec nieprzyjaciół, w polu, gdy prawo wojenne sprawuje, to i surowo za nie karze.

— Król też w młodości nie jeden i nie dwa odbył pojedyn-

ki — odpowiedział Taczewski. — Wreszcie cóż robić, ojcze wielebny? Nie ja przecież pozwałem, ale mnie pozwano. Żali mogę nie stanąć?!

— Prawda, nie możesz! i dlatego też smuci się dusza moja. Ha! Bóg będzie przy niewinności.

Taczewski począł się żegnać, bo do południa nie było więcej jak dwie godziny, a drogę miał przed sobą znaczną.

— Czejkaj-że — ozwał się ksiądz Woynowski. — Tak cię przecie nie puszczę. Każę czeladnikowi sanie z drabkami wymościć słomą i podjechać ku pobojowisku. Bo jeśli u Pągowskiego nic o pojedynku nie wiedzą, to i pomocy nie poślą, a jakoż będzie, jeśli który z tamtych, albo i ty ciężka ranę poniesiesz? Pomyślałeś o tem?

— Nie pomyślałem, a pewnie i tamci też nie pomyślą.

— A widzisz! Pojadę i sam, ale na placu nie będę, jeno się w Wyrąbkach u ciebie zatrzymam. Wiatyk i chłopca z dzwonkiem też wezmę, bo kto wie, co się może zdarzyć. Nie przystoi, nie przystoi duchownemu być świadkiem takich rzeczy, ale gdyby nie to, chętnie bym tam był, choćby dlatego, żeby i tobie ducha dodać.

A Taczewski spojrzał na niego swemi słodkiemi jak u dziewczyny oczyma.

— Bóg zapłać, — rzekł — ale ja ducha nie tracę, bo choćby przyszło nałożyć głową, to...

— Milczałbyś lepiej — przerwał ksiądz. — A nie żalby ci to było na Turka nie iść — i sławniejszą śmiercią nie ginąć?

— Prawda, dobrodzieju, postaram się też, aby mnie te ludojady odrazu nie połknęły.

Lecz ksiądz Woynowski zamyślił się przez chwilę poczem rzekł:

— Ale gdybym tak pojechał na miejsce i przedstawił im, jaka nagroda może ich spotkać w niebie, jeśli z pogańskiej ręki zginą, możeby cię zaniechali?

— Niechże Bóg broni! — zawołał żywo Jacek. Myśleliby, że z mojej namowy. Niechże Bóg broni! Lepiej mi zaraz jechać, niż takich rzeczy słuchać.

— Ha! to niema co! Jedziem! — rzekł ksiądz.

I zawoławszy czeladnika, wydał mu rozkaz, by zakładano co duchu do sani, poczem obaj z Taczewskim wyszli z plebanii, aby osobiście pomagać w zaprzęganiu.

Lecz na podwórzu staruszek na widok konia, na którym pan

Jacek przyjechał, aż cofnął się ze zdumieniem i zawołał:

— W imię Ojca i Syna, a tyś skąd wziął takiego chmyza.

I rzeczywiście pod płotem stała z nizko zwieszonym i obrośniętym na szczękach łbem poszerszeniała szkapina, niewiele większa od rosłej kozy.

— Od chłopca pożyczyłem — odpowiedział Taczewski. Ot, jakbym na wyprawę turecką jechał...

I począł się śmiać z bolesnym przymusem.

A na to ksiądz:

— Mniejsza, na jakim pojedziesz, byleś na tureckim wrócił, co daj ci Boże, Jacuś, ale tymczasem przełóż kulbakę na mego podjezdka, bo tak się nie można tamtej szlachcie prezentować.

Poczem przyładzili jeszcze co potrzeba i ruszyli: ksiądz, chłopak kościelny z dzwonkiem i woźnica na saniach a Taczewski konno. Dzień był chmurny i nieco mglisty, albowiem na świecie uczyniła się odwilż. Śnieg leżał na zmarzniętej ziemi, ale zwierzchu zmiękł znacznie, tak, że kopyta końskie pogrążyły się w nim bez odgłosu a płozy cicho sunęły po równej drodze. Zaraz za Jedlnią spotkali kilkanaście fur z drzewem a przy nich chłopów idących pieszo, którzy klękali na odgłos dzwonka, mniemając, że ksiądz jedzie gdzieś z Panem Bogiem do konającego. Potem zaczęły się przedleśne pola, przysłonięte mgłą, puste, białe, nad któremi przeciągały stada wron. W miarę jak zbliżali się ku lasom, mgła gęstniała coraz bardziej, toczyła się dołem, napełniała przestrzeń i szła ku górze, tak, że po pewnym czasie słyszeli nad sobą krakanie, ale nie mogli dojrzeć ptastwa. Przydrożne krze wyglądały jak duchy. Świat stracił zwykłą rzeczywistość i zmienił się w jakąś krainę niepewną, obłędną, z zatartem, majaczącem pobliżem i zupełnie niewiadomą dalą.

Jacek jechał na podjezdku po cichych śniegach, rozmyślał o czekającej go bitwie, a więcej jeszcze o pannie Sienińskiej, i tak nawpół do siebie, nawpół do niej przemawiał w duszy: "Moje kochanie dla cię zawsze jednakie, jeno żadnej radości w sercu z niego nie mam. Ej! po prawdzie mało ja jej miałem i przedtem. A teraz, gdybym to choć te twoje nożyny mógł objąć, albo dobre słowo od ciebie usłyszyć, albo choć wiedzieć, że pożałujesz, jeśli mnie spotka przygoda, ale to wszystko jest jako ta mgła... i tyś sama jakoby za mgłą nie wiem, co jest, i nie wiem, co będzie, ni co mnie spotka, ni co się stanie — nic nie wiem."

I poczuł Jacek, że wielki smutek osiada mu na duszy, jak wilgoć osiadła na jego ubraniu, więc westchnął głęboko i rzekł:

— Ale już wolę, że się to raz skończy!

A księdza Woynowskiego również niewesołe opadły myśli. "Nabiedowało się chłopczysko, — mówił sobie — młodości nie użyło, nagryzło się z powodu tych nieszczęsnych amorów, a teraz co? Jeszcze mi go te zabijaki Bukojemscy usieką. Niedawno Kozienicach poszczerbili po odpuście pana Korzybskiego... A choćby mi Jacka nie usiekli, to też nic dobrego z tego nie wypadnie. Mój Boże! dyć chłop jako najszczersze złoto — i z wielkiego rycerskiego rodu ostatni odziomek, ostatnia żywiąca kropla krwi... Żeby się choć teraz przypilnował... w Bogu nadzieja, że nie zapomniał tych dwóch ciosów — jednego mylnego pod zastawę z uskoczeniem w bok, drugiego, — z młyńca przez policzek... Jacku!...

Lecz Jacek nie dosłyszał, bo był naprzód odjechał, a staruszek nie powtórzył wołania. Owszem stropił się bardzo, gdyż przyszło mu na myśl, że nie wypada duchownemu, który jedzie z sakramentami, o takich rzeczach rozmyślać. Począł się tedy kruszyć i przepraszać pana Boga.

Ale na duszy było mu coraz ciężej. Opanowało go nagle złe przeczucie, które zmieniło się niemal w pewność, że ten dziwny pojedynek, bez świadków, skończy się jaknajgorzej dla Jacka.

Tymczasem dojechali do poprzecznej drogi, która w prawo szła do Wyrąbków, w lewo do Bełcząnczki. Woźnica, jak miał rozkaz, stanął. Taczewski przysunął się do sani i zeskoczył z podjezdka.

— Pójdę pod figurę piechotą, — rzekł — bo nim sanie Jegomości odwiozą i ku nam wrócą, niewiedziałbym co z koniem uczynić. Oni tam może już są.

— Jeszcze niema południa, ale blizko—odpowiedział ksiądz zmienionym nieco głosem. A jaka mgła! Po macku będziecie się bili.

— Ej, dość widać!

Krakania niewidzialnych wron, czy kruków znów ozwało się nad ich głowami.

— Jacku! — rzekł ksiądz.

— Słucham.

— Bo skoro już ma do tego przyjść, to pamiętaj — na rycerzy z Taczewa.

— Nie powstydzą się mnie, ojcze — nie!

Jakoż staruszek zauważył, że rysy młodzieńca jak gdyby stwardniały, a oczy nie pozbyły się wprawdzie smutku, ale nie miały już takiej dziewczęcej słodyczy jak zwykle.

Więc rzekł:

— To dobrze, ale klęknij, to cię przeżegnam i sam się przeżegnaj przed samem rozpoczęciem.

To rzekłszy, nakreślił palcami znak krzyża na głowie Jacka, który ukląkł na śniegu.

Następnie przywiązał podjezdka za saniami obok chmyza, ucałował rękę księdza i poszedł w stronę Bełcząconfiguration.

— A wracaj mi zdrowo! — zawołał za nim ksiądz.

Pod krzyżem nie było jeszcze nikogo. Taczewski obszedł kilka razy figurę, poczem siadł na kamieniu leżącym u jej podstawy i czekał.

Naokół panowała ogromna cisza; tylko wielkie, podobne do łez krople, utworzone z wilgotnej mgły, spadając z ramion krzyża, uderzały z cichym szelestem o miękki śnieg. Ta cisza pełna jakowegoś smutku, i ta mglista pustka zapełniły nową falą żalu serce Jacka. Poczuł się tak samotny jak nigdy dotąd: "Prawdziwie jestem ci jako ten kołek na świecie! — rzekł sobie— i taka też będzie dola moja aż do śmirci."

I machnął ręką.

— To też niech się raz skończy!

I z coraz większą goryczą myślał, że przeciwnikom nie pilno, bo im weselej, bo oto siedzą sobie teraz w Bełcząconfiguration: rozmawiają z "nią" i mogą na "nią" patrzeć dowoli.

Ale mylił się, bo im było także pilno. Po chwili doszedł go gwar głośnej rozmowy i w białawym tumanie zamajaczyły cztery ogromne postacie Bukojemskich i piąta, mniejsza, Cypryanowicza.

Rozmawiali tak głośno dlatego, że kłócili się o to, który pierwszy ma się rąbać z Taczewskim. Bukojemscy swarzyli się zresztą zawsze i o wszystko między sobą, ale tym razem spór szedł z Cypryanowiczem, który dowodził, że będąc najciężej obrażony, koniecznie powinien przed nimi stanąć. Umilkli dopiero na widok krzyża oraz stojącego pod nim pana Jacka i uchylili czapek, niewiadomo, czy przez uszanowanie dla Męki Pańskiej, czy dla powitania przeciwnika.

Taczewski skłonił im się w milczeniu i dobył szabli, ale serce poczęło mu w pierwszej chwili bić niespokojnie w piersi, albowiem było ich przecie pięciu przeciw jednemu, a przytem Bu-

kojemscy wyglądali poprostu strasznie: chłopy duże, barczyste o wąsach jak miotły, na których mgła osiadła siwą rosą i o brwiach namaszczonych, — w twarzach mieli jakąś ponurą, zbójecką radość, jakby cieszyli się ze sposobności do rozlania krwi ludkiej.

— Po co ja kładę zdrową głowę pod ewangelię? — pomyślał Jacek.

Lecz po owej chwili niepokoju, poczęło go ogarniać oburzenie natych odojów, których prawie nie znał którym nie uczynił żadnej krzywdy a którzy, Bóg wie dlaczego, przyczepili się do niego i oto teraz przyszli nastawać na jego życie.

Więc w duszy tak do nich przemówił:

— Czekajcie-że ,zawalidrogi. Przynieśliście tu i swoje głowy!

I policzki zakwitły mu, a zęby zacisnęły się z gniewu. Oni tymczasem poczęli zrzucać opończe i zawijac rękawy u żupanów co czynili dlatego, że każdy myślał, iż od niego się rozpocznie. Wreszcie stanęli rzędem, już z gołemi szablami, a Taczewski, postąpiwszy ku nim , stanął również i patrzyli na się w milczeniu.

Przerwał je Cypryanowicz:

— Ja pierwszy służę waćpanu.

— Nie! Ja pierszy, ja pierwszy! — powtórzyli razem Bukojemscy.

I gdy Cypryanowicz wysunął się naprzód, tamci pochwycili go zaraz za łokcie. Poczęła się z nów kłótnia, w której Cypryanowicz wymyślał im od hajdamaków, a oni jemu od gładyszów, sobie zaś wzajem od psubratów. Zgorszył się nią niezmiernie pan Jacek i rzekł:

Takich kawalerów w życiu-m jeszcze nie widział.

I zasunął szablę do pochwy.

— Wybierzcie, po odejdę! — rzekl podniesionym twardym głosem.

— Wybierz ty sam! — zawołał Cypryanowicz w nadziei, że wybór na niego padnie.

Mateusz Bukojemski począł krzyczeć, że na to nie pozwoli, by lada chłystek miał nimi rozporządzać i krzyczał tak że aż przednie zęby, które miał przydługie, jak u zająca, błyskały mu z pod wąsów; ale umilkł, gdy Taczewski wydobywszy znów szablę, wskazał go jej krzywcem i rzekł:

— Acana wybieram.

Pozostali bracia wraz z Cypryanowiczem usunęli się też zaraz, widząc, że nigdy ładu nie dojdą, tylko oblicza im posmutniały, albowiem, znając siłę Mateuszową byli niemal pewni że nie zostanie im nic po nim do roboty.

— Poczynajcie! — rzekł Cypryanowicz.

Taczewski odczuł także siłę przeciwnika, zaraz przy pierwszem złożeniu, bo aż szabla zadrżała mu w dłoni, odbił jednak cięcie, odbił drugie, po trzecim zaś rzekł sobie w duszy:

— Nie tak ci on sprawny, jak mocny.

I przykucnąwszy nieco dla lepszego skoku, natarł z impetem.

Inni bracia, pospuszczawszy końce szabel ku dołowi, śledzili z otwartemi ustami przebieg walki, poznali bowiem, że i Taczewski "zna się na rzeczy" i że nie będzie z nim tak łatwo. Po chwili pomyśleli, że zna się nawet bardzo dobrze i ogarnął ich niepokój, gdyż, pomimo ciągłych kłótni miłowali się niezmiernie między sobą. To jednemu, to drugiemu, okrzyk: ha! wyrwał się z piersi przy każdem tęższem cięciu. A tymczasem cięcia stawały się szybsze, podobne do błyskawic. Taczewski nabierał widocznie coraz więcej pewności siebie. Był spokojny ale skakał jak żbik i z oczu szły mu skry złowrogie.

— Źle — pomyślał Cypryanowicz.

A wtem rozległ się krzyk, szabla Mateusza zwisła, a on podniósł obie ręce do twarzy, która w jednej chwili zalała się całkiem krwią — i runął na ziemię.

Ryknęli jak byki na ów widok młodsi bracia, i w mgnieniu oka rzucili się z wściekłością na Jacka, nie z tym zapewne rozmysłem, żeby go razem we trzech napaść ale dlatego, że każdy chciał pierwszy pomścić najstarszego.

I byliby go może roznieśli na szablach, gdyby nie Cypryanowicz, który, skoczywszy mu na pomoc, krzyknął co głosu w piersiach:

— Hańba! Precz! Zbóje, nie szlachta! Hańba! precz! To i ze mną, zbóje! precz!

I począł się wręcz z nimi ścinać, póki się nie opamiętali. Tymczasem Mateusz przypodniósł się na rękach i zwrócił ku nim oblicze pokryte jakby maską krwi, więc Jan chwycił go pod pachy i posadził na śniegu, Łukasz pośpieszył mu również na pomoc.

A Taczewski posunął się do zgrzytającego zębami Marka i

jął powtarzać prędkim głosem, jakby w obawie, żeby spólny napad nie powtórzył się po raz drugi:

— Proszę! proszę!

I szable zaszczękały znów złowrogo. Ale z Markiem, który o ile jeszcze był silniejszy, o tyle mniej zręczny, małą Taczewski miał robotę. Marek śmigał ogromnem szabliskiem, jak cepem — więc pan Jacek zaraz w trzecim złożeniu ciął go w prawy obójczyk, przeciął kość i obezwładnił.

Poznali teraz i Łukasz i Jan, że zdarzył im się "casus" wielce paskudny i że ten chudy młodzieńczyk jest w istocie rzeczy osą której lepiej było nie drażnić. Ale z tem większą zapalczywością, stanęli z nim do walki, która skończyła się dla nich równie źle jak dla starszych; albowiem Łukasz, cięty przez policzek aż do dziąseł, przewróciwszy się z wielkim impetem, potłukł się w dodatku o kamienie ukryte pod śniegiem, a Janowi, lubo najbieglejszemu z braci, szabla wraz z palcem upadła po chwili na ziemię.

Taczewski niedraśnięty, patrzył teraz na swoje dzieło jakby ze zdziwieniem — i owe skry, które przed chwilą błyszczały mu w źrenicach, poczęły stopniowo gasnąć. Lewą ręką poprawił magierkę, która zsunęła mu się cokolwiek na prawe ucho podczas walki, poczem zdjął ją całkiem, odetchnął głęboko raz i drugi, zwrócił się do krzyża i rzekł nawpół do Cypryanowicza, nawpół do siebie:

— Bóg mi świadek, że ja nie winien.

— A na to Stanisław Cypryanowicz:

— Moja kolej teraz, aleś waćpan zziajany, to może wypoczniesz, a ja tymczasem poprzykrywam opończami towarzyszów, aby ich zamróz nie chwycił, nim pomoc przyjdzie.

— Pomoc blizko, — odpowedział Taczewski — bo tam we mgle stoją sanie z drabkami, które podesłał ksiądz Woynowski, a sam jest u mnie. Pozwól waćpan, że pójdę po sanie, na których ichmościom będzie lepiej niż na śniegu.

I odszedł, a Cypryanowicz zabrał się tymczasem do okrywania Bukojemskich, którzy siedzieli ramię przy ramieniu w śniegu z wyjątkiem Jana, ten bowiem, najlżej ranny, klęczał przed Mateuszem i, trzymając prawą dłoń do góry, aby krew zbyt nie uchodziła z odciętego palca, lewą obmywał śniegiem oblicze najstarszego.

— Jakże wam? — zapytał Cypryanowicz.

— A pokąsał nas, taki syn, — odpowiedział Łukasz, wypluwając obficie krew — ale się jeszcze pomścimy.

Całkiem ręką nie władnę, bo mi kość nadwyrężył, — dorzucił Marek. Oj, pies!... Oj!

— A Mateusz nade brwiami cięty — rzekł Jan. — Trzebaby chlebem z pajęczyną ranę założyć, ale tymczasem i śnegiem tamuję.

— Żeby nic to, że mi ślepie zalało... — ozwał się Mateusz — byłbym...

Lecz nie mógł dokończyć bo osłabł z utraty krwi — przerwał mu Łukasz, którego porwała nagła złość:

— A chytra, psiakrew, — rzekł — bo patrzy jak panna, a dźga jak gad.

— Tej chytrości właśnie mu nie daruję! — zakrzyknął Jan

Lecz dalszą rozmowę przerwało im parskanie koni. We mgle zamajaczały sanie, poczem stanęły tuż przy Bukojemskich. Z sani wyskoczył Taczewski i kazał woźnicy złazić.

Chłop spojrzał na Bukojemskich, obrzucił bystrem spojrzeniem Taczewskiego i Cypryanowicza, i nie ozwał się ani słowem, tylko na twarzy odbiło mu jakby zgorszenie i, odwróciwszy się na chwilę do koni, przeżegnał się.

Poczem we trzech zaczęli podnosić rannych i przenosić ich na opończy. Bukojemscy protestowali zrazu przeciw udziałowi pana Jacka w tych przenosinach, ale ów rzekł im:

— A gdybyście waćpanowie mnie usiekli, zali zostawilibyście mnie bez pomocy? Toć to szlachecka usługa, której nie godzi się nie oddać, ani też nie przyjąć.

Więc umilkli, bo ich nieco ujął temi słowy — i po chwili legli wygodnie w obszernych drabkach na słomie, gdzie zaraz uczyniło im się cieplej.

— Dokąd jechać? — zapytał chłop.

— Czekaj. Weźmiesz jeszcze jednego — odpowiedział Cypryanowicz.

I zwróciwszy się do Jacka:

— No! — mości panie! — rzekł — czas i nam.

Lecz Taczewski spojrzał na niego niemal przyjaznem wzrokiem.

— Ej! lepiej nam się zaniechać. I tamto Bóg wie, dlaczego się przygodziło, a waćpan stanąłeś przy mnie, gdy ci ichmościowie kupą na mnie natarli. Po co my się mamy bić?

— Będziemy i musimy — odparł zimno Cypryanowicz.

Waćpan mi hańbę zadałeś, a gdybyś i nie zadał, to teraz idzie o moją reputacyę — rozumiesz? Choćbym miał gardło dać, choćby to miała być ostatnia moja godzina — musimy się bić!

— Ha! niechże i tak będzie, ale to przeciw mojej woli! — odpowiedział Jacek.

I poczęli się ścinać. Cypryanowicz, lubo mniej silny od Bukojemskich, był jednakże od nich bieglejszy. Znać było, że uczyli go lepsi mistrze, i nie praktykował nietylko po jarmarkach i za jazdach. Nacierał roztropniej, a odbijał ściślej i umiejętniej. Taczewski, w którego sercu nie było już żadnej zawziętości i który wolałby był poprzestać na nauce danej panom Bukojemskim, począł go chwalić.

— Z waćpanem zgoła inna rzecz — ozwał się. — Nie byle kto waści układał.

— Szkoda, że nie waćpan! — odpowiedział Cypryanowicz.

I uradował się podwójnie, naprzód z pochwały, a powtóre z tego, iż odpowiedział, albowiem na rozmowę w czasie walki pozwalali sobie tylko najzawołańsi rębacze, a grzeczna rozmowa uważana była przytem za szczyt dworności. Wszystko to podniosło Cypryanowicza we własnych oczach.

Natarł więc znów z dobrą otuchą. Wszelako, po kilku jeszcze złożeniach, musiał uznać w duszy wyższość przeciwnika. Taczewski odbijał jakby od niechcenia, ale z największą łatwością — i wogóle zachowywał się tak jakby chodziło nie o pojedynek, ale o szermierkę dla wprawy. Widocznie pragnął przekonać się co też Cypryanowicz umie i o ile wyższy jest od Bukojemskich, a zdawszy tę rzecz dokładnie, był już zupełnie siebie pewny.

Zrozumiał to i pan Stanisław, a przeto i radość jego znikła i począł atakować goręcej A wtem Taczewski skrzywił się, jakby już miał dosyć zabawy, odbił cios zwany "mylnym'" — i natarł a po chwili uskoczył w bok.

— Dostałeś waść!—rzekł.

— Nic mi! Dalej!

I przyciął znów, lecz w tej chwili koniec szabli Taczewskiego roztworzył mu dolną wargę i skórę na brodzie. Pan Jacek uskoczył po raz wtóry.

— Broczysz! — rzekł.

— Nic i to!

—Jeśli nic, to chwała Bogu! — odparł Taczewski — ale ja

mam już dość, a do waści rękę wyciągam. Waćpan prawdziwie po kawalersku stawałeś.

Cypryanowicz, podniecony bardzo, ale zarazem ujęty słowami pana Jacka, stał przez chwilę, jakby wahając się, czy ma dać pokój, czy nacierać dalej — wreszcie jednak schował szablę do pochwy i wyciągnął dłoń.

—Niechże i tak będzie. Co prawda, to i broczę, jak się patrzy.

To rzekłszy, dotknął lewą ręką brody i począł spoglądać jakby ze zdziwieniem na krew, która poplamiła mu obficie dłoń i palce.

— Trzymaj śnieg na ranie, bo spuchnie! — rzekł pan Jacek i chodź do woza.

To rzekłszy, wziął go pod ramię i poprowadził do Bukojemskich, którzy spoglądali na niego w milczeniu, nieco zdziwionym, a zarazem osowiałym wzrokiem. Pan Jacek budził w nich teraz rzetelny szacunek, nietylko jako mistrz w szabli, ale jako kawaler "górnych manier," takich właśnie, jakich im brakło.

Więc, dopiero po chwili, Mateusz zwrócił się do Cypryanowicza:

— Jakoż ci jest Stachu?

— Dobrze. Mógłbym i piechotą pójść, ale wolę na saniach bo będzie prędzej.

— Do Wyrąbek!

— Dokąd? — zapytał Cypryanowicz.

— Do mnie. Nie będzie tam waszmościom wygodnie, ale trudno. W Bełczączce postrachałyby się niewiasty, a umnie jest ksiądz Woynowski, który waściów opatrzy, bo się na ranach zna wybornie. Po konie waszmościów można posłać, a potem uczynicie co zechcecie. Księdza też uproszę, żeby pojechał do Bełczączki i oznajmił ostrożnie, co się stało.

Tu zamyślił się pan Jacek, a po chwili rzekł:

— Oj! nie przedtem była bieda, ale teraz będzie bieda... Bogdaj-że waszmościów, żeście się tego pojedynku naparli.

— Prawda! napieraliśmy się — odrzekł Cypryanowicz. — To ja poświadczę i panowie Bukojemscy poświadczą.

— Poświadczym, choć mi ramię okrutnie dolega — ozwał się stękając nieco Marek. — Oj! toś nas waćpan ufetował, niech cię kule biją.

Do Wyrąbek nie było daleko. Wkrótce też wjechali w g-

płotki, śród których spotkali brnącego w śniegu księdza Woynowskiego; ów bowiem, niespokojny o to, co się stanie, nie mógł już dłużej wysiedzieć i wyszedł naprzeciw.

Taczewski zeskoczył na jego widok z sani, a ksiądz posunął się też żywiej ku niemu, a widząc, że zdrów i cały, zawołał:

— No, co tam?

— A przywożę ichmościów — odpowiedział Jacek.

Twarz staruszka rozjaśniła się na chwilę, ale spoważniała zaraz, gdy na saniach dostrzegł umazanych krwią Bukojemskich i Cypryanowicza.

I aż klasnął w dłonie.

— Wszystkich pięciu! — zawołał.

— A pięciu!...

— Obraza Boska!

Poczem do rannych:

— Jakże waściom?

Oni pokłonili mu się czapkami, prócz Marka, który, mając przecięty obojczyk, nie mógł nietylko prawą, ale i lewą ręką poruszać. Więc tylko stęknął i rzekł:

— Ha, godnie nas opieprzył, niema c(

— Nic to! — ozwali się inni.

— W Bogu nadzieja, że nic — odpowiedział staruszek. — Do domu teraz! Do domu jak najprędzej! Wnet się was opatrzy.

I kazał ruszać saniom, sam zaś poszedł za nimi z Taczewskim tak pospiesznie jak tylko mógł. Na chwilę jednak zatrzymał się, radość zamigotała mu znów w twarzy, nagle objął za szyję Taczewskiego i rzekł:

— Jacuś! niech-że cię uściskam. A to pełne sanie ich przywiózł, jak snopów!

Taczewski zaś pocałował go w rękę i odpowiedział:

— Sami chcieli, dobrodzieju.

A ksiądz położył mu jeszcze dłoń na głowie, jakby chcąc go pobłogosławić, ale wnet się pomiarkował, że sukni nie przystoi, więc spojrzał surowiej i rzekł:

— Jeno nie myśl, że ci pochwalam. Twoje szczęście, że sami chcieli, ale zgorszenie jest!

I weszli na podwórze, poczem Jacek skoczył ku saniom aby z woźnicą i jedynym czeladnikiem, jakiego posiadał, pomódz rannym do wysiadania.

Ale oni wysiedli bez pomocy, z wyjątkiem Marka, któremu

trzeba było ramię podtrzymać — i po chwili znaleźli się w izbie. Słoma tam było już przygotowana, a nawet i łóżko Taczewskiego, pokryte białą, trochę wytartą, skórą końską i z wojłokiem pod głowę. Na stole, przy oknie, widać było chleb, zagnieciony z pajęczyną, wyborny do tamowania krwi i równie wyborne balsamy księdza Woynowskiego "do gojenia".

Staruszek zdjąwszy sutannę, zabrał się wraz do opatrywania ran, z całą wprawą starego żołnierza, który ich tysiące w życiu widział i który z długoletniej praktyki znał się na opatrunku lepiej od niejednego medyka. Prędko też poszło, bo, nie licząc Marka, inni lekko tylko byli poszczerbieni. Obojczyk Markowy dłuższej znacznie wymagał roboty, ale gdy wreszcie i on został zestawiony, odetchnął ksiądz Woynowski i zatarł ubabrane ręce.

— No? — rzekł — dzięki Panu Jezusowi, odbyło się bez ciężkiej przygody. Pewnie się też waszmościowie lepiej zaraz czujecie.

— Pić się chce! — odrzekł Mateusz Bukojemski.

— Nie zaszkodzi! Każ, Jacku, przynieść wody.

Lecz Mateusz aż przypodniósł się na słomie.

— Jakto wody? — zapytał złamanym głosem.

A Marek, leżąc na wznak na Jackowem łóżku i stękając nieco, ozwał się niespodzianie:

— Ksiądz dobrodziej chce pewnie ręce umyć.

Na to Jacek spojrzał z prawdziwą rozpaczą na księdza, a ów począł się śmiać i rzekł:

— Oto szczerzy żołnierze! Można też i wina, można, ale niewiele.

Lecz Taczewski zaciągnął go za rękaw do alkierza.

— Dobrodzieju, — szepnął — co ja pocznę! W śpiżarni pustki, w piwnicy pustki, ja sam coraz to pasa dociskam. Co ja im dam!

— Jest! jest! — odszepnął staruszek. — Wyjeżdżając, dałem dyspozycyę i już przywieźli, a jak nie starczy, to poproszę u piwowarów w Jedlni... Dla siebie niby, oczywiście... dla siebie... Każ-że im dać zaraz po szklanicy, aby się zaś pocieszyli po przygodzie.

Usłyszawszy to Jacek, zawinął się prędko i wkrótce panowie Bukojemscy zaczęli się pocieszać wzajemnie. Wzrastała też z każdą chwilą i ich życzliwość dla Jacka:

— Biliśmy się, bo to się każdemu trafi, — mówił Mateusz

— ale ja zaraz pomyślałem, że waść godny kawaler.

— A nieprawda, bom ja to pierwszy pomyślał — ozwał się Łukasz.

— Tyś pomyślał? Albo to potrafisz coś pomyśleć?

— A właśnie myślę, żeś kiep, więc potrafię, ale mnie gęba boli.

I poczynali już się kłócić. Ale tymczasem w oknie zaczerniał jeździec na koniu.

— Ktoś przyjechał — rzekł ksiądz.

Jacek poszedł zobaczyć kto i po chwili powrócił stropiony.

Pan Pągowski przysłał czeladnika, — rzekł — kazał powiedzieć, że czeka z obiadem.

— Niech-że go sam zje —ozwał się Jan.

— Co mu rzec? — zapytał Jacek, patrząc na księdza.

— Najlepiej prawdę — odrzekł staruszek. — Ale to już lepiej ja sam powiem.

I wyszedł do pachołka i rzekł:

—Powiedz panu Pągowskiemu, że ani pan Cypryanowicz, ani panowie Bukojemscy nie przyjadą, bo wszyscy ranni w pojedynku, na który pana Taczewskiego wyzwali, ale nie zapomnij powiedzieć, że niebardzo ranni. Ruszaj.

Czeladnik ruszył z kopyta, a ksiądz, wróciwszy, począł uspakajać Jacka, który okrutnie był poruszony. Nie bał się on z pięciu mężami potykać, ale bał się pana Pągowskiego, a jeszcze więcej, co powie i pomyśli panna Sienińska.

Ksiądz zaś mówił:

— Przecie by się tak wydało, a niechże się jaknajprędzej dowiedzą, że nie twoja wina.

— Waszmościowie zaświadczycie? — zapytał Jacek, zwracając się jeszcze raz do rannych.

— Pić się chce, ale zaświadczymy — odpowiedział Mateusz Bukojemski.

Jednakże niepokój Jacka wzrastał coraz bardziej a wkrótce po tem gdy sanie z panem Pągowskim i panem starostą Grothusem zatrzymały się przed gankiem, serce zamarło w nim zupełnie. Skoczył jednakże witać i pochylił się panu Pągowskiemu do kolan, ale ów ani spojrzał, jakby go całkiem nie widział, i z ponurą surową twarzą wszedł do izby.

W izbie pokłonił się pan Pągowski księdzu z powagą, ale zdaleka, gdyż od czasu jak staruszek wystrofował go raz z ambony za zbytnią surowość dla ludzi, nie mógł mu tego zawzięty

szlachcic przebaczyć, więc i teraz, po owym zimnym ukłonie, zwrócił się zaraz do rannych, chwilę popatrzył na nich a potem rzekł:

— Mości panowie, po tem co zaszło, nie przestąpiłbym ja zaiste progu tego domu, gdyby nie chęć powiedzenia waszmościom, jak okrutnie dotknęła mnie wasza krzywda. Oto, na co wam wyszła moja gościnność, oto nagroda jaka w domu moim moich zbawców spotkała. Ale to wam jeno rzekę, że kto was pokrzywdził, mnie pokrzywdził, kto waszą krew przelał gorzej niżli moją przelał, bo mnie pohańbił, kto pod moim dachem was pozwał...

Tu nagle przerwał Mateusz:

— My jego wyzwali, nie on nas!

— Tak jest, mości dobrodzieju, — dodał Stach Cypryanowicz. — Niemasz w tem, co się stało, winy tego kawalera, jeno nasza, za którą pokornie waszmość pana przepraszamy.

— Godziło się też sędziemu zapytać świadków, nim wyrok wydał — rzekł poważnie ksiądz Woynowski.

Łukasz chciał się też odezwać, ale że miał policzek dziąsła aż do zębów przecięte, przeto zabolało go okrutnie gdy poruszył brodą, więc dłonią tylko zakrył maść, która już poczęła była przysychać i półgębkiem zawołał:

— Niech dyabli porwą wyroki i moją szczękę razem!...

Stropił się nieco temi głosami pan Pągowski, ale jednakże nie ustąpił. Owszem, potoczył surowemi oczyma, jakby chciał w ten sposób niemą przyganę dla obrońców Jacka wyrazić i tak rzekł:

— Nie mnie przystoi moim zbawcom przebaczać. Waszmościów winy niema; owszem, rozumem ja to i pojmuję, bom doskonale widział, jak was umyślnie postponowano. Zaiste, ta sama zazdrość, która na zdechłym koniu żywych wilków nie mogła dogonić, dodała później do zemsty ochoty. Nie ja jeden zauważyłem, jako ów "kawaler", którego tak wspanałomyślnie bronicie, od pierwszej chwili spotkania nieustannie waszmościom dawał okazye i wszystko czynił, aby was do takowego postępku przywieść. Moja to raczej wina, żem mu folgował i żem mu nie rzekł, aby na jarmarku lub w karczmie słusznej dla siebie poszukał kompanii.

Taczewskiemu gdy to usłyszał, twarz pobladła jak płótno, księdzu Woynowskiemu zaś przeciwnie— krew uderzyła do głowy.

Wyzwany był! co miał uczynić? Wstydź się waćpan! — zawołał.

Lecz pan Pągowski spojrzał na niego z góry i odrzekł:

— Świeckie to są sprawy, których świeccy ludzie tak samo jak duchowni, albo i więcej są periti, ale na to odpowiem, aby mnie tu nikt o niesprawiedliwość nie posądzał. Co miał uczynić? Jako młodszy starszemu, jako gość gospodarzowi, jako człowiek, który tyle razy chleb mój jadł, swego własnego nie mając powinien był przedewszystkiem mnie rzecz oznajmić, a ja byłbym ją swoją powagą gospodarską zagodził i nie dopuścił do tego, by moi zbawcy, a tak godni kawalerowie, tu, w tej chałupie, we krwi własnej, na słomie jako w chlewie leżeli.

— Myślałbyś waszmość, że mnie tchórz obleciał! — wołał, łamiąc ręce i trzęsąc się jak w febrze, Taczewski.

Pan Gedeon nie odpowiedział mu ani słowem, gdyż od początku udawał, że go nie widzi natomiast zwrócił się do Cypryanowicza:

— Panie kawalerze — rzekł — eo instante jedziemy z panem starostą Grothusem do waściwego ojca do Jedlinki aby mu kondolencyę wyrazić. Nie wątpię, że przyjmie on gościnę moją w Bełczączce, więc i waćpana wraz z towarzyszami proszę z powrotem do siebie. Przypominam wam też, że znajdujecie się tu tylko przypadkim, a w rzeczy moimi przecie gośćmi jesteście, którym ja chciałbym całem sercem wdzięczność okazać. Ojciec waćpana, panie Cypryanowicz, nie może przecie zajechać do sprawcy ran twoich, a pod moim dachem lepsze mieć będziecie wygody i z głodu nie pomrzecie, coby was tu snadnie spotkać mogło.

Cypryanowicz zakłopotał się wielce i przez chwilę wahał się z odpowiedzią i ze względu na Taczewskiego, i dlatego, że, będąc młodzianem wielce przystojnym, dbał o to, jak się wyda, a tymczasem warga i broda, które już nabrzmiały pod plastrem, szpeciły go okrutnie.

—Głodu i pragnienie byśmy tu nie doznali, — rzekł — co już i probatum fuit, ale w samej rzeczy gośćmi waszmości dobrodzieja jesteśmy i mój ojciec, nie wiedząc, jak co było, możeby nie chciał tu zajechać. Jeno jakże to nam stanąć przed obliczem krewniaczek waszej mości z tak szpetnemi gębami, które tylko abominacyę wzbudzać mogą?

To rzekłszy, skrzywił się, bo go zabolała od dłuższego prze-

mówienia warga — i istotnie niezbyt pięknie przytem wyglądał.

Lecz pan Pągowski odrzekł:

— O to się waść nie frasuj. Czują moje krewniaczki abominationem, ale nie do ran waszmościów, po których zagojeniu prędko wróci dawna uroda. Wnet tu zajadą trzy pary ze służbą, a w domu już was łoża wygodne czekają. Tymczasem bywajcie zdrowi, bo czas nam z panem starostą do Jedlinki. Czołem!

I skłonił się wszystkim, osobno księdzu, tylko Jackowi głową nie kiwnął. Gdy tedy był blizko drzwi, zbliżył się do niego ksiądz i rzekł:

— Waćpan masz za mało miłosierdzia i sprawiedliwości.

A pan Pągowski odpowiedział:

— Grzechy wyznawam tylko na spowiedzi.

I wyszedł a za nim pan starosta Grothus.

Jacek stał cały czas, jak na mękach. Twarz mu się mieniła i sam chwilami nie wiedział, czy ma skoczyć panu Pągowskiemu do nóg z prośbą o przebaczenie, czy do gardła za te wszystkie upokorzenia, których doznał. Jednakże pamiętał, że był u siebie — i że stoi przed nim opiekun panienki. Więc, gdy tamci wyszli, wysunął się i on za nimi, nie zdając sobie wcale sprawy z tego co czyni, ale i dla zwyczaju, który nakazywał gości odprowadzać i w jakiejś ślepej nadziei, że może choć na samem odjezdnem zawzięty pan Pągowski bodaj głową mu skinie. Ale i to go zawiodło, tylko pan Grothus, człowiek widać dobry i wyrozumiały, ścisnął mu dłoń na ganku i szepnął:

— Nie desperuj, kawalerze, pierwszy gniew minie i wszystko się naprawi.

Lecz Jacek tak nie myślał, a byłby całkiem pewny iż wszystko raz na zawsze przepadło; gdyby był wiedział, że pan Pągowski, jakkolwiek szczerze był oburzony i zagniewany to jednak że jeszcze większy gniew udawał niż czuł. Cypryanowicz i Bukojemscy byli istotnie jego zbawcami, ale przecie Taczewski mu ich nie wymordował, a pojedynek sam w sobie był rzeczą nadto zwykłą, aby aż taką nieubłaganą zawziętość miał rozbudzić. Ale pan Pągowski, od chwili, gdy mu Grothus powiedział, że i starzy ludzie się żenią, a czasem nawet miewają potomstwo, spoglądał innemi oczyma na pannę Sienińską. To, o czem przedtem nigdy nie pomyślał, wydało mu się nagle możliwem, a zarazem i ponętnem. Na myśl o wdziękach cudnej jak róża dziewczyny rozgrzała się w nim dusza a jeszcze daleko silniej zagrała duma. Tożby to zazielenił się i rozkwitł nanowo ród Pą-

gowskich, do tego jeszcze urodzonych z takiej patrycyuszki jak Sienińska, nietylko pokrewnej wszystkim wielkim domom w Rzeczypospolitej — ale ostatniej latorośli rodu, z którego fortuny wynosili w znacznej części Żółkiewscy, Daniłowicze, Sobiescy wielu innych. Panu Pągowskiemu aż w głowie zakręciło się na tę myśl i poczuł, że nietylko jemu, ale i całej Rzeczypospolitej powinno na takich Pągowskich zależeć. Więc zaraz potem przyszła obawa, że się to może nie stać przez to, że panna może kogo innego pokochać i komu innemu rękę oddać. Godniejszego od siebie w okolicy nie widział, ale byli młodsi. Więc kto? Cypryanowicz? Tak! ten był młody, gładki i wielce zamożny ale dopiero w trzecim pokoleniu z uszlachconych ormian szlachcic. Żeby taki homo novus miał naprawdę uderzyć o pannę Sienińską, to się w głowie pana Pągowskiego nie mogło żadną miarą pomieścić. O Bukojemskich, chociaż byli szlachtą dobrą, a powiadali się krewnymi świętego Piotra śmiech było pomyślić. Pozostawał więc tylko jeden Taczewski, wprawdzie "Lazarus," goły jak mysz kościelna, ale z odwiecznego rodu potężnych rycerzy z Taczewa, herbu Powała, z których jeden, prawdziwy olbrzym i uczestnik strasznego pogromu Niemców pod Grunwaldem, sławny był nietylko w Rzeczypospolitej, ale i na dworach zagranicznych. Tylko Taczewski mógł się z Sienińskiemi porównać, a przytem był młody, odważny urodziwy, smutny (co często niewieście serca porusza) i zadomowiony w Bełczączce, a z panną jakoby przyjaciel albo brat. Począł więc sobie pan Pągowski różne rzeczy przypominać; to niby jakoweś niesnaski i dąsy młodych to ich zgody i przyjaźń, to różne spojrzenia i słowa a smutki, a wspólne radości i uśmiechy. I wszystko to, na co dawniej ledwie, że zwracał uwagę, wydało mu się naraz podejrzane. Tak! niebezpieczeństwo tylko z tej strony mogło grozić. Pomyślał też stary szlachcic, że i z tego pojedynku mogła być przynajmniej w części powodem panna Sienińska i zląkł się w duszy By zaś zapobiedz niebezpieczeństwu, postarał się przedewszystkiem o to, aby przedstawić jak najmocniej całą bezecność Jackowego uczynku panience i wzbudzić w niej gniew należyty, a następnie, by przez udanie jeszcze większego gniewu, niż go czuł i niż sprawa była warta, spalić mosty między Bełczączką i upokorzywszy niemiłosiernie Jacka, zamknąć mu tem samem drzwi domu.

I celu tego dopiął. Jacek, wróciwszy z przed ganku, siadł

przy stole, palce wbił w czuprynę, podparł głowę łokciami i milczał, jakby mu z bólu mowę odjęło.

Aż ksiądz Woynowski zbliżył się i położył mu dłoń na ramieniu.

— Jacuś, co masz przecierpieć, przecierp, — rzekł — ale noga twoja nie powinna postać w tamtym domu.

— Tak i będzie — odparł głucho Taczewski.

— Ale boleści się nie daj. Pomyśl, ktoś jest.

A ów zacisnął zęby:

— Pamiętam, ale właśnie dlaczego piecze!

A wtem ozwał się Cypryanowicz.

— Nikt tu tego panu Pągowskiemu nie pochwali, bo inna jest rzecz przyganić, a inna czci deptać!

Na to poruszyli się i Bukojemscy, a Mateusz, któremu najmniej dokuczało mówienie, rzekł:

— U niego w domu nic mu nie powiem, ale jak wyzdrowieję a spotkam go kiedy na drodze, albo u somsiada, to mu wręcz rzekę, żeby pocałował psa w nos.

— O, jej! — dodał Marek. — Takiego godnego kawalera spostponować! Przyjdzie czas, że mu się tego nie daruje.

Tymczasem nadeszły trzy pary wymoszczonych dywanami sani, z trzema pachołkami prócz woźniców, którzy mieli rannych przenosić. Taczewski nie śmiał ich zatrzymać ze względu na spodziewany przyjazd starszego Cypryanowicza i ze względu na to, że byli rzeczywiście gośćmi Pągowskiego, oni zaś nie byliby zostali, zasłyszawszy o wielkiem ubóstwie Jacka, aby mu ciężaru nie przyczyniać. Poczęli jednak żegnać się z nim i dziękować mu za gościnę tak szczerze, jak gdyby nic między nimi nigdy nie zaszło.

— Jadę z waćpanem! Nie wytrzymam tak! — Nie wytrzymam! Póki Pągowski nie wróci, muszę — ostatni raz!...

A ksiądz Woynowski, choć znając Jacka, wiedział że wszelkie perswazye nie pomogą zaciągnął go jednak do alkierza i począł przekładać:

— Jacku, Jacku! Znów mulier! Bogdajby cię tam jeszcze większa krzywda nie spotkała. Pamiętaj, Jacku, co mówi Eklezjasta: "Virum de mille unum reperi, mulierum ex omnibus non inveni!" Pamiętaj i miej nad sobą zmiłowanie.

Lecz był to groch o ścianę. Po chwili siedział już Taczew-

ski w saniach obok Cypryanowicza i ruszyli. Mgłę tymczasem poskręcał wiatr wschodni, popędził ją na puszczę i z błękitnego nieba wyjrzało jasne słońce.

IV.

Nie zmyślał pan Pągowski mówiąc o "abominacyi", jaką czują dla zwycięzcy obie niewiasty z Bełczączce. Przekonał się o tem Jacek od jednego na nie spojrzenia. Pani Winnicka wyszła naprzeciw z twarzą zgorszoną i umknęła mu dłoni, gdy ją chciał na powitanie pocałować a panienka nie użaliła się też jego strapieniu, jego pomięszaniu, nie odpowiedziała na jego ukłon i zajęła się całkiem Cypryanowiczem. Nie skąpiąc mu tkliwych spojrzeń troskliwych zapytań, posunęła do tego stopnia pieczołowitość, że gdy Cypryanowicz wstał z krzesła w stołowej izbie, aby przejść do przeznaczonego dla rannych pokoju, podparła go pod ramię i chociaż się wzdragał i wymawiał, odprowadziła go aż do drzwi.

— Nic tu po tobie, wszystko przepadło! — wołała na taki widok rozpacz i zazdrość w sercu Jacka. Ból jego był tem większy, że dotychczas ani się domyślał, jak ta sama dziewczyna, która dla niego miewała zmienne humory i na jedno przychylniejsze słowo mówiła mu zwykle dziesięć obojętnych, albo zgoła złośliwych — umiała być słodka, dobra anielska dla kochanego prawdziwie człowieka. Bo że p. Sienińska kocha Cypryanowicza, nie wątpił już o tem nieszczęsny Jacek wcale. A on przecież poniósłby nietylko taką ranę jak Cypryanowicz, ale z radością wytoczyłby wszystką krew, żeby choć raz w życiu przemówiła do niego takim głosem i spojrzała na niego takiemi oczyma. Więc obok bolu, chwycił go zarazem żal niezmierny, bijący potokiem łez do oczu, które jeśli się z nich nie wydostaną i po policzkach nie spłyną, to zalęją serce i napełnią całe jestestwo człowiecze. Takie wypełnienie piersi łzami czuł teraz Jacek, a na dobitkę, nigdy nie wydała mu się panna Sienińska tak bez żadnej miary piękna, jak teraz, z pobladłą twarzyczką i z koroną płowych włosów, rozpierzchłych nieco ze wzruszenia: "Anielska ci ona, — wołał w nim ten żal — ale ona nie dla cię! cudna, ale ją inny weźmie!" I chciał jej do nóg padać, i u jej stóp wyznać całą mękę i miłość, a jednocześnie czuł, że, zwłaszcza po tem co zaszło, czynić tego nie należy, i że, jeśli sam się

nie opamięta i nie potłumi w sobie dusznej rozterki, to jej powie co innego, niż chce i pogrąży się w jej oczach do ostatka.

A tymczasem pani Winnicka, jako osoba wiekowa i znająca się na lekach, weszła wraz z Cypryanowiczem do drugiej izby, a panna wróciła od drzwi. Jacek, rozumiejąc, że trzeba korzystać z czasu, posunął się ku niej:

— Chciałbym słówko waćpannie rzec — przemówił drżącym głosem, siląc się na spokój.

A ona spojrzała na niego z zimnem zdziwieniem:

— Czego waćpan sobie życzysz?

Jackowi zaś rozświecił twarz uśmiech tak bolesny, że prawie męczeński.

— Czego ja sobie życzę, to się nie stanie, choćbym i zbawienie duszy za to oddał, — mówił, kiwając głową — ale o jedno waćpanny proszę: nie winuj mnie, nie mniej do mnie urazy, mniej trochę miłosierdzia, boć i ja nie z drewna, ani z żelaza...

— Ja waćpanu nie mam nic do powiedzenia — odrzekła — i nie pora po temu.

— Hej! — ludzkie dobre słowo rzec człowiekowi, któremu ciężko na świecie — zawsze pora.

— Czyż za to, żeś waćpan moich zbawców poranił?

— Bo Bóg stoi przy niewinności. Czeladnik któren przyjechał po tych kawalerów do Wyrąbek, powinien był powiedzieć że mu ksiądz Woynowski przykazał, żem ja ich pierwszy nie wyzywał. Zali waćpanna wiedziałaś o tem?

Wiedziała. Czeladnik, jako człek prosty, nie powtórzył wprawdzie dokładnie słów księdza i zakrzyknął tylko, że "młody pan z Wyrąbek wszystkich posiekał;" natomiast pan Pągowski, wracając z Wyrąbek, wpadł po drodze do domu i powiedział jak co było. Poprostu obawiał się, aby wiadomość, że to Jacek był wyzwany, nie doszła od panny z innych ust i nie osłabiła jej gniewu, więc wolał sam sprawę oznajmić, przyczem nieomieszkał dodać, że Taczewski srogiemi obelgami zmusił tamtych do wyznania. Liczył też na to, że panna Sienińska, po kobiecemu rzeczy biorąc, będzie zawsze po stronie tych, którzy ucierpieli więcej.

Wszelako Jackowi zdawało się, że ukochane oczy spojrzały na niego mniej surowo, więc powtórzył pytanie:

— Waćpanna wiedziałaś o tem?

— Wiedziałam, — odrzekła — alem pamiętała o tem. I

czem i waćpan byłbyś nie zapomniał, gdybyś miał trochę dla mnie życzliwości, że tym kawalerom życie zawdzięczam. Wiem i to od opiekuna, że musieli waćpana wyzwać.

— Ja nie mam dla waćpanny życzliwości? A to niech już Bóg sądzi, któren patrzy w serca ludzkie...

Oczy dziewczyny poczęły się nagle mrużyć, aż warkocz przesunął się jej na drugie ramię i rzekła:

— Tak!...

A on mówił dalej nieco zdyszanym i głęboko smutnym głosem:

— Ale prawda! prawda! Powinienem był pozwolić się posiekać, byle waćpanny nie zasmucać. Nie byłaby popłynęła ta krew, która ci milsza... Ale na to już nie ma rady! I na nic już niema rady! Opiekun mówił waćpannie, żem ja ich zmusił do wyzwania. To zdaje też na sąd Boży. Ale czy powiedział, że mnie pod moim własnym dachem bez miary i miłosierdzia insultował? Przyjechałem jeszcze, bom wiedział, że go tu teraz nie zastanę. Przyjechałem aby moje nieszczęsne oczy ostatni raz widokiem waćpanny nasycić. Wiem, że to waćpannie wszystko jedno, alem myślał, że choć...

Tu urwał Jacek, bo mu łzy głos zdławiły. Usta panny Sienińskiej poczęły też drgać i coraz bardziej przybierać kształt podkówki — i tylko hardość a zarazem nieśmiałość dziewczęca walczyła w niej ze wzruszeniem. Pohamowała je jednak, może dlatego, aby jeszcze żałośliwsze z Jacka wydobyć wyznanie, a może dlatego, że nie wierzyła aby naprawdę, miał pójść sobie i więcej nie wrócić. Nieraz już bywały między nimi nieporozumienia, nieraz i pan Pągowski wyrządził mu wielkie przykrości a jednakże po krótkich gniewach następowały milczące lub głośne przeprosiny i wszystko pozostawało po staremu.

— Tak i teraz będzie! — pomyślała panna Sienińska.

Że zaś słodko jej było go słuchać i słodko patrzeć na tę wielką miłość, która lubo nie śmiała wypowiedzieć się wyraźnemi słowy, biła jednak od niego z równą pokorą jak mocą, przeto chciała, aby mówił tak do niej, jaknajdłużej swoim cudnym głosem i jaknajdłużej pokładał u jej nóg, rozkochane i zbolałe serce.

Lecz on, niedoświadczony w rzeczach miłości i ślepy jak wszyscy zakochani, nie dostrzegł i nie zrozumiał, co się w niej dzieje. — Milczenie jej poczytał za zatwardziałą obojętność — i gorycz poczęła mu stopniowo zalewać duszę. Spokój, z jakim

mówił pierwej, jął go opuszczać, oczy nabierały innego blasku, krople zimnego potu uperliły mu skronie. Coś rwało mu się i łamało w duszy. Chwytała go taka rozpacz, w której człowiek o nic nie pyta i gotów własnemi rękoma rozdrapywać własne, serdeczne rany.

Mówił jeszcze niby spokojnie, ale już i głos jego brzmiał inaczej, twardziej, chrapliwiej.

— Tak! — rzekł — ani jednego słowa?...

Panna Sienińska wzruszyła tylko ramionami.

— Ha! prawdę powiedział ksiądz, że mnie tu jeszcze większa spotka krzywda!

— W czem ja waćpana krzywdzę? — spytała przykro dotknięta niespodzianą zmianą, jaka w nim zaszła.

Lecz on brnął już na oślep dalej:

— Gdybym nie widział, jakaś była dla Cypryanowicza, myślałbym, że serca w piersiach nie masz. Ale ty masz serce, jeno dla niego, nie dla mnie! Spojrzał jeno na cię i dosyć.

I nagle chwycił się obu rękami za czuprynę.

— Bogdajbym go na śmierć usiekł!

A przez pannę Sienińską przeleciał odrazu jakby płomień. Policzki jej zakwitły, w oczach zamigotał gniew, zarówno na Jacka, jak i na siebie samą za to, że przed chwilą gotowa była się rozpłakać. Głęboka a nagła uraza chwyciła jej serce.

— Waćpan oszalał! — zawołał, podnosząc głowę i odrzucając w tył warkocz.

I chciała odejść, lecz to właśnie doprowadziło Jacka do zupełnego zapamiętania. Porwał jej obie ręce i zatrzymał:

— Nie ty odejdziesz ja odejdę! — mówił z zaciśniętemi zębami — jeno to ci jeszcze powiem, że chociażem cię od lat całych miłował bardziej niż zdrowie, bardziej niż życie, bardziej niż duszę własną, nie wrócę tu więcej. Pięści z boleści pogryzę, a nie wrócę — tak mi dopomóż Bóg!

I, pozostawiwszy na podłodze swą wytartą magierkę skoczył do drzwi, po chwili mignął w oknach, skręcając do ogrodu, przez który bliżej było do Wyrąbek, i zniknął.

A panna Sienińska stała jakiś czas, jakby piorun w nią uderzył. Myśli jej rozleciały się na wszystkie strony nakształt ptactwa i przez chwilę nie wiedziała nic, co się stało. Lecz gdy, wróciły, nikł jej gniew, znikła bez śladu uraza a w uszach brzmiały tylko słowa Jacka: „Miłowałem cię więcej niż zdrowie, więcej niż życie, więcej niż duszę własną — i nie wró-

cę!..." Teraz uczuła, że on naprawdę nie wróci, właśnie dlatego, że tak okropnie ją kochał. Czemuż nie powiedziała mu choć jednego dobrego słowa, o które, zanim go porwało szaleństwo, żebrał jak o jałmużnę, albo jak o kawałek chleba na drogę? I chwycił ją zarazem niezmierny żal i strach. Poleciał w bólu, w szaleństwie — może gdzie padnie na drodze, może co złego sobie z desperacyi uczynić, a przecie jedno serdeczne słowo mogło wszystko załagodzić i naprawić. Niechby choć głos jej usłyszał. Musi a ogrodem przelecieć przez łąkę do strugi, tam ją jeszcze usłyszy.

I, zerwawszy się; wybiegła do sadu. Śnieg głęboki leżał na środkowej ulicy, ale ślady Jacka były w nim widoczne, biegła więc po nich, zapadając chwilami do kolan, gubiąc po drodze różaniec, chustkę, woreczek z nićmi i zdyszana, dopadła wreszcie do ogrodowej furty.

— Panie Jacku!...

Ale łąka za furtą była już pusta. Przytem ten sam wiatr, który rozwiewał mgłę poranną, czynił teraz szum wielki między gałęziami grusz i jabłoni. Jej słaby głos zniknął zupełnie w tym szumie. Wówczas, nie ważając na chłód i na lekką swą odzież pokojową, siadła na ławce przy furtce i poczęła płakać.

Łzy wielkie jak perły spływały jej po różanych policzkach, a ona, nie mając nic innego do ich obtarcia, poczęła obcierać je warkoczem.

— Nie wróci.

Wiatr tymczasem szumiał coraz mocniej, strąsając mokry śnieg z czarnych gałęzi.

Gdy Taczewski wpadł jak wicher, bez czapki i z rozwianą czupryną do dworku w Wyrąbkach, ksiądz Woynowski domyślił się, co się stało i rzekł:

— Praedixi! Boże ci dopomóż, Jacku! ale o nic nie pytam, póki się nie opamiętasz i nie uspokoisz...

— Skończone! wszystko skończone! — odpowiedział Taczewski.

I począł chodzić po izbie, jak dziki zwierz po klatce. Ksiądz nie odzywał się, nie przeszkadzał mu wcale i dopiero po dłuższym czasie wstał, objął go ramionami, ucałował w głowę, a następnie, wziąwszy go za rękę, poprowadził do alkierza.

Tam klęknął przed krzyżykiem, który wisiał nad Jackowym łóżkiem, a gdy młodzian klęknął przy nim, począł mówić;

— Panie, Ty wiesz, co jest boleść, boś sam na krzyżu za grzechy ludzkie cierpiał...

...Więc oto przynoszę Ci krwawe serce moje i u stóp Twoich przebitych błagam, byś miał miłosierdzie nadenmą...

...A zaś nie wołam na Cię: weź mój ból, ale wołam: dodaj mi mocy, abym go przeniósł...

...Bom ci jest żołnierz na Twoim ordynansie, o Panie i chciałbym Tobie i matce mojej, Rzeczypospolitej, służyć...

...A jakoż to uczynię, gdy mdleje serce moje i osłabła prawica moja?!..

...Przeto spraw, abym o sobie samym zabaczył, a tylko o chwale Twojej i o zbawieniu matki pamiętał, które to sprawy są większe, niż boleść lichego jak ja robaka.

...I umocnij mnie, Panie w siodle mojem, abym, przeciw poganom czyniąc, zajechał do chwalebnej śmierci i do nieba...

Przez Twoją koronę cierniową, wysłuchaj mnie!

Przez przebite gwoździami ręce i nogi, wysłuchaj mnie!

Przez ranę w boku Twoim, wysłuchaj mnie!

Poczem klęczęli jeszcze przez dłuższą chwilę, ale już w połowie modlitwy widać było, że ból załamał się Jackowi w piersiach bo nagle zakrył twarz rękoma i począł szlochać. Więc, gdy wstali i przeszli do pierwszej izby westchnął głęboko ksiądz Woynowski i tak mówił:

— Mój Jacku, siła ja w życiu za moich żołnierskich czasów przeszedłem i cięższa od twojej przygoda mnie spotkała, o której nie chcę opowiadać, ale to ci tylko powiem, że w chwili najsroższego bólu, ułożyłem tę oto właśnie modlitwę i że ratunek jej zawdzięczam. Nieraz odtąd ją powtarzałem w każdem nieszczęściu a zawsze z ulgą wielką. Dlatego odmówiłem ją i teraz. I jakże? Zali cię nie popuściło? Powiadaj!

— Żałośnie mi jest, ale mniej piecze — odrzekł Taczewski.

— A widzisz! Teraz napij się wina, ja zaś powiem ci, a raczej pokażę, jeszcze coś takiego, co ci powinno dodać otuchy. Patrz.

I pochyliwszy głowę, pokazał na niej straszliwą szramę białą między białemi włosami, a biegnącą przez całą czaszkę — i rzekł:

— Małom z tego nie umarł. Rana bolała krutnie, ale blizna nie boli. Tak zawsze bywa, Jacku. Twoja rana też boleć przestanie, gdy z czasem w bliznę się przemieni. Powiadaj teraz, coć spotkało.

Jacek począł opowiadać ale mu nie szło. Nie miał on tego w

naturze, aby zmyślać, przesadzać lub dodawać więc teraz dziwił się sam, że to wszystko co go tak boleśnie dotknęło, w opowiadaniu wydaje się mniej okrutne. Jednakże ksiądz Woynowski, człowiek widocznie doświadczony i znający świat, wysłuchawszy go do końca, rzekł:

— Rozumiem, że to trudno wydać w słowach spojrzenia albo li też gesta, które mogą być zgoła pogardliwe i uwłaczające. Nieraz też o jedno spojrzenie, albo machnięcie ręki, do pojedynków i do krwi przelewu przychodzi. Główna rzecz, iżeś tej pannie, zapowiedział, że więcej tam nie wrócisz. Młodość bywa płocha, a gdy nią tęsknota powoduje tak się jako miesiąc na niebie odmienia. I miłość jest też jako luna mendax, która, gdy pokazuje, że się zmniejsza, to właśnie rośnie i do pełni się przybliża. Jakże więc? masz-że szczerą intencyę dotrzymać tego, coś zapowiedział?

— Powiedziałem: "tak mi dopomóż Bóg", a jeśli chcecie ojcze, to takową przysięgę zaraz na krzyżu powtórzę

— A co zamierzasz z sobą czynić?

— Iść w świat.

— Tego czekałem bom ci już dawno to radził. Wiedziałem, co cię tu trzyma, ale teraz gdy się powróz urwał — tak! — idź w świat. Niczego tu nie doczekasz, nic cię dobrego nie spotkało i nie spotka. To była zguba dla ciebie! Szczęście żem był blizko i żem cię chociaż w łacinie i w robieniu szablą trochę wyćwiczył. — inaczej byłbyś tu schłopiał. Nie dziękuj Jacuś, bo to było ze szczerego afektu. Tęskno mi też będzie bez ciebie ale nie o mnie chodzi. Idziesz w świat, to jak rozumiem znaczy, że chcesz się do wojska zaciągnąć. To najprostsza i najdogodniejsza droga, zwłaszcza, że wojna w pogany idzie. Pióro i kancelarya pewniejsza po wiadają, niż promacya od szabli — ale mniej to przystoi takiej, jak twoja, krwi...

— Nie myślałem też o innej służbie — odrzekł Taczewski. — Ale przecie do piechoty się nie zaciągnę, a nijak mi do górniejszych chorągwi, bom hołysz.

— Szlachcic który ma łacinę w gębie, a szablę w dłoni, zawsze sobie da rady — przerwał ksiądz — wszelako niema gadania, że poczet zacny musisz mieć. Trzeba się o tem naradzić. Tym czasem powiem ci rzecz, o której dotąd nie mówiłem. Mam dla cię dziesięć czerwonych złotych, które nieboszczka matka twoja u mnie złożyła — i list jej, w którym prosi, abym ci ich nie dawał, żeby się nie rozeszły, jeno w nagłej potrzebie, gdyby przyszedł na

cię wóz albo przewóz. No i przyszedł! Zacną, świątobliwą, ale i nieszczęśliwą miałeś matkę, bo gdy umierała nieboga, niedostatek już był w domu wielki i to, co u mnie złożyła, od ust sobie odejmowała...

— Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie — odrzekł Jacek. — Niechże za te czerwone złote msze za jej duszę się odprawiają, a ja Wyrąbki sprzedam, choćby za byle co.

Rozczulił się usłyszawszy to ksiądz Woynowski, aż łza zabłysła mu w oku, i znów uściskał Jacka.

— Zacna i w tobie krew — rzekł — ale nie wolno ci matczynego daru odrzucać, nawet na taką intencyę. Mszy też nieboszce nie zbraknie, tego bądź pewien, bo choć ona pewnie nie bardzo ich potrzebuje, ale się innym duszom w czyściu będącym przydadzą. Co do Wyrąbków, lepiejby było w zastaw je oddać, ile że na szlachcica, choćby najmniejszy spłachetek ziemi posiadał zawsze inaczej patrzą gdy jest possesionatus.

— Jeno że pilno. Chciałbym bogdaj dziś jechać.

Dziś nie pojedziesz, chociaż im prędzej tem lepiej. Ale ci muszę pierwej listy wygotować do moich commilitonów i znajomków. Trzeba będzie także z piwowarami w Jedlni pogadać, u których mieszki pełne i takie że niejeden towarzysz pancerny nie ma lepszego. Znajdzie się też u mnie, w plebanii, jakowaś stara zbroiczka i kilka szabel, nietyle ozdobnych, jak wypróbowanych na szwedzkich i tureckich karkach...

Tu spojrzał ksiądz w okno i dodał:

Ale ot! sanie gotowe, a komu w drogę temu czas...

Lecz po twarzy Jacka boleść przemknęła nanowo, pocałował księdza w rękę i rzekł:

— Jedną jeszcze mam prośbę, ojcze i dobrodzieju mój, abym mógł z wami jechać teraz i pozostać aż do wyjazdu w plebanii... Stąd tamte dachy widać i tu mi... zabliźko...

— Jakże! sam chciałem ci to proponować i z ust mi to wyjąłeś. Nic tu po tobie — i z duszy ci będę rad. Hej Jacuś, bądź dobrej myśli. Nie kończy się świat w Bełczączce, jeno stoi szeroko przed tobą otworem. Gdy raz na konia siędziesz, Bóg wie dokąd dojedziesz. Wojna cię czeka! sława cię czeka, a co dziś boli, to przyschnie. Widzę już, jak ci skrzydła u barków rosną: leć że, boży ptaku boś na to stworzon i przeznaczon.

I radość, jak promień słońca, rozświeciła zacną twarz księdza. Uderzył się po żołniersku dłonią w udo i zawołał:

— A teraz bierz czapkę i jedźmy.

Ale drobne rzeczy stają często na przeszkodzie większym, a smieszne plączą się ze smutnemi. Jacek obejrzał się po izbie, potem spojrzał zakłopotanym wzrokiem na księdza i powtórzył:

— Czapkę?

— Juści! Z golą głową nie pojedziesz.

— Ba!

— No co?

— A! kiedy została w Bełcząc̨zce.

— Masz babo, amory! Cóż będzie?

— Co będzie?... Choćby od czeladnika wziąć, — w chłopskiej nie mogę jechać.

— W chłopskiej nie możesz jechać! — powtórzył ksiądz — ale poślij chłopa po swoją do Bełcząc̨zki.

— Za nic! — zawołał Jacek.

Lecz staruszek począł się niecierpliwić.

— A u licha! wojna, sława, szeroki świąt — wszystko dobrze, ale i czapka potrzebna.

— Jest na dnie w skrzyni jakiś stary kapelusz, co go ojciec zdobył je na jednym oficyerze szwedzkim pod Trzemesznem.

— To go weź — i jazda!

Jacek zniknął w alkierzu i po chwili wrócił przybrany w raj tajski żółty kapelusz, zaduży na jego głowę. Rozweselony tym widokiem ksiądz Woynowski chwycił się za lewy bok, niby szukając szabli i rzekł:

— Dobrze jeszcze, że to szwedzki kapelusz, a nie turecki zawój. Ale i tak czyste zapusty!

Jacek uśmiechnął się w odpowiedzi i rzekł:

— Na sprząc̨zce są jakoweś kamuszki, może co warte.

Poczem siedli i pojechali. Zaraz za opłotkami widać było przez bezlistny olszak Bełcząc̨zkę i dwór w niej jak na dłoni — więc ksiądz pilnie uważał na Jacka, ale ów nacisnął na oczy swój zaduży kapelusz szwedzki i ani spojrzał, choć tam została nietylko jego magierka.

V.

Nie wróci, wszystko przepadło!— mówiła sobie w pierwszej chwili panna Sienińska.

I dziwna rzecz, w domu było pięciu kawalerów z których jeden młody i przystojny a prócz pana starosty Grothusa miał je-

szcze przyjechać starszy Cypryanowicz, słowem, rzadko kiedy było tylu gości w Bełcząćzce tymczasem panience wydało się, że otoczyła ją nagle pustka i jakiś ogromny brak, że dom jest pusty, ogród pusty, ona sama tak samotna, jakby w bezludnym stepie — i że już tak zostanie nazawsze.

Więc serce jej ścisnęło się ciężkim żalem, jakby po stracie kogoś najbliższego. Była pewna, że Jacek nie wróci tembardziej, iż opiekun obraził go śmiertelnie, zarazem jednak nie umiała sobie wyobrazić jak to będzie bez niego, bez jego twarzy, słów, śmiechu, spojrzeń co będzie jutro, pojutrze za tydzień i za miesiąc, dlaczego rankami ma wstawać z łóżka, dlaczego zaplatać warkocze, dla kogo przybierać się i trefić, poco żyć?

I doznała takiego uczucia, jakgdyby jej serce było świecą, na którą ktoś nagle dmuchnął i zgasił.

Nic jeno ciemność i pustka!

Lecz gdy, wszedłszy do pokoju zobaczyła na podłodze magierkę Jacka, wszystkie te wyraźne uczucia ustąpiły prostej a ogromnej za nim tęsknocie. Rozrzewniło się w niej znów serce i poczęła go wołać po imieniu. Jednocześnie jakiś błysk nadziei przeleciał przez jej duszę. Podniósłszy czapkę przycisnęła ją, niby niechcący, do piersi, poczem schowała w rękaw i tak poczęła rozmyślać:

— Nie będzie po dawnemu, bywał codzień w Bełczączce, ale zanim opiekun z panem Grothusem i panem Cypryanowiczem zdążą przyjechać z Jedlinki, musi wrócić po czapkę, więc go zobaczę i powiem mu, że był okrutny i niesprawiedliwy — i że nie powinien był tak postąpić.

Ale nie była sama ze sobą szczera, albowiem chciała mu powiedzieć więcej — znaleźć jakieś ciepłe serdeczne słowo które by nawiązało na nowo zerwane między nimi nici. Byle się to stało, byle się mogli widywać bez gniewu w kościele albo czasem u sąsiadów — to w przyszłości znajdzie się jakiś sposób, aby wszystko obróciło się na dobre... Jaki to miał być sposób i co miało być tem dobrem, nad tem nie zastanawiała się w tej chwili panna Sienińska, albowiem myślała przedewszystkiem o tem, aby jaknajprędzej Jacka zobaczyć.

Tymczasem z pokoju, w którym leżeli ranni, wyszła pani Winnicka i, ujrzawszy wzburzoną twarz i zaczerwienione oczy dziewczyny, poczęła ją uspokajać:

— Nie bój się, nic im nie będzie. Jeden tylko z Bukojemskich cięższej trochę poszwankowan ale i temu nic nie będzie. Inni

mało co. I opatrzył ich dobrze ksiądz Woynowski, tak, że nic zmieniać nie trzeba. Dobrej są też myśli i weseli.

— Chwała Bogu.

— A Taczewski pojechał? Czego tu chciał?

— Odwiózł rannych...

— No — ale ktoby się tego po nim spodziewał?

— Sami go wyzwali.

— Tego się też nie zapierają, ale że on wszystkich posiekał — pięciu! jednego po drugim. A myślałabyś, że on i kwoczce od kurcząt ustąpi.

— To go ciotuchna nie zna. Aha! — odrzekła z pewną dumą panna Sienińska.

Ale i w głosie pani Winnickiej było tyle samo prawie zdziwienia co przygany gdyż urodzona i wychowana w stronach pod ległych ciągłym napaściom tureckim, od małego przyuczyła się uważać odwagę i sprawność do szabli za pierwszą cnotę męską Więc gdy pierwszy strach o gości przeszedł poczęła na cały ten pojedynek patrzeć nieco inaczej.

— Wszelako — mówiła dalej — muszę i im przyznać że godni kawalerowie, bo nietylko złości do niego nie czują ale go jeszcze chwalą, a źwłaszcza ten Cypryanowicz. Toż to (powiada) "urodzony żołnierz". I gniewno im nawet na jegomości, który (mówią) przebrał w Wyrąbkach miarę.

— Ciotuchna też nielepiej pana Jacka przyjęła.

— Bo zasłużył. A ty toś niby dobrze go przyjęła!

— Ja?

— A ty. Widziałam, jakeś się na niego odęła.

— Moja ciotuchno...

Tu dziewczyna urwała nagle, bo czuła, że się rozpłacze. Jednakże wskutek tej rozmowy Jacek urósł jeszcze w jej oczach. Sam jeden przeciw takim ćwiczonym mężom — i wszystkich posiekał, wszystkich zwyciężył. Mawiał on wprawdzie, że z oszczepem na odyńce jeździ, ale przecież chłopi, po brzegu puszczy osiedli, jeździli nawet z kłonicami, więc nie było to nikomu dziwne. Natomiast pięciu rycerskiej szlachty pokonać mógł tylko rycerz jeszcze od nich większy i dzielniejszy. Pannie Sienińskiej wydało się to wprost dziwne, żeby człowiek, który miał takie smutne i łagodne oczy, mógł być tak strasznym w bitwie. Więc to jej tylko tak się poddał, tylko od niej tak wszystko znosił, tylko dla niej był taki słodki i ustępujący. Dlaczego? Bo ją kochał

nad zdrowie, nad szczęście, nad zbawienie własne. Przed godziną sam jej to wyznał.

I znów tęsknota za nim napłynęła jej ogromną falą do serca. Czuła jednak, że i między nimi coś się zmieniło, i że jeśli go ujrzy a potem widywać będzie często, już nie pozwoli sobie z nim tak igrać, jak igrała dawniej, to pogrążać, to rozweselać i dodawać otuchy, to go odpychać, to pociągać, — czuła, że mimowoli będzie nań patrzeć jakby z większym respektem i stanie się bardziej ostrożną i pokorniejszą.

Chwilami jeszcze jakiś głos odzywał się w niej że po prawdzie, to Jacek postąpił z nią zbyt zapalczywie że nagadał jej więcej gorzkich i obraźliwych słów, niż ona jemu, ale głos ów stawał się coraz, coraz słabszy, a chęć pojednania się coraz silniejsza.

Byle wrócił nim tamci przyjadą z Jedlinki.

Ale tymczasem upłynęła godzina, dwie i trzy, a on nie wracał. Wówczas przyszło jej na myśl, że już jest zapóźno i że sam już nie przyjdzie ale przyśle kogoś po magierkę.

Więc postanowiła mu ją odesłać wraz z listem a w nim wypowiedzieć wszystko, co jej ciężyło na sercu. Że jednak posłaniec mógł lada chwila nadejść więc chcąc przygotować wszystko zawczasu, zamknęła się w swojej panieńskiej izdebce i wzięła się do roboty.

"Niech waćpanu Bóg odpuści ten smutek i to zmartwienie, w jakiem mnie zostawiłeś, bo gdybyś mógł przejrzeć serce moje, nie byłbyś tak postąpił. Dlatego ja nietylko odsyłam waćpanową magierkę ale przydaję i to dobre słowo, żebyś był szczęśliwy i żebyś zapomniał...

Tu spostrzegła się, że nie pisze tego, co myśli i czego chce, bo wcale nie chodziło jej o to, żeby on zapomniał, więc, przekreśliwszy kartkę poczęła pisać drugą z większem jeszcze wzruszeniem i rozżaleniem:

"Odsyłam waćpanową magierkę, gdyż wiem, że już nigdy nie zobaczę pana w Bełczączce i że za nikim tu, a tembardziej za mną sierotą nie zapłaczesz, czego też ja z przyczyny twojej niesprawiedliwości choćby zaś nie wiem jak było żal, także nie uczynię...

Ale tym słowom zaprzeczył odrazu uczynek i wielkie łzy splamiły nagle papier. Jakże mu tu taki dowód posyłać zwłaszcza, jeśli ją całkiem z serca wyrzucił. Po chwili przyszło jej znów na myśl, że możeby mu już lepiej o tej jego niesprawiedliwości i zapalczywym postępku nie pisać, bo gotów się jeszcze

bardziej zawziąć. Tak myśląc, poczęła szukać trzeciej kartki, ale pokazało się, że jej niema. Wobec tego stanęła bezradna, albowiem gdyby chciała pożyczać papieru u pani Winnickiej, nie obeszłoby się bez pytań, na które nijak jej było odpowiadać. Czuła przytem, że traci głowę i że w żadnym razie nie potrafi wypisać Jackowi akuratnie tego wszystkiego, coby pragnęła wypisać, więc natroskała się okrutnie, a szukając niewieścim sposobem ulgi w strapieniu dała znów folgę łzom.

A tymczasem ściemniło się przed gankiem, zabrzękły dzwonki od sanek i pan Pągowski powrócił z gośćmi. W pokojach służba pazapalała wszędy światła, gdyż ciemność się zwiększała. Dziewczyna otarła łzy i weszła do gościnnej komnaty z pewną obawą, że wszyscy poznają zaraz iż płakała — i Bóg wie co pomyślą, albo też będą ją dręczyli pytaniami. Lecz w komnacie był tylko pan Pągowski i pan Grothus bez pana Cypryanowicza, o którego też, chcąc odwrócić od siebie uwagę, poczęła zaraz wypytywać.

— Poszedł do syna i do Bukojemskich — odpowiedział pan Pągowski — ale już w drodze uspokoiłem go, że nic się złego nie stało.

Poczem popatrzył na nią uważnie, ale jego posępna zwykle twarz i siwe surowe oczy rozbłysły jakąś wyjątkową dobrocią. Zbliżywszy się, położył rękę na jasnych włosach dziewczyny i rzekł.

— A i ty niepotrzebnie się frasujesz. Za parę dni będą wszyscy zdrowi. No, no! dość tego! Winniśmy im wdzięczność—prawda! — i dlatego się za nimi ująłem ale w rzeczy to przecie ludzie obcy i dość mizernej kondycyi.

— Mizernej kondycyi? — powtórzyła jak echo, dlatego tylko, aby coś powiedzieć.

—A tak, bo Bukojemscy hołysze, a Cypryanowicz homo novus. Wreszcie, co mi tam! Pojadą sobie i będzie spokój po dawnemu.

Panna Sienińska pomyślała sobie, że będzie nawet zawiele spokoju, gdy zostaną tylko we troje w Bełczączce ale nie wypowiedziała głośno tej myśli.

— Pójdę — rzekła — zakrzątnąć się koło wieczerzy.

— Idź, gospochno idź! — odpowiedział pan Pągowski. Z ciebie jest i radość w domu, i pożytek.

Poczem dodał:

— A talerze każ dać srebrne, aby pokazać temu Cypryano-

wiczowi, że godny statek nietylko u uszlachconych ormian się znachodzi.

Panna Sienińska skoczyła do czeladnej, ale że chciała jeszcze przed wieczerzą załatwić inną, ważniejszą dla niej sprawę, więc, zawoławszy służebnego wyrostka, rzekła mu:

— Słuchaj Wojtuszku, skoczysz do Wyrąbków i powiesz panu Taczewskiemu, że panienka bardzo się kłania i odsyła mu tę oto magierkę. Naści tynfa za drogę, a powtórz co masz powiedzieć?

— Że panienka się kłania i odsyła magierkę.

— Nie że się kłania, jeno że bardzo się kłania — rozumiesz?

— Rozumiem.

—To ruszaj! a kożuch weź, bo na noc znów mróz bierze. Psy niech też pójdą z tobą. "Bardzo się kłania" — pamiętaj i wracaj zaraz — chybaby pan chciał dać odpowiedź.

Tak załatwiwszy tę sprawę, udała się do kuchni ażeby zająć się wieczerzą, która, ponieważ spodziewano się powrotu pana z gośćmi była już prawie gotowa. Potem, przybrawszy się i przygładziwszy włosy, zeszła do stołowej izby.

Stary Cypryanowicz powitał ją dobrotliwie, albowiem jej młodość i uroda bardzo mu były jeszcze w Jedlince przypadły do serca. Że zaś o syna już zupełnie spokojny, więc gdy siedli do wieczerzy, począł rozmawiać z nią wesoło starając się nawet i z pomocą żartów rozproszyć tę jakowąś troskę, którą widział i z jej czole, a której przyczynę przypisywał właśnie temu, co zaszło.

Lecz wieczerza nie miała się skończyć pomyślnie dla dziewczyny, gdyż zaraz po drugiem daniu w progu izby pojawił się Wojtuszek i, chuchając w zmarznięte palce, począł wołać:

— Proszę panienki czapkę zostawiłem, ale pana Tacewskiego niemasz w Wyrąbkach, bo pojechał z księdzem Woynowskim.

Usłyszawszy to, pan Pągowski zdumiał się, zmarszczył natychmiast brwi i, utkwiwszy swe żelazne oczy w pachołku, zapytał:

— Co to jest? co za czapkę? A ciebie kto posłał do Wyrąbków?

— Panienka — odpowiedziało ze strachem pachołę.

— Ja — powtórzyła panna Sienińska.

I, widząc skierowane na się wszystkie spojrzenia, zmieszała się okrutnie ale nie nadługo, gdyż wykrętny dowcip niewieści wnet przyszedł jej z pomocą.

— Pan Taczewski odwiózł tu rannych — rzekła — ale że obie z ciotuchną źleśmy go przyjęły, więc się rozgniewał i bez czapki poleciał do domu a ja mu czapkę odesłałam.

— Prawda, żeśmy go niezbyt wdzięcznie przyjęły — ozwała się pani Winnicka.

Pan Pągowski odetchnął i twarz stała mu się mniej groźna.

— Dobrzeście zrobiły! — rzekł. — A czapkę byłbym mu sam odesłał, bo pewnie nie ma drugiej.

Lecz zacny i wyrozumiały pan Cypryanowicz począł się ujmować za Taczewskim.

— Mój syn — rzekł — nie ma do niego nijakiej urazy. Sami go do bitwy zmusili, a on ich potem jeszcze do siebie zawiózł, opatrzył i ugościł. Bukojemscy też to samo powiadają, z tym dodatkiem, że to jest gracz na szable, który, gdyby był chciał, byłby ich godniej poszczerbił. Ha! chcieli dać naukę, a sami znaleźli nauczyciela. Jeśli prawda, że król jegomość na Turka ruszy, to przyda się tam taki Taczewski.

Pan Pągowski nierad słuchał tych słów, a w końcu rzekł:

— Jego ksiądz Woynowski tych sztuk wyuczył.

— Księdza Woynowskiego widziałem tylko raz na odpuście — mówił pan Cypryanowicz — ale słyszałem o nim wiele jeszcze za moich wojskowych czasów. Śmieli się z niego na odpuście inni księża, mówiąc, że jego plebania jest jako arka i że wszelkie animalia, jako Noe hoduje. Wiem wszelako że to była szabla wielka, a teraz jest cnota wielka, czego jeśli pan Taczewski też się od niego wyuczył, tobym chciał, żeby mój syn gdy się wygoi, innej amicycyi nie szukał...

— Mówią, że sejm się zaraz aukcyą wojska zajmie — rzekł chcąc zmienić rozmowę, pan Gedeon.

— Tak jest, wszyscy się już tem zajmują — potwierdził starosta Grothus.

I rozmowa potoczyła się dalej o wojnie. Ale po wieczerzy panna Sienińska, upatrzywszy stosowną chwile, zbliżyła się do Cypryanowicza i podniósłszy na niego swe modre oczka, rzekła:

— Waszmość pan jesteś dobry, bardzo dobry.

— A czemu to? — zapytał Cypryanowicz.

— Żeś się za panem Jackiem ujął.

— Za jakim? — spytał Cypryanowicz.

— Za panem Taczewskim. Jemu Jacek na imię!

— Ba, a samaś waćpanna tak go surowie skarciła. Poco tak było?

— Gorzej go skarcił opiekun. Ale przyznaję waszmość panu, że nie postąpiliśmy sprawiedliwie i myślę, że należy mu się jakowaś pociecha...

— On też pewnie rad ją z rąk waćpanny przyjmie.

A dziewczyna potrząsnęła swą złotą główką na znak przeczenia.

— Ej nie — odrzekła ze smutnym uśmiechem, już on się na nas na wieki rozgniewał...

Cypryanowicz popatrzył na nią prawdziwie dobrym, ojcowskim wzrokiem:

— Ktoby się tam na ciebie wdzięczny kwiatuszku, potrafił na wieki rozgniewać.

— O! on potrafi!... Ale co do pociechy, to byłaby dla niego najlepsza gdybyś waszmość pan sam mu powiedział, że urazy do niego nie masz i że niewinność jego widzisz. Wtedy już i opiekun musiałby mu jakąś sprawiedliwość wyrządzić, a ta mu się od nas należy.

— Widzę, że waćpanna nie była tak znów bardzo dla niego ostra, skoro się teraz za nim z takiem gorącem sercem ujmujesz.

— Bo mam wyrzuty sumienia i że nie chcę niczyjej krzywdy, i że on jest sam na świecie, i że jest bardzo bardzo ubogi.

— Tedy powiem waćpannie żem to już sobie w duszy postanowił. Waćpanny opiekun, jako gościnny sąsiad, zapowiedział mi, że mnie nie puści, póki mi się syn nie wygoi, ale i Stacha, i Bukojemskich możnaby choćby i jutro zabrać do domu Przedtem jednak z pewnością będę i u pana Taczewskiego i u księdza Woynowskiego, a to nie przez żadną dobroć, ale przez zrozumienie, że im się to ode mnie należy. Jać nie mówię, że jestem zły, jeno tak myślę, że jeśli tu kto jest naprawdę dobry, to nie ja, ale waćpanna. Nie przecz!

Ona jednak przeczyła, bo czuła, że nie o samą sprawiedliwość względem Jacka jej chodzi, ale i o inne sprawy, o których niewtajemniczony w jej dziewczęce rachuby pan Cypryanowicz nie mógł nic wiedzieć. Serce jej jednak wezbrało wdzięcznością dla niego i na dobranoc pocałowała go w rękę za co rozgniewał się na nią pan Pągowski.

— Toć to trzecie dopiero pokolenie, a przedtem kupcy — mówił. — Pamiętaj, ktoś jest!

VI.

W dwa dni później wyjechał Jacek z dziesięciu dukatami do Radomia, aby się ogarnąć przystojnie przed podróżą, a ksiądz Woynowski został na plebanii i rozmyślał, skądby wziąć więcej pieniędzy na cały moderunek żołnierski na wozy, na konie, na poczet i na czeladź — co wszystko towarzysz musiał mieć, jeśli powagę kochał i jeśli chciał, aby jego samego miano za hetkę-pętelkę.

Zwłaszcza wypadało tak wystąpić Taczewskiemu, który nosił wielkie i sławne, lubo już nieco zapomniane w Rzeczypospolitej nazwisko.

Pewnego dnia zasiadł więc ksiądz Woynowski do stolika, namarszczył brwi, że aż biała czupryna zsunęła mu się na czoło, i rachował ile na co będzie potrzeba. "Animalia", to jest pies Filuś, oswojona liszka i borsuk trzeci, przewracały kulki, bawiąc się u jego nóg, ale on na nie nie zważał, tak okrutnie był zajęty i zafrasowany, gdyż 'kalkulacyę" wcale nie chciały dobrze wypadać i rwały się co chwila. Nie stawało nietylko na rzeczy pomniejsze, ale i na główne. Staruszek tarł czoło coraz mocniej, a w końcu zaczął sam z sobą głośno rozmawiać.

— Wziął dziesięć — dobrze. Pewno nic mu nie ostanie. Liczmy dalej: od piwowara Kondrata na borg pięć, od Słoninki trzy, to ośm. Od Dudy talarów bitych pruskich sześć i koń podjezdek na borg. Spłaci się jęczmieniem jeśli urodzi. Razem ośm czerwonych złotych i sześć talarów i dwadzieścia złotych moich. Mało! Choćbym mu oddał wałacha pod czeladnika, to będzie dopiero, licząc z podjezdkiem koni dwa, a do wozu trzeba jeszcze dwa — i dla Jacka samych powodowych najmniej dwa. Pauca! a mniej nie można, bo jeśli mu jeden padnie, musi mieć inne na odmianę. A barwa dla czeladzi, a zapasy na wóz a kotły, opony, a puzdra! Tfu! z takimi pieniędzmi chyba do drogonów iść.

Poczem zwrócił się do zwierząt które znaczny czyniły hałas.

— Cicho tam, odmieńce, bo skóry z was Żydom posprzedaję.

I znów zaczął z sobą rozmawiać.

— Jacek ma słuszność, że Wyrąbki trzeba sprzedać. Jeno, że to potem, gdy zapytają: skąd jesteś? — niema co rzec. Skąd? Z Wiatrowa. Z jakiego Wiatrowa? Z Wiatrowa w polu. Zaraz każdy lekce sobie takiego waży. Lepiejby zastawić, byle się za-

stawnik znalazł. Pągowskiemu byłoby najporęczniej, ale Jacek by o tem słyszeć nie chciał i ja sam nie wszcząłbym z nim tej materyi... Mój Boże! Niesłusznie ludzie mówią: "ubogi, jak mysz kościelna!" — Człeku czasem większa bieda. Mysz kościelna na święty Szczepan (na św. Szczepana lud rzucał wszelakiem ziarnem na księdza przy ołtarzu na pamiątkę ukamienowania tego świętego) godnie żyje a wosk ma o każdej porze. Panie Jezu, któryś pomnożył chleb i ryby pomnóż-że tych kilka czerwonych złotych i tych kilka talarów, bo Tobie, miłościwy Panie nic nie ubędzie, a ostatniemu Taczewskiemu dopomożesz...

Tu przyszło mu do głowy, że pruskie talary, jako z luterskiego kraju pochodzące, "abominacyę" tylko w niebie wzbudzić mogą, ale co do czerwonych złotych zawahał się, czyby ich na noc pod nóżki Chrystusowi nie podłożyć — nuż nazajutrz znajdzie się ich więcej? Nie czuł się jednak godnym cudu i nawet kilkakrotnie uderzył się w piersi w skrusze na myśl zuchwałą. Ale dłużej nie mógł o tem rozmyślać, gdyż ktoś zajechał przed plebanię.

Po chwili otwarły się drzwi i do izby wszedł wysoki siwy mąż z czarnemi oczyma, patrzącemi mądrze i dobrotliwie. Mąż ów skłonił się w progu i rzekł:

— Jestem Cypryanowicz z Jedlinki.

— Jakże, widziałem waszmość pana na odpuście w Przytyku ale jeno zdaleka, bo zjazd był srogi — zawołał ksiądz, posuwając się żywo ku gościowi. — Witam waszmości z radością w moich nizkich progach.

— I ja też z radością tu przybywam — odpowiedział Cypryanowicz. — Wielki to i miły obowiązek pokłonić się tak znamitemu rycerzowi i tak świętemu kapłanowi.

To rzekłszy ucałował staruszka w ramię i w rękę, choć ów bronił się mówiąc:

— At, co za świętość! Może oto te bestiae mają więcej zasługi przed Bogiem, niż ja.

Ale Cypryanowicz mówił z taką prostotą i szczerością, że odrazu tem ujął księdza Woynowskiego, poczęli więc wzajem mówić sobie słowa przychylne i z serca płynące.

— Poznałem i syna waszmości — rzekł staruszek — zacny to kawaler i górnych manier. Owi Bukojemscy przy nim ledwo jak jego dworzanie. To powiadam waćpanu, że Jacek Taczewski tak go odrazu pokochał, że nic, tylko go wciąż wychwala.

— I mój Stach również. Często to bywa, że się ludzie biją,

a potem kochają. Nikt z nas nietylko żadnej urazy do pana Taczewskiego nie żywi, ale wszyscy chcielibyśmy rzetelną amicycyę z nim zawrzeć. Byłem też u niego w Wyrąbkach i stamtąd jadę. Myślałem, że go tu znajdę, i chciałem zaprosić do Jedlinki was księże dobrodzieju mój — i jego.

— Jacek jest w Radomiu ale jeszcze tu wróci i pewnie chętnie służyć będzie.... Ale patrz-że waszmość pan, jako to się tam z nim obeszli w Bełczączce.

— Sami się w tem spostrzegli — odrzekł pan Cypryanowicz — i już tego żałują: nie pan Pągowski, ale niewiasty.

— Pan Pągowski to człek zawzięty jak mało kto, i ciężki kiedyś zda z tego rachunek przed Bogiem a co do niewiast — Bóg z niemi... Co tu ukrywać, że całego tego pojedynku przyczyna, to jedna z nich.

— Ja się tego też domyślałem zanim mi syn potwierdził. Ale to niewinna przyczyna.

— Wszystkie one niewinne... A czy waszmość wiesz co eklezyasta mówi o niewiastach?

Pan Cypryanowicz nie wiedział, więc ksiądz Woynowski zdjął z półki wulgatę i odczytał ustęp z eklezyasty poczem rzekł:

— A co?

— Bywają i takie — odpowiedział pan Cypryanowicz.

— Jacek też nie z innej przyczyny rusza w świat. Ale tego wcalem mu nie odradzał. Owszem!

VII.

Jakże to? zaraz? Wojna latem się dopiero rozpocznie.

— Wiesz waćpan napewno?

— Wiem bo dopytuję, a dopytuję dla tego, że i mojego syna nie utrzymam.

— Od tego szlachcic. Jacek zaś zaraz rusza, bo, mówiąc prawdę, boleśnie mu tu zostawać.

— Rozumiem rozumiem wszystko. Pośpiech — najlepsze to w takich terminach lekarstwo.

— To też tyle tylko czasu jeszcze w tych stronach zabawi, ile będzie trzeba, aby Wyrąbki przedać lub zastawić. Nieduży to wyczółek, ale przecie radzę Jackowi by wolej zastawił niż sprzedawał. Choćby też nie miał nigdy już do nich wrócić, zaw

sze się może z nich pisać, a to jest przystojnie dla człowieka z jego krwią i nawiskiem.

— Zali koniecznie musi sprzedawać albo zastawiać?

— Musi. Człowiek jest ubogi, całkiem ubogi. Waszmość wiesz, ile każda wyprawa kosztuje, a on w byle dragońskim regimencie służyć nie może.

Pan Cypryanowicz zastanowił się przez chwilę, poczem, rzekł:

— To wiecie co, dobrodzieju, może jabym wziął w zastaw Wyrąbki?

Ksiądz Woynowski zarumienił się jak panna, której młodzieniec wyznaje niespodzianie to, co jaknajprędzej pragnęła usłyszeć; ale rumieńce owe przeleciały mu tak szybko przez twarz, jak letnia błyskawica przelatuje przez wieczorne niebo, poczem spojrzał bystro na Cypryanowicza i zapytał:

— A waszmości co po tem?

Lecz ów odpowiedział z całą szczerością zacnej duszy:

— Co mi po tem? To, że chcę zacnemu młodzianowi przysługę bez straty dla siebie oddać, za którą jeszcze sobie wdzięczność jego zaskarbię. Nie bójcie się ojcze dobrodzieju, mam przytem i swoje w tem wyrachowanie. Oto wyprawię swojego jedynaka do tej samej chorągwi, w której będzie służył pan Taczewski i tuszę, że mój Stach najdzie w nim godnego kompaniona i przyjaciela. Wiecie, jaka to ważna rzecz kompania, i co to jest wierny przyjaciel przy boku i w obozie, gdzie tak łatwo o zwadę i na wojnie gdzie łatwiej jeszcze o śmierć. Bóg mi fortuny nie poskąpił, a dziecko dał tylko jedno. Pan Taczewski jest mężny, trzeźwy mistrz, jako się pokazało do szabli — i cnotliwy, bo wyście go hodowali! Niech-że będą ze Stachem jako Orestes i Pylades. Oto moje wyrachowanie.

Ksiądz Woynowski otworzył mu szeroko ramiona.

— A to Bóg waści zesłał! Za Jacka ja ręczę, jak za siebie samego. Złoty to chłop i serce ma wdzięczne, jak pszenna ziemia. Bóg waści zesłał! Będzie teraz mogło moje chłopczysko pokazać się, jak na Taczewskiego z Pował przystoi — i co najważniejsza może ujrzawszy szeroki świat, zapomni o tej dziewce, dla której lat tyle zmarnował i tyle przecierpiał.

— Także to ją od dawna miłował?

— Ba, prawdę mówiąc, od małego dziecka. A i teraz nie mowi nic, zęby zacina, ale wije się jako węgorz na trzonie... A, niechże jedzie jak najprędzej, bo z tego nie mogło i nie może nic

być.

Nastała chwila milczenia.

— Trzeba jednak acuratissime o tych sprawach pogadać — rzekł wreszcie staruszek. — Ile waszmość pan możesz dać na zastaw Wyrąbków? Lichy to płachetek.

— Choćby i sto dukatów.

— Bój-że się waszmość Boga!

— A czemu? Jeśli pan Taczewski spłaci mi to kiedyś, to wszystko jedno, ile dam, a jeśli nie spłaci, to także wyjdę na swoje, bo tu wkoło ziemie liche, a to nowina po lesie, która przeto musi być dobra. Ja dziś zabieram Stacha i Bukojemskich z powrotem do Jedlinki, a waszmościowie bądźcie na nas łaskawi, jak tylko pan Taczewski z Radomia wróci. Pieniądze będą gotowe.

— Z nieba-ś się waszmość wziął razem ze swoją fortuną i ze swojem złotem sercem — odpowiedział ksiądz Woynowski.

Poczem kazał przynieść miodu, sam ponalewał kusztyczki i pili z ochotą, jak piją ludzie, mający radość w sercu. Przy trzecim jednak kusztyczku spoważniał ksiądz i rzekł:

— Za pomoc, za dobre słowo, za waćpanową poczciwość niech choć dobrą radą zapłacę.

— Słucham.

— Nie osadzaj waść syna w Wyrąbkach. Dziewka jest gładka nad wszelką imaginacyę. Może być przytem sama w sobie i zacna, nie przeczę, ale to Sienińska, z czego nie ona sama, ale pan Pągowski jest tak pyszny, że, gdyby o nią się posunął — albo ja wiem? — choćby nasz sam królewicz Jacobus, jeszczeby się to staremu nie wydało zanadto. Strzeż-że waść syna, nie pozwól mu, aby sobie o tę pychę młode serce podrapał, albo i śmiertelnie, jak Jacek poranił. Ze szczerej i życzliwej przyjaźni to waści mówię, chcąc dobrem za dobre zapłacić.

Pan Cypryanowicz przeciągnął dłonią po czole i tak rzekł:

— Spadli nam do Jedlinki, z powodu podróżnej przygody, jakoby z chmur. Ja byłem kiedyś w domu pana Pągowskiego z sąsiedzkiemi odwiedzinami, ale on nie był u mnie. Wymiarkowawszy stąd jego pychę, więcej jego przyjaźni i znajomości nie szukałem. Samo to przyszło. Syna jednakże w Wyrąbkach nie osadzę, ani też bałamucić mu się w Bełczączce nie pozwolę. Nie tak my stara szlachta jak Sienińscy, ani może jak Pągowski — ale szlachta i to wyrosła z wojny, z tego co boli, jako mawiał pan Czarnecki. Godność naszą potrafimy zachować — i mój syn niemniej odemnie jest na to czuły. Strzały Kupidyna trudno się

młodemu ustrzedz, ale powiem wam, dobrodzieju co mi Stach rzekł, gdym go teraz w Bełcząctce o dziewkę rozpytywał: "Wolę — powiada — jabłka nie urwać, niż za wysoko podskakiwać,

— O, to dobrze ma w głowie! zawołał ksiądz.

— Taki on był od małego — odrzekł z pewną dumą Cypryanowicz. — Przytem powiedział i to jeszcze że, gdy teraz dowiedział się, czem ta dziewka była dla Taczewskiego i co on dla niej przeszedł — nie chciałby za nic, tak godnemu kawalerowi w drogę wchodzić. Nie, mości dobrodzieju — nie dlatego ja biorę w zastaw Wyrąbki, by synowi memu było do Bełcząćzki blizko, Niech mi Bóg chłopca strzeże i wszelkiego złego go uchroni!

— Amen. Wierzę, jakoby mi anioł powiadał. A tę pannę niech kto trzeci weźmie, choćby jeden z panów Bukojemskich, którzy szczycą się tak wielką parantelą.

Cypryanowicz począł się śmiać, poczem dopił miodu, pożegnał się i odjechał. Ksiądz Woynowski udał się do kościoła, aby Bogu podziękować za niespodzianą pomoc niecierpliwie czekał na Taczewskiego.

A gdy nareszcie Jacek wrócił, wybiegł do niego aż na podwórze, chwycił go w ramiona i począł wołać:

— Jacku! za jedno dogonienie możesz dziesięć dukatów zapłacić. Sto czerwonych masz jakoby na stole i Wyrąbki przy tobie zostają!

A Taczewski utkwił w niego zapadłe z męki i bezsenności oczy i zapytał ze zdziwieniem:

— Co się stało?

Stała się zaś istotnie rzecz dobra, bo płynąca z uczciwego ludzkiego serca. Z największą też pociechą zauważył ksiądz Woynowski, że Jacek mimo ciężkiego strapienia i wszystkich serdecznych udręczeń, nabrał jakoby nowego ducha na wiadomość o układzie z Cypryanowiczem. Przez kilka dni mówił i myślał tylko o koniach, wozach, o rynsztunku wojennym i czeladzi tak, iż zdawało się, że w duszy jego niemasz już na nic innego miejsca.

— To ci lekarstwo, to ci balsam, to ci dryakiew — powtarzał sobie w duchu ksiądz Woynowski — bo, żeby kto nie wiem jak był przez niewiastę usidlon, żeby nie wiem jaki nieszczęśnik, to przecież, jeśli na wojnę idzie, musi obaczyć, czy nie dychawicznego, albo nie włogawego konia kupuje, musi między szablami wybrać, a pancerza przymierzyć, a kopią się raz i drugi złożyć, przez co animus zaraz się od niewiasty odwróci, i przystojniejszemi rzeczami zajęty, sercu też ulgę zapewni.

I wspomniał jako niegdyś, za młodych lat, sam szukał w wojnie zapomnienia albo śmierci. Ale że teraz wojna jeszcze nie rozkwitła, więc Jackowi w każdym razie było do śmierci daleko, a tymczasem cały zaprzątnięty był wyprawą i związanemi z nią sprawami.

Było zaś czynności dużo.

Obaj Cypryanowicze przyjechali znów do księdza Woynowskiego u którego mieszkał Jacek. Poczem wszyscy razem udali się do ogrodu, aby spisać akt zastawu. Tamże sporządzoną została część Jackowej wyprawy, której resztę doświadczony i przezorny ksiądz Woynowski radził załatwić w Warszawie, albo w Krakowie. Wypełniło to kilka dni od rana do wieczora, przyczem wygojony już prawie zupełnie po nieznacznem skaleczeniu, Stanisław Cypryanowicz pomagał gorliwie Jackowi, z którym coraz ściślejszą zawiązywał znajomość i przyjaźń.

Cieszyli się na ów widok starzy, albowiem obu wielce na tem zależało. Zacny pan Serafin począł nawet żałować, że Jacek tak prędko odjeżdża i namawiać księdza, aby wyjazd jego nie przyspieszał.

— Rozumiem, — mówił — rozumiem dobrze, dlaczego byście go chcieli, ojcze dobrodzieju, jako najprędzej wyprawić, ale po sprawiedliwości muszę powiedzieć, że ja o tej pannie Sienińskiej źle nie myślę... Już-ci prawda, że w pierwszej chwili niezbyt wdzięcznie Jacka po pojedynku przyjęła ale pomyślcie, że Stach i Bukojemscy dopiero co i ją, i panią Winnicką z wilczej paszczęki wyrwali; cóż więc dziwnego, że na widok ich ran i krwi chwycił ją gniew, który jako wiem, eksytował w niej umyślnie i Pągowski. To, — to zawzięty prawdziwie człek, ale dziewczyna, gdym tam u nich był, przyszła już do mnie całkiem skruszona: "Przyznaję, —powiada — że nie postąpiłyśmy sprawiedliwe i że się panu Jackowi należy jakowaś od nas pociecha." I zaraz ci jej oczka zmokły, aż mi się zrobiło żal, że to przytem liczko nad miarę gładkie. Ale duszę to ona ma sprawiedliwą i krzywdę czuje...

— Na miły Bóg, niechże Jacek o tem nie wie, bo zaraz by mu serce znów pod gardło podeszło, a ledwie że począł lepiej dychać. Uciekł stamtąd bez czapki, przysiągł, że nie wróci — i niech go Bóg od tego broni. Niewiasty widzisz waszmość. są jeno te ogniki, co w Jedlni na tłustych błotach nocami chodzą. Gonisz go — ucieka; uciekasz — on cię goni... Ot co!...

— Mądra to jest sentencya, którą muszę dla Stacha zakonotować — rzekł pan Serafin.

— A Jacek niech jedzie jaknajprędzej. Wygotowałem mu już listy do różnych znajomych i dygnitarzy, których znałem, gdy nie byli jeszcze dygnitarzami, i do żołnierzy, co znamienitszych... W tych listach polecam i waściwego syna, jako godnego kawalera, a gdy przyjdzie na niego czas wyruszyć, to mu jeszcze dam osobne, choć to może i zbyteczna, bo mu już tam Jacek drogę utoruje. Niech służą razem.

— Dziękuję wam, ojcze dobrodzieju, z sałej duszy. Tak! niech służą razem i niech do końca życia w stałej amicycyi dotrwają. Mówiliście o chorągwi królewicza Aleksandra, która pod Zbierzchowskim chodzi. Górna to chorągiew, może i najpierwsza w usaryi, więcbym dla Stanisława okrutnie był rad, a on mi powiedział tak: "lekka jazda na sześć dni w tygodniu, a usarze tylko jakoby na niedzielę."

— Generaliter prawdę powiedział — odrzekł ksiądz. — Jużci, usarzy na podjazdy nie posyłają i rzadko też który na harc wyjeżdża, że to takiemu żołnierzowi nie przystoi z byle kim się potykać; ale też za to jak przyjdzie ich niedziela, to się tak napiją a natratują, że inni przez sześć dni tyle krwi nie wytoczą. Zresztą nie wojnie rozkazują, ale wojna rozkazuje, więc czasem się trafi, ż i usarze mają powszednią robotę.

— Ojciec dobrodziej wiesz to najlepiej...

Ksiądz Woynowski przymknął na chwilę oczy, jakby chcąc przypomnieć sobie dokładniej czasy ubiegłe, poczem podniósł szklanicę, spojrzał pod światło na miód, pociągnął jeden i drugi łyk i rzekł:

— Tak było, gdyśmy pod koniec wojny szwedzkiej poszli pokarać zdrajcę elektora za zmowę z Carolusem. Poniósł pan marszałek Lubomirski ogień i miecz pod sam Berlin. Byłem wtedy towarzyszem w jego własnej chorągwi, której Wiktor porucznikował. Zastawiał nam się Brandeburczyk, jako mógł: to piechotą, to pospolitem ruszeniem, w którem była szlachta niemiecka — i mówię waści, że nam usarzom, tak samo jak i nadwornym kozakom ledwie że w końcu ramiona w zawiasach chodziły...

— Takaż to była ciężka robota?

— Nie była ciężka, bo na sam nasz widok tak niebożętom muszkiety i dzidy w rękach się trzęsły, jako gałęzie na wietrze — ale była codzień, od rana do wieczora. Czy wrażasz kopię w piersi, czy w plecy, jednako się trudzisz. Hej, miłaż to była wy-

prawa, bo, jako się rzekło: pracowita, a swoją drogą w życiu ja się tyle ludzkich i końskich zadów nie napatrzył, ile wówczas. Spustoszyliśmy też z połowę Brandenburgii tak godnie, że aż Luter w piekle płakał.

— Miło wspomnieć, że zdrada otrzymała słuszną karę.

— Pewnie, że miło. Przyjechał potem elektor do pana Lubomirskiego prosić miru. Jam tego nie widział, ale powiadali potem żołnierze, że pan marszałek chodził po majdanie wsparty w boki, a elektor dreptał ciągiem za nim i kłaniał się tak, że bez mała peruką do ziemi dostawał, i pod kolana marszałka chytał — ba! mówili nawet, że i całował gdzie popadło, ale temu to i nie bardzo daję wiary, gdyż pan marszałek, mając serce pyszne, lubił nieprzyjaciela przygiąć, ale człowiek był przytem polityczny — i nie byłby na nic podobnego zezwolił.

— Daj Bóg, aby teraz z Turkami tak poszło, jak wonczas z Brandenburczykiem.

— Niewysoka ci jest moja eksperyencya, ale za to długa, powiem tedy szczerze waszmości, iż myślę, że pójdzie albo tak, albo jeszcze i lepiej. Pan marszałek był wojownik doświadczony i zwłaszcza fortunny, ale przecie z naszym Jegomością, dziś szczęśliwie nam panującym, porównać go nie może.

Poczem wspominali wszystkie zwycięstwa królewskie i bitwy, w których sami jeszcze brali udział, pijąc za zdrowie króla i ciesząc się, że pod takim wodzem młodzi nietylko wojny zażyją ale i sławy niezmiernej nabędą, zwłaszcza że wojna miała być z odwiecznym nieprzyjacielem krzyża.

Wprawdzie nikt nic o niej dobrze nie wiedział.

Nie było też jeszcze wiadomo, czy potęga turecka zwróci się naprzód na Rzeczpospolitą, czy na cesarza. Sprawa przymierza z dworem rakuskim miała być dopiero na sejmie poruszoną. Ale już na zjazdach szlacheckich i sejmikach powiatowych mówiono tylko o wojnie. Statyści. którzy bywali w Warszawie i przy dworze, przepowiadali ją bez ochyby, a prócz tego cały naród ogarnęło jakoweś przeczucie, że musi ona nastąpić — przeczucie, niemal od samej pewności silniejsze, a wysnute zarówno z dotychczasowych czynów królewskich, jak i z powszechnej woli i z przeznaczeń narodowych.

VIII.

W drodze z Radomia zaprosił ksiądz Woynowski Cypryanowiczów, aby wstąpili dla wytchnienia na plebanię, poczem miał wraz z Jackiem udać się do nich do Jedlinki. Tymczasem zajechali go niespodzianie trzej panowie Bukojemscy. Marek, który miał przecięty obojczyk, nie mógł się jeszcze ruszać, ale Mateusz, Łukasz i Jan przybyli pokłonić się staruszkowi i podziękować mu za opatrunek. Janowi brakło wprawdzie małego palca, a starsi mieli potężne kresy — jeden na czole, drugi na policzku — ale zresztą wygoili się całkiem i byli zdrowi jak rydze.

Przed dwoma dniami wyprawili się już do puszczy na łowy i podkurzywszy śpiącą niedźwiedzicę w barłogu, skłuli ją oszczepami, a piastuna przywieźli w darze księdzu, którego miłość dla leśnych bestyi znana była powszechnie.

Staruszek, któremu przypadli do serca jako "chłopy szczere", ucieszył się i do nich i do niedźwiadka — i aż popłakał się ze śmiechu, gdy ów, porwawszy jeden z kunsztyków, nalanych dla gości miodem, począł ryczeć w niebogłosy dla wzbudzenie należytego postrachu i zabezpieczenia sobie łupu.

Poczem, widząc ze mu nikt nie odbiera, stanął na zadnich nogach i wypił jak człowiek, co jeszcze większą wzbudziło radość.

— Nie uczynię go ani piwnicznym, ani bartnikiem — mówił rozbawiony ksiądz.

— Ha! — wołał, śmiejąc się Stanisław Cypryanowicz, krótko był w szkole u Bukojemskich, ale przez jeden dzień tyle skorzystał, ileby się w boru przez całe życie nie nauczył.

— A nieprawda — odrzekł Łukasz — gdyż to jest bestya, która z przyrodzenia ma ten dowcip, że wie, co jest dobre. Ledwieśmy go z lasu przywieźli, zaraz się gorzałki napił, jakby co rano w lesie pijał, a potem psu dał w pysk: "naści (powiada) nie obwąchuj" — i poszedł spać.

— Dzięki waszmościom, szczerą będę miał z niego pociechę — rzekł — ksiądz — ale go piwnicznym nie uczynię, bo choć na napitkach zna się dobrze, zbyt by gorliwie koło nich chodził.

— Niedźwiedź niejedno potrafi — zauważył Jan — u księdza Głomińskiego, w Przytyku, jest taki, o którym powiadają, że do organów kalikuje. Ale niektórzy się tem gorszą, bo czasem też i sam ryknie, zwłaszcza gdy go drągiem poekscytują.

— Niemasz w tem nijakiego zgorszenia — odpowiedział ksiądz — ptacy sobie gniazda w kościołach czynią i na chwałę Boską śpiewają, a nikt się tem nie gorszy. Każdy zwierz to też służka Boży, a Zbawiciel w stajence się narodził.

— Mówią przytem — rzekł Mateusz — że Pan Jezus młynarza w niedźwiedzia zmienił, więc może się i w nim dusza ludzka ostała.

A na to starszy Cypryanowicz:

— Toście młynarzową w takim razie zabili, za co musicie odpowiadać. Król Jegomość bardzo o swoje niedźwiedzie zazdrosny i nie po to leśniczych trzyma, aby mu je zabijali.

Usłyszawszy to trzej bracia zatroskali się rzetelnie i dopiero po dłuższym namyśle, Mateusz, chcąc coś powiedzieć na obronę spólnego uczynku, rzekł:

— Ba, albośmy to nie szlachta? Tacy dobrzy Bukojemscy, jak i Sobiescy.

Lecz Łukaszowi przyszła do głowy szczęśliwa myśl, więc zaraz rozpogodził oblicze:

— Daliśmy kawalerski parol — rzekł — że nie będziem niedźwiedzi strzelać — prawda? To też nie strzelamy, jeno kłujem.

— Nie o niedźwiedziach teraz król jegomość myśli — zauważył Jan — a przytem nikt mu nie doniesie. Niechby który leszczowy śmiał... Ha! szkoda wszelako, żeśmy się panu Pągowskiemu i panu Grothusowi z tem pochwalili, bo pan Grothus właśnie do Warszawy jechał, a że króla często widuje, to może tam przypadkiem się wygadać.

— A kiedyście Pągowskiego spotkali? — zapytał ksiądz.

— Wczoraj. Właśnie pana Grothusa odprowadzał. Wiecie, dobrodzieju gdzie jest karczma, co się Mordownia nazywa? Zajechali tam koniom dać wytchnąć i nas zastali. Począł tedy Pągowski o różne rzeczy wypytywać a i Jacka też.

— O mnie? — zapytał Taczewski.

— Tak. "Czy prawda (pyta), że Taczewski do chorągwi jedzie?"

— Powiadamy: Prawda!

— A kiedy?

— Pono wkrótce. — Tak Pągowski znów mówi: To dobrze, ale chyba do piechoty.

Na to rozgniewaliśmy się wszyscy, a Mateusz powiada:

— Jegomość takich rzeczy nie suponuj, bo Jacek teraz nasz

przyjaciel i musielibyśmy się za nim ująć. I że to zaczęliśmy tro chę sapać, więc on się pomiarkował i rzekł:

— Nie mówię ja tego z jakiej osobliwej nieżyczliwości, jeno wiem, że Wyrąbki — nie starostwo.

— Starostwo, czy nie starostwo, a jemu zasię! — zawołał ksiądz. — Niechże sobie tem głowy nie zaprząta.

Widocznie jednak pan Pągowski odmiennego w tej sprawie był zdania i zaprzątał sobie głowę Jackiem, albowiem w godzinę później pachołek przyniósł razem z nowym gąsiorkiem miodu list z pieczęcią i rzekł:

— Jest posłaniec do jegomości z Belczączki.

Ksiądz Woynowski wziął list, odpieczętował rozwinął, udarzył wierzchem dłoni w arkusz i zbliżywszy się do okna, począł czytać.

A Jacek aż przybladł ze wzruszenia: patrzył jak w tęczę w ową kartę, albowiem przeczucie mówiło mu, że o nim w niej będzie mowa. Myśli, jak jaskółki, przelatywały mu przez głowę: nuż stary się skruszył, nuż to są przeprosiny? Tak powinno być i nawet nie może być nic innego Pągowski nie miał przecie prawa gniewać się o to, co zaszło, więcej od tych, którzy ucierpieli w zajściu. Więc oto ozwało się sumienie: poznał niesprawiedliwość swego postępku, zrozumiał, jak ciężko niewinnego człowieka pokrzywdził i pragnie naprawić krzywdę.

Serce poczęło w Jacku bić jak młotem: Och, pojadę — mówił sobie w duszy — nie dla mnie tamto szczęście, a choć i przebaczę, to już zapomnieć nie potrafię, ale by raz ujrzyć jeszcze przed wyjazdem tę tak okrutną a tak umiłowaną Anulę, raz się jej jeszcze napatrzyć, raz jeszcze głos jej usłyszyć — tego mi, miłosierny Boże, nie odmawiaj!

I myśli leciały szybciej jeszcze od jaskółek, ale nim przeleciały, stało się coś całkiem niespodziango, bo oto nagle ksiądz Woynowski zmiął list w ręku i chwycił się za lewy bok, jakby szukając szabli. Oblicze zaszło mu krwią, szyja napęczniała, a oczy ciskały błyskawice. Był poprostu tak straszny, że Cypryanowicze i Bukojemscy patrzyli na niego z takiem zdumieniem, jak gdyby przez jakieś czary zmienił się nagle w innego człowieka.

W izbie zapanowało głuche milczenie.

Tymczasem ksiądz pochylił się ku oknu, jakby na coś przez nie wyglądał, poczem odwrócił się, spojrzał naprzód po ścia-

nach, potem na gości, ale widocznie zwalczył się już i opamiętał bo twarz mu zbladła i płomień przygasł w oczach.

— Mości panowie, — rzekł — to człowiek nietylko zapalczywy, lecz i zgoła zły. Bo powiedzieć w zapalczywości więcej niż słuszność pozwala, to się każdemu trafi, ale z zawziętości krzywdzić dalej i deptać po pokrzywdzonym, to już nie szlachecka i nie katolicka rzecz.

To rzekłszy, pochylił się, podniósł zmięty list i zwrócił się do Taczewskiego.

— Jacku, jeśli ci jeszcze jaka drzazga w sercu została, to tym nożem ją wykroisz. Czytaj nieboże, czytaj w głos, bo nie ty się wstydzić powinieneś, ale ten, kto taki list napisał. Niech się ichmościowie dowiedzą, jaki jest pan Pągowski.

Jacek chwycił drżącemi rekoma kartę, rozwinął ją i czytał:

"Mnie wielce miłosciwy księże probszczu Dobrodzieju etc. ect.

"Dowiedziawszy się, iż Taczewski z Wyrąbek, któren bywa' w moim domu, ma się wtych czasach udać do wojska, przez pamięć na chleb, którym go w ubóstwie jego karmiłem i dla posług, do których czasami trafiło się go używać, posyłam mu podjezdka i dukat na podkowy z zaleceniem, aby go na inne niepotrzebne rzeczy nie przetrwonił.

"Polecając zarazem chętne a gorliwe służby moje, piszę się... etc. etc."

Jacek zbladł tak bardzo po przeczytaniu listu, że aż obecni zlękli się o niego, zwłaszcza ksiądz, który nie był pewny, czy ta bladość jest jak zwiastunką szalonego wybuchu, a wiedział jak straszny bywa w gniewie ten, tak łagodny zwykle młodzian. Począł go też odrazu hamować:

— Pągowski stary jest i niema ręki — mówił spiesznie — wyzwać go nie możesz!...

Lecz Taczewski nie wybuchnął, albowiem niezmierne i bolesne zdumienie wzięło w nim w pierwszej chwili górę nad wszelkiemi innemi uczuciami.

— Wyzwać go nie mogę — powtórzył, jak echo — ale dlaczego on jeszcze mnie depcze?

Na to podniósł się starszy Cypryanowicz, wziął obie ręce Jacka, potrząsnął niemi silnie, poczem ucałował go w czoło i rzekł:

— Sobie jeno Pągowski tem ubliżył, nie tobie, a jeśli zemsty poniechasz, tembardziej będzie każdy podziwał twoją wspa

niałą i godną wielkiej krwi duszę.

— Oto mądre słowa! — zawołał ksiądz — których musisz okazać się godnym...

Z kolei uściskał Jacka Stanisław Cypryanowicz.

— Prawdę mówiąc — rzekł — to coraz więcej cię kocham...

— Niech tak będzie jak chce — ozwał się wreszcie Łukasz — ale na miejscu Jacka inaczej jabym sobie poradził.

— Jak? — zapytali z ciekawością dwaj bracia.

— Właśnie że nie wiem jak, ale bym się namyślił i swegobym nie darował.

— Skoro nie wiesz to się nie odzywaj.

— A wy, co niby wiecie?

— Cicho wać! — rzekł ksiądz. Jużci bez odpisu tego listu nie ostawim, ale zemsty poniechać — chrześcijańska i katolicka rzecz.

— Ba! a jegomość też się w pierwszej chwili za bok porwał.

— Bom za długo przy nim szablę nosił. Mea culpa! A jako rzekł, zachodzi jeszcze i ta okoliczność, że Pągowski jest stary i bez ręki. Na nic tu żelazne racye... i powiem waściom, że właśnie dlatego brzydnie mi do ostatka ten zaciekły człek, że w tak paskudny sposób z bezkarności korzysta.

— Będzie mu wszelako przyciasno w naszej okolicy — rzekł Jan Bukojemski. — Już to nasza głowa w tem, żeby żywa noga pod jego dachem nie postała...

— Tymczasem trzeba odpisać — przerwał ksiądz — i to zaraz.

Jednakże przez chwilę jeszcze namyślali się, kto ma odpisać: czy Jacek dla którego był list przeznaczony, czy ksiądz do którego był przesłany. Stanęło na tem, że ksiąd; sam Taczewski rzecz rozstrzygnął rzekłszy:

— Dla mnie cały ten dom, i wszyscy ludzie jakby wymarli i szczęście dla nich żem to sobie w duszy powiedział.

— Tak ci i jest! mosty spalone! — dorzucił ksiądz, szukając piór i papieru.

Na to Jan Bukojemski:

— To dobrze, że mosty spalone, ale lepiejby było, żeby i Bełczączka poszła z dymem! Bywało tak u nas na Ukrainie, gdy się jaki obcy przybłęda osiedlił a z ludźmi żyć ni umiał. to się samego usiekło, majątek zaś puszczało się z dymem.

— Nikt jednakże nie zwrócił uwagi na te słowa, prócz starszego Cypryanowicza, który machnął niecierpliwie ręką i odparł:

— Waćpanowie przybyli w te strony z Ukrainy, ja z pod Lwowa a pan Pągowski z Pomorzan, to, wedle waścinego dowcipu, pan Taczewski mógłby nas wszystkich za przybłędów uważać; ale wiedz o tem, że rzeczpospolita to jest wielki dom, w którym mieszka familia szlachecka i w którego każdym kącie szlachcic jest u siebie...

Nastało milczenie, z alkierza dochodziło tylko skrzypienie pióra i wymawiane półglosem słowa, które ksiądz sam sobie dyktował.

Taczewski wsparł czoło na dłoniach i czas jakiś siedział bez ruchu; nagle wyprostował się, spojrzał po obecnych i przemówił:

— Jest coś takiego, czego wyrozumieć nie mogę.

— My też nie rozumiemy — odrzekł Łukasz Bukojemski — ale jeśli się miodu jeszcze napijesz to i my się napijem.

Jacek nalał machinalnie miodu w kusztyki, jednocześnie zaś, idąc za biegiem własnych myśli, mówił dalej:

— Bo, że się pojedynek począł w jego domu, za to Pągowski, — chociaż takie rzeczy przytrafiają się wszędzie — mógł się obrazić. Ale on teraz wie, że nie ja wyzwałem, wie, żem z waćpanami już w zgodzie, wie, że się więcej u niego w domu nie pokażę — i jeszcze mnie ściga, jeszcze podeptać usiłuje...

— Prawda, że to jakaś osobliwa zaciekłość — rzekł stary Cypryanowicz.

— Ha! waszmość też mniewasz, że w tem coś jest?

— W czem? zapytał ksiądz, który, wyszedłszy z gotowym listem z alkierza, usłyszał ostatnie słowa.

— W tej osobliwej dla mnie nienawiści.

— Ksiądz spojrzał na półkę, na której stało, śród kilku innych ksiąg, Pismo święte, i rzekł:

— To ja ci powiem, com zresztą dawno mówił: w tem jest mulier.

Tu zwrócił się do obecnych:

— Czym waćpanom zacytował, co mówi o niewieście Eklezyasta?...

Lecz nie mógł skończyć, gdyż Jacek zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem, wbił palce w czuprynę i począł prawie krzyczeć z bólem niezmiernym:

— Tembardziej nie rozumiem, bo jeśli kto w świecie... bo jeślim komu w świecie... bo jeśli jest kto taki... to przecie duszę całą...

I nie mógł nic więcej powiedzieć, gdyż serdeczna boleść chwyciła mu gardło, jakby w kleszcze i zebrała się w oczach w postaci dwóch wielkich a gorzkich i palących łez, które spłynęły mu po policzkach.

Lecz ksiądz zrozumiał go doskonale.

— Mój Jacku — radził lepiej ranę wypalić, choćby z największym bólem, niż żeby się jątrzyła: dlatego nie oszczędzam cię. Hej! i ja swego czasu byłem żołnierzem świeckim, przeto wiele rzeczy rozumiem. Wiem iż, bywa tak, że pamięć i żal, choćby człowiek najdalej odjechał, wloką się za nim jako psi i, po nocach wyjąc, spać mu nie dają. Więc co? więc lepiej odrazu je zabić. Ty w tej chwili czujesz, że byłbyś sam oddał wszystką kerw, z której przyczyny, ci tak dziwno i straszno że właśnie zemsta cię z tamtej strony ściga. I rzecz wydaje ci się niepodobna... Bo jeśliś sam niewieścią pychę i niewieście samolubstwo zadrażnił, jeśli liczono, że będziesz skomlał a tyś nie skomlał, jeśli cię wybito, a tyś się nie łasił, jeno za łańcuch targnął i zerwał, to wiedz, że ci to nigdy nie będzie wybaczone i że zacieklejsza, niźli bywa, męska nienawiść ścigać cię będzie zawsze, A na to rada jest tylko jedna: złamać afekt, choćby o własne serce i cisnąć daleko od siebie, jako pęknięty łuk — ot co!

I znowu nastała chwila milczenia. Stary Cypryanowicz kiwał głową, przytwierdzając mądrość jego słów.

Jacek powtórzył:

— Prawda żem za łańcuch targnął i żem go zerwał. Tak, to nie Pągowski mnie ściga!

— Już wiem, cobym zrobił — ozwał się nagle Łukasz Bukojemski.

— Mów nie ukrywaj! — zawołali dwaj bracia.

— A wiecie, co powiada zając?

— Jaki zając? czyś się upił?

— A ten co pod miedzą.

I, widocznie podochocony wstał, wziął się w boki i zaczął śpiewać,

Siedzi sobie zając pod miedzą,
Pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą,
Nie wiedzą.

Siedzi sobie, lamentuje
I testament zapisuje
Pod miedzą.

Tu zwrócił się do braci i zapytał:
— A wiecie, jaki jest tenor testamentu?
— Wiemy, ale miło posłuchać!
— To słuchajcie:

Pocałujcie że mnie wszyscy,
Dojeżdżacze i myśliwcy,
Pod miedzą...

Ot, tobym ja na miejscu Jacka wszystkim w Bełczączce napisał a jeśli on tego nie uczyni, nich mnie pierwszy janczar wypatroszy jeżeli ja tego w mojem i waszem imieniu Pągowskiemu na pożegnanie nie napiszę.

O, jak mi Bóg miły, to jest przednia myśl! — zawołał z radością Jan.

— I z fantazyą i do rzeczy!

— Niech Jacek tak odpisze!

— Nie — rzeł ksiądz, którego zniecierpliwiła rozmowa braci — nie Jacek odpisuje jeno ja, a mnie się pożyczać terminów od waszmościów nie godzi.

Tu zwrócił się do Cypryanowiczów i do Jacka:

— Materya była trudna, bo trzeba było i złości rogów przytrzeć, i z polityką się nie rozminąć i pokazać, że się domyślamy skąd wysunęło się żądło. Przeto posłuchajcie, a jeśliby który z waszmościów grzeczną jaką uwagę uczynił, to i owszem.

I począł czytać:

"Wielmożny mości dobrodzieju, a mnie wielce miły Panie i Bracie...

Tu uderzył wierzchem dłoni w kartę i rzekł:

— Uważcie waszmościowie, że mu nie piszę: "a mnie wielce miłościwy" jeno: "mnie wielce miły..."

— Będzie miał dość! — rzekł pan Serafin — czytaj dobrodziej dalej.

— Tedy słuchajcie:

"Wiadoma to jest rzecz wszystkim obywatelom w Rzeczpospolitej naszej zamieszkałym, że ci tylko w każdem zdarzeniu przystojną politykę conservare et applicare umieją, którzy, albo od młodości z politycznemi przestawali ludźmi, albo,

którzy z wielkiej krwi pochodząc, z przyrodzenia już ją na świat z sobą przynieśli. Co, że ani jedno, ani drugie nie przypadło W. Mości Panu Dobrodziejowi w udziale, przeto W. Pan Jacek Taczewski, który ex contrario Wać. M. Pana i krew i duszę odziedziczył po sławnych, przodkach wspaniałą, odpuszcza mu się jego prostackie słowa, a również prostackie dary odsyła. Że zaś, jako campones, którzy gospody w miastach, albo zajazdy po drogach trzymają, za gościnność której W. Pan Jacek Taczewski w domu W. Mości doznawał, jakoby rachunek podajesz, z takowej racyi gotów jest W. Taczewski wszelkie expensa zwrócić, z odpowiednim przyrodzonej swej hojności suplementem:...''

— O, jak mi Bóg miły — przerwał starszy Cypryanowicz — chyba Pągowskiego krew zaleje!

— Ha! trzeba było pychę upokorzyć, a że się przytem pali mosty, sam Jacek tego chciał.

— Tak! tak! — zawołał gorączkowo Taczewski.

— A teraz słuchajcie, co mu już od siebie dopisuję:

''Do której wyrozumiałości ja sam skłoniłem W. Taczewskiego w tej myśli, że wprawdzie łuk jest waścin, ale zatruta strzała, którą zacnego młodzieńca ugodzić chciałeś, mo że i nie z waściniego sajdaka pochodzi. Rozum bowiem równie jak siła w kościach słabnie z wiekiem i niedołężna starość, łatwo cudzym podszeptom się poddając, tem samem na większe pobłażanie zasługuje. W tej myśli kończę, przydając jeszcze, jako kapłan i sługa Boży, tę uwagę, że im wiek późniejszy, a kres bliższy, tem mniej przystoi służyć pysze i nienawiści, a natomiast tem więcej myśleć o zbawieniu dusznem, którego sobie i W. Mości życzę. Amen. Przyczem pozostaję, etc. piszę etc.''

— Wszystko jest accurate wypisane — rzekł pan Serafin — nic dodać, nic ująć.

— Ha! — rzekł ksiądz. — I myślisz waćpan, że ma na co zasłużył?

— Oj! aż mi się gorąco przy niektórych terminach czyniło.

— I mnie — dodał Łukasz Bukojemski. — Prawdziwie, że jak człowiek takie rzeczy słyszy, to mu się pić, jak w czasie upału, zachciewa.

— Bądź-że Jacku, rad ichmościom, a ja pismo zapieczętuję i odeślę.

To rzekłszy, zdjął sygnet z palca i poszedł do alkierza. Jednakże, przy pieczętowaniu listu, widocznie jakieś inne myśli przyszły mu do głowy, bo gdy wrócił, rzekł:

— Jest. Skończona sprawa. Ale, czy aby nie za ostro? Stary nuż zdrowiem przypłaci? Vulnera zadane piórem nie mniej bolą niż te, które czyni miecz albo kula.

— Prawda! prawda! — ozwał się na to Taczewski.

I zacisnął zęby.

Lecz właśnie ten mimowolny okrzyk bólu rozstrzygnął sprawę. Starszy Cypryanowicz rzekł:

— Księże dobrodzieju, zacne to są skrupuły, ale Pągowski ich nie miał. Jego list godzi prosto w serce, a wasz tylko w pychę i złość; mniemam przeto, iż powinien być wysłany.

I list został wysłany, poczem jeszcze pośpieszniej czyniono przygotowania do odjazdu Taczewskiego.

IX.

Nie przewidzieli jednakże przyjaciele Jacka, że list księdza będzie pod pewnym względem na rękę panu Gedeonowi Pągowskiemu i posłuży jego domowej polityce.

Nie przyjął on go wprawdzie bez gniewu. Jacek, który był mu dotąd tylko przeszkodą, stał się odtąd, chociaż nie był autorem listu, przedmiotem nienawiści. Nienawiść owa rozkwitła w zawziętem, starem sercu jak zatruty kwiat, jednakże przemyślny rozum postanowił skorzystać z księżej odpowiedzi.

Pohamował więc tedy pan Gedeon wściekły gniew, przybrał twarz w wyraz pogardliwej litości i udał się z listem do panny Sienińskiej.

— Za twoje myto jeszcze cię wybito — rzekł. — Jam tego czynić nie chciał, bom człowiek doświadczony i znający ludzi, ale jak zaczęłaś składać ręce a prawić że mu się krzywda stała, żem był za ostry i że ty byłaś zbyt ostra, że lepiej by w gniewie nie odjeżdżał takiem ustąpił: posłałem zasiłek w pieniądzach, posłałem konia, posłałem polityczny list; myślałem, że przyjedzie, pokłoni się, jak przystało temu, kto tyle czasu pod tym dachem spędził — a tymczasem patrz, jaką mi przysłano odpowiedź!

To rzekłszy wyciągnął z za pasa list księdza i podał go panience.

Ona zaczęła czytać i wnet ciemne jej brwi ściągnęły się gnie-

wnie ale gdy doszła do tego miejsca, w którem ksiądz mówił, iż pan Pągowski chciał upokorzyć Jacka dzięki "cudzym podszeptom" — zadrżały jej ręce i twarz oblała się przelotnym rumieńcem, a potem zbladła, jak płótno i tak pozostała.

Lecz pan Gedeon, lubo zważał na wszystko, udał że tego nie zauważył.

— Niech im tam Bóg to przebaczy to, co mi ad personam wypisują — ozwał się po chwili milczenia — bo on jeden wie, czy Pągowscy tak wielce gorsi od Taczewskiego, o których znakomitości więcej ludzie bają niż prawda. Czego jednak nie mogę im darować, to tego, że tobie, niebogo moja, za twoje szczere anielskie serce taką się odpłacają niewdzięcznością.

— To nie pan Jacek odpisywał, jego ksiądz Woynowski — odpowiedziała panna Sienińska, chwytając jakby za ostatnią deskę ratunku.

Na to westchnął stary szlachcic i zapytał:

— Wierzysz ty dziewczyno, że cię kocham?

— Wierzę — odrzekła, pochylając się i całując jego rękę.

A on z wielką tkliwością począł ją głaskać po jasnej główce.

— Chociaż wierzysz — mówił — ale i tak nie wiesz, jak bardzo. Tyś cała moja pociecha. Rzadko ja sobie na takie słowa pozwalam i rzadko wypowiadam, co czuje serce, bo mam w niem dawną boleść zamkniętą. Ale powinnaś to rozumieć, że ja mam ciebie jedną na świecie. Nie frasunku i martwienia, a tembardziej bolu, jeno radości i szczęścia chciałbym ci w każdej godzinie życia pomnożyć. Nie chcę wypytywać, co tam poczęło w twojem sercu kiełkować, ale ci powiem tak: czy to był, jako mniemam, siostrzany czysto afekt, czy to coś więcej — niegodzien tego ów młodzian, który za naszą szczerą amicycyę niewdzięcznością nas nakarmił. Moja Anulko, tożbyś sama siebie zwodziła, gdybyś mniemała, że ta bez wiedzy Taczewskiego ksiądz tak odpisał. We dwóch oni układali odpowiedź i wiesz dlaczego odpowiedzieli tak hardo? Bo jakem słyszał, Taczewski od tego tam Ormianina z Jedlinki pieniędzy dostał. Ot, czego mu było trzeba a gdy to ma, o nic i o nikogo więcej nie dba. Taka jest prawda — i ty sama w duszy musisz przyznać, że inaczej myśleć, to byłoby dobrowolnie się oszukiwać.

— Przyznaję — szepnęła panienka.

Pan Gedeon namyślił się przez chwilę, jakby się nad czemś zastanawiał, poczem rzekł:

— Nie! Powiadają, że to nałóg starszych ludzi chwalić dawne, a przygadnąć nowszem czasom. Ale nie! To nie nałóg!... Psuje się świat, psują ludzie i za moich czasów niktby tak jak Taczewski nie postąpił. Bo wiesz, jaki jest tego wszystkiego pierwszy początek? To ten nocleg na drzewie, który pana kawalera na pośmiechowisko ludzkie naraził... Śpieszyć niby komuś z pomocą, a samemu włazić ze strachu na drzewo — to się może przytrafić, ale lepiej się w takim razie nie chwalić, bo to rzecz śmieszna, to śmieszna. Ja przecie Bukojemskich, ani Cypryanowicza za żadnych bohaterów nie podaję: pijacy są, zawalidrogi i kostery — wiem! Więcej im też pono o wilcze, niż o nasze skóry chodziło. Ale w Taczewskim taka się gnieździ invidia, że już im i tej mimowolnej pomocy nie mógł darować. Stąd wyrósł ten pojedynek. Niechże mnie Bóg sądzi, czym nie miał słuszności się gniewać. Ha! pogodzili się potem, bo widać kawaler zrozumiał, że u Cypryanowiczów można pieniędzy dostać, więc wolał złość ku nam zwrócić. Pycha, złość, chciwość i niewdzięczność — oto, co się w nim pokazało. I nic więcej! Mnie pokrzywdził — Bóg z nim, ale za co ciebie, mój kwiatuszku? Całe lata sąsiedztwa, całe lata gościny, codzienne bywanie!... Cygan się w takich kondycyach przywiąże, jaskółka do strzechy przywyknie, bocian się do gniazda nałoży, a on plunął na nasz dom, jak tylko grosz ormiański w kalecie poczuł... Nie! nie! tak by za moich czasów nikt nie postąpił!

Panna Sienińska słuchała z dłońmi przy skroniach i z oczyma wbitemi nieruchomo przed siebie, więc Pągowski przerwał i, spojrzawszy na nią raz i drugi, zapytał:

— Czego się zapamiętywasz?

— Ja się nie zapamiętywam — odrzekła — jeno mi tak smutno, że i słów nie mam...

I, nie znalazłszy słów, znalazła łzy. Pan Gedeon pozwolił się jej wypłakać dowoli.

— Lepiej, — rzekł wreszcie — żeby ci ten smutek łzami spłydzie, niechaj cudzymi talarami brząka, niech tyftyki z konia po
dzie, niechaj cudzemi talarami brząka, niech tyftyki z konia popłocie włóczy, pana udaje i warszawskim gamratkom dworuje. A my sobie tu ostaniem, moja dziewczyno... I zapewne — niewielkać to pociecha, gdy sobie pomyślisz, że cię tu nikt nie zawiedzie, nikt nie narazi, nikt serca ci nie okaleczy, że tu będziesz zawdy okiem w głowie każdemu i że twoja szczęśliwość to będzie najpierwsza sprawą, a zarazem i ostatnia myśl mego życia. —

Chodź...

I wyciągnął ku niej ramiona, a ona padła mu na piersi rozżalona, a zarazem i wdzięczna, jak córka ojcu, który ją w chwili strapienia pociesza. Pan Pągowski począł gładzić swą jedyną dłonią jej płową główkę i długo siedzieli tak w milczeniu.

Tymczasem ściemniało: potem zamarzłe szyby zalśniły światłem miesięcznem i psy ozwały się tu i owdzie z podwórca przeciągłem szczekaniem.

Ciepło dziewczęcego ciała przeniknęło aż do serca pana Gedeona,, które poczęło bić żywiej, ale że bał się zdradzić przedwcześnie, więc nie chciał dłużej narażać się na pokusę.

— Wstań, dziecko — rzekł. — Nie będziesz już płakać?

— Nie będę — odpowiedziała, całując go w rękę, panienka.

— A widzisz! Oj tak! Pamiętaj zawsze, gdzie pewna ostoja i gdzie cicho ci będzie i przytulnie. Bo każdy młodzik rad wiać jak wiatr po całym świecie, a dla mnie ty jedna. To sobie dobrze zakonotuj!... Nieraz może myślałaś: "opiekun spogląda jak wilk surowie, rad patrzy kogo skrzyczeć i na moją młodość nie ma wyrozumienia" a wiesz ty, o czem ten opiekun myślał i myśli? Często o swojem minionem szczęściu, często o tej boleści, która mu jako grot tkwi w sercu — prawda, ale prócz tego, tylko o tobie, tylko o twojej przyszłej doli, tylko o tem, jakby ci wszystkiego dobrego przysporzyć. Z panem Grothusem tośmy całemi godzinami tak gadali, aż się i czasem śmiał, że to (powiada) jedna mi tylko myśl ostała. A mnie chodziło o to, żeby ci po mojej śmierci chociaż kawałek chleba spokojny i dostatni zapewnić.

— Nie daj Bóg mi tego doczekać— zawołała panienka, pochylając się znów ku dłoni pana Gedeona. I w głosie jej tyle było szczerości, że surowa twarz starego szlachcica zajaśniała na chwilę prawdziwą radością.

— Miłujesz że mnie choć źdźiebłko?

— Oj opiekunie!

— Bóg ci zapłać, dziecko. Wiek mój niezbyt jeszcze podeszły i ciało — gdyby nie rany na sercu i na skórze, byłoby dosyć czerstwe. Ale mówią, że śmierć siedzi zawsze pod wrotami a do domu zapuka kiedy zechce. W takim razie zostałabyś na świecie jeno z panią Winnicką. Pan Grothus dobry człowiek i możny, który moją wolę i mój testament zawsze uszanuje—ale co do innych krewnych nieboszczki żony... kto ich tam wie! A Bełczączkę wziąłem po żonie. Nużby chcieli się spierać, nuż pro-

cesować... Trzeba wszystko przewidzieć. Pan Grothus dawał na to radę — pewnie że skuteczną, — ale dziwną, — i dlatego nie będę ci o niej mówił... Chciałbym króla jegomości zobaczyć, aby ciebie i mój testament jego opiece polecić. Ale król teraz sejmem i przyszłą wojną zajęty. Mówił pan Grothus, że jeśli będzie wojna, to wojska pod hetmanami pierwsze ruszą, a sam Jegomość w Krakowie przyzostanie... Może wówczas... Może razem się wybierzemy... Ale co bądź nastąpi, wiedz o tem, dziecko, że wszystko, co mam, jest i będzie twoje — choćbym miał pójść w ostatku za pana grothusową radą. Ba!.. choćby i na godzinę przed śmiercią!... Tak mi dopomóż Bóg. Jam przecie nie wiatr w polu, nie pustak, nie luszczymieszek, nie Taczewski

X.

Panna Sienińska wróciła do siebie pełna wdzięczności dla opiekuna, który nigdy nie przemawiał do niej tak serdecznie, a zarazem rozżalona, pełna goryczy i zniechęcenia do ludzi i do całego świata. W pierwszych chwilach nie mogła i nie umiała myśleć spokojnie, miała tylko poczucie, że wyrządzono jej ciężką krzywdę, wielką niesprawiedliwość i że spotkał ją okrutnie bolesny zawód.

Za jej serce, za jej żal, za tęsknotę, za to wszystko, co uczyniła, aby związać na nowo potargane węzły, zapłacono jej tylko nienawistnem podejrzeniem. I nie było już na to żadnej rady. Nie mogła przecie pisać po raz wtóry do Jacka, tłómaczyć się i usprawiedliwiać. Na samą myśl o tem biły na jej twarz rumieńce upokorzenia i wstydu. Była przytem prawie pewna, że Jacek już pojechał...

A potem przyjdzie wojna, może nie zobaczą się już więcej w życiu, może on polegnie — i polegnie z przekonaniem, że w jej piersiach bije złe i przewrotne serce. Nagle chwycił ją żal niezmierny: Jacek stanął przed jej oczyma jak żywy, ze swoją smagłą twarzą i z temi smutnemi oczyma, które wyśmiewała nieraz, że były takie panieńskie.

Myśl dziewczyny leci jako jaskółka chybka za podróżnikiem i woła na niego: "Jacku! jam ci zła nie chciała! Jacku, Bóg widzi moje serce!" Tak to ona na niego woła, a on ani pyta: jedzie przed siebie, a co o niej wspomni, to jeno zmarszczy

się, a splunie.

I znów uperliły się jej rzęsy. Przyszła na nią jakaś niemoc i chwila rozczulenia i chwila rezygnacyi, w której poczęła sobie mówić: "Ha! trudno!... niech mu Bóg odpuści i niech go prowadzi, a o mnie mniejsza!...

Jednakże usta jej drgały jak u dziecka, oczy patrzyły jak oczy udręczonego ptaka i gdzieś tam, w ukrytym kąciku swej czystej jak łza duszy, skarżyła się pocichutku Bogu na to, co ją spotkało.

Była teraz pewna, że Jacek nigdy jej nie kochał, i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie kochał ani trochę.

— Opiekun słusznie mówił! — myślała.

Lecz potem przyszło zastanowienie.

— Nie! to jednak nie mogło być.

Naraz przypomniała sobie te słowa Jacka, które wyryły się jej w pamięci jak w marmurze: "Nie ty odejdziesz, ja odejdę, jeno to ci jeszcze powiem, że chociażem cię od lat całych miłował bardziej niż zdrowie, bardziej niż życie, bardziej niż duszę własną, nie wrócę tu więcej: pięści z boleści zagryzę, a nie wrócę — tak mi dopomóż Bóg!" I blady był jak ściana, gdy to mówił, a prawie oszalały z gniewu i bólu.

— Nie wrócił — prawda! nie pokazał się więcej, zaniechał jej, wyrzekł się, skrzywdził niegodziwem spojrzeniem, ułożył razem z księdzem ten okrutny list — wszystko prawda i w tem opiekun miał słuszność; ale żeby miał jej nigdy nie kochać, żeby dostawszy pieniędzy, miał wyjeżdżać z lekkiem i radosnem sercem, żeby przestał całkiem o niej myśleć, to przecie było zupełnie do wiary niepodobne.

Troskliwość opiekuńska mogła tak zmniemać, ale prawda była inna. Nie blednieje, nie zgrzyta zębami, nie gryzie pięści z bolu i nie szarpie sobie duszy ten, który wcale nie kocha...

Pomyślała wprawdzie panna, że jeśli tak, to jest tylko ta różnica że dwoje cierpi, nie jedno, ale przecie wstąpiła w nią pewna otucha, a nawet jakowaś nadzieja.

Dni i miesiące, które miały nadejść, wydały jej się może jeszcze bardziej smutne, ale mniej gorzkie. Słowa listu przestały ją też tak piec, jak rozpalone żelazo, bo chociaż nie wątpiła, że Jacek brał udział w pisaniu, przecież inna rzecz, gdy człowiek coś czyni z rozżalenia i bolu, a inna gdy z zimnej złości...

Więc ogarnęła ją z nową siłą wielka litość dla Jacka, tak

wielka, a zwłaszcza tak gorąca, że mogła to być nietylko sama litość. Myśli jej poczęły się snuć i skręcać w jakąś złotą nić, która ginęła w przyszłości, ale zarazem rzucała na nią blask weselny.

Wojna się skończy, rozłąka także.

— Nie wróci wprawdzie ten okrutny Jacek do Bełczączki — o nie! — bo taki zawziętnik jak sobie coś raz powie, to dotrzyma, ale wróci w te strony, do Wyrąbek, będzie mieszkał blizko, a potem stanie się, co Pan Bóg zechce. Wyjeżdżał może ze łzami, może w bolu, może łamiąc ręce — niechże go Bóg pocieszy!

Do domu wraca się jednak zawsze z wezbranem sercem i z radością, a zwłaszcza po wojnie z wielką sławą...

Tymczasem ona tu będzie siedzieć cicho w Bełczączce, gdzie dla niej opiekun był dobry, będzie temu opiekunowi tłómaczyła, że Jacek nie taki zepsuty jak inni młodzi — i będzie snuła dalej tą złotą nić, która poczęła się znów nawijać koło jej serca

Gil w gdańskim zegarze wygwizdał w gościnnej komnacie późną godzinę, ale sen odbieżał całkiem panienki.

Leżąc już w łóżku, utkwiła jasne oczy w pułap i rozważała jak tu sobie tymczasem poradzić w trosce i frasunku? Jeżeli Jacek już wyjechał, to przecie tylko dlatego, żeby od niej uciec bo do wojny było jeszcze, wedle tego co słyszała daleko. Opiekun nic o tem nie wspomniał, aby młody Cypryanowicz i Bukojemscy mieli już także wyjechać, więc należało się z nimi porozumieć, dowiedzieć się czegoś o Jacku i rzec jakie dobre słowo, które by go przez nich doszło, choćby w dalekich obozach, w czasie wojny.

ıkłaa3rozumieć,w tmm – ie enćw msjt.uinł aephBés-on

Panienka nie bardzo się spodziewała aby przybyli do Bełczączki, wiadomo jej bowiem było, że przeszli na Jackową strone i że od pewnego czasu krzywo spoglądają na pana Pągowskiego, ale liczyła na co innego.

Oto za kilka dni przypadała uroczystość Najświętszej Panny i wielki odpust w kościele parafialnym, w Przytyku, na który zjeżdżała szlachta okoliczna z żonami i dziećmi. Tam musiała spotkać Cypryanowicza i Bukojemskich, jeżeli nie przed kościołem, to na obiedzie u proboszcza, który w tym dniu wszystkich podejmował.

Spodziewała się też, że w tłumie potrafi się swobodnie z

niemi rozmówić i że nie znajdzie wtem przeszkody ze strony opiekuna, który, lubo od pewnego czasu niezbyt im chętny, nie mógł jednakże, przez pamięć na usługę, jaką mu oddali, zerwać z nimi zupełnie.

Do Przytyka z Bełcząćzki droga była dość daleka i pan Gedeon, który nie lubił się spieszyć, odbywał ją zwykle z noclegiem w Radomiu, albo też, jeśli wybrał drogę na Jedlińk, to w Jedlińsku.

Ty razem, z powodu wód rozlanych, wybrali dłuższy ale bezpieczniejszy gościniec radomski — i ruszyli na dzień przed odpustem — na kołach, nie saniami, bo zima przełamała się nagle zupełnie. Szły za niemi dwie, ciężko ładowane podwody ze służbą z zapasami żywności, tudzież z pościelą i dywanami do jakiego takiego przybrania stancyi w zajazdach.

Gdy wyjeżdżali, gwiazdy mrugały jeszcze z wysoka a niebo ledwo poczynało blednąć na wschodzie. Pani Winnicka poczęła śpiewać w mroku godzinki, a panienka i pan Gedeon wtórowali jej bardzo jeszcze sennemi głosami, gdyż zeszłego wieczora, z powodu przygotowań podróżnych, późno udali się na spoczynek. Dopiero za wsią i za małym borem, w którym tysiące wron miały swoje noclegi, rumiany świt rozświecił równie rumianą twarz i zaspane oczki panny Sienińskiej. Usta jej układały się jeszcze do ziewania, ale gdy strzelił pierwszy promień słońca i rozświecił pola i lasy, poczęła się otrząsać z senności i raźniej rozglądać się wokoło, gdyż jasny ranek napełnił jakąś dobrą nadzieją i jakowemś weselem jej duszę. Dzień zapowiadał się istotnie cudny, bo ciepły a pogodny. W powietrzu jakby było pierwsze tchnienie przedwczesnej wiosny. Po niebywałych mrozach i śniegach nastały naraz ku wielkiemu podziwowi ludzi, dni słoneczne i ciepłe. Mówiono że, zimę od Nowego Roku "jakby kto nożem uciął!" — a pastuchowie przepowiadali z ryku bydła tęskniącego po oborach, że zima więcej nie wróci. Jakoż była już właściwa wiosna. W brózdach, w lasach, pod lasami od strony północnej i wzdłuż rzeczułek, leżały jeszcze wielkie płachty śniegu, ale słońce przygrzewało je z góry, a dołem wyciekały z pod nich całe strugi i potoki, tworząc w nizinnych miejscach obszerne rozlewy, w których przeglądały się jak w zwierciadłach mokre, bezlistne drzewa. Wilgotne garby zagonów świeciły się jak złote pasy w blaskach słonecznych. Chwilami powstawał wiatr duży, ale tak przejęty radosnem ciepłem, jakby wiał wprost od słońca — i, lecąc nad polami,

marszczył wody, strącając zarazem tysiące pereł z cienkich, czarnych gałązek.

Z powodu roztopów i "klejowatości" gościńca, tudzież z po wodu ciężaru kolaski, którą sześć koni ciągnęło z niemałym trudem, posuwali się bardzo wolno. W miarę jak słońce szło wy żej i wyżej, uczyniło się tak ciepło, że panna Sienińska rozwią zała wstążki papturka, sam kapturek odsunęła na tył głowy i po częła rozpinać na przodzie łasiczą szubkę.

— Tak-że ci to dogrzewa? — spytała pani Winnicka.

— Wiosna, ciotuchno! szczera wiosna! — odpowiedziała.

I taka była cudna ze swą wysuniętą z kapturka jasną, nieco roztarganą głową, że śmiejącemi się oczyma i różową twarzą, że surowe oczy Pągowskiego złagodniały także. Przez czas jakiś patrzył na nią, jakby po raz pierwszy w życiu widział, po czem rzekł, jakby nawpół do niej, nawpół do siebie.

— No, aleś i ty nie gorsza! — dalibóg!

A ona uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

-- O, jak to wolno jedziem! — rzekła po chwili. — Okrutnie ciężka droga. Prawda, jegomość, że jeśli kto ma długą podróż przed sobą, to chyba musi czekać, aż drogi trochę obeschną?

Na to zmierzchła znów twarz pana Gedeona, więc nie odpowiedział na pytanie, tylko, wyjrzawszy, z karety, rzekł:

— Jedlnia.

— To może wstąpim do kościoła? — zapytała pani Winnicka.

— Nie wstąpim, naprzód dlatego, że kościół pewnie zamknięty, bo ksiądz pojechał chyba do Przytyka, a powtóre, że mnie ciężko obraził i umknę mu ręki, jeśli się do mnie zbliży.

Poczem dodał:

— A waćpanię i ciebie, Anulu, proszę, abyście się w żadne rozmowy z nim nie wdawały.

Nastała chwila milczenia. Nagle za karetą rozległy się człapania końskie i odgłosy błota, zwierającego się jakby ze strzelaniem w miejscach, z których konie wyciągały grzęznące nogi, — poczem donośne słowa zabrzmiały z obu stron kolaski:

— Czołem! czołem!...

Byli to panowie Bukojemscy.

— Czołem! — odpowiedział pan Pągowski.

— Waszmość pan do Przytyka?

— Jako co rok. Myślę, że i waćpanowie też na odpust?

— Jużci — odpowiedział Marek. — Trzeba się przed wy-

prawą z grzechów oczyścić.

— A czy to jeszcze nie zawcześnie?

— Dlaczego ma być zawcześnie? — zapytał Łukasz. — Co się dotychczas nagrzeszyło, to po odpuście z pleców spadnie, bo od tego odpust; a co się potem nabroi, to już ksiądz wobec nieprzyjaciela in partykulo mortis odpuści.

— Chcesz waćpan powiedzieć: in articulo.

— Wszystko jedno, byle pokuta była szczera.

— Jak to waćpan rozumiesz? — zapytał rozbawiony pan Pągowski.

— Jak to rozumiem? Kazał ostatnim razem po spowiedzi ksiądz Wiór, żebyśmy sobie dali po trzydzieści dyscyplin, a myśmy sobie dali po pięćdziesiąt. Bo myśleliśmy tak: skoro to Niebieskim Potęgom smakuje — no! to niech się najedzą!

Na to uśmiechnęła się nawet poważna pani Winnicka, a panna Sienińska pochowała całkiem twarz w zarękawek, jakby chcąc sobie nosek rozgrzać.

Spostrzegł to Łukasz, spostrzegli i inni bracia, że odpowiedź śmiech wzbudziła, więc umilkli, nieco urażeni i przez czas jakiś słychać było tylko zgrzyt łańcuchów w kolasce, parskanie koni i krakanie wron, których ogromne stada pławiły się w słońca, lecąc o dmiasteczk i wsi d oborów.

— Hej! czuja już, że będzie żarcia w bród! — rzekł, wiodąc za niemi oczyma najmłodszy Bukojemski.

— Ba! wojna dla nich żniwo! — zauważył Mateusz.

— Jeszcze one jej nie czują, bo do niej daleko — rzekł pan Pągowski.

— Daleko czy blizko, ale pewna!

— A skąd waćpan wiesz?

— Przecie wszyscy wiemy, o czem była mowa na sejmiku i jakie instrukcye pójdą na sejm.

— Prawda, ale nie wiadomo, czy wszędzie było tak samo.

— Pan Przyłubski, który siła kraju zjeździł, mówił że wszędy.

— Co za pan Przyłubski?

— Z Olkuskiego... który zaciąga dla księdza biskupa krakowskiego.

— To już ksiądz biskup krakowski jeszcze przed sejmem kazał zaciągi czynić?

— A widzisz waszmość! Jeszcze i jak! Najlepszy w tem dowód, że wojna pewna. Ksiądz biskup chce grzeczną chorą-

giew lekkiej jazdy postawić... no, i pan Przyłubski umyślnie w te strony przyjechał... że to trochę o nas słyszał.

— Ho! ho!... Szeroko widać sława waćpanów chodzi po świecie... I zaciągnęliście się?

— A rozumie się!

— Wszyscy?

— Dlaczegoby nie wszyscy? Dobrze na wojnie mieć w pobok przyjaciół, a jeszcze lepiej braci.

— No a młody Cypryanowicz?

— Cypryanowicz będzie służył razem z Taczewskim.

Pan Pągowski spojrzał bystro na siedzącą na przedzie panienkę, po której policzkach przeleciał nagły płomień — i pytał dalej:

— Tacyż to już konfidenci? A pod kimże mają służyć?

Pod panem Zbierzchowskim.

Cóż to — dragonia?

— Dla Boga! co waszmość mówisz? Dy to usarska chorągiew królewicza Aleksandra.

— Proszę! proszę!... Nie byle chorągiew...

— Taczewski też nie byle kto.

Pan Gedeon już miał na ustach słowa, że taki pachołek w usarskiej chorągwi chyba pocztowym, nie towarzyszem, może zostać — ale się wstrzymał z tą uwagą, bojąc się, aby nie wyszło na jaw, że list jego nie był polityczny, ani jego pomoc nie znaczna, jak to mówił pannie Sienińskiej, więc nachmurzył się tylko i rzekł:

— A słyszałem o zastawie Wyrąbek. Za ileż poszły?

— Za więcej niżby waszmość dał — odparł szorstko Marek.

Oczy Pągowskiego zabłysły na chwilę srogim gniewem — pohamował się jednakże po raz wtóry, albowiem przyszło mu na myśl, że dalsza rozmowa może posłużyć, jego zamiarom.

— Tem lepiej — rzekł — musi być kawaler rad.

A Bukojemscy, chociaż dowcip mieli z przyrodzenia dość tępy, poczęli zaraz jeden przez drugiego zmyślać, właśnie dlatego, by pokazać Pągowskiemu, jak mało sobie Taczewski i z niego i ze wszystkich w Bełczączce robił.

— Oj-jej! — rzekł Łukasz — jak wyjeżdżał, to mało nie oszalał z radości. A śpiewał ci tak, że aż się łojówki w karczmie przewracały. Prawda, że i podpiliśmy na waletę.

Pan Pągowski znów spojrzał na pannę Sienińską i spost-

rzegł, że rumiana pełna życia, i młodości, jej twarz nagle jakby skamieniała. Kapturek zsunął się jej całkiem z głowy, oczy miała zmrużone jak we śnie i tylko z ruchu nozdrzy i nieznacznego drżenia brody można było poznać, że nie śpi, ale słucha i pilnie słucha.

I aż litość brała na nią, lecz nieubłagany szlachcic pomyślał:

— Jeślić jeszcze tkwi drzazga w sercu, to ci ją wyrwę.

A głośno rzekł:

— Takem się i spodziewał...

— Czegoś się waszmość spodziewał?

— Że waćpanowie podpijecie na waletę i że pan Taczewski wyjedzie stąd śpiewający... Ha! kto fortunę goni, musi się spieszyć, a komu się ona uśmiecha, ten ją może i złapie...

— Oj-jej! — powtórzył Łukasz.

Na to zaś Marek:

— Dał mu ksiądz Woynowski listy do pana Zbierzchowskiego, jako jego znajomek i przyjaciel, tam w Zbierzchowie ziemia taka, że wszędy cebulę można siać — i panna jedynaczka, co jej dopiero piętnaście lat. Już też się waszmość o Taczewskiego nie frasuj. Da on sobie rady i bez waszmości i bez tutejszych radomskich piasków.

— Ja też się nie frasuję — odparł sucho Pągowski — ale może i acpanom pilna droga, a kolaska idzie jako żółw po tem błocie.

— A no czołem!

— Czołem. Czołem. Sługam waćpanów.

— I my też!..

To rzekłszy, ruszyli końmi żywiej, ale odjechawszy na strzelenie z łuku od karocy, zwolnili znów i poczęli żywo rozprawiać.

— Widzieliście? — pytał Łukasz — dwa razy powiedziałem: "oj-jej!" i dwa razy, jakobym mu miecz w serce wraził... mało się nie rozpuknął...

— Jam im lepiej dogodził — rzekł Marek — bo i staremu i dziewce.

— Czem? — mów, nie ukrywaj! — zawołali bracia.

— A to nie słyszeliście?

— Słyszelim, ale powtórz.

— Tem, com o pannie Zbierzchowskiej powiedział. Uważaliście, jak dziewka zaraz zbielała. Patrzę: rękę trzyma na kola-

nie i to ją otworzy, to zamknie, to otworzy, to zamknie!... całkiem jak kot, który chce drapać. Tak w niej widać złość nurtowała...

Lecz Mateusz wstrzymał konia i rzekł:

— A mnie jej było żal... Taki ci jakiś kwiatuszek... I pamiętacie, co stary Cypryanowicz mówił?...

— Co? — zapytali z wielką ciekawością Łukasz, Marek i Jan, wstrzymując także konie.

On zaś spoglądał na nich przez chwilę swemi wypukłemi oczyma, poczem rzekł jakby z żalem:

— A kiedym zapomniał.

Tymczasem w karocy, nietylko Pągowski, ale nawet i pani Winnicka, która zwykle nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje, zwróciła jednak uwagę, na zmienione lica panienki i zapytała:

— A tobie co, Anulko? — nie zimno ci?

— Nie — odrzekła dzieweczyna jakimś sennym, nieswoim głosem. — Nic mi nie jest, jeno mnie to powietrze rozebrało tak dziwnie... tak dziwnie...

I chociaż głos załamał się nagle, nie miała jednak w oczach łez. Przeciwnie: w suchych źrenicach świeciły się jakieś iskry, szczególne, niezwykłe i twarz stała się jakby starsza.

Co widząc, pan Pągowski rzekł sobie w duchu:

— Czyby zaś nie kuć żelaza, póki gorące?

XI.

Na odpust zjechała się licznie szlachta z pobliża i nawet z dalszych okolic. Byli Kochanowscy, Podgajeccy, Silniccy, Potworowscy, Sulgotowscy, Cypryanowicz z synem, Bukojemscy i wielu innych. Ale największe zajęcie rozbudziło przybycie pana wojewody sandomierskiego, Czartoryskiego, który zatrzymał się w Przytyku w przejeździe na sejm do Warszawy i w oczekiwaniu na odpust, od kilku już dni zażywał nabożeństwa. Radzi z niego byli wszyscy, bo przydawał blasku uroczystości, a zarazem można się było od niego de publicis niemało dowiedzieć. Sam on rozmawiał chętnie. Prawił o krzywdach, jakie wyrządziła Porta Rzeczypospolitej przy rozgraniczeniu Podola, o czambułach, które wbrew traktatowi spustoszyły znów ziemie ruskie — i zapowiadał pewną wojnę. Twierdził, że przymierze z cesarzem stanie niezawodnie i że nawet stronnicy francuscy

nie wystąpią przeciw niemu otwarcie, ponieważ i sam dwór francuski, chociaż generaliter cesarstwu nieprzyjazny, rozumie jednak niebezpieczeństwo, w jakiem się Rzeczypospolita znajduje. Czy Turcy rzucą się naprzód na Kraków, czy na Wiedeń, tego nie umiał książę Michał powiedzieć, wiadomem mu natomiast było, że nieprzyjaciel pod Adryanopolem "armia virosque parat" i że, prócz tych, którzy już przy Tekelim, pod Koszycami, ba, w całych Węgrzech, ściąga tysiącami lud z Rumelii, z Azyi, aż hen z nad Eufratu i Tygru — a także z Afryki, od brzegów Czerwonego morza aż po wały niezmiernego Oceanu. Słuchała tego szlachta chciwie: starsi, którzy wiedzieli jak olbrzymia jest potęga pogańska — z troską w obliczach, młodsi — z ogniem w oczach i zmarszczonemi brwiami. Przeważała jednak otucha i zapał, świeża była bowiem pamięć Chocima, pod którym tenże sam miłościwie dziś panujący król, a wówczas hetman, na czele mniejszych sił polskich obległ większe tureckie i rozniósł je na szablach i kopytach. Pocieszano się myślą, że w Turkach, którzy z niepohamowaną odwagą rzucali się na wszelkie wojska innych narodów, mdlało jednak serce, gdy w czystem polu przyszło im stanąć oko w oko strasznej jeździe "Lechistanu". Jeszcze większą otuchę i jeszcze większy zapał wzbudziło kazanie księdza Woynowskiego. Obawiał się trochę pan Fągowski, że może w tem kazaniu będą jakieś wytykania grzechów i jakoweś przygany, któreby mógł do siebie i do swego postępowania z Taczewskim stosować, ale nie było tego nic. Całą duszę i serce księdza porwała wojna i posłannictwo Rzeczypospolitej. "Ciebie (mówił) Chrystus między wszystkimi narodami wybrał, ciebie na straży innych postawił i tobie pod swym krzyżem kazał się położyć i bronić wiary krwią, życia fundamentem, do ostatniej kropli, do ostatniego tchu. Przed tobą pole chwały, więc choć ci boki krwią opływają, chociaż tkwią w tobie strzały i dziryty, powstań lwie Boży, potrząśnij grzywą i zagrzmij, by aż od tego grzmotu strach zważył śpik w kościach pogańskich i padły półksiężyce i buńczuki jako ów bur pod wichrem!..."

Tak on mówił do swych rycerskich słuchaczów, że zaś był stary żołnierz, że całe życie sam praktykował i wiedział jako jest w polu, więc gdy zaczął o samej wojnie mówić obecnym się zdało że patrzą na owe obrazy w zamku królewskim w Warszawie, na których rozliczne bitwy i "wiktorye" polskie były jak żywe namalowane: "Oto ruszają się chorągwie, już złożyły ko

rie w pół końskiego ucha, już pochyliły się w kulbakach, krzyk trwogi między pogany, a w niebie radość. Leci Matka Najświętsza co ducha do okienka i woła "bywaj Synaczku, obacz jako Polacy atakują!" Pan Jezus krzyżem świętym ich żegna: "Na rany boskie krzyknie: to, to mi szlachta! to mi żołnierze! — i żołd tu dla nich już gotowy!" O Święty Michał Archaniol aże się dłońmi po udach uderza: "w nich psubratów! Bij!" Tak, to oni się tam radują, a co ci tu golą i golą, walą ludzi, konie, chorągwie, idą po brzuchach janczarów, po działach zdobytych po stratowanych półksiężycach — idą ku chwale. ku zasłudze, ku spełnionej misyi, ku zbawieniu i ku nieśmiertelności..."

Więc gdy nareszcie skończył słowami: "I was Chrystus już woła i wam czas na pole chwały!" — uczynił się w kościele okrzyk i trzaskanie szablami, w czasie nabożeństwa, gdy przy Ewengielii wszystkie szerpentyny zazgrzytały w pochwach i stal rozbłysła w blasku slonecznym, czułym niewiastom wydawało się, że już wojna rozpoczęta i poczęły szlochać, polecając ojców mężów i braci opiece Najświętszej Panny.

Wtedy to, poszeptawszy z sobą, bracia Bukojemscy ślubowali że zaraz, po odpuście ruszą i że aż do Wielkiej nocy ani wody, ani mleka, ani nawet piwa do ust nie wezmą, temi tylko napitkami się kontentując, które gorącość krwi a zatem i odwagę podtrzymują.

Zapał powszechny był tak wielki, że nie oparł mu się nawet surowy i zimny pan Pągowski. Pomyślał przez chwilę, że choć mu brak prawej ręki, mógłby przecie cugle zębami trzymać, a prawą pomścić się raz jeszcze w życiu za własne krzywdy, których od przeklętego plemienia doznał, a przytem i dawne zasługi względem Rzeczypospolitej nanowo pozłocić.

Lecz ślubu żadnego nie uczynił, zostawiając tę rzecz do dalszego zastanowienia.

Tymczasem nabożeństwo odbywało się wspaniale. Na cmentarzu bito z działek, których na wielkie uroczystości pożyczali sobie panowie Kochanowscy. Na dzwonnicy huczały rozkołysane dzwony; chowany niedźwiedź kalikował na chórze do organów z takim rozmachem, że mało ołowiane rury nie wylatywały z obsady; kościół napełnił się dymem kadzideł i aż drżał od głosów ludzkich. Sumę celebrował prałat Tworkowski z Radomia, ksiądz uczony, pełen sentencyi, cytat, przysłów i przypowieści, a zarazem wesoły i znający świat wybornie, dla której to przyczyny we wszystkich sprawach udawano się do niego po

radę.

Tak też uczynił i pan Pągowski, tembardziej, że był jego przyjacielem. W wigilię odpustu był u niego u spowiedzi, ale gdy przy konfesyonale począł mu wyznawać swoje zamiary, których celem była panna Sienińska, ksiądz odłożył to do późniejszej osobnej rozmowy, mówiąc że mu ledwie starczy czasu do wysłuchania grzechów ludzkich. Kazał mu tedy, by w powrotnej drodze z odpustu wyprawił niewiasty do Bełcząnative a sam zatrzymał się u niego w Radomiu, gdzie "procul negotiss" będzie mógł go swobodnie wysłuchać.

cebdgkis scywaihegnyntcp woidiindlBukojem głkłninoągghk

Tak się też stało — i w dzień później zasiedli obaj przed gąsiorkiem zacnego węgrzyna i talerzem podprażonych migdałów, które ksiądz prałat rad przy winie spożywał.

— Conticeo —rzekł intentusque os teneo, mów waść!

Pan Gedeon pociągnął z kielicha i spojrzał swemi żelaznemi oczyma jakby z pewną niechęcią na prałata — za to, że mu rozmowy odpowiednim wstępem nie ułatwia.

— Hm! jakoś mi niesporo i widzę, że będzie trudniej, niżem myślał.

— To ja waści pomogę. czy nie o jednym ze Świętych chcesz waść mówić?

— O Świętym?

— Tak. O takim, który ma dwie głowy i cztery nogi.

— Cóż to za święty? — zapytał ze zdumieniem pan Gedeon.

— To zagadka. Zgadnij jegomość!

— Mój księże prałacie, komu poważne rzeczy w głowie, ten na zagadki nie ma czasu.

— Ba, pomyśl waść!...

— Święty, co ma dwie głowy i cztery nogi?!..

— A tak!

— Dalibóg nie wiem.

— No! Święty stan małżeński. Zali tak nie jest?

— Jak mi Bóg miły, prawda! Tak, tak, właśnie w tej matryi chcę mówić...

— Chodzi o Anulkę Sienińską.

— O nią właśnie. Widzicie, dobrodzieju, ona mi bogdaj nie krewna, albo jeśli krewna, to tak daleka, że tego nikt już nie wylegitymuje... Ale przywiązałem się do niej, bom ją hodował i winienem wdzięczność jej rodowi, bo co Pągowscy mieli na Rusi, to tak samo jak Żółkiewscy, jak Daniłowicze i jak Sobie-

scy, mieli od Sienińskich albo po Sienińskich... Chciałbym sie rocic ostawić to, co mam, ale naprawdę to fortuna Pągowskich zezezła od inkursyi tatarskich, a została tylko majętność żonina... moja ona jest, bo mnie zapisana, ale krewnych żoninych jest pełno. Naprzód pan Grothus starosta rajgrodzki... No! tego jeszcze się nie obawiam, bo człowiek jest dobry i możny nad potrzebę... Sam on mi wreszcie poddał tę myśl, która przed tem nieraz mi wprawdzie przychodziła do głowy, bo chęć drzemała na dnie serca... ale on ją rozbudził... Wszelako prócz pana Grothusa, są Sulgostowscy, są Krzepeccy, są Zabierzowscy... Ci już dziś niechętnie na dziewczynę patrzą, a cóż będzie po mojej śmierci? Uczynię testament, zapiszę jej to pójdą do sądów, będą procesy, włóczenia po trybunałach — jakże ona, nieboga, da sobie radę? A przecież nie mogę jej tak ostawić... Jest przywiązanie, jest litość, jest wdzięczność — silne to ogniwa, dla których ze szczerem sumieniem zapytuję: zali nie powinienem jej ubezpieczyć choćby i takim sposobem?...

Ksiądz rozgryzł migdał a drugą połowę pokazał panu Gedeonowi

— Wiesz waść, dlaczego mi ten migdał smakuje? Bo dobry! Żeby był sparciały, tobym go nie jadł.

— Więc co?

— Więc Anulka smakuje waści, bo to też migdał... Hej, jeszcze i jaki! Ale żeby tak miała z pięćdziesiąt lat, pewnie by waścine sumienie nie troszczyło się o jej przyszłość.

Zmieszał się na to pan Pągowski, ksiądz zaś rzekł:

— Wcale ja tego waści za złe nie biorę, bo juści we wszystkiem musi być dobra racya, i takie jest już rozporządzenie Boskie, że każdy woli młodą rzepę od starej. Z winem tylko jest inaczej, dlatego też co do wina, chętnie godzimy się na wyroki Opatrzności...

— Tak, prawda! lepsze zawsze to, co młode, z wyjątkiem wina, i pan Kochanowski żartem jeno napisał, że stary mąż, równie jak stary dąb — wzwyż młodego. Chodzi mi tylko o to, że gdy ostawię jej majątek jako młodej żonie, to nikt nie będize śmiał i palcem ruszyć — a jeśli jako wychowance — wraz będą spory, kłótnie, procesy a może i zajazdy, przed którymi któż ją osłoni? Już-ci nie pani Winnicka!

— Tak to jest...

— Ale jako nie płoch, ani żaden pustak, nie chciałem tego własną głową stanowić i dlatego przyjechałem do was, abyście

mnie utwierdzili w przekonaniu, iż dobrze czynię i radą światłą wsparli.

Ksiądz pomyślał i rzekł:

— Widzisz waćpan: w takiej materyi rada jest trudna i nieraz potem powtórzy sobie człowiek razem z Boeciusem: "Si tacuisses, philosophus mansisses..." albo też z Hiobem "Stultus quoque si tacuerit, sapiens reputabitur..." Intencya waści, o ileś afektem gorącym zapłonął, jest usprawiedliwiona, a o ile płynie przytem z troski o dobro dziewczyny — to nawet i chwa lebna. Ale nie stanie-że się przytem dziewce jakowaś krzywda, nie trzebaż jej będzie przyniewalać, albo groźbami ad altare prowadzić? Bo słyszałem, że oni się z Jackiem Taczewskim kochają, a szczerze i bez ogródki mówiąc, tom to i nieraz, częstym gościem u was bywał, — widział.

— Coście widzieli? — zapytał porywczo Pągowski.

— Nie żadne grzeszne rzeczy, ale takowe signa, po których się konfidencyę i miłość poznaje: widziałem nieraz jak się za ręce przydłużej niż wypadało trzymali, jako za sobą oczyma wo dzili; widziałem, jak on raz na drzewie siedział i wiśnie jej do fartuszka spuszczał, a tak się oboje w siebie zapatrzyli, że wiśnie obok fartuszka na ziemię padały; widziałem jako na lecące bociany spoglądając, ona się całkiem niby, niechcący na nim wsparła, a potem (niewiasta zawsze chytra) jeszcze go wyłajała, że się nadto przybliżył... i cóż więcej? — i rozmaite takie experimenta, które o utajonych żądzach świadczą. Powiesz waszmość, że to nic? Już-ci nic! Ale ona czuła Bożą wolę ku niemu taką, albo-li i gorętszą, niż on ku niej, tego ślepy chyba mógł nie widzieć i dziwię się, żeś waćpan nie wiedział, a jeszcze bardziej, jeżeliś, widząc, wobec swoich zamiarów nie hamował.

Pan Pągowski widział i wiedział, a jednakże słowa prałata wywarły nań okrutne wrażenie.

Co innego jest gdy się coś bolesnego w sercu tai, a co innego gdy wsunie się do piersi obca ręka i tym bolem potrząśnie. To też twarz mu sczerwieniała, oczy nabiegły krwią, grube węzły żył wystąpiły na czoło i począł sapać nagle i oddychać tak szybko, że aż zaniepokojony prałat zapytał:

— Co waści jest?

On dał znak ręką, że nic, ale nie odpowiadał.

— Napij się waść wina — zawołał ksiądz.

Pągowski wyciągnął ramię, drżącą dłonią wziął kielich i podniósł do ust, poczem napił się, parsknął i szepnął:

— Zamroczyło mnie trochę.

— Z przyczyny tego com powiedział?...

— Nie. To mi się od pewnego czasu często przytrafia, a teraz fatigatus jestem postem, drogą i to wczesną, niespodzianą wiosną.

— Tedy lepiej może nie czekając maja, krew puścić.

— Tak też uczynię, a teraz jeno odpocznę, chwilę i powrócimy do materyi.

Upłynął jednak dość długi czas, zanim Pągowski przyszedł całkiem do siebie; wreszcie jednak ochłonął, żyły sfolżały mu na czole, serce poczęło bić zwykłym ruchem i rzekł:

— Nie powiem żeby mi brakło sił, i gdybym tą oto dłonią, która mi została, ściągnął dobrze ten srebrny kusztyczek, myślę, żebym go zgniótł z łatwością. Ale zdrowie i siły to nie to samo, choć jedno i drugie w ręku Boskiem.

— Krulcha do rzecz życie ludzkie!

— Ale właśnie dlatego, jeśli ma co do czego przyjść, to trzeba się spieszyć. Mówice dobrodizeju o Taczewskim i o afektach, jaike młodzi wzajem dla się czuć mogli. Powiem szczerze: nie byłem ślepy. Widziałem i ja, co się zaczyna, ale dopiero w ostatnich czasach. Bo pamiętajcie, że do niedawna zielona to była jagoda, która i teraz nie prawie dojrzała. Przychodził co dzień, prawda! ale że w domu może i nie bardzo miał co jeść, przetom go jakoby z litości przyjmował. Ksiądz Woynowski ćwiczył go w łacinie i w szabli, a jam mu dawał jeść. Ot i wszystko. On też dopiero przed rokiem wyrósł na młodziana. Takem na nich patrzył jak na dzieci, którym że się różnych krotochfil i figlów zachciewało, uważałem za zwykłą rzecz. Ale żeby taki pauper śmiał pomyśleć — i jeszcze o kim? o pannie Sienińskiej to przyznaję, nigdy mi do głowy nie przyszło. i ledwiem w ostatnich czasach coś pomiarkował.

— Ba! co pauper. to pauper, ale Taczewski.

— Na Głodomorach!... Nie, dobrodzieju! taki który cudzy rondel wylizuje, psa chyba może do kompanii zapraszać. Tedy gdym pomiarkował jako co jest, pilniej począłem na niego zważać i wiecie com odkrył? — oto, że to nietylko fircyk i hołysz, ale i gad jadowity, gotów zawsze żgnąć rękę, która go karmiła. Chwalić Boga, niema go, pojechał, ale na waletę żgnął nietylko mnie, ale i tę niewinną dziewkę.

— Tak-że to jest? — spytał prałat.

A pan Pągowski począł mu opowiadać, jak i co było, malu

jąc tak czarno uczynki Taczewskiego, że choćby zaraz kata wołać.

— Nie bójcie się dobrodzieju, — rzekł w końcu — dolcli do pełna Anulce Bukojemscy w czasie naszej drogi do Przytyka: ha! tak do pełna, że się przelało, i teraz tak jest, że nigdy ta dziewka do żadnego Boskiego stworzenia podobnej abominacyi nie czuła, jak do tego chłystka, do tego wyrostka, do tego hultaja!

— Prawda. I nie o nim chciałem mówić, jeno o tem, że ja ni krzywdy nijakiej nie chcę dziewce wyrządzić, ni też musu używać. Namowa co innego. Ale to powinien uczynić człek postronny, jej i mój przyjaciel a zarazem człek słynny z powagi i z wielkiego dowcipu, który i grzecznych terminów użyć i serce poruszyć i rozum przekonać potrafi. Dlatego was chciałem o to prosić, mój osobliwy dobrodzieju. Już mi też tego nie odmówicie, nie tylko per amicitiam dla mnie, ale z takowej racyi, że rzecz słuszna i godziwa.

— O jej i o wasze dobro chodzi, więc nie odmawiam — rzekł prałat — jeno chciałbym mieć czas zastanowić się, jak to najłacniej uczynić...

— To ja wraz do cyrkulika pójdę i każę sobie krew puścić, aby z trzeźwiejszym umysłem do domu wrócić, a wy koncept sobie ułóżcie. Nie trudno to wam będzie, a tak myślę że i z tamtej strony nie znajdzie się żaden szkopuł.

— Szkopuł może być tylko jeden, panie bracie.

— Jaki?

— Przyjaźń powinna prawdę mówić, więc wam szczerze powiem. Zacny z was człowiek — wiem! — ale trochę przytwardy. Taką macie reputacyę, a macie ją dlatego, że wszyscy, którzy od was zależą, boją się was okrutnie. Nietylko chłopi o których poróżniliście się z księdzem Woynowskim, nietylko czeladź i oficyaliści, ale i domowi. Bał się was Taczewski, boi się i dziewczyna. Dwóch zwykle swatów przyjeżdża, więc ja zrobię co będę mógł, ale czy ten drugi nie popsuje mi roboty — nie ręczę.

Oczy Pągowskiego zabłysły przez chwilę gniewem, bo nie lubił, gdy mu wobec mówiono prawdę, ale nad gniewem przemogło zdziwienie, więc zapytał:

— O czem mówicie? Jaki drugi swat?

A ksiądz odrzekł:

— Strach.

XII.

Nie mogli jednak wyjechać tego dnia do Belczączki, albowiem Pągowski po puszczeniu krwi zasłabł znacznie i sam mówił, że mu potrzeba wypoczynku. Nazajutrz za to czuł się rzeźwiejszy, jakby odmłodzony, i z dobrą otuchą chociaż z pewnym niepokojem zbliżał się do domu. Zajęty całkiem swemi myślami, mało rozmawiał z księdzem przez drogę, lecz gdy wjeżdżali już do wsi i gdy uczuł, że ów niepokój coraz bardziej go ogarnia, rzekł:

— Aż mi to dziwno. Drzewiej wracałem ci zawsze do mojej siedziby jako człowiek, który u siebie jest panem i inni troszczyli się o to, jakiem ich powitam obliczem, a teraz ja się troszczę, jak mnie powitają.

— Powiedział Wirgili: — rzekł na to ksiądz — "amor omnia vincit" a zapomniał dodać że i mutat. Włosów nie ostrzyże ci ta Dalila, boś waćpan łysy, ale że ja cię jeszcze obaczę przędącego kądziel u jej nóg, jako Herkules prządł u nóg Omfali, to pewna.

— Ej, nie taka moja natura! — umiałem zawsze trzymać w garści i czeladź i familię.

— Tak ludzie mówią, ale właśnie dlatego tembardziej się to waćpanu należy, żeby cię wziął kto w karby.

— Miłeż to karby! — odrzekł z niezwykłą sobie wesołością Pągowski.

Jechali bardzo wolno, bo we wsi błoto było okrutne, że zaś z Radomia wyruszyli nierychło z południa, więc zapadła już noc. W chatach po obu stronach świeciło z okien łuczywo, od którego kładły się w poprzek drogi czerwone smugi. Gdzieniegdzie przy płocie zamajaczyła jakaś postać ludzka baby lub chłopa, który, ujrzawszy jadących, co prędzej zdejmował czapkę i kłaniał się w pas. Widać było zaraz z tych zbyt nizkich ukłonów, że Pągowski umiał trzymać w garści ludzi, ba nawet, że ich trzymał zanadto i że ksiądz Woynowski nie bez przyczyny gromił go za zbytnią surowość. Ale w tej chwili stary szlachcic miększe czuł niż zwykle w piersiach serce, więc, spoglądając na owe pochylone postacie i na zapadłe w ziemię okienka chałup, rzekł:

— Uczyni się też jakąś łaskę poddaństwu, za którem zawsze się ona wstawiała.

— Oj to, to! — odrzekł prałat

I umilkli. Pan Gedeon rozprawiał się czas jakiś z własnemi myślami, poczem ozwał się znowu:

— Wiem, że wam, dobrodzieju, rad dawać nie trzeba, ale musicie jej powiedzieć, że to dla niej gotuje się dobrodziejstwo i że ja przedewszystkiem o niej myślę; a w razie oporu (którego się nie spodziewam ani nuż!) choćby i fuknąć trochę...

— Powiedziałeś waćpan, że nie chcesz jej zmuszać...

— Powiedziałem, ale co innego gdybym ja groził i fukał, a co innego gdy jej niewdzięczność wytknie kto inny, a do tego duchowna osoba.

— Zostaw-że mnie waćpan tę sprawę, której, ponieważ-em się podjął, tedy dołożę starań, aby ją z jaknajlepszym skutkiem przeprowadzić. To wszelako waćpanu powiem, że przemówię do dziewki delicatissime...

— Dobrze, dobrze! Jedno tylko jeszcze słowo. Wielką ona czuje do Taczewskiego abominacyę, ale gdyby przygodziła się o nim wzmianka, wartoby jeszcze coś o nim dorzucić...

— Jeśli tak postąpił, jak waćpan mówiłeś, to nequam jest.

— Dojeżdżamy. No! W imię Ojca i Syna...

— I Ducha Świętego — amen!

Dojechali; ale nikt nie wyszedł na ich spotkanie bo z powodu błota koła nie czyniły turkotu, a psy nie szczekały na znajomych ludzi i konie. W sieni było ciemno, bo czeladź widocznie siedziała w kuchni, i zdarzyło się tak, że na pierwsze zawołanie p. Pągowskiego: "jest tam kto?" — nie ukazał się nikt, a na powtórne ostrzejszym już głosem uczynione, wyszła sama panienka.

Wyszła ogarniając ręką świecę, ale ponieważ była w blasku a oni w cieniu, więc, nie dojrzawszy ich zrazu, zatrzymała się kolo drzwi. A oni też nie odezwali się przez chwilkę, bo naprzód wydało im się to jakąś osobliwszą wróżbą, że ona pierwsza ku nim wychodzi, a powtóre, że uroda jej zdumiała ich tak jakby jej przedtem nigdy nie widzieli. Palce, któremi ogarniała świecę, wydawały się różowe i przeźrocze; blask pełgał po piersiach rozświecał usta i małą twarz, która wydawała się trochę senna i smutna, może dlatego, że oczy pozostawały we wgłębionym cieniu. Czoło i śliczne jasne włosy, tworzące nad niem jakby koronę, były jednak skąpane w blasku. I, otoczona naokół mrokiem, a sama świetlista i cicha, stała przed nimi, podobna poprostu do anioła, stworzonego z różowej jasności.

— O, jak mi Bóg miły, czyste objawienie! — rzekł prałat.

A Pągowski zawoła:

— Anulu!

Wówczas podbiegła ku nim i postawiwszy świecę na przymurku komina, poczęła ich witać z radością. Pągowski przycisnął ją czule do serca, kazał jej się cieszyć z przybycia tak zacnego gościa i sławnego we wszystkich sprawach konsyliarza, a gdy po skończonych powitaniach weszli do stołowej izby, zapytał:

— Toście już po wieczerzy?

— Nie. Właśnie czeladź miał przynosić z kuchni i dlatego nikogo w sieni nie było.

A ksiądz spojrzał na starego szlachcica i zapytał

— To możeby nie czekając?

— Nie, nie — rzekł prędko Pągowski. — Pani Winnicka wnet się tu zakrzątnie.

Jakoż pani Winnicka zakrzątnęła się skutecznie — i w kwandrans później zasiedli do grzanego wina i jajecznicy. Ksiądz Tworkowski jadł i pił dobrze, lecz przy końcu wieczerzy poważniało mu oblicze i rzekł, zwracając się do panienki:

— Moja mościa panno! Bóg wie dlaczego ludzie zowią mnie konsyliarzem i dlaczego się mnie tak często radzą, a skoro i opiekun waćpanny tak czyni, tedy muszę pomówić z nią w pewnej ważnej sprawie, którą memu lichemu dowcipowi powierzył.

Panu Pągowskiemu, gdy to usłyszał, nabrały znów żyły na czole, a panna przybladła nieco i podniosła się niespokojna, gdyż nie wiadomo dlaczego, wydało jej się, że ksiądz będzie z nią mówił o Jacku.

Prałat zaś rzekł:

— Proszę na osobność

I wyszli.

Pan Pągowski odetchnął głęboko raz i drugi, zabębnił palcami po stole, poczem wstał i, czując potrzebę zagadania wewnętrznego wzruszenia byle jakiemi słowy, rzekł do pani Winnickiej:

— Czy też waćpani kiedy zauważyła, jak wszyscy krewni mojej nieboszczki żony nienawidzą Anulki?

— Szczególniej Krzepeccy — odrzekła pani Winnicka.

—Ha! ledwie nie zgrzytają na jej widok, ale zazgrzytają oni wkrótce jeszcze lepiej!

— Czemu zaś?...

— Dowiesz się waćpani wkrótce, a tymczasem trzeba o noclegu dla prałata pomyśleć!

I po chwili pan Pągowski został sam. Dwaj pachołkowie weszli, by uprzątnąć naczynia po wieczerzy, ale on kazał im z nagłym wybuchem gniewu pójść precz i w komnacie uczyniło się cicho, tylko wielki zegar gdański powtarzał głośno i poważnie: tik, tak! tik, tak!.... Pągowski położył rękę na łysinie i począł chodzić po izbie. Zbliżył się do drzwi, za któremi prałat rozmawiał z panną Sienińską, ale usłyszał tylko szmer, w którym rozpoznał wprawdzie głos księdza, ale nie mógł usłyszyć wyrazów. Więc naprzemian to chodził, to się zatrzymywał. Podszedł ku oknu, bo mu się zdawało, że mu tam będzie mniej duszno, i patrzył trochę bezmyślnemi oczyma na niebo, po którem wiatr pędził podarte wiosenne chmury o rozjaśnionych grzywach, po których blady księżyc zdawał się wspinać wyżej i wyżej. Ilekroć się przesłonił, chwytały pana Pągowskiego złe przeczucia. Widział przez okno czarne gałęzie poblizkich drzew, chybotające się, jakby w męce, na wichrze, i tak samo chybotały się jego myśli, bezwładne, złe, podobne do wyrzutów sumienia, do głuchych poczuć, że staje się rzecz niedobra, za którą czeka go jakaś blizka kara.... Lecz gdy rozjaśniło się na dworze, wstępowała w niego znów lepsza otucha. Każdy ma przecie prawo myśleć o swojej szczęśliwości — a co do Taczewskiego, wielka rzecz! czy to jeszcze takich ludzie używają sposobów! O co tu chodzi? o dobro i o spokojną przyszłość dziewczyny, a że przytem i jemu uśmiechnie się trochę życie na starość — to mu się należy.—I to jedno jest prawda, a reszta wiatr! wiatr!...

Uczuł znowu zawrot głowy i czarne płatki jęły mu skakać przed oczyma, ale trwało to bardzo krótko. Począł znów chodzić i zbliżać się do drzwi, za któremi ważyły się jego losy. Tymczasem świece na stole dostały długich knotów i w izbie pociemniało. Chwilami głos księdza stawał się donioślejszy, tak że może i wyrazy dochodziły do ucha Pągowskiego, gdyby nie owo głośne i ciągłe "tik-tak!"! zegara. Łatwo zrozumieć, że taka rozmowa nie może skończyć się prędko, a jednak niepokój pana Gedeona wzrastał i wzrastał, przybierając kształty jakby jakichś dziwnych pytań, związanych z przeszłością, ze wspomnieniami nietylko dawnych bólów i nieszczęść, ale także dawnych, nie-

zmazanych dotychczas, win—dawnych ciężkich grzechów — i świeżych krzywd, wyrządzonych nietylko Taczewskiemu, ale i innym ludziom.

— Za co i dlaczego ty masz być jeszcze szczęśliwy? — pytało go sumienie.

I dałby w tej chwili nie wiedzieć co, żeby choć pani Winnicka wróciła do izby i żeby nie potrzebował zostawać sam na sam z temi myślami. Ale pani Winnicka zajęta była robotą gdzieś tam na drugim końcu domu, a w tej izbie tylko zegar powtarzał: tik-tak! tik-tak! — i sumienie pytało:

— Za co cię Bóg ma nagradzać?

Czuł zaś pan Pągowski, że teraz, jeśli go ta dziewczyna, podobna razem do kwiatu i do anioła, ominie — to już w życiu jego uczyni się zmierzch, trwający aż do tej godziny, w której nastanie noc śmierci...

A wtem drzwi otworzyły się nagle i weszła panna Sienińska, blada, ze łzami w oczach, a za nią ksiądz.

— Płaczesz? — zapytał chrapliwym, zduszonym głosem pan Pągowski.

— To z wdzięczności, opiekunie! — zawoła, wyciągając ku niemu ręce.

I przypadła do jego kolan.

XIII.

Tegoż wieczora, ale już późno w noc, pani Winnicka przyszła do pokoiku krewniaczki i, zastawszy panienkę jeszcze nierozebraną, poczęła z nią rozmawiać:

— Nie mogę ochłonąć ze zdziwienia — rzekła — bo prędzejbym się śmierci spodziewała, niż żeby jegomości coś podobnego przyszło do głowy.

— Jakże tedy? — i tak już naprawdę? Sama nie wiem, co myśleć — radować się, czy nie?... Bo jużci ksiądz prałat, jako persona duchowna, lepszy ma od świeckich ludzi rozum, i to słuszna, co powiada, że będziesz miała nad głową do śmierci dach i do tego swój, nie cudzy; ale zdrugiej strony jegomość leciwy człek i (tu pani Winnicka zniżyła głos), czy ci go trochę nie strach?

— Stało się — i niema już o czem myśleć! — odrzekła panna Sienińska.

— Jak-że to mówisz?

—Mówię, żem mu za przytułek, za kawałek chleba wdzięczność powinna — i że licha to zapłata — moja osoba, której nikt innyby nie chciał, ale skoro on chce, to jeszcze jego łaska!

— On dawno już chciał — rzekła tajemniczo staruszka. — Zawołał mnie dziś po rozmowie z tobą; — myślałam, że było co złego w wieczerzy i że będzie łajał — a on nic! Widzę, że jakiś wesół — i nagle powiada mi nowinę. A pode mną aż nogi zadrżały. Dopiero on mówi: "Czemuś to wacani, jak żona Lota, w słup soli się zmieniła — Cóżem to taki stary grzyb? — "Nie powiadam — jeno, że to taka niespodziana rzecz!" A on znów: "Dawna to myśl (mówi) tylko, że była jako ryba na dnie, dopóki nie znalazł się ktoś, co jej pomógł na wierzch wypłynąć... I wiesz wacani kto?

Byłam pewna, że to ksiądz prałat Tworkowski, ale on rzekł: "Wcale nie ksiądz Tworkowski, jeno pan Grothus..."

Nastała chwila milczenia.

— A ja myślałam, że to pan Taczewski — rzekła przez zaciśnięte usta panna Sienińska.

— Co znowu? Dlaczego Taczewski?

— Aby pokazać, że o mnie nie dba.

— Ale przecie wiesz, że Taczewski nie widywał się z jegomością.

A ona poczęła powtarzać gorączkowo:

— Tak! wiem! — oo innego miał w głowie! Mniejsza z tem Nie chcę nic wiedzieć. Nie chcę! nie chcę! Stało się już i dobrze się stało!

Suchy spazmatyczny płaszcz wstrząsnął jej piersią. Przez chwilę powtarzała jeszcze; "dobrze się stało!" poczem uklękła nagle do pacierzy, które codziennie zwykły były razem odmawiać.

I na drugi dzień zeszła ze spokojną już twarzą do świetlicy. Coś jednak się w niej zeszła ze spokojną już twarzą do świetlicy. coś się zamknęło. Nie była smutna, ale stała się nagle jakby o kilka lat starsza i miała w sobie jakąś cichą powagę, tak, że pan Pągowski, który dotychczas liczył się tylko z sobą, począł się mimowoli liczyć i z nią.. Wogóle nie mógł się z tem wszystkiem połapać, a szczególnie dziwnem wydało mu się to, że czuł jakby jakąś swoją od niej zależność. Począł się obawiać tych myśli, których ona nie wypowiadała, ale które mogła w duszy zamykać — i starał się im zapobiegać, a na ich miejsce podsuwać inne,

takie, jakichby sobie w niej życzył. Nawet milczenie pani Winnickiej ciężyło mu i wydawało się podejrzanem — więc narabiał fantazyą, zagadywał, żartował, ale chwilami błyski niecierpliwości migotały mu w stalowych oczach.

Tymczasem wieść o jego oświadczynach rozeszła się po okolicy. Nie robił zresztą on z nich tajemnicy, owszem, oznajmił rzecz listownie Cypryanowiczowi w Jedlince i najbliższym sąsiadom, oraz porozpisywał listy do Kochanowskich, do Podlodowskich, do Sulgostowskich, do pana Grothusa i do Krzepeckich, a nawet do dalszych żoninych krewnych, z zaproszeniem na zrękowiny, po których zaraz miał ślub nastąpić.

Wolałby był wprawdzie pan Pągowski uzyskać dyspensę nawet i od zapowiedzi, na nieszczęście jednak był to czas Wielkiego postu i trzeba było czekać, aż przejdą święta. Zabrał więc obie niewiasty i pojechał z niemi do Radomia, gdzie panna miała robić wyprawę a on kupować konie, paradniejsze od tych, które były w stajniach bełcząckich.

Dochodziły go tam słuchy, że między krewnymi, którzy spodziewali się wziąć wszystko nietylko po jego nieboszcze żonie, ale i po nim — wre jak w ulu, ale cieszyło go to, gdyż wszystkich z duszy nienawidził — i zawsze rozmyślał o tem, jakby im szkodę wyrządzić. Wieści te o zjazdach, szeptach i naradach skracały mu czas w Radomiu, a gdy nakoniec wyprawa została ukończoną i cugi wraz z nowemi chomątami kupione — wrócili do Bełczączki na samą Wielkanoc. Goście też poczęli się zjeżdżać prawie równo z niemi, gdyż zrękowiny miały się odbyć w trzecie święto.

Pierwsi przybyli Krzepeccy, najbliżsi zarazem sąsiedzi i krewni: ojciec, starzec blizki ośmdziesiątki, z twarzą sępa, słynny ze skąpstwa; trzy córki, z których najmłodsza Tekla, hoże i wesołe dziewczę—i dwie starsze, Agnieszka i Joanna, niemłode, zapalczywe pannice z wiecznemi wypiekami na policzkach, a wreszcie syn Marcyan, przezywany w okolicy Pniakiem.

I słusznie nosił to przezwisko, albowiem na pierwszy rzut oka był istotnie do grubego pnia podobny. Piersi i bary miał potężne, ale nogi pałąkowate i tak krótkie, że wyglądał prawie na karła. Ręce natomiast dochodziły mu aż do kolan. Niektórzy mieli go zagarbatego, nie był on jednakże garbatym, tylko głowę miał tak pozbawioną szyi, i tak nisko osadzoną w kadłubie, że wysokie barki dochodziły mu prawie do uszu. Z tej głowy patrzyły wypukłe, lubieżne oczy i twarz miał do koźlej głowy po-

dobną; podobieństwo to powiększała jeszcze niewielka broda, którą jakby umyślnie i wbrew powszechnemu zwyczajowi nosił.

Wojskowo nie sługiwał, bo go w chorągwiach wyśmiewano, z którego powodu liczne odbywał swego czasu pojedynki. W krótkiem, pękatem ciele posiadał niezwykłą siłę i ludzie obawiali się go powszechnie, był to bowiem burda i zawalidroga, który rad okazyi szukał, a we wszelkich zajściach okazywał jakąś zwierzęcą zapalczywość. Raz poranił ciężko w Radomiu swego stryjecznego brata Krzepeckiego, pięknego i dobrego młodziana, który omal z ran nie umarł. Bały się go siostry, a nawet i ojciec —on zaś czuł respekt tylko przed Taczewskim, o którego biegłości w szermierce wiedział — i przed Bukojemskimi, z których jeden, a mianowicie Łukasz, przerzucił go niegdyś, jak wiązkę słomy, przez parkan w Jedlni.

Reputacyę miał wielkiego lubieżnika — i to była prawda. Pan Pągowski wyłusknął go przed kilkoma laty z domu za to, że w zbyt koźli sposób patrzył na małą jeszcze wówczas pannę Sienińską. Ale że od owego zajścia upłynęło kilka lat i że spotykali się potem i w Radomiu i w domach sąsiedzkich, przeto zaprosił go teraz wraz z całą rodziną na uroczystość familijną.

Zaraz po Krzepeckich przyjechali Sulgostowscy, dwaj bracia bliźniacy, tak do siebie podobni, że gdy włożyli jednakowe kontusze, nikt nich nie umiał rozróżnić; potem troje dalszych Sulgostowskich z za Przytyka — i liczna, bo z dziewięciu osób złożona a urodziwa rodzina Zabierzowskich. Z sąsiedztwa przybył pan Cypryanowicz, ale sam, bo syn wyruszył już do chorągwi; pan starosta Podlodowski, niegdy plenipotent potężnego pana na Zamościu; państwo Kochanowscy, księża z Przytyka, ksiądz Prałat Tworkowski z Radomia, który miał pierścionki błogosławić — i sporo pomniejszej szlachty z bliższych i dalszych stron; niektórzy nawet bez zaproszenia, w tej myśli, że gość, choćby całkiem nieznany, zawsze będzie z otwartemi rękoma przyjęty — i że gdy zdarza się sposobność jedzenia i picia, to nie należy jej opuszczać.

Zaroił się tedy podwórzec w Bełczączce od bryk i powozów stajnie od koni, oficyny od wszelakiej służby, a dwór od barwnych kontuszów, od szabel, od golonych łbów, i pełno w nim było łaciny, niewieściego szczebiotania, lamówek, robronów i rozmaitych "angażantów." Latały dziewki służebne z gorącą wodą, pijana czeladź z gąsiorami win zacnych, z kuchni dymiło się od rana do wieczora jak ze smolarni, a okna dworu świeciły i

płonęły wieczorami tak, aż na całym dziedzińcu było widno. A śród tego rozgardyaszu chodził po pokojach pan Pągowski, trochę pyszny, poważny, ale zarazem jakby odmłodniały, strojny w karmazyny i z szablą jasną od klejnotów, którą panna Sienińska p oróżnych niegdyś przodkach jako jedyne wiano odziedziczyła. Chodził, zapraszał, czasem, gdy chwytał go zawrót głowy, opierał się rękoma o poręcz krzeseł i znów chodził, częstował gości personatów, szurgał nogami, zbliżając się do starszych niewiast ale przedewszystkiem wodził coraz bardziej rozkochanemi oczyma za "swoją Anulą", która w tym tłumie różnobarwnym, śród spojrzeń często niechętnych, często zazdrosnych a czasem i pożądliwych, kwitła biała, jak lilia, słodka, może trochę smutna, a może tylko ważnością tego, co ją miało spotkać, przejęta.

Aż wieczorem, trzeciego święta, we wtorek, zagrzmiały z dziedzińca domowe moździerze, oznajmując gościom i włości, że chwila uroczysta zrękowin nadeszla.

Ustawili się wtedy w świetlicy półkolem wszyscy goście, niewiasty i mężczyźni we wspaniałych strojach, grających jak tęcza przy blasku świec jarzących, a naprzeciw nich stanął pan Pągowski z panną Sienińską. Uczyniła się cisza, tylko oczy wszystkie utkwione były w oblubienicę, która ze spuczonemi oczyma ze skupieniem i powagą na twarzy, bez uśmiechu, ale i nie żałosna, wyglądała jakby uśpiona. Ksiądz prałat Tworkowski, mając przy sobie Tecię Krzepecką, trzymająca srebrną tackę z pierścieniami, sam przybrany w komże, wysunął się z półkola i rozpoczął przemowę do przyszłych nowożeńców. Mówił uczenie, długo i wymownie, wywodząc, co to były "sponsalia de futuro" i jak wielką wagę przywiązywał do zrękowin kościół od pierwszych czasów chrześcijaństwa. Cytował Tertuliana i sobór Trydencki i opinie różnych uczonych kanonistów, poczem dopiero, zwróciwszy się do pana Pągowskiego i do panny Sienińskiej, jął przekładać im, jak mądre było ich postanowienie, jak wielkie świadczą sobie wzajem dobrodziejstwo i jak przyszła ich szczęśliwość od nich samych tylko zależy. Słuchali tego z podziwem zgromadzeni, ale zarazem i z niecierpliwością, gdyż jako krewni, którym wymykało się dziedzictwo, niechętnie patrzyli na ów związek. Sam pan Gedeon, który od dłuższego stania dostawał zawrotu głowy, począł przestępować z nogi na nogę i dawać znaki oczyma prałatowi, by skończył, co on, nierychło spostrzegłszy, pobłogosławił wreszcie pierścionki i założył je na palce obłubieńców. Wówczas zagrzmiały znów armatki na dziedziń-

cu, a z chórku, w izbie stołowej, ozwała się hucznie kapela, złożona z pięciu grzecznie grających żydków radomskich. Goście przychodzili teraz kolejno składać życzenia gospodarzowi i pannie — po największej części kwaśne i nieszczere. Dwie starsze panny Krzepeckie dygały wprost drwiąco przed "wujną", a pan Ma cyan, całując jej ręce, polecał się jej przyszłym łaskom z tak koźlim wzrokiem, że pan Pągowski powinienby go był na dobrą sprawę powtórnie z domu wyłusknąć.

Lecz inni— dalsi krewni, a lepsi i mniej chciwi ludzie — życzyli szczerzej i goręcej. Tymczasem otworzono szeroko drzwi do izby stołowej; pan Pągowski podał ramię narzeczonej, aza nimi ruszyły inne pary, śród migotania i chwiejby płomyków od świec, którą spowodował nagły, wpadający aż do sieni, chłodny przewiew powietrza. Z tej sieni napływała czeladź, już nawpół pijana, z niezliczoną ilością potraw i gąsiorów z winem. W izbie stołowej od ciągłego otwierania drzwi, panował chłód tak mocny, że biesiadników, gdy siedli za stołem, aż dreszcz przejął w pierwszej chwili, a z powodu ciągłej chwiejby płomyków świec cała izba, mimo pięknej zastawy, wydała im się dość ciemną i ponurą. Lecz należało się spodziewać, że wino prędko rozgrzeje krew w żyłach, a wina nie żałował pan Pągowski. Był to człek raczej skąpy na codzień, natomiast w wyjątkowych okazyach lubił popisać się tak, by długo o nim mówili. Zdarzyło się to i teraz. Za każdym biesiadnikiem stał pachoł z omszałym gąsiorem, a nawet i pod stołem było ukrytych kilkunastu czeladzi z butlami, aby, na wypadek, gdy gość, nie mogący pić więcej, wsunie kielich między kolana, napełnić mu go natychmiast. Olbrzymie pijackie szklenice, roztruhany, kusztyki lśniły przed każdem nakryciem,tylko przed niewiastami stały mniejsze, włoskie albo też francuskie kieliszki.

Goście nie obsiedli jednakże całego stołu, gdyż pan Pągowski kazał dać więcej nakryć niż było biesiadników. Ksiądz prałat rzucił oczyma na owe puste miejsca i począł chwalić gościnność domu i gospodarza, ale ponieważ głos miał zawsze bardzo donośny, a przytem podniósł się w tej chwili nieco z krzesła, chcąc sobie ułożyć wygodniej fałdy sutanny, więc obecni sądzili, że chce wznieść pierwszy toast i uciszyli się wszyscy.

— Słuchamy! — ozwało się kilka głosów.

— Ej, niema czego— odrzekł wesoło ksiądz. — Nie toast to jeszcze żaden, choć wkrótce przyjdzie i na to pora, bo widzę, jak niektórzy z ichmościów trą sobie zawczasu czupryny, a pan

Kochanowski już i szepce do siebie, i na palcach coś liczy. Trudno, mości panie! od kogóż jak nie od Kochanowskiego rytmów wyglądać. Ja jeno chciałem rzec, iż chwalebny to jest staropolski zwyczaj te nakrycia dla niespodzianych gości.

— Ba — rzekł pan Pągowski — jak się dom w nocy świeci to z ciemności zawsze ktoś może nadjechać...

— A może kto jedzie — ozwał się pan Kochanowski.

— Może pan Grothus?

— Nie... pan Grothus na sejmie. Jeśli ktoś nadjedzie, to całkiem nieoczekiwany.

— Ale go nie usłyszymy, bo ziemia miękka.

— A no! pies pod oknem szczeka. Nuż się ktoś zjawi.

— Z tej strony nikt się nie zjawi, bo to okna na sad.

— I co prawda, to pies wyje, nie szczeka.

Jakoż tak było. Pies ozwał się raz, drugi i trzeci, poczem szczekanie jego zmieniło się w nizkie, posępne wycie.

Pan Pągowski wzdrygnął się mimowoli, przypomniał sobie bowiem, jak przed wielu, wielu laty, w innych okolicach, w jego dworze, leżącym o milę od zamku pomorzańskiego, na Rusi, tak samo psy wyły przed nagłym napadem Tatarów.

A pannie Sienińskiej przyszła do głowy myśl, że już jej nikogo czekać nie wolno, i że ktokolwiekby nadjechał z ciemności do oświeconego dworu, to już nadjedzie zapóźno.

Lecz i innym uczestnikom uczyniło się jakoś dziwnie, tembardziej, że do pierwszego psa przyłączył się drugi — i za oknem rozległo się podwójne wycie.

Więc mimowoli słuchali w przykrem milczeniu, które dopiero po chwili przerwał Marcyan Krzepecki.

— Nic nam po takim gościu, na którego psi wyją — rzekł.

—Wina! — zawołał pan Pągowski.

Ale puhary były pełne, więc nie trzeba było nalewać. Stary Krzepecki, ojciec Marcyana, podniósł się ociężale z krzesła, chcąc widocznie przemówić. Wszyscy zwrócili na niego oczy, a starsi po części otaczać dłońmi uszy, aby lepiej dosłyszeć co powie, lecz on jął tylko poruszać przez dłuższą chwilę ustami, przyczem broda schodziła mu się prawie z nosem, albowiem wcale nie miał zębów.

Tymczasem, pomimo, że na dworze była odwilż i ziemia miękka, z drugiej strony dworu dał się słyszeć jakby głuchy turkot — i rozlegać się dość długo, jakby ktoś dwa razy objeżdżał dzie-

dziniec. Więc stary Krzepecki, który już był podniósł kielich, postawił go znów na stole i począł patrzeć na drzwi.

A za nim uczynili to wszyscy inni.

— Zobaczyć, kto przyjechał! — rzekł do czeladnika pan Pągowski.

Pachołek skoczył i zaraz potem powrócił.

— Niemasz nikogo — rzekł.

— To dziwne — ozwał się prałat Tworkowski — słychać było wyraźnie.

— Wszyscy słyszeliśmy — odrzekł jeden z bliźniaków Sulgostowskich.

— I psy przestały wyć — dodał drugi.

Wtem drzwi od sieni, widocznie źle zamknięte przez czeladnika, otworzyły się same i do izby wpadł znowu powiew tak silny, że zgasił odrazu kilkanaście świec.

— Co to jest? zamykać drzwi! świece gasną! — ozwało się kilka głosów.

Lecz wraz z powiewem wleciał do pokoju jakby przestrach. Pani Winnicka, osoba pojaźliwa i przesądna, poczęła się żegnać głośno:

— W imię Ojca i Syna i Ducha...

— Cicho, acani! — rzekł pan Pągowski.

Poczem, zwróciwszy się do panny Anny, ucałował jej rękę.

— Nie pomiesza nam radości byle zgaszona świeca — rzekł — i daj mi Bóg być jeno do końca życia tak szczęśliwym, jako w tej chwili jestem, prawda Anulko?

A ona również pochyliła się do jego dłoni.

—Prawdać, opiekunie — rzekła.

— Amen! — dokończył prałat.

I, powstawszy, począł mówić:

— Mości państwo! skoro ów niespodziany odgłos powaryował widocznie koncept panu cześnikowi Krzepeckiemu, niechże ja pierwszy będę tłumaczem tych afektów, któremi goreją dla przyszłych nowożeńców nasze corda. Więc, zanim zawołamy: o Hymen, o Hymenaios, zanim, rzymskim obyczajem, Thalassiusa, nadobnego młodziana przyzywać zaczniemy, co daj Bóg, aby jak najprędzej się stało, wznieśmy ex imo ten pierwszy toast za ich pomyślność i za ich przyszłą szczęśliwość: vivant, crescant, floreant!

— Vivant! vivant! — zagrzmiały wszystkie głosy.

Ozwała się wraz radomska kapela, a za oknami woźnice po-

częli palić w ciemności z batów. Czeladź podniosła też okrzyk w całym domu, a w izbie, śród ciągłych wiwatów, grały łykające wino krtanie:

Vivant, crescant! floreant!...

Długo trwały okrzyki, tupania nogami, dźwięki z trąb i palba z batów—i uciszyło się dopiero, gdy pan Pągowski wstał podniósł kielich i ozwał się gromkim głosem:

— Mnie wielce miłościwi, a najmilsi sercu mojemu goście i krewni!... Zanim moją całą wdzięczność niedołężnemi słowy wypowiem, naprzód uderzę, wam czołem za oną życzliwość braterską i sąsiedzką, któraście mi okazali, zebrawszy się tak licznie pod moim ubogim dachem...

Lecz słowa: "pod moim ubogim dachem" wymówił jakimś dziwnym, cichszym i jakby pokorniejszym głosem, poczem siadł znowu pochylił głowę tak, że czołem wsparł się istotnie o stół — a goście aż się zdziwili, że człowiek zwykle tak chłodny i dumny ozwał się z taką serdecznością.

Pomyśleli jednak, że wielkie szczęście roztapia choćby najtwardsze serca — i, czekając co dalej powie, patrzyli tymczasem na jego siwą czuprynę, wciąż o krawędź stołu opartą.

— Cicho! słuchamy! — ozwały się głosy.

I rzeczywiście zapadła głęboka cisza.

Lecz pan Pągowski nie poruszył się wcale.

— Co waści? co to jest?... Na Boga!...

— Mów waść! — zawołał.

Ale pan Pągowski odpowiedział tylko okropnem chrapnięciem, przyczem kark i ramiona poczęły mu drgać nagle.

Panna Sienińska zerwała się z miejsca blada, jak ściana, i zaczęła krzyczeć przerażonym głosem:

— Opiekunie! opiekunie!...

Przy stole uczynił się rum i zamieszanie. Zabrzmiały okrzyki i pytania. Otoczono Pągowskiego kołem, prałat chwycił go za ramiona i przychylił na poręcz krzesła; inni jęli go zlewać wodą, inni wrzeszczeli, by przenieść go na łoże i puszczać mu krew co prędzej. Niektóre z niewiast poklękały — niektóre biegały jak szalone po izbie z przeraźliwym lamentem i jękami— a pan Pągowski z zadartą w tył głową, z nabranemi, jak postronki, żyłami na czole i zamkniętemi oczyma chrapał i rzęsil coraz rozgłośniej..

Nieoczekiwany gość przybył istotnie z ciemności — i wstąpił do jego dworu — straszny i nieubłagany.

XIV.

Czeladź na rozkaz księdza pochwyciła chorego i przeniosła go na drugi koniec domu do "kancelaryi", która służyła panu Pągowskiemu zarazem za sypialnię. Posłano tymczasem po kowala na wieś, który umiał puszczać krew i puszczał ją też zwykle, zarówno ludziom, jak zwierzętom. Pokazało się po chwili, że znajdował się on przed domem wraz z całą gromadą, zebraną na poczęstunek — ale na nieszczęście był zupełnie pijany. Pani Winnicka przypomniała sobie, że ksiądz Woynowski słynie na całą okolicę, jako zawołany doktór, wyprawiono więc i po niego co koń wyskoczy kałamaszkę, chociaż wydawało się rzeczą oczywistą, że to wszystko na nic się nie zda i że dla chorego niemasz już żadnego ratunku.

Jakoż tak było. Prócz panny Sienińskiej, pani Winnickiej, dwóch panów Krzepeckich i pana Zablerzowskiego, który bawił się trochę w medyka, nie puścił ksiądz Tworkowski nikogo więcej do kancelaryi, aby natłokł nie przeszkadzał ratunkowi. Ale wszyscy inni biesiadnicy, zarówno niewiasty, jak mężczyźni, zebrali się w sąsiedniej wielkiej izbie gościnnej, gdzie były przygotowane posłana dla mężczyzn, i stali zupełnie jak stado trwożnych owiec, pełni niepokoju, obawy, ciekawości i, spoglądając na drzwi, czekali nowin, a niektórzy robili pocichu uwagi nad okropnem zdarzeniem i nad prognostykami, które zapowiedziały nieszczęście.

— Uważaliście, jak migotały świece i płomienie były jakieś czerniawe? to już widać śmierć je przesłaniała ozwał się szeptem jeden z Sulgostowskich.

— Była między nami, a myśmy o tem nie wiedzieli.

— Psy na nią wyły.

— A ów hurkot? — może to ona właśnie zajechała.

— Bóg, widać, nie chciał dopuścić do tego małżeństwa, któreby było krzywdą familii.

Dalsze szepty przerwało ukazanie się pani Winnickiej i Marcyana Krzepeckiego. Ona przebiegła chyżo izbę, śpiesząc po relikwie, broniące przystępu złym duchom, a jego otoczono zaraz kołem!

— Co tam? jak się ma?

A Marcyan ruszył ramionami, podniósł je tak, że głowa znalazła mu się prawie na piersiach — i odrzekł:

— Rzęzi jeszcze.

— Niema ratunku?

— Niema!

Wtem przez ucholone drzwi doszły wyraźnie uroczyste słowa prałata Tworkowskiego:

— "Ego te absolvo a peccatis tuis— et ob omnibus censuris, in nomine Patris et Filli et Spiritus Sancti. Amen."

Więc poklękali wszyscy i zaczęli się modlić. Pani Winnicka przeszła między klęczącymi, trzymając obu dłońmi relikwie. Marcyan udał się za nią i zamknął drzwi.

Lecz nie pozostały już długo zamknięte, po kwadransie bowiem ukazał się w nich znowu i zawołał swym skrzypiącym, klar netowym głosem:

— Skończył!

Wówczas ze słowami "wieczny odpoczynek" — ruszyli jedni po drugich do kancelaryi, by rzucić ostatnie, pożegnalne spojrzenie na nieboszczyka.

A tymczasem na drugim końcu domu, w izbie stołowej, poczęły się dziać rzeczy ohydne. Służba w Bełczączce o tyle właśnie nienawidziła Pągowskiego, o ile się go bała, więc wydało się jej, że wraz z jego śmiercią nastaje czas ulgi, radości i bezkarnej swawoli. Służbie przyjezdnej zdarzała się sposobność do pohulanki, więc cała czeladź, zarówno miejscowa jak obca, pijana mniej lub więcej już od południa, rzuciła się teraz na potrawy i wino. Pachołkowie przychylali do ust całe flasze wódek gdańskich, petercymentów, małmazyi i węgrzyna; inni, bardziej chciwi na jadło, wyrywali sobie kawały mięsiwa i ciast. Śnieżny obrus ubroczył się w mgnieniu oka kałużami wielorakich płynów. W zamieszaniu poprzewracano krzesła i świeczniki na stole. Rznięte ozdobnie kielichy i szklanice wymykały się z pijackich rąk i rozbijały z brzękiem o podłogę. Tu i owdzie powstały kłótnie, bijatyki; niektórzy rabowali wprost zastawę stołową. Słowem, rozpoczęła się orgia, której odgłosy doleciały aż na drugą stronę domu.

Wpadł na owe krzyki Marcyan Krzepecki, za nim dwóch Sulgostowskich, młody Zabierzowski i jeszcze jeden z gości, a widząc co się dzieje, porwali się do szabel. W pierwszej chwili zamieszanie powiększyło się jeszcze bardziej. Sulgostowscy poprzestali na płazowaniu pijaków, lecz Marcyana Krzepeckiego ogarnął szał wściekłości.. Wypukłe oczy wylazły mu jeszcze bardziej na wierzch, zęby błysnęły z pod wąsów i począł poprostu

siekać kto mu się nawinął. Kilku sług zalało się krwią, inni chronili się pod stół, reszta stłoczyła się w bezładnej ucieczce we drzwiach, a on bił w kupę, krzycząc:

— Hultaje! psubraty! ja tu pan! ja tu gospodarz!

I wyjechał na nich do sieni, skąd doszedł jeszcze jego przeraźliwy głos:

— Kijów, rózeg!...

A ci tu w izbie stali, jak śród rumowiska, patrząc na siebie zgorszonym wzrokiem i kiwając głowami.

—Jeszczem też takich rzeczy w życiu nie widział ozwał się jeden z Sulgostowskich.

A drugi rzekł:

—— Dziwna śmierć i dziwne jej okoliczności. Patrzcie — toż tu, rzekłbyś: Tatarzy wtargnnęli.

— Albo złe duchy— dodał Zabierzowski. — Straszna jakowaś noc.

Kazali jednakże wyleźć ukrytej pod stołem czeladzi, uczynić w izbie ład jaki taki. Pachołkowie wyszli wytrzeźwieni zupełnie ze strachu i rączo wzięli się do roboty, a tymczasem powrócił Marcyan.

Był już spokojniejszy, tylko jeszcze wargi trzęsły mu się ze złości.

— Popamiętają!—rzekł, zwróciwszy się do obecnych. — Ale dziękuję waćpanom, żeście mi pomogli do ukarania tych łajdaków. Nie luźniej im tu będzie, niż za nieboszczyka! moja w tem głowa!

Na to spojrzeli na niego zaraz bystro obaj Sulgostowscy i jeden rzekł:

— Tak samo waćpan nie masz nam za co dziękować, jak my jemu.

— No?

— I dlaczego się tu na jednego sędziego sposobisz? — zapytał drugi z bliźniaków.

A on począł natychmiast podskakiwać na swoich krótkich, pałąkowatych nogach do góry jakby im chciał do oczu doskoczyć, i odrzekł:

— Bo mam prawo! mam prawo! mam prawo!

— Jakie prawo?

— Lepsze od waszego!

— A cóż to? czytałeś testament?

— Co mi testament? (tu dmuchnął na dłoń) — ot co! wiatr!

Komu zapisał? żonie? A gdzie jaka żoną? Ot co? — ja tu najbliższy! — my — Krzepeccy — nic wy!

—A to obaczym. Bogdaj cię zabito!

— Bogdaj was zabito! Idźcie precz!

— Ty koźle, ty psiaku! Doczekasz! Precz, mówisz, mamy iść?... Pilnuj ty lepiej swego koźlego łba!

— Grozicie?

Tu trzasnął pan Marcyan szablą i posunął się ku braciom — a oni też chwycili za rękojeści.

Lecz w tej chwili ozwał się za nimi zgorszony głos księdza Tworkowskiego.

— Mości panowie! Nieboszczyk jeszcze nie ostygł.

— Więc Sulgostowscy zawstydzili się ogromnie i jeden z nich rzekł:

— Księże prałacie, o nic nam tu nie chodzi, bo swój kawałek chleba mamy i cudzego nie pragniem. Ale ta żmija już tu żgać poczyna i ludzi chce rugować.

— Jakich ludzi? Kogo

— Kogo popadnie. Dziś nas, którym już kazał iść precz, a jutro może te niewiasty-sieroty, pod tym dachem żyjące.

— A nieprawda! nieprawda! — zawołał Marcyan.

I, zwinąwszy się nagle w k łębek, uśmiechnął się, począł zacierać ręce, kłaniać się i mówić z jakąś jadowitą uprzejmością:

— Owszem, owszem! — proszę wszystkich na pogrzeb i stypę — proszę pokornie — prosimy obaj z ojcem, a co się tyczy panny Sienińskiej, zawsze tu znajdzie dach i opiekę — zawsze! zawsze!

To rzekłszy, zacierał z wielką radością ręce.

XV.

Jakoż postanowił Marcyan sam oświadczyć pannie Sienińskiej, że Bełczączkę może zawsze uważać za dom własny, ale odłożył tę rozmowę aż do czasu ukończenia ceremonii pogrzebowych, pierwej bowiem chciał pogadać z ojcem, który z powodu procesów jakie przez całe życie prowadził, znał się na prawie i umiał zapobiegać z góry wszelk im trudnościom. Obaj byli zresz tą przekonani, że sprawa ich jest dobrą, więc na drugi dzień po wypadku, właśnie w chwili, gdy pana Pągowskiego wkładano w trumnę, zamknęli się w bocznej izbie i poczęli z równie dobrą otuchą uradzać.

— Opatrzność nad nami! — mówił stary — nic, tylko Opatrzność — i Pągowski ciężko odpowie przed Nią za tę krzywdę, którą nam chciał wyrządzić.

— A niech odpowiada — odrzekł Marcyan. — Nasze szczęście, że tylko chciał, a nie zdążył, bo teraz wszystko weźmiemy w ręce. Już się Sulgostowscy skłócili ze mną, ale pierwej ja im dusze wydrę, niż oni nam jeden zagon z Bełczączki.

— Ha, szelmy! tacy synowie! bodaj ich skrzywiło!... Wszelako nie ich się boję, jeno testamentu. Wypytywałeś księdza Tworkowskiego? Jeśli kto co wie, to on.

Nijak mi było wczoraj, bo zdybał mnie przy kłótni z Sulgostowskimi i rzekł nam: "Nieboszczyk jeszcze nie ostygł"... potem wyjechał po trumnę i po księży — a dziś nie było czasu.

— Nuż Pągowski tej tam kozie wszystko zapisał.

— Nie miał prawa, bo to majątek po nieboszczce, naszej najbliższej krewnej.

— To też się testament zwali, ale będą koszta, jazdy do trybunałów... Bóg wie co!

— Ojciec do procesów zwyczajny, ja zaś ułożyłem sobie w głowie coś takiego, że nie będzie potrzeba żadnych procesów, tymczasem beatus que tenet, przeto już się z Bełczączki nie ruszę i po czeladź naszą już posłałem. Niech mnie potem rugują — Sulgostowscy albo Babierzowscy!

— Ale ze strony dziewki, jeśli jej zapisano?

— A kto się za nią ujmie? Dziewka jak palec na świecie: ni przyjaciół— zwyczajnie sierota. Komu się zechce karku dla niej nadstawiać, narażać się na zwady, na pojedynki ekspensa? Co ona kogo obchodzi? Taczewski się w niej kochał, ale Taczewskiego niema; może wcale nie wrócić, a choćby wrócił, to golec — i na procesach tyle się rozumie, co mój koń. Prawdę rzekłszy, to położenie jest takie, że choćby jej nie Pągowski, ale rodzony ojciec Bełczączkę zapisał, to jeszcze moglibyśmy tu zjechać i rządzić, jak nam się podoba, pod pozorem opieki nad sierotą. Ja myślę, że Pągowski chciał jej dopiero w intercyzie poczynić zapisy —więc albo testamentu wcale się nie znajdzie, albo, jeśli się znajdzie, to jaki stary, z zapisem dla panny Sienińskiej, jako dla wychowanki...

— A taki da się zwalić — rzekł stary — moja w tem głowa! Chociaż procesu się nie uniknie.

— Czemu zaś? Ja słucham co ojciec mówi, ale myślę, że się uniknie.

— Kiedy, bo to, mówiąc między nami, nieboszczka Pągowska (głupia była... Panie, świeć nad jej duszą!) zapisała wszystko mężowi, więc i on miał prawo zapisać, komu chciał.

Ostatnie słowa wypowiedział starszy pan Krzepecki, rozglądając się na wszystkie strony i prawie szepcąc, chociaż wiedział, że w izbie prócz nich niema nikogo więcej.

Lecz syn zapytał:

— Jak ona mogła mu zapisać, skoro zginęła nagłą śmiercią?...

— Data jest w rok po ślubie: widać Pągowski to z niej wydurzył dlatego, że tam, gdzie mieszkali, niebezpieczne strony i nikt nie wie, kiedy mu Tatary requem zawyją. Wzajem sobie zapis uczynili i testamenta były złożone w grodzie w Pomorzach, skąd je Pągowski tu przywiózł. Chciałem się wtedy z nim prawować, alem widział, że nie wskóram. Teraz co innego..

— Teraz obejdzie się całkiem bez procesu.

— Jeśli się obejdzie, to tem lepiej, ale trzeba być gotowym..

— Ej! — nie trzeba.

—Jakoż ma być?

— Już ja bez ojca poradzę.

Usłyszawszy to, stary pan Krzepecki rozgniewał się.

— Ty poradzisz? co? jak? Jeno mi ty roboty nie psuj. On poradzi!... Alboś to nie radził, żebym z Silnickiemi o Drążków dał spokój, bo nie sposób!... Nie sposób?... Dlaczego?... Zaprzysięgano świadków na gruncie — wielka rzecz! Kazałem ludziom nabrać w buty ziemi z mego podwórza — no i co? I poszli na grunt Silnickich i żaden fałszywie nie przysięgał, gdy mówił: "Przysięgam, że ta ziemia, na której stoję, jest pana Krzepeckiego!" A tybyś rok myślał i nic takiegobyś nie wymyślił. Ty poradzisz? — patrzcie go!...

I począł z gniewu poruszać bezzębnemi szczękami, jakby co żuł, przyczem broda zbiegała mu się zupełnie z zakrzywionym jak u drapieżnego ptaka nosem.

A syn rzekł:

— Odsapnij ojciec i posłuchaj. Jak chodzi o to, by lege agere cum aliquo, to ja zawdy ojcu ustąpię, ale co się tknie dziewek to moja eksperyencya większa i sobie więcej ufam.

— No?..:

— Przeto jeśli przyjdzie do procederu z panną Sienińską to nie w żadnym trybunale.

— Cóże zamyślasz?

— Nietrudno zgadnąć. Alba mi to nie czas? albo to taką drugą dziewkę znajdziesz ojciec w całej okolicy?...

To rzekłszy, pan Marcyan zadarł głowę do góry i począł patrzeć ojcu w oczy, a ów patrzył na niego także pytającym wzrokiem i żuł szczękami, a potem spytał:

— To tak?

— Czemuby nie? Mnie to już od wczoraj chodzi po głowie!

— Hm! czemu nie? Dlatego, że goła jak Łazarus.

— Ale do Bełcząlczki przyjdę śpiewający, bez żadnych impedymentów. Goła jest, ale to dziewka z wielkiej krwi... A pamięta ojciec, co Pągowski powiadał, że gdyby się tak w papierach Sienińskich rozpatrzyć, to możnaby z pół województwa wyprocesować? Przecie i Sobiescy na nich wyrośli, więc byłaby i protekcya królewska. Sam król powinien o jakowejś sprawie pomyśleć... A mnie dziewka dawno w oko wpadła, bo też łakomy to kąsek, łakomy! łakomy!

I począł podskakiwać na swych krótkich nogach, oblizując się zarazem po wąsach — przyczem wyglądał tak szpetnie, że stary Krzepecki rzekł:

— Nie zechcę cię.

— A starego Pągowskiego chciała? — co? a mało było takich, co mnie chciały? Siła poszło młodych chłopów do chorągwi, więc dziewki można będzie na kopy kupować, jak ufnale. Wiedział stary Pągowski, dlaczego mnie z domu przepędził — i nie byłby przepędzał, gdyby się o dziewkę nie bał.

— Ale suponując, że cię nie zechce, to wówczas co?

Złe bł̣ski mignęły w oczach Marcyana.

— To wówczas — odrzekł z naciskiem — z dziewką bez żadnej opieki można tak postąpić, że jeszcze sama będzie się do kościoła prosić...

Lecz stary przestraszył się temi słowami.

— Hę?— zapytał. — A wiesz ty, że to gardłowa sprawa?

— Wiem, że za Sienińską niktby się nie ujął!

—A ja ci mówię: wiara! I tak już są na ciebie krzyki. Proces o majątek wygrasz, czy przegrasz bezecnym nie zostaniesz — a to kryminał — rozumiesz?

— Bo też do tego i nie przyjdzie, chyba żeby sama chciała Ale wy mi nie przeszkadzajcie, jeno zróbcie tak, jak powiem. Weź ojciec po pogrzebie Tecię do domu, a jeśli się pozór jakowyś znajdzie, to i starą Winnicką, ja zaś tu przy dziewcce ostanę z Agnieszką i Joanną. Gadziny to są, zawzięte na każdą, która od

nich młodsza i narodziwsza. Już one wczoraj zaczęły tę niebogę żądłami żgać, a cóż dopiero będzie, gdy pod jednym dachem z nią zamieszkają. Toż ją będą kłóć, toż kąsać, toż poniewierać, toż łaskawy chleb wymawiać! Tak to widzę, jakobym w książce czytał — a to woda na mój młyn.

— Cóż na nim zmielesz?

— Co zmielę? To, że często umyślnie na kłótnię wpadnę, tamte żmije zwymyślam, czasem której w pysk dam: — "a zasię!" — a ją po rękach, ba i po kolanach wycałuję: "Jam twój defensor, jam brat, jam prawdziwy przyjaciel — tyś tu prawdziwa pani!" I myślisz ojciec, że się w niej serce nie rozpłynie, że nie pokocha tego, kto jej będzie tarczą i obroną, kto jej będzie obcierał łzy, kto będzie nad nią w dzień i w noc czuwał? A jeśli w rozżaleniu, w zapamiętaniu i we łzach przyjdzie do jakowejś ekstraordynaryjnej konfidencyi, to tem lepiej, tem lepiej! tem lepiej!...

Tu Marcyan począł zacierać ręce i patrzeć na ojca tak koźlemi oczyma, że stary aż splunął.

— Tfu! poganinie! Tobie zawsze jedno na myśli.

— Bo aż po mnie mrowie chodzi, jak na nią spojrzę. Niedarmo mnie Pągowski stąd wymiatał.

Nastała chwila milczenia.

To tedy, powiesz Joannie i Agnieszce, by w myśl twoją czyniły?

—Im? Im nie, trzeba nic mówić, ani niczego uczyć—bo ich natura wystarczy. Jedna Tecia gołąb, a to kanie.

Jakoż nie mylił się pan Marcyan, albowiem siostry jego już poczęły, każda po swojemu, opiekować się panną Sienińską. Tecia brała ją co chwila w ramiona i płakała z nią razem, a Joanna i Agnieszka pocieszła ją także, ale inaczej.

— Co się nie udało, to się i nie udało — mówiła starsza — ale waćpanna się uspokój. Nie będziesz nam wujną, bo Pan Bóg tego nie chciał, ale nikt ci tu krzywdy nie uczyni i kawałka chleba nie pożałuje.

— I do żadnej roboty nikt cię nie będzie napędzał — ciągnęła druga— bo wiemy, żeś tego niezwyczajna. Jak ochłoniesz a sama zechcesz, to co innego, ale poczekaj z tem, aż żal przejdzie, bo w samej rzeczy wielkie spotkało cię nieszczęście. Miałaś tu być panią, miałaś mieć męża, a teraz nie masz nikogo prócz nas; ale wierzaj, że chociażeśmy nie krewni, będziemy dla cię jakby krewni.

Poczem znów Joanna:

— I zgódź się z wolą Boską. Bóg cię w tem doświadczył, ale za to inne grzechy ci odpuści. Bo jeśliś może nadto dufała w urodę, albo pożądała bogactw i strojów — (wszyscy my przecie grzeszni —i dlatego tylko to mówię), to się jedno za drugie policzy.

— Amen — zakończyła Agnieszka. — Daj za duszę nieboszczyka na kościół jaka lamówkę, albo mały klejnocik. bo ci teraz nic po wyprawie, a już my uprosimy naszego ojca, żeby ci na to pozwolił.

Tak mówiąc poczęły bacznemi oczyma spoglądać na szaty, leżące na stole, i na skrzynie, w których była wyprawa. Brała je ciekawość tak niezwalczona zobaczyć co tam jest, że wreszcie Joanna rzekła:

— Możeby ci trochę w szukaniu dopomódz?

I po tych słowach obie rzuciły się na skrzynie, na puzdra, na łuby, w których leżały jeszcze niewypakowane po powrocie z Radomia szaty, i nuż je wydostawać, nuż rozkładać, nuż oglądać do światła i pod światło— nuż przymierzać.

A panna Sienińska siedziała w ramionach słodkiej Teci jak odurzona — nic nie słysząc i nie wiedząc, co się z nią i koło niej dzieje.

XVI.

Już jako narzeczona doznawała takiego uczucia, że coś się w jej życiu zmierzcha, coś gaśnie, przecina się i zamyka, więc to narzeczeństwo nie budziło w jej sercu radości. Zgodziła się na nie tylko dlatego, że taka była wola Pągowskiego i że tak jej nakazywała wdzięczność za opiekę, a bardziej jeszcze z tego powodu, że po odjeździe Jacka została w jej sercu tylko gorycz i żal i uraza i ta bolesna myśl, że prócz tego opiekuna nie ma nikogo i że gdyby nie on, byłaby jak podróżna sierota, zabłąkana śród ludzi obcych i nieprzyjaznych. Aż oto nagle grom uderzył i w to ognisko, przy którem miała zasiąść w jakim, chociażby w smutnym spokoju i nie stało jedynego człowieka który był dla niej czemś na świecie. Nic dziwnego, że ów grom ogłuszył ją w pierwszej chwili i że wszystkie myśli poplątały się w jej głowie, a w sercu zapiekło się jeno uczucie żalu za tą jedyną bliską duszą, w połączeniu z uczuciem zdumienia i przestrachu.

Więc słowa dwóch starszych panien Krzepeckich, które poczęły grabić wyprawę, odbijały się o jej uszy jako dźwięki bez zna

czenia. Przyszedł potem Marcyan, kłaniał się, zacierał ręce podskakiwał, prawił coś długo, ale ona nie rozumiała zarówno jego, jak i wszystkich innych gości, którzy wedle zwyczaju, zbliżali się ze słowami tem wymowniejszego spółczucia, im mniej go mieli w sercach! Dopiero, gdy pan Cypryanowicz położył jej po ojcowsku rękę na głowie i rzekł. "Bóg będzie nad tobą, sieroto", poruszyło się w niej coś nagle i do oczu napłynęły łzy. Pierwszy też r. · przyszła jej do głowy myśl, że jest jako liść marny, zdany na wolę wiatru.

Tymczasem rozpoczęły się ceremonie pogrzebowe, które, ponieważ pan Pągowski był człowiekiem znacznym w swej okolicy, trwały, wedle zwyczaju, około dni dziesięciu. W zrękowinach brali udział, z niewielkimi wyjątkami tylko goście proszeni, na pogrzeb zaś zjechało całe bliższe i dalsze sąsiedztwo, więc dom roił się od ludzi, a przyjęcia, mowy, wyjazdy na nabożeństwa i powroty z kościoła następowały jedne za drugiemi. W pierwszych dniach uwaga powszechna zwracała się wyłącznie na niedoszłą wdowę po nieboszczyku, lecz później, gdy ludzie spostrzegli, że Krzepeccy objęli całkiem dom i że oni występują jako gospodarze, przestano na nią zważać i pod koniec uroczystości pogrzebowych nie zważano już więcej, na zwykłą rezydentkę domową.

Myślał o niej tylko pan Cypryanowicz, którego ujęły jej łzy i wzruszyła jej dola. Służba poczęła już szeptać o tem, że dwie panny Krzepeckie rozerwały całą wyprawę, a starszy pan pochował do szkatuły "klejnociki" — i że w domu poczynają "panienką" pomiatać. Więc gdy te słuchy doszły do uszu pana Serafina, poruszyło się niemi jego dobre serce i postanowił pogadać o tem z księdzem Woynowskim.

Lecz ksiądz Woynowski uprzedzony był wielce z powodu Taczewskiego do panny Sienińskiej i zaraz z początku rozmowy rzekł:

— Żal mi jej, bo biedna, nieboga — i w czem będę mógł, to jej pomogę, ale że (mówiąc między nami) Bóg ją za mojego Jacka pokarał, to pewna.

— No, ale Jacek pojechał, jako i mój Stanisław, a ona tu ostała sierotą.

— Jużci pojechał, ale jak? Waćpan widziałeś go w chwili odjazdu, a ja odprowadzałem go dalej — i powiem waści, że chłopczysko jeno zęby iściskał, a serce to tak krwawiło mu w piersiach, że i słowa nie mógł przemówić. Oj! miłował ci on tę dziew-

czynę, jak tylko dawniej ludzie umieli miłować, a dziś już nie umieją.

— Ale przecie rękoma jeszcze może ruszać, bom słyszał, że zaraz za Radomiem miał zwadę i poszczerbił przejezdnego szlachcica, czy nawet dwóch.

— Ba, przeto że ma panieńską twarz, każdy zawalidroga myśli, że tanio się z nim wywinie. Szukali z nim jacyś pijacy okazyi, to i cóż miał robić? Zagnię ci ja mu to, zganię, ale pomyśl waść, że człek z rozdartem przez afekt sercem jest jako leo, quaerens quem devoret.

— Prawda jest, ale co do dziewczyny— oj, dobrodzieju! — Bóg wie, czy ona tyle winna, ileśmy myśleli.

— Mulier est insidiosa.

— Insidiosa, nie insidiosa, a mnie, jakem się tylko dowiedział, że Pągowski chce się żenić, zaraz przyszło na myśl, że to może on główny sprawca wszystkiego, bo siła musiało mu na tem zależeć, żeby się raz na zawsze Jacka pozbyć!

Lecz ksiądz potrząsnął głową.

— Nie. Wymiarkowaliśmy to expedite z jego listu, że był z jej poduszczenia napisany. Pamiętam go doskonale i mógłbym waszmości każde słowo powtórzyć.

— Pamiętam i ja, ale tego nie mogliśmy wiedzieć, co jej Pągowski mówił i jak jej uczynki Jackowe prezentował. Bo naprzykład Bukojemscy przyznali mi się, że spotkawszy ją wraz z nieboszczykiem na drodze do Przytyka, umyślnie mówili im, że Jacek odjechał po obfitem strzemiennem, śmiejący się, wesoły i ekstraordynaryjnie ciekaw córki pana Zbierzchowskiego, do którego jegomość dałeś mu listy.

—Ot to nałgali! — i po co.

— A no, niby żeby pokazać dziewce i Pągowskiemu, iż Jacek sobie nic z nich nie robił. Ale pomiarkuj z tego jegomość, że jeśli Bukojemscy tak gadali przez przyjaźń dla Jacka, co mógł jej nieboszczyk nagadać przez nieprzyjaźń.

— Pewnie, że nie musiał go szczędzić. Ale choćby ona była mniej winna, niżeśmy myśleli, powiedz mi waćpan, co z tego? Jacek pojechał i może zgoła nie wróci, bo, ile go znam, to mniej jeszcze będzie szczędził życia, niż pan Pągowski jego reputacyi.

— Taczewski byłby w każdym razie pojechał — odrzekł pan Cypryanowicz.

— I jeśli nie wróci, nie rozedrę na sobie sutanny. Śmierć za ojczyznę i przeciw mahometowej bezecności — godny to chrze-

ścijańskiego rycerza koniec i godne wielkiego rodu skończenie. Alebym wolał, żeby był odjechał nie z tak bolesnym grotem, jaki w nim tkwił — i oto wszystko.

— I mój jedynak żadnego osobliwego szczęścia w życiu nie zaznał, a także poszedł, także może nie wróci — odparł pan Cypryanowicz.

I zadumali się obaj, bo i jeden i drugi całą duszą miłowali tych młodzianków.

Trafił na tę zadumę ksiądz prałat Tworkowski i, dowiedziawszy się, że przed chwilą mówili o przyszłej doli panny Sienińskiej, rzekł:

— Powiem waćpaństwu, ale niechże to będzie tajemnica, że nieboszczyk nijakiego testamentu nie zostawił i że Krzepeccy mieli prawo objąć majętność. Wiem że chciał intercyzę uczynić na korzyść żony i wszystko jej zapisać, ale nie zdążył. Nie wygadajcie się jeno z tem przed Krzepeckimi.

— Toś ksiądz prałat nic im nie mówił?

— A po co? To twardzi ludzie, a mnie chodziło o to, żeby nie byli dla niej twardsi, więc nietylko im nic nie powiedział, ale jeszcze rzekłem tak: "Nietylko Bóg człeka, ale i człek człeka chce czasem wypróbować" — co usłyszawszy oni, zaniepokoili się wielce i nuż wypytywać: "A jakoż jest? azali jegomość co wiesz?" Na to ja znów: "Co ma się pokazać, to się pokaże; pamiętajcie zaś tylko to jedno, że nieboszczyk miał prawo zapisać całą posiadłość komuby mu się żywnie podobało."

Tu prałat począł się śmiać i założywszy ręce za fioletowy pas, tak mówił dalej:

— To, powiadam waćpaństwu, pod starym Krzepeckim aż się łysty zatrzęsły, gdy to usłyszał. Począł przeczyć. "O! (prawi) nie może być! nie miał prawa. Ni Bóg, ni ludzie na to by się nie zgodzili." A ja spojrzałem nań surowo i rzekę: "Że Boga wspominasz, to dobrze czynisz, bo w waćpanowym wieku słuszna dbać o jego miłosierdzie, ale do ludzkich trybunałów się nie odwołuj, bo snadnie mógłbyś końca nie doczekać." — Zląkł się tedy okrutnie, a jam dodał: "I dla sieroty bądźcie dobrzy, aby zaś Bóg was prędzej, niż myślicie, nie pokarał.

Na to ksiądz Woynowski, którego litościwe serce wzruszyło się już dolą dziewczyny, wziął zaraz prałata w objęcia.

— Dobrodzieju! — zawołał — kanclerzem wam być z waszą głową. Rozumiem, rozumiem. Nieceście nie rzekli, z prawdą się nie zminęli, a zaniepokoiliście Krzepeckich, którzy przypuszczają, że

może testament jest, ba, że może nawet w waszych rękach, muszą się z tem liczyć i w postępkach względem sieroty się miarkować.

A prałat rad z pochwały, postukał się knykciem w głowę i rzekł:

— Nie całkiem jak dziurawy orzech— co?

— Ba, tyle w niej rozumu, że mu się trudno pomieścić.

— Ha! pięknie, kiedy Bóg zechce, ale tymczasem mniemam, żem istotnie sierotę zabezpieczył. Z drugiej strony muszę wszelako przyznać, że Krzepeccy nad moje spodziewanie ludzki i przychylnie mówili o Sienińskiej. Pannice tam ponoś zagrabiły jakieś fatałaszki, ale i to stary mówił, że każe oddać.

— Choćby Krzepeccy byli najgorsi — ozwał się pan Cypryanowicz — nie ośmielą się uczynić krzywdy sierocie, nad którą czuwają oczy tak mądrego i dobrego kapłana. Ale, dobrodzieju, o co innego chciałbym Waszą Przewielebność prosić: uczyńcie mi tę łaskę i zajedźcie teraz do Jedlinki: niechże mam ten honor, abym mógł ugościć pod moim dachem tak znakomitą personę, z którą rozmowa, jest właśnie jako miód polityki i mądrości. Ksiądz Woynowski już mi się obiecał, więc we trzech pogadamy de publicis et privatis.

— Wiem, jaka jest waszmości gościna — odrzekł uprzejmie prałat — i wyrzec się jej byłoby to prawdziwe umartwienie, a że czas postu, który jest czasem umartwienia minął, chętnie przeto do waszmości na dzionek zajadę. Pójdźmy tedy pożegnać się z Krzepeckimi, ale naprzód z sierotą, żeby Krzepeccy widzieli, w jakiej ją mamy estymie.

I poszli, a zastawszy ją samą, poczęli jej mówić słowa dobre, serdeczne dodając otuchy i odwagi Pan Cypryanowicz pogładził ją po jasnej główinie, tak właśnie, jak czyni matka, która chce uspokoić rozżalone dziecko; prałat Tworkowski uczynił to samo, a poczciwego księdza Woynowskiego tak wzruszyła jej zmizerowana twarz i jej uroda, przywodząca na myśl jakby kwiat polny zawcześnie kosą podcięty, że również ścisnął po ojcowsku jej skronie i, mając zawsze myśl zajętą Taczewskim, rzekł, nawpół do niej, nawpół do siebie:

— Dziwić-że się tu Jackowi, kiedy to taki obrazek... Zełgali też Bukojemscy, że on wesół odjechał — oj! jak zełgali!

A ona, usłyszawszy to, przytuliła nagle usta do jego dłoni i długo nie mogła ich oderwać. Łkanie serdeczne poczęło wstrząsać jej drobną pierś — i zostawili ją tak w płaczu ogromnym, nieutulonym.

A w godzinę później znaleźli się w Jedlince, gdzie czekały ich dobre nowiny. Przyjechał czeladnik, wysłany z listem od Stanisława. Młody Cypryanowicz donosił, że obaj z Jackiem zaciągnęli się do chorągwi usarskiej królewicza Aleksandra, że są zdrowi i że Jacek, lubo smutny zawsze nabrał trochę ducha i nie zapamiętywa się już tak, jak w pierwszych dniach. Była przytem w liście, obok miłości synowskiej jeszcze jedna wiadomość, która przejęła zdziwieniem pana Serafina: "Jeśli Najukochańszy i Wielmożny Ojcze Dobrodzieju (pisał Stanisław) zobaczycie z po wrotem Bukojemskich, to nie dziwujcie się i poratuj ich z łaski swojej, bo dziwne spotkały ich przygody, w których my nie możemy już im być pomocą; oni zaś gdyby na wojnę mieli nie iść, toby chyba pomarli z frasunku, który i tak omal już ich nie umorzył."

W ciągu następnych miesięcy odwiedzał pan Cypryanowicz kilkakrotnie Bełczączkę, chcąc się dowiedzieć co dzieje się z panną Sienińską. Nie powodowały nim żadne osobiste widoki, bo Stanisław, syn jego, się w niej nie kochał, a z Jackiem wszystko było zerwane; więc czynił to tylko z dobroci serca, a potrosze i z ciekawości, pragnął bowiem sprawdzić, w jaki sposób i o ile dziewczyna przyczyniła się do potargania węzłów tej przyjaźni.

Szło to jednak oporem. Krzepeccy szanowali go wprawdzie, dla jego wielkiej zamożności, więc przyjmowali go gościnnie, ale była to jakaś dziwnie czujna gościnność, tak pilna i nieodstępna, że pan Cypryanowicz nie mógł ani na chwilę pozostać sam na sam z panienką.

Rozumiał, że nie chcą, aby ją wypytywał, jak się z nią obchodzą, i dawało mu to do myślenia, jakkolwiek nie zauważył, żeby obchodzono się z nią źle lub posługiwano się zbytecznie. Obaczył ją wprawdzie raz drugi czyszczącą skórką od chleba "ha tłas" na białych trzewikach takich rozmiarów, że nie mogły być z jej nogi, lub cerującą wieczorami pończochy; ale panny Krzepeckie czyniły toż samo — więc nie mogło być w tem chęci upokorzenia sieroty jakąś służebniczą robotą. Pannice bywały też czasem uszczypliwie i kłójące na wzór pokrzyw, pomiarkował jednak wkrótce pan Serafin, że taka ich natura i że niezawsze mogły się powstrzymać od dogryzania nawet bratu, którego zresztą bały się do tego stopnia, że dość mu było popatrzyć na którą aby zaraz schowała wysunięte już nawpół żądło. Sam Marcyan grzeczny i uprzejmy był dla panny Sienińskiej, ale bez natarczy-

wości, a po wyjeździe starego Krzepeckiego i Teci stał się jeszcze uprzejmiejszy.

Wyjazd ten nie podobał się jednak panu Cypryanowiczowi, chociaż rzecz była prosta, że starca podupadłego już nieco na nogi niepodobna było zostawiać bez niewieściej opieki i że wobec dwóch gospodarstw dom Krzepeckich musiał się rozdzielić. Wolałby był jednakże pan Serafin, żeby właśnie Tecia została z sierotą, lecz gdy przy sposobności rzekł coś zdalcka o najodpowiedniejszym wieku dziewcząt, wzmianka ta została jak najgorzej przez starsze siostry przyjętą.

— Panna Sienińska — rzekła Joanna — pokazała już światu że jej o wiek nie chodzi, czego dowodem nieboszczyk wuj i pani Winnicka — przeto i my dla niej nie zastare.

— Tyle samo my od niej starsze, ile Tecia młodsza, a i to nie wiem; — dodała druga— a w ostatku, nasza w tem głowa, jak sobie radzić w gospodarstwie.

Lecz Marcyan wtrącił się do rozmowy i rzekł:

— Ojcu najmilsze Teci usługi, miłuje ją też najwięcej, w czem mu się dziwić nie można. Myśleliśmy też, żeby pannę Sienińską wysłać razem z niemi, ale ona do tego domu przywykła — i tak myślę, że jej tu lepiej, a co do naszej opieki, czynię, co w mojej mocy, aby jej zbytnio nie ciężyła.

To rzekłszy, zbliżył się, szurgając nogami, do panny i chciał pocałować ją w rękę, którą ona cofnęła jednak w pierwszej chwili, jakby z trwogą. Pan Serafin pomyślał, że nie należało zabierać z domu pani Winnickiej, ale zachował tę uwagę dla siebie, nie chcąc wdawać się w nieswoje sprawy.

Zauważył on to nieraz, że na twarzy panny Sienińskiej maluje się obok smutku i bojaźń, ale nie dziwił się temu zbytnio, bo dola jej stała się rzeczywiście ciężką. Sierota, bez żywej blizkiej duszy, bez własnego dachu nad głową, zmuszona żyć na łasce ludzi sobie niemiłych, a wogóle mających niedobrą sławę, musiała boleć nad minioną jaśniejszą przeszłością i trwożyć się o teraźniejszość. A przytem, choćby komu było jaknajgorzej, ten ma jeszcze jakowąś pociechę, jeśli może mieć nadzieję lepszej przyszłości. Ale ona nie mogła spodziewać się i nie spodziewała się niczego. Jutro miało być dla niej takie samo jak dziś, a dalsze lata wiecznie jednakim ciągiem sieroctwa, samotności i życia na cudzym, łaskawym chlebie.

Rozmawiał o tem często pan Serafin z księdzem Woynowskim, z którym obecnie widywali się prawie codzień, albowiem

miło im było rozmawiać o swoich młodziankach. Ale ksiądz Woynowski wzruszał tylko ramionami ze współczuciem — i uwielbiał politykę księdza Tworkowskiego, który, zawiesiwszy groźbę testamentu, jakoby miecz Damoklesa nad głowami Krzepeckich, zabezpieczył przynajmniej sierotę od zbyt złego traktowania.

— Taki polityk! — mówił. — Tu go trzymasz, tu go nie masz. Ja czasem myślę, że on i nam nie powiedział całej prawdy i że może istnieje testament w jego ręku, z którym niespodzianie wystąpi.

— Przychodziło i mnie to na myśl, ale dlaczegożby go ukrywał?

— Nie wiem, może dla wypróbowania natury ludzkiej. To tylko myślę, że nieboszczyk Pągowski był człowiek wielce przezorny i w głowie mi się to nie mieści, aby on dawno już nie spisał jakowegoś rozporządzenia.

Lecz po pewnym czasie umysły obu staruszków zwróciły się w inną stronę, albowiem przyjechali, a raczej przyszli piechotą z Radomia, bracia Bukojemscy. Zjawili się pewnego wieczora w Jedlince, przy szablach wprawdzie, ale w obdrapanych żupanach, w niezbyt całych butach i z tak strapionemi twarzami, że gdyby pan Serafin nie był isę ich oddawna spodziewał, byłby się przeraził okrutnie, myśląc, że mu wieść o śmierci syna przynoszą.

Więc poczęli go kolejno obejmować za kolana i całować po rękach, a on, patrząc na ich biedę, aż uderzył się po biodrze i zawołał:

— Pisał mi Stach, że z wami źle, ale bójcie że się Boga!

— Zgrzeszylim, dobrodzieju! — odpowiedział, bijąc się w piersi Marek.

A za jego przykładem inni poczęli zaraz powtarzać:

— Zgrzeszylim, zgrzeszylim, zgrzeszylim!

— Mówcie jak? co? jak się ma Stach? Pisał mi, że was ratował. Cóż się stało?

— Stach zdrów, dobrodzieju, i obaj z Taczewskim świecą się jak dwa słońca...

— To chwała Bogu! chwała Bogu! Dzięki za dobrą nowinę. Listu nie macie?

— Pisał, ale nam nie dał, że to (powiada) może zginąć.

— A nic głodniście? Bójcie że się Boga! Jakoby czterech Piotrowinów mam przed sobą.

— Nie głodniśmy, bo gościna u każdego szlachica gotowa — ale nieszczęśliwi.

— Siadajcież. Napijcie się czego ciepłego, a nim zagrzeją, prawcie, co was spotkało. Gdzieżeście byli?

— W Warszawie — odrzekł Mateusz — ale to paskudne miasto.

— Czemu zaś?

— Bo się tam roi od kosterów i pijaków, a na Długiej i na Starem Mieście, co rusz — to wiecha. (Wiecha była oznaką sklepów, w których sprzedawano wino. Pr. Aut.)

— I co?

— I namówił jeden taki syn Łukasza, żeby z nim grał w kości. Bogdaj go byli poganie na pal pierwej wbili!

— I zgrał go?

— Wygrał, co Łukasz miał gotowizną, a potem co i my. Desperacya nas ogarnęła i chcieliśmy się odegrać ,ale on wygrał jeszcze konia — z siodłem i z pistoletami w olstrach... To mówię jegomości, myśleliśmy, że Łukasz nożem się pchnie... I co robić? jakże brata nie pocieszyć? więc przedaliśmy i drugiego konia, by Łukasz choć miał towarzysza na piechotę.

— Rozumiem już, co się stało.

— A tak, dobrodzieju... Jakeśmy wytrzeźwieli, jeszcze większe zmartwienie, że już dwóch koni niema — zatem jeszcze potrzebniejsza pociecha...

— I takeście się pocieszali, aż do czwartego konia...

— Aż do czwartego! zgrzeszylim, zgrzeszylim! — zaczęli powtarzać skruszeni bracia.

— Czy aby się na tem skończyło? — zapytał pan Cypryanowicz.

— Gdzie tam! ojcze nasz i osobliwy dobrodzieju. Spotkaliśmy owego kosterę, niejakiego Poradzkiego, który począł nam urągać. "Tak (powiada) kpów strzygą! ale żeście chłopy duże, więc przyjmę was (powiada) za pachołków, gdyż się właśnie do chorągwi zaciągam." Zapłakał na to Łukasz, że ów na pośmiewisko nas podaje i kiedy to nie wytnie go szablą przez pysk — padł! — padł! Skoczyli tamtemu na pomoc przyjaciele, a my Łukaszowi nuż się ściskać, aż tu nadchodzi straż marszałkowska i w nas! Dopiero tamci poczną wołać: "Mości panowie, wolność tu oprymują i całą Rzeczpospolitą w naszych osobach krzywdzą — pogódźmy się." Tak się też stało i Bóg zaraz pobłogosławił, albowiem usiekliśmy w mig ośmiu pachołków, z tych trzech na

śmierć, a reszta, co ich było jeszcze z pięciu — w nogi!...

Pan Cypryanowicz aż się za głowę schwycił a Marek mówił dalej:

— Tak! teraz wiemy. Bóg patrzył na naszą niewinność, aż dopiero kiedy poczęli ludzie krzyczeć, że to pod bokiem króla kryminał, że to gardłowa sprawa — zlękliśmy się i poczęli uciekać. Chcieli nas imać, ale gdy się po staremu rozdało temu i owemu to po łbie, to po karku, uciekaliśmy. Stanisław poratował nas końmi swojej czeladzi, ale i tak ledwieśmy głowy unieśli, bo pościg był aż do Sękocina — i, gdyby konie były liche, byłoby po nas. Szczęściem, nikt tam naszego nazwiska nie wiedział — więc też sprawy z tego nie będzie.

Nastała długa chwila milczenia, poczem pan Serafin zapytał:

— Gdzież te konie Stanisława?

A bracia nuż po raz trzeci powtarzać:

— Zgrzeszylim, dobrodzieju! zgrzeszylim!...

Cypryanowicz począł chodzić wielkiemi krokami po izbie.

—To teraz rozumiem — rzekł — dlaczegoście nie przywieźli listu od Stacha. Pisał ci on mi, że was spotkały różne żałosne przygody i przepowiadał wasz powrót, w tej myśli, że będziecie potrzebowali pieniędzy na konie i rynsztunek, ale tego, jak się to skończy, nie mógł przewidzieć...

— Tak jest, dobrodzieju — odpowiedział Jan.

Tymczasem przyniesiono wino grzane, do którego bracia zabrali się z wielką ochotą, albowiem znużeni byli drogą. Niepokoiło ich jednak milczenie gospodarza, który wciąż chodził po komnacie z obliczem zasmuconem i surowem. Więc Marek znów począł mówić:

— Pytasz się waszmość dobrodziej o konie Stanisławowe? Dwa ochwaciły się, nim dojechaliśmy do Grójca, beśmy jechali wciąż wskok i w czasie okrutnego wichru. Przedaliśmy je za by le co Żydom-furmanom, bo i tak nic by z nich nie było, a nie mieliśmy ani szeląga przy duszy, ile że z przyczyny nagłej ucieczki nie miał Stanisław czasu nas wspomódz. Pokrzepiwszy się tedy coś niecoś, jechaliśmy dalej po dwóch na jednym koniu. Ale to jegomość rozumie! Pokaże się z przeciwka na drodze jaki szlachcic i zaraz się w boki bierze: "Cóż to (pyta) za Jerozolimska szlachta?" A my z tej okrutnej żałości to już byliśmy na wszystko gotowi. Więc ciągle zwady, bójki! Aż w Białobrzegach, dla miłego spokoju, przedaliśmy i te ostatnie dwie szkapy; kto zaś się dziwował, że idziem piechotą, temu odpowiada-

liśmy, że to wedle ślubu pobożnego... Już też, mój jegomość! wybaczcie nam po ojcowsku, bo nieszczęśliwszych ludzi niema chyba na świecie.

— Prawda! prawda! — zawołali Łukasz i Mateusz.

A najmłodszy Jan, rozczulony wspomnieniami przebytych nieszczęść i winem, podniósł w górę ręce i zakrzyknął:

— Sieroty my Boże! Cóż nam na świecie pozostało?

— Nic, prócz miłości braterskiej — odpowiedział Marek.

I poczęli się ściskać, wylewać zarazem łzy rzewne, a potem ruszyli wszyscy do pana Serafina.

Marek pierwszy objął go za kolana:

— Ojcze, — mówił, — opiekunie nasz pierworodny, nie miejcie do nas urazy. Pożyczcie nam jeszcze raz na zaciąg, to z łupów, da Bóg, oddamy; nie pożyczycie, — i tak dobrze — jeno się nie gniewajcie, jeno nam wybaczcie! Wybaczcie dla owej wielkiej amicycyi, którą dla waszego Stacha żywim bo to wam szczerze powiem, że niechby kto na niego palec zakrzywił, tobyśmy go na szablach roznieśli! Nieprawdaż bracia najmilejsi? — na szablach!...

A pan Cypryanowicz stanął przed nimi, przyłożył rękę do czoła i tak począł mówić:

— Gniewno mi — prawda! ale jeszcze więcej smutno, niż gniewno. Bo gdy pomyślę, że takich jak wy wielu jest jeszcze w tej Rzeczypospolitej — to mi się serce ściska i w duszy sobie zadaję pytanie: zdoła-li ta matka nasza przy takich dzieciach oprzeć się wszystkim nawałnościom, które jej grożą? Wy mnie chcecie przepraszać i mojego przebaczenia wyglądacie? Ależ — na żywy Bóg! nie o mnie tu i nie o moje konie chodzi, jeno o coś stokroć większego, bo o dobro publiczne i o przyszłość tej Rzeczypospolitej, a że wy tego nie rozumiecie, że wam nawet taka myśl do głowy nie przyszła i że takich jak wy są tysiące — tem cięższy żal tem boleśniejsza troska, tem większa desperacya i moja i każdego zacnego syna tej ojczyzny.

— Dla Boga, dobrodzieju! czemżeśmy przeciw ojczyźnie tak zgrzeszyli?

— Czem? Bezprawiem, swawolą, rozpustą i pijaństwem... Oj! lekko u nas ludzie takowe rzeczy biorą i nie widzą, jako się szerzy ta zaraza, nie widzą, jako rysują się mury tej wspaniałej budowli i pułap grozi naszym głowom. Oto wojna nad nami, oto nie wiadomo jeszcze czy nie przeciw nam zwróci poganin swą potęgę, a wy — żołnierze chrześcijańscy — cóż najlepszego czy

nicić? Wołają już trąby do boju, a wam jeno w głowie wino i swawola. I z wesołem sercem siekacie stróżów tego prawa, któ re jakiego takiego ładu broni. Któż owe prawa postanowił? Szlachta? A kto je depce? — szlachta! — Jakoż wystąpił na czole chwały ów kraj, owo antemurale Christianitatis, gdy nie żołnierze, jeno pijacy, nie obywatele, jeno swawolnicy i warchołowie w nim mieszkają?...

Tu przerwał pan Serafin i przycisnąwszy rękę do czoła, znów począł chodzić wielkimi krokami po izbie, a oni spoglądali się w zdumieniu i pomieszaniu, albowiem nie spodziewali się nic podobnego z ust jego usłyszeć.

Lecz on westchnąwszy, ciężko; tak mówił dalej:

— Wezwaniście byli przeciw krwi pogańskiej, a rozleliście chrześcijańską: wezwaniście byli na obronę tej ojczyzny, a wystąpiliście jako jej wrogowie, boć oczywiste, że im większy nie ład w fortecy, tem i forteca sama słabsza... Są jeszcze na szczęście i zacne dzieci tej matki, ale, że i takich jak wy jest, jakom rzekł, legion, że tu nie wolność, jeno swawola kwitnie, nie posłuch, jeno bezkarność, nie surowy obyczaj, ale rozpusta, nie miłość ojczyzny, jeno prywata, że tu się sejmy rwą, że skarb pustoszeje, że bezład się podnosi i wojny domowe jako rozkiełznane konie tratują tę ojczyznę, że o jej losach pijane głowy stanowią, że jest ucisk poddaństwa i od góry do dołu bezprawie — przeto się krwawi moje serce i klęsk i gniewu Bożego się boję...

— Dla Boga! to się nam chyba powiesić, czy co? — zawołał Łukasz.

A pan Cypryanowicz przemierzył kilkakroć jeszcze krokami izbę — i mówił dalej, ale już jakby nie do Bukojemskich, tylko do siebie:

— Jak Rzeczpospolita długa i szeroka — jedna wielka uczta, a na ścianie nieznana ręka pisze już: "Mane... Tekel... Fares!" Leje się wino, a poleje się krew i łzy. Nie ja jeden to widzę, nie ja jeden to przepowiadam, ale próżno ślepemu świecę przed oczy stawiać, albo głuchemu pieśń śpiewać...

Nastało milczenie. Bracia wciąż patrzyli to na siebie, to na pana Serafina, w coraz większej konfuzyi, wreszcie Łukasz szepnął:

— Niech się rozpuknę, jeśli co rozumiem.

— I ja.

—I ja...

— Bo, żeśmy parę razy podpili...

— Cicho, nie wspominaj...

— Jedźmy do domu...

— Jedźmy.

— Czołem waszmości dobrodziejowi! — rzekł Marek, wysuwając się naprzód i pochylając się do kolan pana Serafina. A dokąd?

— Do leśniczówki. Bóg nas wspomoże...

— I ja wspomogę; — odrzekł pan Cypryanowicz — jeno mi się żal zebrał w sercu i musiałem go wylać. Idźcie, waćpanowie na górę, spocznijcie — później dowiecie się, com postanowił.

I w godzinę później kazał zaprządz i pojechał do księdza Woynowskiego.

Ksiądz zgorszył się także niemało uczynkami Bukojemskich, ale chwilami nie mógł się wstrzymać od śmiechu, albowiem długie lata służąc wojskowo, pamiętał i przypomniał sobie różne przygody, jakie przytrafiały się i jemu samemu i towarzyszom. Jednakże przepicia koni nie mógł braciom darować.

— Żołnierz często poswawoli, — rzekł — ale tego nadto, gdyż kto konia zbędzie, ten służbę zdradza. Bukojemskim rzeknę że byłbym rad, gdyby im sąd marszałkowski łby z karków postrącał — i pewno, że przykład przydałby się swawolnikom, ale waści wyznam, że byłoby mi ich żal, bo wszyscy czterej chłopy jak się patrzy. Znam ja się na tem z dawnych czasów i z góry powiem, co kto wart. Owóż co do Bukojemskich — niezdrowo będzie tym poganom, którzy się w ataku pierś w pierś z nimi uderzą. Cóż waćpan względem nich zamyślasz?

— Jużci bez poratowania ich nie zostawię, ale tak myślę, że gdybym ich samych wysłał, to może im się toż samo po raz wtóry przytrafić...

— Prawda! — rzekł ksiądz.

— Przeto przyszło mi do głowy, żeby razem z nimi pojechać i wprost rotmistrzowi ich w ręce oddać. Raz pod chorągwią i w karbach — nie będą już sobie mogli na nic podobnego pozwolić.

— Prawda! — to arcy grzeczna myśl. Odprowadź ich waćpan do Krakowa, bo tam się będą chorągwie ściągały. Ba! za jedną drogą może i ja się z waścią wybiorę, bo w ten sposób naszych chłopaków obaczym, a potem raźniejsi wrócimy.

Na to uśmiechnął się pan Cypryanowicz i rzekł:

— Sam tylko jegomość wrócisz.

— Czemu zaś?

— Bo ja się też zaciągnę...

— Waćpan chcesz jeszcze służyć wojskowo? — zapytał ze zdziwieniem ksiądz Woynowski.

— I tak, i nie., bo co innego jest zaciągnąć się do komputu i ze służby sobie zawód uczynić, a co innego ruszyć na jedną wyprawę. Stary już jestem — prawda, ale i starsi odemnie stawali nieraz w szeregach na odgłos trąby Gradywa. Posłałem syna jedynaka — i to prawda, ale przecie ojczyźnie nie za dużo ofiarować! Tak myśleli i ojce moi, za co też wynagrodziła ich ta matka nasza największym zaszczytem, jaki dać mogła. Więc dla niej choćby ostatni grosz! choćby ostatnia kropla krwi! A gdyby przyszło i poledz, — pomyśl jegomość, jakaż piękniejsza śmierć, jakie większe szczęście spotkać mnie może. Raz trzeba umrzeć — a czyż nie milej na polu chwały, przy boku syna, niż na łożu — i od szabli lub kuli, niż od choroby, a w dodatku przeciw poganom za wiarę i ojczyznę!...

Tu wzruszył się własnemi słowy pan Cypryanowicz i rozłożywszy dłonie, począł powtarzać: "Daj to Bóg! daj to Bóg!" a ksiądz Woynowski wziął go w objęcia i wyściskawszy, tak mówił:

— Daj też i to Bóg, aby jaknajwięcej obywateli było podobnych w tej Rzeczypospolitej do waćpana, bo tak zacnych znajdzie się niewielu, a zacniejszego to już wcale niema. Pewnie, że przystojniej szlachcicowi w polu niż na łożu umierać i dawniej wszyscy tak myśleli, ale dziś gorsze nastały czasy. Ojczyzna i wiara to jeden wielki ołtarz, a człek to źdźbło myrry, której przeznaczeniem spalić się na chwałę ołtarza... Ale tak! dziś gorsze czasy... Wojna też waści nie nowina — prawda?

Pan Serafin pomacał się po piersiach.

— A mam ci tam trochę blizn od szabel i postrzałów z dawnych lat.

— Milej byłoby i mnie chorągwie oganiać niż tu babskich grzechów słuchać!... A to niejedna byle co prawi, całkiem tak jakby przyszła pchły przy konefsyonale wytrząsać. Chłop jak zgrzeszy, to już przynajmniej ma co wyznawać... a żołnierz tem bardziej! Już po wzięciu tej oto sukienki kapłańskiej byłem kapelanem przy usarskiej chorągwi pana Modliszewskiego... Mile sobie to wspominam... Między jednem o drugiem grzechów odpuszczeniem podniosło się jeszcze czasem strzelbę

do zębów, albo się i szerpetyny wydobyło... Ha! kapelanów teraz pilno potrzeba. Chciałoby się też ruszyć, ale parafia wielka, roboty huk, wikary trocha niemrawy — a najgorszy to taki jeden postrzał, który dawno, dawno otrzymałem, a który dłużej jak godzinę nie pozwala na szkapie dosiedzieć.

— Szczęśliw byłbym, mając takiego towarzysza, — odrzekł pan Serafin — ale rozumiem, że choćby i nie ten postrzał, to jegomość nie mógłbyś parafii opuścić.

— A no obaczym... Siedę przez parę dni na mierzynka i popróbuję, jak długo się na terlicy utrzymam. Możeby się tam jakoś złodziło. Ale u waści któż w domu ostanie na gospodarce?

— Mam jednego borowego, który jest prostak, ale tak zacny człek, że prawie święty...

— Wiem, to ten, co za nim bestye leśne chodzą. Inni powiadają że czarownik, waćpan wszelako wiesz lepiej. Ale to stary człek i chory?

— Mam też chęć przyjąć tego Wilczopolskiego, który poprzednio u Pągowskiego służył. Może jegomość pamiętasz? młody szlachcic, bez nogi ale tęgi człowiek i śmiały. Krzepecki oddalił go, bo mu się hardo stawiał. Był u mnie dwa dni temu, ofiarując się do służby — i dziś pewno się z nim ugodzę. Pągowski nie bardzo go lubił, gdyż chłopak nie dał sobie w kaszę dmuchać, ale chwalił jego wierność i zaradność.

— A co tam słychać w Bełczączce?

— Dość dawnom tam nie był. Wilczopolski oczywiście nie chwali Krzepeckich, ale tak szczegółowie nie miałm czasu go o wszystko wypytać.

— Zajrzę ja tam jutro, choć oni nie zbyt radzi mnie widzą, a potem przyjadę do waszmości natrzeć uszu Bukojemskim. Każę im się stawić do spowiedzi, a za pokutę plecy będą w robocie. Niech sobie dadzą wzajmnie po jakich pięćdziesiąt kańczugów, to się im przyda.

— Pewnie, że się przyda, ale teraz muszę już jegomości z przyczyny tego Wilczopolskiego pożegnać.

To rzekłszy, pan Cypryanowicz przykrócił rapci, aby mu szabla przy wsiadaniu na wasąg nie zawadziła, i w chwilę później jechał już do swojej Jedlinki, rozmyślając po drodze o przyszłej wyprawie i uśmiechając się na myśl, że będzie strzemię w strzemię ze swoim jedynakiem przeciw poganom czynił. Minąwszy Bełczączkę, spostrzegł dwa konie juczne i brykę z łubami w której jechał pan Wilczopolski.

Kazał mu się tedy przesiąść do siebie i zapytał:

— To już z Bełczączki?

A Wolczopolski wskazał na łypy i chcąc zaznaczyć, że jakkolwiek chodzi po służbie, nie jest jednak zupełnym prostakiem rzekł:

— A oto, wasza miłość: omnia mea mecum porto.

— Tak że to już było pilno?

— Nie było pilno, ale było trzeba; dlatego też na wszystkie kondycye waszej miłości z radością przystaję, i w razie wyjazdu, o którym wasza miłość wspominał, domu i majętności wiernie ostrzegę.

Panu Serafinowi podobała się odpowiedź i dziarska, zuchowata twarz chłopca, więc po chwili namysłu rzekł:

— O wierności nie wątpię, bo wiem, żeś szlachcic, jeno niedoświadczenia i nieostrożności się boję. W Jedlince trzeba kamieniem siedzieć i dzień i noc czuwać, dlatego że prawie w puszczy, a w wielkich borach zwyczajnie i osadniczków nie brak, którzy czasem i na domy napadają.

— Dla Jedlinki nie życzę napadu, ale dla siebie tobym go chciał, aby przekonać waszą miłość, że mi stanie czujności i serca...

— Po prawdzie tak też wyglądasz — odrzekł pan Cypryanowicz.

I umilkł, a po chwili tak znów mówić począł:

— Jeszcze jedna ważna rzecz, w której cię muszę przestrzedz. Pan Pągowski na sądzie Boskim i de mortuis nihil nisi bene; ale to wiadomo, że dla poddaństwa był ciężki. Strofował go o to ksiądz Woynowski, z czego wynikła ich niezgoda. Nie żałowano tam chłopskiego potu a kary były ostre i sprawa krótka. Powiedzmy prawdę: był ucisk — i oficyaliści przywykli też zbyt ostro z ludźmi postępować. Otóż zapowiadam acanu, że tego u mnie niema. Karność musi być, ale ojcowska, wszelako zbytnią srogość uważam za ciężki grzech przeciw Bogu i ojczyźnie. Zakonotuj to sobie dobrze, że kmieć to nie twaróg i zbytnio go wyciskać nie wolno. Ja ludzkiemi łzami nie żyję — i o tem pamiętam, że przed Bogiem wszyscyśmy równi.

Nastała chwila milczenia, poczem Wilczopolski chwycił rękę pana Serafina i podniósł ją do ust.

A ów rzekł:

— Widzę, że mnie rozumiesz.

— Rozumiem mój jegomość, — odrzekł młodzian — i to je-

no odpowiem: mało sto razy chciałem do oczu panu Pągowskiemu powiedzieć, żeby innego szukał ekonoma, mało sto razy chciałem służbę porzucić, ale cóż! — nie mogłem!

— Czemu zaś? pracy na świecie nie brak...

A Wilczopolski zmieszał się i począł mówić jakby zająkliwie:

— Nie... zdarzyło się... nie mogłem... tak ot, z dnia na dzień nie zostawało. Przytem... była srogość i nie było srogości...

— Jakto?

— Że do roboty zbyt gnano — prawda, i na to nikt nie mógł zaradzić, ale co do kar, co do bicia ludzi, powiem krótko: zamiast rózg były słomiane powrósła...

— Któż był taki litościw? — acan?

— Nie. Jenom wolał anielskiej niż dyabelskiej woli słucha.

— Rozumiem, ale mów: czyjej woli?

— Panny Sienińskiej.

— A a!... Takaż to ona była?

— Jako właśnie anioł. Ona się także bała nieboszczyka, który dopiero w ostatnich czasach zaczał na jej słowa zważać. Ale już ją tam tak wszyscy miłowali, że każdy wolał się na gniew nieboszczyka narazić, niż jej prośby nie usłuchać.

— Niech-że jej za to Bóg błogosławi! Takoście się tedy przeciw Pągowskiemu zmawiali?

— Tak, wasza miłość.

— I nie wydało się nigdy?

— Raz się wydało, alem panienki nie zdradził. Nieboszczyk sam mnie oćwiczył, bom mu powiedział, że jeśli kto inny to zrobi, albo jeśli mi, jako szlachcicowi, kobierca nie podłożą, to dom z dymem puszczę, a jego samego zastrzelę. I takby było, choćbym potem miał do osaczników w puszczy przystać!

— Za to mi się podobasz — odrzekł pan Serafin.

A Wilczopolski dalej:

— Ciężko nieraz bywało z panem Pągowskim, ale był w domu — ot poprostu — cherubin Boży i dlatego chciał człowiek odchodzić — a zostawał. Później też, gdy panienka wyrosła, więcej na nią zważał nieboszczyk — a w ostatnich czasach to już całkiem. Wiedział bywało nieraz, że to biednych zbożem ze spichrza każe wspomódz, to, jako rzekłem, rózgi na powrósła zmienić, to dzień pańszczyzny odpuścić — i udawał że nie widzi. W

końcu wstydził się już jej tak, że nie potrzebowała nic robić w ukryciu. Prawdziwać to była orędowniczka ludzka i dlatego niechże jej, jako wasza miłość powiedziała, Bóg błogosławi i niech ją poratuje.

Dlaczego mówisz: "poratuje"? — zapytał pan Cypryanowicz.

— Dlatego, że jej gorzej, niż było.

— Bójże się Boga! No, co?

— Panny są jędze, a sam młody Krzepecki niby je hamuje — ale ja wiem dlaczego — i niech że się strzeże, żeby mu kto w łep jak psu nie strzelił.

Noc była już głęboka, ale bardzo widna, bo na niebie świecił księżyc w pełni i przy jego blasku ujrzał pan Cypryanowicz że oczy młodego ekonoma zaiskrzyły się jak wilcze.

— Cóż o tem wiesz? — zapytał z ciekawością.

— Wiem, że on nietylko dla hardości mojej mnie wydalił, ale i dlatego, żem patrzył i słuchał pilnie, co ludzie w domu mó wią... Odszedłem, bom musiał, ale do Bełcząrczki niezbyt daleko i w razie czego...

Tu umilkł — i na drodze słychać było tylko szum sosen, po ruszanych nocnym powiewem.

XVII.

A w Bełszączce było pannie nietylko źle, ale i coraz gorzej. Upłynęło już sporo czasu od owej chwili, w której stary Pągowski, spostrzegłszy, że Marcyan Krzepecki spogląda na niedorosłą jeszcze dziewczynę zbyt "koźlim wzrokiem", wyrzucił go z domu. Ale on widywał ją potem w kościele, a niekiedy u sąsia dów i zawsze jej wiośniana uroda budziła w nim nanowo żądze. Teraz zaś, gy zamieszkał pod jednym dachem, gdy widywał ją codziennie, pokochał ją po swojemu, to jest taką zapalczywą i zwierzęcą miłością, do jakiej jedynie był zdolny. Zaszły też zmiany w jego postaonwieniach. Z początku zamierzał, po zhańbieniu dziewczyny, ożenić się z nią tylko w takim razie, gdyby się znalazł testament na jej korzyść. Teraz gotów był stanąć z nią przed ołtarzem w każdym razie, byle ją posiąść i posiadać na zawsze. Rozum, który, gdy go żądza podbije, staje się jej usłużnym poplecznikiem, mówił mu przytem, że panna która nosi nazwisko Sienińskich jest, choćby bez majątku, wielką i wielce korzystną partyą. Lecz gdyby nawet rozum mówił przeci

vnie, Marcyan nie byłby go już słuchał, albowiem z każdym dniem tracił panowanie nad sobą. Gorzał, szalał i jeśli dotychczas powstrzymał się jeszcze od czynów przemocy, to tylko dla tej przyczyny, dla której najzapalczywsza nawet żądza chce i pragnie dobrowolnej zgody, dobrowolnego oddania się i lubuje się myślą o wzajemności i w niej widzi rozkosz największą, a łudzi się nawet wówczas, gdy niema do tego żadnej podstawy. Tak łudził się Krzepecki i tak lubował się myślą o tej szczęsnej chwili w której panna sama rozpromieniona i chętna pochyli się w jego objęcia.

Bał się jednakże, by postawiwszy odrazu wszystko na los szczęścia — nie przegrać — a gdy czynił sobie w duszy pytanie, coby wówczas mogło nastąpić, brał go lęk i przed samym sobą i przed grozą, jakaby przed nim zawisła, albowiem prawa Rzeczypospolitej, chroniące cześć niewieścią, były straszne, a w około były setki szabel szlacheckich, które niezawodnie zabłysłyby nad jego głową. Lecz jednocześnie czuł. że może przyjść taka godzina, w której nie będzie już na nic zważał, że zaś w jego dzikiej i zuchwałej duszy tkwiła chęć walki i głód niebezpieczeństw więc znów nie bez pewnej ponęty była dla niego myśl o tłumie szlacheckim, oblegającym Bełcząączkę, o łunie pożarnej nad głową i o czerwonym kacie, stojącym z toporem w ręku gdzieś tam jakby za mgłą, w jakiemś dalekiem mieście.

I tak, żądza, obawa, a zarazem ochota do walki miotały nim jakby trzy wichry. Tymczasem chcąc dać ujście tej burzy, a zarazem ochłodzić krew, która wrzała w nim jak ukrop, biesił się, nurzał w rozpuście po wiejskich karczmach, żajeżdżał konie, zaczepiał ludzi i pił na umor we wszystkich gospodach, jakie były w Jedlni, w Radomiu i w Przytyku. Zebrał tam sobie kompanię zawalidrogów, którzy nie pociągnęli na wojnę z powodu zbyt złej sławy, lub z przyczyny niedostatku, za którą płacił i tyranizował. Czynił to też w mniemaniu, że taka kompania może mu się w przyszłości przydać. Jednakże nikogo w niej nie dopuszczał do poufałości i nigdy nie wymawiał wobec tych kompanionów imienia dziewczyny, a gdy raz niejaki Wysz z niewiadomo gdzie leżącego Wyszkowa wspomniał o niej w grubijański i sprośny sposób, chlastnął go szablą przez pysk i zalał krwią.

Wracał nieraz do domu dopiero o pierwszym brzasku, pędząc na złamanie karku, ale ta szalona jazda wytrzeźwiała go zupełnie. Padał wówczas w ubraniu na skórę końską, którą przykryte było łoże i zasypiał jak kamień; spał kilka godzin, a po o-

budzeniu się wdziewał najpiękniejsze suknie, szedł do niewiast i starał się przypodobać pannie, z której nie spuszczał oczu ani na chwilę i pełzając wzrokiem po jej całej postaci, podniecał w sobie żądze. I nieraz, gdy zostawał z nią sam na sam, wargi wysuwały mu się naprzód, potwornie długie ramiona drgały, jakby nie mogły się oprzeć chęci chwycenia jej w objęcia, głos stawał się zdławiony, słowa metne zuchwałe i dwuznaczne, w których na przemian wiło się pochlebstwo i głucho warczała hamowana z trudem groźba.

A panna Sienińska bała się go poprostu tak, jakby się bała hodowanego wilka lub niedźwiedzia — z trudnością kryła w sobie wstręt, którym przepełniał ja jego widok. Mimo bowiem papuzich barw, w które rad się przebierał, mimo klejnotów błyszczących mu pod szyją i bogatego czekana, którego nigdy z rąk nie wypuszczał, wyglądał z każdym dniem gorzej i szpetniej. Bezsenne noce, rozpusta, pijaństwo i płomienne żądze wycisnęły na nim swą pieczęć: wychudł, barki mu opadły, przez co jego długie z natury ręce uczyniły się jeszcze dłuższe, tak, że dłonie sięgały ponad człowiecze proporcye, aż za kolana. Olbrzymi jego tułów stał się podobny do sękatego kloca, a krótkie pałąkowate nogi wygięły się od szalonej jazdy konnej jeszcze bardziej. Przytem skóra na twarzy nabrała jakiejś zielonawej bladości, a z powodu zapadniętych policzków, wypukłe oczy i wargi wysunęły się do reszty naprzód. Zwłaszcza, w chwilach w których się śmiał, stawał się wprost straszny, albowiem z pod rozbłyśniętych śmiechemźrenic przeglądała mu jakaś zapalczywa, niepohamowana złość i groźba.

Lecz poczucie swej niedoli, głęboka tęsknota i nieszczęścia wyrobiły w pannie Sienińskiej jakąś powagę, której ani śladu nie miała dawniej, a która imponowała Krzepeckiemu. Niegdyś była to szczebiotliwa dziewczyna, terkocąca po całych dniach jak młynek, teraz zaś nauczyła się milczeć i oczy jej nabrały pewnej stałości wejrzenia. Więc choć nieraz serce jej drżało z bojaźni wobec Krupeckiego, hamowała go milczeniem i spokojnym wzrokiem, a on cofał się wówczas, jakby lękając się obrazić jaki majestat. Wydawała mu się wprawdzie tem bardziej pożądaną, ale zarazem trudniej dostępną.

Zresztą, przeczuwając, że grozi jej z jego strony ogromne niebezpieczeństwo, a później, mając zupełną pewność, że tak jest, starała się go unikać, zostawać z nim jaknajkrócej sam na sam, odwracać rozmowę od rzeczy takich, które mogłyby mu u-

łatwić wyznanie, a wreszcie ośmielała się czasem nadmieniać i o tem, że nie jest tak dalece opuszczoną przez wszystkich na świecie i zdana na łaskę i niełaskę losu, jak się wydaje.

Unikała jednakże wspomnień o Jacku Taczewskim, rozumiejąc, że po tem, co między nimi zaszło, nie może on już być i nie będzie nigdy dla niej żadną obroną. Czuła przytem, że każde słowo o nim budziłoby gniew i złość w Marcyanie. Lecz zauważywszy, że Krzepeccy wystrzegają się księdza Tworkowskiego i patrzą na niego jakby z tajoną obawą, dawała często do zrozumienia, że jest pod jego szczególną opieką, wynikającą z tajnej umowy, którą na wszelki wypadek był z nim zawarł nieboszczyk pan Pągowski. Prałat zaś, który od czasu do czasu odwiedział Krzepeckich, pomagał jej w tem znakomicie, bawił się bowiem z nimi dla własnej przyjemności w politykę, wyrażał się tajemniczo, cytował dwuznaczne sentencye łacińskie i pozwalał się domyślać Marcyanowi różnych rzeczy, które ów mógł sobie dowolnie tłumaczyć.

Lecz przedewszystkiem kochała "panienkę" służba i cała wieś. Ludzie uważali Krzepeckich za intruzów, ją za prawą dziedziczkę. Marcyana bali się wszyscy z wyjątkiem Wilczopolskiego. Ale nawet po oddaleniu młodego szlachetki otaczała dziewczynę jakby niewidzialna opieka ludu i Marcyan rozumiał, że strach, jaki wzbudza, ma swoją granicę -- po za którą zaczęłoby się dla niego prawdziwe niebezpieczeństwo. Domyślał się także, że Wilczopolski, któremu "zuchwale patrzyło z oczu", daleko nie odejdzie i że, w razie gdyby panna potrzebowała obrony, nie cofnie się przed niczem — więc w duszy przyznawał, że nie jest ona istotnie tak przez wszystkich opuszczona, jak sam z początku myślał i jak o tem w swoim czasie ojca zapewniał.

— Kto się za nią ujmie? nikt! — mówił wówczas ojcu, gdy ten przykazywał mu pamiętać o strasznych karach, jakiemi prawa Rzeczypospolitej groziły za zamach na honor niewieści.

A teraz rozumiał, że tacyby się znaleźli.

Stanowiło to jedną trudność więcej, wszelako trudności i niebezpieczeństwa były tylko podnietą dla takiej jak marcyanowa natury. Łudził się jeszcze, że potrafił pannę przejednać i rozkochać, przychodziły jednak chwile, w których jasno jak na dłoni widział, że nic nie wskóra — i wówczas "biesił się", jak mówili towarzysze jego nocnych hulanek, szalał — i gdyby nie jakieś przeczucie głuche, ale silne i nieprzeparte, że gdy się

porwie na dziewczynę, to ją nazawsze utraci, byłby oddawna rozpętał w sobie dzikiego zwierza.

I w takich to właśnie chwilach pił bez miary i upamiętania.

A tymczasem stosunki w Bełczączce stały się nieznośne — zaprawne jadem i złością. Panny Krzepeckie znienawidziły dziewczynę nietylko dlatego, że była od nich młodsza i urodziwsza, ale dlatego, że kochali jąludzie i że Marcyan ujmował się za nią z lada powodu a nawet i bez powodu. Zapłonęły w końcu nieubłaganą nienawiścią przeciw bratu — ale spostrzegłszy, że panna Sienińska nie skarży się nigdy, dokuczały jej tem zawzięciej. Raz Agnieszka sparzyła ją niby niechcący rozpalonym pogrzebaczem Marcyan,dowiedziawszy się o tem przez służbę, poszedł przepraszać pannę i zaklinał ją, by zawsze szukała u niego obrony, lecz zarazem począłł tak łapczywie i obmierzle całować jej rękę i tak przysuwać się do niej, że uciekła, nie mogąc potłumić wstrętu. Wówczas wpadł w wściekłość i zbił siostrę tak, iż przez dwa dni potem udawała chorą.

Obie "pannice" — jak je zwano w Bełczączce — nie szczędziły dziewczynie kłójących słów, otwartych wymysłów i upokorzeń, mszcząc się w ten sposób na niej za wszystko, co musiały znosić od brata. Ale z nienawiści ku Marcyanowi ostrzegały ją przed nim, a jednocześnie posądzały ją o powolność jego żądzom, spostrzegły bowiem, że niczem nie zdołają jej zranić i upokorzyć boleśniej. Więc dom stawał się dla niej piekłem a każda przeżyta w nim godzina męką. Nienawiść do tych ludzi, którzy sami się między sobąj nienawidzili, poczęła zatruwać i jej serce. Poczęła myśleć o klasztorze, ale taiła się z tą myślą, wiedziała bowiem, że jej nie puszczą i że, rozpętawszy gniew Marcyana, narazi się na straszne niebezpieczeństwo. Cierpienie i trwoga zamieszkały stale w jej sercu — i zrodziły chęć, która nigdy w niej dotychczas nie postała — chęć śmierci. Tymczasem każdy dzień dolewał nowych kropel goryczy do kielicha. Raz wczesnym rankiem Agnieszka spłoszyła Marcyana, zaglądającego przez dziurę od zawory we drzwiach do pokoju sieroty. On cofnął się, zgrzytnąwszy zębami i pogroziwszy pięścią, lecz "pannica" zawołała zaraz siostry i obie, zastawszy dziewczynę nieubraną, poczęły się znęcać nad nią, jak zwykle.

— Wiedziałaś, że on tam stoi — mówiła starsza — bo podłoga za drzwiami trzeszczy i słychać, gdy się kto zatrzyma, ale i tobie to widać też po myśli.

— Ba! oblizywał się na specyały, a ona mu ich nie kryła — przerwała Joanna — zali ty się Boga nie boisz, bezwstydnico?

— Przed kościołem taką do kuny wstawić!

— I z domu wyświecić. Sodoma i Gomora!

— Tfu!

— A kiedy trza będzie po niewiastę do Radomia posłać?

— A jak bęsiowi dasz na imię?

— Tfu! Ścierka!

I poczęły na nią pluć. Ale w niej wzburzyło się serce, albowiem miara była przebrana.

— Precz! — zawołała, ukazując ręką na drzwi.

Lecz twarz jej pobladła, jak płótno, w oczach pociemniało, przez chwilę zdało jej się, że leci gdzieś w jakąś przepaść bez dna, poczem straciła czucie, pamięć i świadomość tego, co się z nią dzieje.

Zbudziła się oblana wodą i z poszczypaną piersią. Pochylone nad nią twarze panien Krzepeckich wyrażały przestrach, lecz po chwili, widząc, że dziewczyna odzyskała przytomność, uspokoiły się znowu.

— Poskarż się, poskarż! — mówiła Joanna. — Twój gach ujmie się za tobą.

— A ty mu się po swojemu wywdzięczysz...

Lecz ona ścinąwszy zęby, nie odpowiadała już ani słowem.

Marcyan jednak domyślił się i bez skargi, co musiało dziać się na górze, gdyż w kilka godzin później z kancelaryi, w której zamknął się z siostrami, doszły wycia, od których struchlał cały dom.

Po południu, gdy przyjechał stary Krzepecki, obie panny przypadły z krzykiem do jego kolan, zaklinając go, by je zabrał z tej "jaskini rozpusty i mąk" — lecz on, o ile kochał najmłodszą córkę, o tyle nienawidził starszych, więc nietylko się nie ulitował nad nieszczęsnemi jędzami, ale począł wołać jeszcze o batog i kazał im zostać.

Jedyną istotą w tym strasznym domu, w której Joanna i Agnieszka — gdyby chciały być dla niej dobre i przyjazne — mogły znaleźć litość, spółczucie a nawet i ochronę, była właśnie panna Sienińska. Ale one wolały dokuczać jej i pastwić się nad nią, bo z wyjątkiem Teci była to taka rodzina, w której każdy członek czynił wszystko, co było w jego mocy, by innym zatruć życie i powiększyć niedolę. Lecz panna Sienińska bała się miłości Marcyana bardziej jeszcze niż nienawiści jego sióstr. A

on coraz bardziej się jej narzucał, coraz bezczelniej się przysuwał, coraz był natarczywszy i coraz łakomiej na nią spoglądał. Czuć było, że już przestaje całkiem panować nad sobą, że już targa nim jak wicher drzewem i że lada chwila wybuchnie.

Jakoż chwila ta nastąpiła już wkrótce.

Raz, gdy, po nastaniu ciepłych dni, panna Sienińska poszła świtaniem wykąpać się w ocienionej strudze, zanim zaczęła się jeszcze rozbierać, ujrzała po drugiej stronie wychylające się ze zbitej gęstwiny oblicze Marcyana. Wówczas poczęła uciekać bez tchu, a on pogonił za nią, lecz, chcąc przeskoczyć strugę, nie doskoczył, wpadł w wodę, ledwo się wygrzebał i wrócił do domu, przemoczony do nitki i wściekły. Przed obiadem zbił kilku ludzi do krwi, a podczas obiadu nie ozwał się do nikogo ani słowem — i dopiero pod koniec zwrócił się do sióstr i rzekł:

—Ostawicie mnie sam na sam z panną Sienińską, gdyż mam z nią o ważnych rzeczach pomówić!

Siostry, usłyszawszy to, poczęły na się znacząco spoglądać, a panna pobladła z przerażenia, gdyż dawniej starał się wprawdzie chwycić każdą chwilę, w której mógł być z nią sam na sam, ale tak otwarcie nigdy nie pozwalał sobie tego żądać.

Więc gdy siostry wyszły, wstał, zajrzał za jedne i za drugie drzwi, by nie przekonać, czy go nie podsłuchują, poczem zbliżył się do dziewczyny i rzekł:

— Podaj mi waćpanna rękę... na zgodę.

A ona mimowoli cofnęła obie ręce i odsunęła się od niego.

Marcyan zaś usiłował widocznie zdobyć się na spokój, podskoczył jednak dwukrotnie na swych pałąkowatych nogach, albowiem od tego przyzwyczajenia nie mógł się nigdy wstrzymać — i ozwał się przyciszonym głosem:

— Nie chcesz! A ja dla waćpanny małom się rano nie utopił. Ja waćpannę przepraszam za ów przestrach, ale nie stało się toz przyczyny jakowejś sprosności, jeno że psy wściekłe włóczą się od wczorej między Bełczączką a Wyrąbkami, więcem poszedł z rusznicą czuwać nad przezpiecznością waćpanny.

Pod nią kolana poczęły trochę dygotać, ale odrzekła dość przytomnie i spokojnie:

— Nie chcę ja takiej obrony, którejbym się wstydzić musiała.

— A ją chciałbym waćpanny nietylko teraz, ale i zawsze

bronić — do śmierci! — i bez obrazy Boskiej — jeno z Boskiem błogosławieństwem... Rozumiesz waćpanna?

Nastała chwila ciszy. Przez otwarte okna dochodził tylko z podwórza odgłos rąbania drzewa, którem stary, kulawy parobek zajęty był przy kuchni.

— Nie rozumiem — odrzekła dziewczyna.

— Bo nie chcesz — odparł Marcyan. — Widzisz to oddawna, że nie mogę bez ciebie żyć. Tak mi cię trzeba, jako tego powietrza dla oddechu. Cudnaś mi i miła nad wszystko w świecie. Nie mogę!... zgorzeję bez ciebie! zczeznę! Żebym się nie hamował, byłbym cię oddawna chwycił, jako właśnie jastrząb, gołębia. W gardle mi bez ciebie schnie, jak bez wody... Wszystko we mnie do ciebie drży. Nie mogę spać, ni żyć... Patrz, oto i teraz...

I przerwał, bo zęby zaczęły mu szczękać jak w gorączce. Skurczył się, chwycił kościstemi rękoma za poręcz krzesła, jakby się obawiał upaść — i sapał czas jakiś rozgłośnie.

Poczem znów począł mówić:

— Brak ci fortuny — nic to!... Ja mam dość. Ciebie mi trzeba, nie fortuny. Chcesz być panią w tym domu? Miałaś za Pągowskiego wyjść — jam przecie nie gorszy. Jeno mi nie mów: nie! na Boga żywego nie mów mi: nie — bo nie wiem, co się stanie. Ty cudna! ty moja!...

To rzekłszy, klęknął nagle, objął rękoma jej kolana i począł je przyciskać do piersi. Lecz — nadspodziewanie dla niej samej — przestrach jej przeszedł w tej strasznej chwili bez śladu. Zagrała w niej rycerska krew, zbudziła się gotowość do walki do ostatniego tchu. Poczęła z całej siły odpychać dłońmi jego zroszone potem czoło, które tuliło się do jej kolan.

— Nie! nie! wolałabym umrzeć tysiąc razy. Nie!

Wówczas wstał blady, ze zjeżoną czupryną, pełen zimnej wściekłości; przez czas jakiś drgały mu wąsy, z pod których przebłyskiwały długie, popsute zęby. Lecz jeszcze panował nad sobą, jeszcze przytomność nie odbiegła go zupełnie. Jednakże gdy panna cofnęła się nagle ku drzwiom, zaskoczył jej drogę.

— Tak? — zapytał chrapliwym głosem. — Nie chcesz mnie? Powtórz mi to jeszcze do oczu! — nie chcesz?

— Nie chcę! I waćpan mi nie groź, bo się nie boję.

— Ja, nie grożę, jeno cię chcę za żonę brać — ba! jeszcze proszę: opamiętaj się! na żywy Bóg! — opamiętaj się!

— W czem mam się opamiętać? Wolna mi wola, bom szlachcianka— i waćpanu do oczu powiadam: nigdy!

A on zbliżył się do niej tak, że twarz przysunął tuż do jej twarzy, i mówił:

— To może, miast tu być panią, wolisz drwa do kuchni nosić? Też nie chcesz? To jakże będzie, szlachcianko?... Do których swoich włości stąd pojedziesz? A jeśli ostaniesz, to czyj tu chleb będziesz jeść? na czyjej będziesz łasce? W czyjej będziesz mocy?... Czyje łoże i czyj ten alkierz, w którym sypiasz? Co będzie, jak każę odjąć zaworę? A ty pytasz, w czem się masz opamiętać? W tem: co wybrać!... albo ślub, albo bez ślubu!...

— Podły! — krzyknęła panna Sienińska.

Lecz wówczas stało się coś niesłychanego. Ogarnięty nagłą furyą, Krzepecki ryknął nieludzkim głosem i, schwyciwszy dziewczynę za włosy, począł ją z jakąś dziką, zwierzęcą rozkoszą bić bez miłosierdzia i pamięci. Im dłużej panował nad sobą poprzednio, tem bardziej szaleństwo jego stawało się teraz straszne i ślepe. I byłby ją zabił niechybnie, gdyby nie to, że na jej krzyk o ratunek poczęli się zbiegać domownicy. Pierwszy ów stróż, który rąbał drzewo pod kuchnią, wpadł z siekierą do pokoju przez okno, za nim nadbiegli kuchenni, obie panny Krzepeckie, piwniczy i dwóch z dawnej czeladzi pana Pągowskiego.

Piwniczy, który był szlachcic z dalekiego zaścianka na Mazurach, a przytem człek niezwykłej siły, choć stary, chwycił Mareyana z tyłu za ramiona, ściągnął je tak, że aż łokcie niemal zetknęły się z sobą na plecach, i rzekł:

— Tak nie wolno, wasza miłość! — wstyd!...

— Puszczaj! — ryczał Krzepecki.

Lecz żelazne dłonie trzymały go jakby w kleszczach i posępny, przyciszony głos ozwał mu się tuż za uszyma:

— Wasza miłość, pohamuj się, bo... kości połamię!

Tymczasem panny Krzepeckie porwały dziewczynę i wyprowadziły, a raczej wyniosły ją z izby stołowej. Piwniczy mówił dalej:

— Pozwól wasza mość, do kancelaryi... odpocząć! Bardzo tak radzę...

I począł go popychać przed sobą, jak dzieciaka, a ów kłapał wprawdzie zębami, wywijał krótkiemi nogami, wołał o powrozy i kata, lecz nie mógł się oprzeć, bo zresztą w chwilę później zesłabł nagle po wybuchu do tego stopnia, że i na nogach nie mógłby się był o własnej mocy utrzymać.

To też gdy w kancelaryi piwniczy rzucił go na końską skórę, którą pokryte było łóżko, nie próbował się nawet podnieść i legł nieruchomie jak pień drzewa, ziając i robiąc bokami jak przesilony koñ.

— Pić! — zakrzyknął.

Piwniczy uchylił drzwi, wezwał pachołka i, szepnąwszy mu pocichu kilka słów,, wręczył klucze, a ów wrócił niebawem, niosąc gąsior z okowitą i półkwartową szklanicę.

Szlachcic nalaj ją do pełna, powąchał i, zbliżywszy się do Marcyana, rzekł:

— Pij, wasza mość.

Krzepecki chwycił ją obiema rękami, ale drżały mu tak, że płyn począł mu się rozlewać na piersi, więc piwniczy podniósł go na łożu, przystawił mu ją do ust i począł przechylać.

Marcyan pił i pił, przytrzymując chciwie szklankę, gdy szlachcc próbował ją odjąć, od jego ust.

Wreszcie wypróżnił ją do dna i — padł na wznak.

—Może będzie zadużo — rzekł piwniczy — aleś waszmość zesłabł bardzo.

Marcyan chciał odpowiedzieć, lecz wciągnął tylko z sykiem powietrze, jak człowiek, który poparzył usta zbyt gorącym płynem.

Szlachcic zaś mówił dalej:

—Hej! winieneś mi waszmość dobry musztułuk, bom waszmości niemałą oddał przysługę... Niechby, broñ Boże, co do czego... to za takie sprawy topór i kat — nie mówiąc już o tem, że i zaraz mogłoby się nieszczęście przygodzić. Ludzie tu okrutnie pannę miłują... I przed księdzem Tworkowskim trudno będzie ukryć, choć ja służbie nakażę milczenie. Jak się waszmość czujesz?

A Marcyan patrzył na niego zbielałemi źrenicami, łapiąc wciąż w otwarte usta powietrze. Raz i drugi chciał jakby coś przemówić, poczem chwyciła go czkawka, oczy stanęły mu w słup, zamknął nagle powieki i począł chrapać jak konający.

A piwniczy popatrzył chwilę na niego, poczem mruknął:

— Śpij, albo i zdychaj, psie plugawy.

I wyszedł z izby na folwark, po upływie jednak pół godziny wrócił do dworu i zapukał do pokoiku panny Sienińskiej i zastawszy tam obie siostry Marcyana rzekł im:

— Waszmość panny możeby trochę do kancelaryi do młode

go pana zajrzały, bo okrutnie zasłabł. Tylko jeśli śpi, to nie trza go budzić.

Poczem zostawszy sam na sam z panną Sienińską, pochylił się do jej kolan i rzekł:

— Panienko, trzeba uciekać z tego domu. Wszystko gotowe.

A ona lubo zbita i ledwie na nogach się trzymająca, zerwała się w jednej chwili!

— Dobrze — i ja gotowa. Ratujcie mnie!

— Zaprzężony wasąg stoi za strugą. Ja panienkę przeprowadzę. Przyodziewek jeszcze dziś w nocy odwiozę, bo pan Krzepiecki się spił, jak Bela i do jutra będzie leżał jak nieboszczyk. Weź jeno panienka jubkę i chodźmy. Nikt nas nie wstrzyma — nie bój się.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! — powtarzała gorączkowo.

I wyszli, kierując się przez sad, do tej furtki, przez którą zwykle przychodził z Wyrąbek Taczewski. Po drodze piwniczy mówił:

— Dawno to Wilczopolski ułożył. Umówił się z ludźmi tak, że gdyby tu na panienkę był jaki zamach, to mają podpalić gumna. Pan Krzepecki musiałby skoczyć do ognia, a panienka miałaby czas wymknąć się przez sad za strugą, gdzie umyślny miał czekać z wózkiem. Ale lepiej, że się bez podpalenia obejdzie — boć to zawsze kryminał. Mówią, że Krzepecki będzie do jutra leżał jako kamień, przeto i nijakiego pościgu niech się panienka nie boi.

— Dokąd mam jechać?

— Do pana Cypryanowicza, bo tam o obronę nietrudno. Jest Wilczopolski, są panowie Bukojemscy i leśnicy. Krzepecki będzie pewnikiem chciał panienkę odbierać, ale nie wskóra. A gdzie potem pan Cypryanowicz panienkę odwiezie, czy do Radomia, czy dalej, to się o tem z księżmi naradzi... Ot wasąg. Pościgu się panienka nie bój. Do Jedlinki niedaleko — i wieczór dał Pan Bóg cudny. Ja przyodziewek dziś jeszcze przywiozę, a gdyby chcieli bronić, nie będę zważał. Niech cię prowadzi Matka Najświętsza, opiekunka i orędowniczka sierot.

To rzekłszy, wziął ją jak dziecko na ręce, i usadziwszy w wasągu, krzyknął na pacholika:

— Ruszaj!

Na świecie był już mrok i zorza wieczorna gasła, tylko od ostatnich jej blasków różowiły się na pogodnem niebie gwiazdy. Cichy wieczór przepojony był zapachami ziemi, liści i bzów kwitnących, a słowiki zalewały śpiewem jakby ciepłem dżdżem wiosennym, sad, olszynę i całą okolicę.

XVIII.

W taki to wieczór siedział na przyźbie domu pan Cypryanowicz, goszcząc księdza Woynowskiego, który po nieszporach przyjechał go dwiedzić i czterech panów Bukojemskich, stale przebywających w Jedlince. Przed nimi stał na krzyżakach stół, na nim łagiewka miodu i szklanice, a oni, słuchając cichego szumu puszczy, popijali zwolna, podnosząc oczy ku niebu, na którem błyszczał mocno sierp księżyca, i rozmawiając o wojnie.

— Dzięki Bogu i waszmości dobrodziejowi, że wkrótce znów będziem gotowi do drogi — mówił Mateusz Bukojemski. — Co tam było, to było. I święci nawet grzeszyli, a cóż dopiero ułomny człowiek, który bez łaski Boskiej nic nie wskóra. Ale jak spojrzę na ów miesiąc, który jest tureckim znakiem, to mnie tak zaraz ta pięść swędzi, jakby mi ją komary pocięły. No! daj Bóg jak najprędzej, to sobie człek ulży.

Najmłodszy Bukojemski zamyślił się trochę i rzekł:

— Czemu to, księże dobrodzieju, Turcy jakoweś nabożeństwo do miesiąca mają i na chorągwiach go noszą.

— A psi to nie mają nabożeństwa do miesiąca? — zapytał ksiądz.

— Pewnie że tak, ale dlaczego Turcy?

— Właśnie dlatego że psubraty.

— A, jak mi Bóg miły, racya! — odrzekł młodzian, spoglądając z podziwem na księdza.

— Ale miesiąc temu nie winien — zauważył gospodarz — i miło patrzeć, kiedy tak w cichości nocnej omaści swojem światłem drzewa, jakoby je kto srebrem obsypał. Lubię ja okrutnie siedzieć sobie w taką noc, spoglądać ku niebu i wszechmocność Boską podziwiać.

— Ano, pewnie że dusza ludzka leci wówczas na skrzydłach ku swemu Stwórcy — odparł ksiądz. — Bóg miłosierny stworzył tak samo miesiąc, jako i słońce — i to jest wielkie do-

brodziejstwo... Bo jeszcze co od słonka, no — to w dzień przecie i tak widno, ale żeby nie było miesiąca tożby dopiero ludzie, jeżdżąc po nocy, karków nakręcili, nie mówiąc o tem, że w zupełnych ciemnościach i swawola dyabelska byłaby znacznie większa.

Na chwilę umilkli i wodzili oczyma po pogodnem niebie, poczem ksiądz zażył tabaki i dodał:

— Zakonotujcie sobie waćpanowie w pamięci, jak to dobrotliwa Opatrzność myśli nietylko o potrzebach ale i o wygodzie ludzkiej.

Dalszą rozmowę przerwał im turkot kół, który w ciszy nocnej wyraźnie doleciał do ich uszu. Pan Cypryanowicz przypodniósł się z przyżby i rzekł:

— Jakiegoś gościa Bóg prowadzi, bo swoi wszyscy w domu. Ciekaw jestem, kto to może być?

— A nuż kto z wiadomościami od naszych chłopaków! — odpowiedział ksiądz.

I powstali wszyscy, a tymczasem wasąg, zaprzężony w parę koni, wjechał w otwarty kołowrot.

— Niewiasta jakowaś na siedzeniu! — zawołał Łukasz Bukojemski.

— Prawda!

Bryczka objechawszy pół dziedzińca, zatrzymała się przed gankiem. Pan Serafin spojdzał na twarz przyjezdnej niewiasty, rozpoznał ją przy blasku księżyca i zakrzyknął:

— Panna Sienińska!

I prawie na rękach wyniósł ją z wasągu, a ona pochyliła mu się teraz do kolan i wybuchnęła z płaczem.

— Sierota — rzekła — która o przytułek prosi i o ratunek!...

To rzekłszy, poczęła tulić się do jego kolan, obejmować je coraz silniej i łkać coraz żałośniej. Ogarnęło wszystkich tak wielkie zdumienie, że przez chwilę nikt słowa nie mógł przemówić, wreszcie pan Cypryanowicz podniósł ją, przycisnął do serca i zawołał:

— Póki mi tchu w nozdrzach, będę ci ojcem, sierotko. Ale cóż się stało? Wypędzili cię z Bełczączki, czy jak?

— Krzepecki mnie zbił i hańbą groził — odrzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

Lecz ksiadz Woynowski, który stał tuż przy panu Serafinie

usłyszał odpowiedź, więc porwał się za białą czuprynę i zakrzyknął:

— Jezusie Nazareński, królu żydowski!...

A czterej panowie Bukojemscy spoglądali z otwartemi ustami i wytrzeszczonemi oczyma, nic nie rozumiejąc. Serca ich poruszył wprawdzie od razu płacz sieroty, ale z drugiej strony pamiętali, że panna Sienińska uczyniła srogą krzywdę ich przyjacielowi, Taczewskiemu, pamiętali również nauki księdza Woynowskiego, że przyczyną wszelkiego złego na świecie bywa "mulier"; więc poczęli następnie patrzeć na się pytającym wzrokiem, jakby w nadziei, że jeśli nie jednemu, to drugiemu przyjdzie jakowaś wyraźniejsza myśl do głowy.

Wreszcie Marek rzekł:

— A no, już-ci Krzepeccy... to my tego Marcyana w każdym razie... czy co?

I chwycił się za lewy bok, a za jego przykładem pozostali trzej bracia poczęli także macać rękojeści szabel.

Tymczasem pan Cypryanowicz wprowadził panienkę do pokoju i polecił gospodyni pani Dzwonkowskiej, osobie czułego serca i niepohamowanej wymowy, aby się nią zajęła jak najznakomitszym gościem. Rozkazał oddać jej własną sypialną komnatę, naniecić światła w domu, ognia w kuchni, wyszukać dryakwi uspakajającej spazmy i smarowideł na sińce, nagotować polewki winnej i różnych specyałów, samej zaś dziewczynie radził, by się położyła do łóżka, dokąd wszystko miało być jej podane i — wypocząć, odkładając szczegółową rozmowę do jutra.

Lecz ona chciała otworzyć zaraz serce przed tymi ludźmi, u których szukała ratunku. Chciała od razu wyrzucić z duszy cały ten ból, który się w niej nagromadził oddawna — i tę niedolę i wstyd, i upokorzenie, i mękę, w której żyła w Bełczączce. Więc, zamknąwszy się z księdzem Woynowskim i z panem Serafinem, mówiła jakby ze spowiednikiem i z ojcem. Wyznała wszystko — i swój żal za Jackiem i to, że chciała wyjść za opiekuna tylko dlatego, iż sądziła, że Jacek nią pogardził i że słyszała od Bukojemskich jakoby miał się żenić z panną Zbierzchowską; wreszcie opowiedziała, jak.e było jej życie, a raczej jaka męka w Bełczączce, więc i dokuczliwą złość panien Krzepeckich i straszne zaloty Marcyana, i to, co zaszło w dniu ostatnim i co było ostatecznym powodem jej ucieczki.

A oni brali się za głowy, słuchając. Ksiądz Woynowski, dawny żołnierz, mimowoli sięgał ręką wzorem Bukojemskich do

lewego boku, choć już dawno przy nim szabli nie nosił, a zacny pan Serafin co chwila obejmował drżącemi ze wzruszenia dłońmi skronie dziewczyny i powtarzał:

— A niech spróbuje cię odebrać. Miałem jeno syna, a teraz Bóg mi dał córkę...

Lecz księdza Woynowskiego uderzyło najbardziej to, co dziewczyna mówiła o Jacku. Pamiętając wszystko co zaszło, nie mógł się w tem teraz połapać.

Więc myślał, myślał, gładził całą szerokością dłoni mleczną czuprynę, wreszcie zapytał:

— Czyś waćpanna wiedziała o liście, jaki nieboszczyk Pągowski napisał do Jacka?

— Samam uprosiła opiekuna, aby go napisał.

— To już nic nie rozumiem. Czemu tak?

— Bom chciała by wrócił.

— Jakoż miał wrócić? — zawołał z pewnym gniewem ksiądz. — List był taki, że właśnie po nim Jacek wyjechał z rozdartem sercem na kraj świata, aby zapomnieć i ten afekt, któryś waćpanna podeptała, wyrzucić z serca.

A ona poczęła mrugać ze zdziwienia oczyma i złożyła jak do modlitwy ręce.

— Opiekun mi mówił, że to był ojcowski list... Matko Najświętsza! — co w nim było?

— Wzgarda, obelgi i deptanie po ubóstwie i czci — rozumiesz?

Na to z serca dziewczyny wyrwał się krzyk tak bolesny i prawdziwy, że w księdzu zadrżało uczciwe serce. Zbliżył się do dziewczyny, rozchylił jej dłonie, któremi zakryła sobie twarz i zawołał:

— Toś nie wiedziała?

— Nie wiedziałam —nie wiedziałam!

— I chciałaś by Jacek wrócił?

— Tak!

— Na Boga! czemu tak?

Wówczas poczęły jej się znów z pod przymkniętych powiek sypać łzy, prędkie i obfite, a duże jak perły; twarz jej spłonęła dziewczęcym wstydem; poczęła łowić w rozchylone usta powietrze, serce biło w niej, jak w schwytanym ptaku i wreszcie wyszeptała z wysileniem:

— Bo go... kocham!...

— Bój że się Boga, dziecko! — zakrzyknął ksiądz.

Lecz głos załamał mu się w piersi, bo go też dławiły łzy.

Ogarnęła go zarazem i radość i niezmierna litość dla dziewczyny, i zdumienie, że "mulier" nie jest w tym razie przyczyną wszelkiego złego, ale niewinnem jagnięciem, na które Bóg wie dlaczego spadły takie cierpienia.

Więc chwycił ją w ramiona, przycisnął do serca i począł powtarzać raz po razu:

— Dziecko moje! dziecko moje!

A panowie Bukojemscy przenieśli się tymczasem wraz ze szklanicami i z łagiewką do stołowej izby, wypili sumiennie do dna miód i czekali na księdza i pana Serafina w nadziei, że za ich przybyciem będzie podana wieczerza.

Owi wrócili wreszcie ze wzruszeniem w obliczach i ze zroszonemi oczyma. Cypryanowicz odetchnął głęboko raz i drugi, poczem rzekł:

— Pani Dzwonkowska kładzie teraz do łóżka niebożątko... Prawdziwie uszom się nie chce wierzyć... Jest i nasza wina — ale Krzepeccy — to już poprostu hańba! wstyd! i tego bezkarnie puścić nie można.

— A to i owszem — odpowiedział Marek. — Pogadamy o tem z "Pniakiem". Oj-oj!

Poczem zwrócił się do księdza Woynowskiego.

— Szczerze ano jej żal, ale tak przecież myślę, że ją Bóg za Jacka pokarał. Nieprawda?

A na to ksiądz:

— Głupiś waćpan!

— No to jakże? Co?

Więc staruszek, który miał pełne piersi żalu, począł mówić prędko i zapalczywie o niewinności i męce dziewczyny, jakby chcąc w ten sposób wynagrodzić jej za tę niesprawiedliwość, jakiej się względem niej dopuścił — lecz po upływie pewnego czasu przerwało mu opowiadanie przybycie pani Dzwonkowskiej, która wpadła nagle jak bomba do fortecy.

Pani Dzwonkowska miała twarz tak zalaną łzami, jakby ją zanurzyła w pełnem wiadrze i zaraz od progu poczęła krzyczeć z wyciągniętemi przed się rękoma:

— Ludzie, kto w Boga wierzy! pomsty, sprawiedliwości! Na Boga! pleczyki całe w sińcach, bieluchne pleczyki jak opłatek... włoski ma garściami powyrywane, złociste włoski... gołąbek mój najmilszy, kwiatuszek taki kochany! owieczka moja niewinna...

Co usłyszawszy, wzruszony już opowiadaniem księdza, Mateusz Bukojemski kiedy nie ryknie, kiedy nie zawtórzy mu Marek, Łukasz i Jan... aż służba zleciała się do izby, a psy poczęły szczekać w sieni. Lecz Wilczopolski który w chwilę potem powrócił z objazdu nocnego stogów, trafił już na inny humor braci. Czupryny ich były zjeżone, oczy zbielałe z wściekłości, prawice gniotły rękojeści szabel.

— Krwi! — wołał Łukasz.

— Dawajcie nam takiego syna!

— Bij!

— Na szable!

I ruszyli jak jeden mąż, ku wyjściu, lecz pan Cypryanowicz zaskoczył im ode drzwi.

— Stój! — krzyknął — kata, nie szabli on godzien!

XIX.

I długo musiał pan Serafin uspokajać rozsierdzonych braci. Tłómaczył im, że gdyby zaraz usiekli Marcyana Krzepeckiego, nic byłby to szlachecki, ale zbójecki uczynek. Wpierw — mówił — trzeba sąsiedztwo objechać, porozumieć się z księdzem Tworkowskim, mieć za sobą opinię szlachty i duchowieństwa, pościągać świadectwa służby z Bełczączki, następnie wnieść skargę do trybunału, a dopiero,, gdy wyrok zapadnie, siłą go poprzeć. Gdybyście (mówił) zaraz Marcyana na szablach roznieśli, nie omieszkałby ojciec Krzepecki rozgłosić, żeście to uczynili w zmowie z panną Sienińską, przez co reputacya jej mogłaby ucierpieć. — a was by stary pozwał i zamiast na wyprawę iść, musielibyście po sądach się włóczyć, bo nie będąc jeszcze pod inkwizycyą hetmańską — nie moglibyście się od terminów uchylić. Ot co jest.

— Jakże? — pytał z żalem Jan. — To mamy płazem puścić krzywdę tego gołąbka?

— Zaś myślicie — zauważył ksiądz — że Marcyanowi Krzepeckiemu miłe będzie życie, gdy nad nim infamia albo i topór katowski zawiśnie, a do tego gdy wzgarda powszechna otoczy? Gorsza to męka, niż prędka śmierć i nie chciałbym ja za wszystkie srebro okulskie siedzieć teraz w jego skórze.

— A jeśli się wykręci? — spytał Marek. — Ojciec jego stary frant, któren już niejeden proces wygrał:

— Jeśli się wykręci, to mu Jacek po powrocie do ucha słówko szepnie... Wy jeszcze Jacka nie znacie! dziewczyńskie on ma oczy, ale przezpieczniej z pod niedźwiedzicy niedźwiadki wyciągać, niźli jemu do żywego dojąć.

Na to Wilczopolski który dotychczas milczał, ozwał się ponurym głosem:

— Pan Krzepecki już się na wyrok napisał i kto wie, czy powrotu pana Taczewskiego doczeka. Ale inną rzecz powiem: Będzie on pewnikiem chciał zbrojną ręką pannę napowrót brać i wtedy...

— Wtedy obaczym! — przerwał pan Cypryanowicz. — A niech jeno spróbuje! To co innego!

I trzasnął groźnie szablą, a Bukojemscy poczęli wraz zgrzytać i powtarzać:

— Niech spróbuje! niech spróbuje!

Lecz Wilczopolski rzekł:

— Jeno że waszmościowie na wojnę wyjeżdżacie...

— To się zaradzi! — odpowiedział ksiądz Woynowski.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie piwniczego. Przywiózł on łuby z rzeczami panienki, co jak mówił, nie przyszło mu bez trudności. Panny Krzepeckie usiłowały bronić i chciały nawet budzić brata, by też nie dawał. Ale dobudzić go się nie mogły, szlachcic zaś wmówił w nie, że trzeba to uczynić i dla ich własnego i dla braterskiego dobra, inaczej bowiem oskarżone będą o grabież cudzego mienia i wzięte na męki w sądzie. Zlękły się tedy, jako niewiasty nie znające się na prawie i przyzwoliły. Piwniczy mniemał także, że Marcyan będzie usiłował koniecznie odzyskać pannę, ale nie przypuszczał, by od razu uciekł się do przemocy.

— Powstrzyma go od tego — mówił — stary pan Krzepecki, który rozumie czem pachnie, "raptus puellae"! Nic on jeszcze nie wie, co się stało, ale ja stąd wprost pojadę i całą sprawę mu przedstawię, a to z dwóch przyczyn. Raz dlatego, by pohamował pana Marcyana, a powtóre, że nie chcę być jutro w Bełczączce w chwili, w której pan Marcyan się przebudzi i dowie się żem to ja ułatwił panience wyjazd. Porwałby się na mnie niechybnie i wówczas jednemu z nas mógłby się casus paskudeus przytrafić.

Pan Serafin i ksiądz Woynowski pochwalili roztropność piwniczego, i widząc, że człowiek jest życzliwy, a przytem doświadczony, który z niejednego pieca chleb jadał i któremu na-

wet prawo jest nieobce — zaprosili go do wspólnego sprawy rozważania. Uczyniły się tedy dwie narady, bo drugą złożyli w oficynie panowie Bukojemscy na własną rękę.

Pan Cypryanowicz wiedząc, w jaki sposób najłatwiej można pohamować ich mężobójcze zamiary i zatrzymać ich w domu, podesłał im do oficyny spory gąsior zacnego zieleniaku, któ ry też zaraz radzi obsiedli i poczęli wzajem do siebie przepijać. Serca mieli wzruszone a na myśl mimowoli nasuwały im się wspomnienia owej nocy, w której panna Sienińska po raz piew szy przestąpiła progi domu w Jedlince. Jęli sobie teraz przypo minać, jak się to w niej natychmiast zakochali i jako się przez nią skłócili, a potem "unanimitate" przeznaczyli ją Stanisławo wi Cypryanowiczowi, czyniąc z własnych żądz ciężką dla przyjaźni ofiarę.

Wreszcie Mateusz pociągnął wina. wsparł głowę na dłoni, westchnął i rzekł:

— Jacek tej nocy na drzewie jak wiewiórka siedział. Któż się mógł wówczas domyślić, że to jemu właśnie ją Pan Bóg prze znaczył?

— A nam w sieroctwie trwać kazał — dodał Marek.

— Pamiętacie — zapytał Łukasz — jak to wtedy pojaśniało od niej we wszystkich izbach? Nie uczyniłoby się jaśniej od stu świec jarzęcych. A ona to ci sobie siadła, to ci się uśmiechnęła... A co na cię spojrzała, to ci się tak ciepło w dołyszku robi ło jakobyś się grzanego wina napił... Napijmy się i teraz na tę naszą tęskność okrutną.

Napili się znów — poczem Mateusz uderzył pięścią w stół i zakrzyknął:

—Ej żeby ona tak tego Jacka nie miłowała!

— To i co? — zapytał oburkliwie Jan — to myślisz, żeby zaraz w tobie zakochała. Patrzcie, jaki mi gładysz!

— Dobrze żeś ty nie kostrobaty! — odparł Mateusz.

I poczęli na się nieżyczliwe spoglądać. Lecz Łukasz, choć zwykle do zwady wielce pochopny, począł ich godzić:

— Ni dla cię, ni dla cię, ni dla żadnego z nas — rzekł. — Inszy ją dostanie i do ołtarza powiedzie.

— A nam jeno żal i łzy — rzekł Marek.

— To się przynajmniej wzajem kochajmy. Nikt nas na świecie nie kocha! nikt!...

— Nikt! nikt! — powtarzali naprzemian, mieszając wino ze łzami.

— A ona tam sobie śpi! — ozwał się nagle Jan.

— Śpi niebożątko! — przywtórzył Łukasz — leży jako ten kwiatuszek kosą podcięty, jako ta owieczka od bezecnego wilka podarta. Bracia rodzeni, zali tego wilka nikt nawet i za kudły nie wytarga?

— Nie może być! — zawołali Mateusz, Marek i Jan.

I poczęli znów się burzyć, a im więcej pili, tem częściej zazgrzytał to jeden, to drugi, albo też pięścią w stół uderzył.

— Mam myśl! — zawołał nagle najmłodszy.

— Mów! miej Boga w sercu!

— Ano widzicie tak! Przyrzeklim panu Cypryanowiczowi, że "Pniaka" nie rozsiekamy — prawda?

— Prawda, ale ty gadaj, nie pytaj!

— Wszelako pomścić się za naszą panienkę trzeba. Przyjedzie tu, jako mówił stary Krzepecki próbować czy mu pan Cypryanowicz dobrowolnie panny nie wyda. Ale my wiemy, że nie wyda! co?

Nie wyda! nie wyda!

— Owóż jak myślicie? nie wyskoczy li Marcyan na spotkanie wracającego ojca, żeby obaczyć i rozpytać, czy co wskórał?

— Jak Bóg na niebie, tak wyskoczy.

— Ano jest na wpół drogi między Bełżączką a Jedlinką smolarnia tuż przy gościńcu. Ażebyśmy tak zaczekali na Marcyana w tej smolarni?...

— Dobrze! Ale po co?

— Jeno sza! cicho!

— Sza!...

I poczęli oglądać się po izbie, choć wiedzieli, że prócz nich niema w niej żywego ducha — a potem szeptać. Szeptali długo, to głośniej, to ciszej, wreszcie rozpromieniły się im oblicza, dopili duszkiem wina, uściskali się wzajemnie i po cichu, gęsiego, jeden za drugim wynieśli się z izby.

Posiodłali w największej ciszy konie i wyprowadzili je za uzdy z podwórza. Minąwszy kołowrot, siedli i jechali strzemię, w strzemię aż do wielkiego gościńca; tam dopiero Jan który lubo najmłodszy, objął tym razem komendę nad braćmi, rzekł:

— To ja z Markiem zaraz ruszamy do smolarni, a wy tamtą beczkę przywieźcie jeszcze przede dniem.

XX.

Stary Krzepecki zgodnie z przewidywaniem piwniczego przyjechał do Jedlinki zaraz dnia następnego po południu, ale nad wszelkie spodziewanie przyjechał z tak wesołym i dobrodusznem obliczem, że pan Cypryanowicz który, mając zwyczaj drzemać po obiedzie, był trochę senny, aż roztrzeźwił się ze zdziwienia na ów widok. Stary lis począł też od samego niemal progu mówić o sąsiedzkiej przyjaźni i o tem jaką pociechą były by dla jego starości częstsze odwiedziny wzajemne; dziękował za gościnne przyjęcie i dopiero po skończonej wymianie grzecz ności przystąpił do sprawy.

— Sąsiedzie dobrodzieju — rzekł — przyjechałem z powinnym ukłonem, ale zarazem, jak to musieliście się już domyśleć — i z prośbą, której ze względu na mój wiek, tuszę, że zechcecie łaskawie wysłuchać.

— Rad uczynię zadość każdemu słusznemu żądaniu waszmości — odpowiedział pan Serafin.

A stary począł zacierać ręce:

— Wiedziałem!... z góry wiedziałem! — rzekł. — Bodaj to mieć z kimś rzetelnie mądrym do czynienia! Odrazu człek tra fi do ładu. Powiedziałem też mojemu synowi tak: "Zdaj to na mnie! Już (powiadam) jak z panem Cypryanowiczem sprawa, to wszystko pójdzie dobrze, bo nietylko tak rozumnego, ale i tak zacnego obywatela niemasz drugiego w całej okolicy."

— Zbyt mi waszmość pochlebiasz.

— Nie, nie! — zamało jeszcze mówię!... Ale przystąpmy do sprawy.

— Przystąpmy.

Stary Krzepecki przez chwilę milczał, jakby szukając słów — i tylko poruszał szczękami, tak że broda schodziła mu się z nosem — wreszcie uśmiechnął się wesoło, przyłożył dłoń do kolan pana Serafina i rzekł:

— Dobrodzieju oto wiecie, że uciekł nam szczygieł z klatki.

— Wiem. Pono się kota przeląkł.

— Nie miłoż mi z takimi rozmawiać!? — zawołał zacierając ręce, stary, a to dowcip! Ksiądz Tworkowski pęknie z inwidyi — jak mi Bóg miły!

— Słucham waszmości...

— Owóż, ad rem i prosto z mostu: chcielibyśmy onego szczygiełka wziąć z powrotem.

— Czemuby nie?

Pan Krzepecki poruszył raz i drugi brodą w stronę nosa, bo zaniepokoiło go to, że sprawa idzie zbyt gładko. Jednakże klasnął w dłonie i zawołał z udaną radością:

— No to i rzecz skończona! Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili!

— Ze mną skończona — odrzekł pan Serafin. — Trzebaby się tylko tej ptaszyny spytać czy zechce wrócić, a to dziś jest niepodobna, bo ją waszmościn syn tak przydusił, że ledwo tchnie...

— Chora jest?

— Chora, leży w łóżku.

— A nie udaje?

Oblicze pana Searfina zasępiło się nagle — i rzekł:

— Mój mości panie, mówmy poważnie. Niegodnie, nie po ludzku, nie po szlachecku i zgoła haniebnie sobie waścin Marcyan z panną Sienińską postąpił — a i waszmość ciężko zawiniłeś przed Bogiem i ludźmi, żeś sierotę w takie ręce oddał i takiemu bezwstydnemu okrutnikowi ją powierzył.

— Niema i ćwierci prawdy w tem, co ona mówi! — zawołał stary.

— Jakto? przecie waść nie wiesz, co ona mówi, a już przeczysz. Nie ona mówi, jeno sińce i ślady razów za nią mówią, które moja klucznica na jej młodem ciele widziała — a co do Marcyana — widziała cała służba w Bełczączce jego zaloty, a potem jego okrucieństwo i świadczyć w razie potrzeby gotowa. Jest u mnie Wilczopolski, który dziś jeszcze wyjedzie do Radomia opowiedzieć księdzu Tworkowskiemu, co się stało.

— Aleś waść mi obiecał, że dziewkę oddasz.

— Nie! mówiłem jeno, że nie będę wstrzymywał. Zechce li wrócić, dobrze! Zechce u mnie zamieszkać — drugie dobrze! Tego jednak waćpan ode mnie nie wymagaj, abym ja sierocie srodze pokrzywdzonej dachu i kawałka chleba odmawiał.

Żuchwy starego Krzepeckiego poczęły się poruszać raz po razu. Przez chwilę milczał, potem rzekł:

— Waćpan masz słuszność — i nie masz słuszności. Sierocie dachu i chleba wzbronić — niegodny byłby to uczynek, ale jako człek roztropny, rozważ sobie że co innego jest gościnności nie odmawiać, a co innego rebelię przeciw powadze rodzicie l-

skiej popierać. Szczerze ja miłuję moją najmłodszą córkę, Tećkę, ale przecie zdarzy się że jej czasem dam szturchańca. Więc jakże? To gdyby skarcona przeze mnie, uciekła do waszmości — nie pozwoliłbyś mi jej zabrać, albo zdałbyś to na jej zgodę? Pomyśl waćpan... Jakiż to byłby porządek na świecie, gdyby białogłowy chciały mieć własną wolę? Przecie i ta, która jest za mężna, choćby i stara, musi mężowi ulegać i jego rozkazów słu chać, a cóż dopiero nieletnia dziewka rozkazów ojca albo opiekuna?

— Panna Sienińska nie jest waszmości córką, ani nawet krewną.

— Aleśmy opiekę nad nią po panu Pągowskim odziedziczyli. Gdyby pan Pągowski był dziewczynę pokarał, pewniebyś waćpan nie miał ani słowa do powiedzenia; więc też to samo jest i co do mnie i co do mego syna, któremu rządy w Bełczączce zwierzyłem. To trudno! ktoś musi rządzić, ktoś musi mieć prawo kary! Nie przeczę, że Marcyan jako młody a porywczy, może i przebrał miarę, zwłaszcza gdy go niewdzięcznością karmiła. Ale to moja rzecz! Obaczę, osądzę i ukarzę — ale dziewkę z powrotem zabiorę i tak myślę, że z przeproszeniem waszmości, nawet i sam król jegomość nie miałby prawa w tem mi jakowychś przeszkód czynić.

— Waćpan mówisz jak w trybunale — odrzekł pan Cypryanowicz — i nie neguję, że masz za sobą pozory. Ale pozór co innego, a co innego istna prawda. Ja waszmości nie chcę w niczem przeszkadzać, jeno powiem szczerze, jest jakaś ludzka opinia, z którą i wam radzę się liczyć. Waćpanu nie chodzi o pannę Sienińską, ani o opiekę nad nią, jeno podejrzewasz, że u księdza Tworkowskiego może się znaleźć testament z zapisem dla dziewczyny, przeto boisz się, aby ci się razem z nią i Bełczączka nie wymknęła. Niedawno jeszcze słyszałem, jako jeden z sąsiadów mówił tak: "Żeby nie ta niepewność, pierwsi by oni sierotę z domu wygnali, bo ci ludzie Boga w sercu nie mają". — Okrutnie mi to ciężko mówić waćpanu w moim domu, ale trzeba żebyś to wiedział.

W oczach starego Krzepeckiego zabłysły płomienie gniewu, ale przemógł się jeszcze i odrzekł spokojnym, lubo nieco przerywanym głosem:

— Złość ludzka! podła złość — nic więcej, a w dodatku i bezrozum. Jakże? To niby mielibyśmy wypędzić z domu dziew-

kę, z którą Marcyan chce się żenić? Zastanów się waćpan na miły Bóg! Dyć to się jedno drugiego nie trzyma.

— Powiadają tak: jeśli się pokaże, że Bełczączka dla niej — to się Marcyan z nią ożeni, a jeśli nie — to ją jeno pohańbi. Jać nie jestem niczyjem sumieniem, więc jeno powtarzam co mówią, z tym wszelako własnym dodatkiem, że syn waszmościów groził dziewycznie hańbą. To wiem pewnie — i waćpan, który Marcyana i jego sprośne żądze znasz — wiesz także, że tak było.

— Wiem ci ja to i owo, ale nie wiem, do czego waćpan zmierzasz.

— Do czego zmierzam? Ot do tego com już waści rzekł. Jeśli panna Sienińska zgodzi się wrócić do was, tedy nie mam żadnego prawa ani waszej, ani jej woli się sprzeciwiać, ale jeśli nie, to jej z domu nie wypędzę, bom jej to już obiecał.

— Nie o to idzie, byś ją waćpan wypędzał, jeno o to, byś ją wziąć dozwolił, tak samo, jakbyś dozwolił gdyby chodziło o którą z moich córek. O to tylko proszę, byś nam w poprzek nie stawał.

— Tedy powiem wyraźnie: na żaden gwałt nie pozwolę! W domu moim ja pan, i waszmość — któryś o królu wspominał — powinieneś rozumieć, że tego prawa nawet król jegomość ne gować mi nie może.

Usłyszawszy to, pan Krzepecki zacisnął pięść, tak, że aż paznokcie wpiły mu się w dłonie i rzekł:

— Gwałt? Tego właśnie się boję. Ja, jeślim miał co przeciw ludziom (a któż nie miał do czynienia ze złością ludzką?), tom przeciw nim prawem, nie gwałtem zawdy czynił. Ale to nieprawda, co przysłowie mówi, że jabłko niedaleko pana od jabłoni... Czasem pada daleko... Ja dla dobra i dla bezpieczeństwa waszmości chciałem zgodnie załatwić sprawę... Waćpan tu bezbronny w lesie siedzisz, a Marcyan... ciężko ojcu o synu to mówić — nie całkiem wdał się we mnie... Wstyd mi wyznać ale ja ręczyć zgoła za niego nie mogę... Boi się cały powiat jego zapalczywości — i słusznie, bo on na nic gotów nie zważać, a ma z pięćdziesiąt szabel na zawołanie... Waćpan zaś... waćpan bezbronny, repeto, w lesie siedzisz... i z tem radzę się policzyć... Ja sam się boję...

Na to wstał Cypryanowicz i zbliżywszy się do Krzepeckiego, spojrzał mu w same białka oczu.

— Waść chcesz mnie przestraszyć? — zapytał.

— Ja sam się boję... — powtórzył stary Krzepecki.

Lecz dalszą rozmowę przerwały im nagłe krzyki z podwórza od strony lamusa i kuchni, więc skoczyli do otwartego okna i w pierwszej chwili skamienieli ze zdumienia. Oto śród opłotków biegł ze strasznym impetem w stronę kołowrotu i dziedzińca jakiś nadzwyczajny potwór, niepodobny do żadnego ze stworzeń, na ziemi widywanych, a za nim na rozhukanych koniach pędzili czterej Bukojemscy, krzycząc i wywijając w powietrzu harapami. Potwór pierwszy wpadł na podwórze a za nim zwalili się podobni do piekielnych szczwaczy bracia i poczęli go gnać wokół wirydarza.

— Jezusie, Maryo! — krzyknął pan Cypryanowicz.

I wypadł na ganek, a za nim podążył w te pędy stary Krzepecki.

Wówczas dopiero mogli się lepiej przypatrzyć. Potwór miał pozór olbrzymiego ptaka, ale zarazem i jeźdźca na koniu, biegł bowiem z jakowąś postacią na grzbiecie i na czterech nogach. Ale i jeździec i koń byli do tego stopnia puchem pokryci, że głowy ich wyglądały jakby dwa kłęby pierzaste. Nie było zresztą możności rozeznać nic dokładnie, bo bachmat biegł jak wicher w krąg dziedzińca, a panowie Bukojemscy dojeżdżali go zblizka nie szczędząc razów, od których odrywały się puchy i spadały na ziemię, lub też krążyły nakształt śniegowych płatków w powietrzu.

Przytem potwór ryczał jak ranny niedźwiedź, bracia również i w ogólnym wrzasku ginęły głosy pana Cypryanowicza i starego Krzepeckiego, którzy wołali ile sił w płucach:

— Stójcie, na rany boskie, stójcie!

Lecz tamci pędzili, jakby ogarnęło ich szaleństwo, i obiegli z pięć razy dziedziniec. Jednakże z kuchni, z oficyn, ze stajen, od strony stodół i gumna zbiegła się liczna służba, która słysząc okrzyk: "stójcie!" powtarzany jakby z desperacyą przez pana Serafina, skoczyła ku koniom panów Bukojemskich i poczęła je hamować, chwytając za uzdy i wędzidła. Osadzono wreszcie bachmaty braci, lecz z pierzastym koniem była trudność największa. Bez uzdy, cięty batożkami, zhukany i przerażony, wspinał się na widok ludzi lub błyskawicznym ruchem zawracał w bok, tak że zatrzymano go dopiero wówczas, gdy, zebrawszy się w sobie, gotował się przekroczenia płotu. Jeden z czeladzi porwał go za chmyża między uszami, drugi za chrapy, kilku za grzywę: nie mógł z takim ciężarem przeskoczyć i padł na przednie nogi;

zerwał się wprawdzie zaraz, ale już nie próbował się wyrywać, tylko począł drżeć na całem ciele.

Zdjęto wówczas jeźdzca, który dlatego, jak się pokazało nię zleciał, że miał silnie nogi pod końskim brzuchem skrępowane, i obdarto mu twarz z puchu. Ale pod puchem ukazała się twarz całkiem pokryta gęstą smołą, tak, że rysów niepodobna było rozeznać. Jeździec dawał zresztą słabe oznaki życia, więc dopiero, gdy przyniesiono go na ganek, poznał go stary Krzepecki, poznał także pan Serafin i obaj krzyknęli z przerażeniem:

— Marcyan!

— A ten ci to paskudnik jest! — rzekł na to, dysząc Mateusz Bukojemski — skaraliśmy go coś nie coś i przygnali tutaj, aby panna Sienińska wiedziała, że są jeszcze czułe dusze na świecie

A pan Cypryanowicz aż się porwał za głowę:

— Jechał że was sęk z takiemi czułemi duszami! zbóje jedni!

Poczem, zwróciwszy się do pani Dzwonkowskiej, która, nad biegłszy wraz z innemi, żegnała się krzyżem świętym, zawołał:

— Wódki mu do gęby nalać, otrzeźwić — i do łóżka!

Uczynił się ruch i zamieszanie. Jedni skoczyli gotować łoże, inni po grzaną wodę, inni po wódkę, kilku odbierało puch z Marcyana, w czem pomagał im stary Krzepecki, zgrzytając zębami i powtarzając:

— Żyje?... nie żyje? Żyje! Pomsty! pomsty!...

Poczem zerwał się nagle, przyskoczył do pana Serafina i zakrzywiwszy palce nakształt szponów przed samemi jego oczyma, począł krzyczeć:

— Byłeś w z mowie! zabiłeś mi syna — zbóju ormiański!

A Cypryanowicz pobladł bardzo i chwycił za szaglę, lecz w tej samej chwili wspomniał, że jest gospodarzem, a Krzepecki gościem; więc puścił rękojeść, a natomiast podnósł dwa palce w górę i rzekł:

— Na tego Boga, który jest nad nami, przysięgam żem o nìczem nie wiedział — i na krzyżu gotowem zaprzysiądz — amen!

— My świadkami! — zawołał Marek Bukojemski.

— Cypryanowicz zaś dodał:

— Bóg waści skarał, bo tu waść mi groził, jako bezbronnemu starcowi zapalczywością syna. Ot, masz jego zapalczywość!

— Kryminał! — ryczał stary — kat na was i pod miecz wasze głowy! Pomsty! Sprawiedliwości!...

— Ot, czegoście narobili! — rzekł pan Serafin, zwracając się do Bukojemskich.

— Mówiłem, że lepiej od razu uciec — ozwał się Łukasz.

Lecz tymczasem nadbiegła pani Dzwonkowska z wódką gdańską i poczęła ją lać z flaszki w otwarte usta Marcyana. Ów zakrztusił się i zaraz otworzył oczy.

Ojciec przypadł ku niemu.

— Żyjesz! żyjesz? — zawołał z wybuchem dzikiej radości.

Lecz Marcyan nie mógł dać jeszcze odpowiedzi i leżał, jak wielki puhacz, który potrzelon z rusznicy, padnie na grzbiet i dyszy na rozłożonych skrzydłach. Jednakże przytomność mu wracała a z nią pamięć. Wzrok jego przeszedł z twarzy ojca na oblicze pana Serafina, a potem zatrzymał się na Bukojemskich i stał się tak straszny, że gdyby w sercach braci było choćby najmniejsze miejsce na bojaźń, byłby ich dreszcz przeszedł od stóp do głów.

Ale oni postąpili jeszcze krokiem ku niemu, nakształt czterech byków gotowych bóść, a Mateusz zapytał:

— Czego? Mało ci?

XXI.

W kilka godzin później stary Krzepecki zabrał Marcyana do Bełczączki, lubo ten nie mógł się jeszcze trzymać na nogach i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Poprzednio służba wykąpała go, wymyła z wielkim trudem i przebrała w świeżą bieliznę, ale właśnie po ukończeniu tych wszystkich czynności przyszło nań osłabienie tak wielkie, że kilkakrotnie zemdlał i że dzięki tylko wódkom pani Dzwonkowskiej, nalewanym na dzięgiel i na kurze ziele, przyprowadzony był do przytomności. Pan Serafin radził położyć go do łóżka i czekać z wyjazdem tak długo, póki całkiem nie wyzdrowieje, lecz rozświeciezony w sercu stary Krzepecki nie chciał się na to zgodzić, aby nie zaciągać długu wdzięczności względem człowieka, przeciw któremu zamierzał z powodu zatrzymania panny Sienińskiej prawem czynić. Kazał tedy wymościć skarbniczek sianem i ułożywszy Marcyana na kilimie jak na łożu, ruszył, śród pogróżek na Bukojemskich i na starego gospodarza, do Bełczączki. Było przytem aż śmieszne, że mówiąc ciągle o pomście, musiał jednak przyjmować pomoc Cyprynowicza i zapożyczać od niego szat, bielizny i siana; ale, zaślepio

ny gniewem, wcale tego nie czuł, a panu Serafinowi było też nie do śmiechu, albowiem uczynek czterech braci wielce go skłopotał i zaniepokoił.

Tymczasem nadjechał wezwany umyślnie listem ksiądz Woynowski. Bukojemscy, wielce skonfudowani, siedzieli w oficynie, nie pokazując nosa, więc pan Cypryanowicz sam musiał opowiadać wszystko co zaszło, a ksiądz słuchał, słuchał, od czasu do czasu uderzał się dłońmi po połach od sutanny, ale nie gorszył się tak bardzo, jak pan Serafin przypuszczał.

A wreszcie rzekł:

— Jeżeli Marcyan umrze, to Bukojemskim będzie bieda, ale jeśli, jak mniemam, się wyliże, w takim razie prędzejbym przypuścił, że będzie się mścił prywatnie, niż żeby im miał sprawę wytaczać.

— Czemu zaś tak? — zapytał pan Serafin.

— Bo to niemiła rzecz na śmiech się całej Rzeczypospolitej podawać. Przytem musiałby wyjść na jaw i jego proceder z panną Sienińską, a to też nie przyczyniłoby mu dobrej sławy. Niechwalebne on życie pędził, przeto lepiej mu się nie anrażać na toaby świadkowie coram publico musieli wyznawać wszystko, co o nim wiedzą.

— To może i słusznie — rzekł Cypryanowicz — ale przecie Bukojemskim trudno wybaczyć taką swawolę.

— Bukojemscy jak to Bukojemscy!

— Cóż zapytał ze zdziwieniem pan Serafin — myślałam, że jegomość bardziej się zgorszysz.

—Mój mości panie — odparł staruszek — wać sługiwałeś wojskowo, ale nie tak długo, jak ja. A jam się przez cały bieg żywota tylu żołnierskim swawolom napatrzył, że mnie już byle jaka nie zadziwi. Źle jest, że tak jest, i zganię ja ci to Bukojemskim, ale widywałem rzeczy gorsze ,tembardziej, że tu chodziło o sierotę. Ba! powiem szczerze, iż bardziej bym się gorszył, gdyby Marcyanowi uszły całkiem płazem jego uczynki. Pomyśl waść, żeśmy starzy, ale gdybyśmy byli młodzi, to by nam też zawrzały serca. Oto, dlaczego nie mogę całkiem potępić Bukojemskich.

— Zapewne, zapewne—wszelako Marcyan może i jutra nie dożyje.

— W boskiem to ręku, ale mówiłeś waćpan, że nie ranny?

— Nie, jeno jak jeden siniec — i ciągle mdlał.

— To się i wyliże, a mdlał z fatygi. Ale trzeba pójść do Bukojemskich i rozpytać, jak co było.

I poszedł. Bracia przyjęli go z radością, albowiem mieli nadzieję, że wstawi się za nimi do pana Cypryanowicza. Poczęli się też zaraz kłócić o to, który ma zdawać relacyę — i przestali dopiero wówczas, gdy ksiądz przyznał pierwszeństwo Mateuszowi.

Więc ów zabrał głos i tak prawił:

— Ojcze dobrodzieju, Bóg patrzył na naszą niewinność!... Bo kiedyśmy się dowiedzieli od pani Dzwonkowskiej, że sierotka całe ciałeczko ma w siñcach, przyszliśmy do tej tu oficyny w takiej żałości, że gdyby nie dzbanice wina, któren gospodarz nam podesłał, chybaby nam się były serca rozpukły. To mówię jegomości — pilim i płakalim — pilim i płakalim!... A i to też mieliśmy na pamięci, że to nie byle dziewka, ale pana z senatorskiego rodu... Dyć wiadomo, że na ten przykład: koń.. — im większej krwie, tem na nim skóra cieńsza. Smagnij batem zwykłego podjezdka, to ledwie poczuje, a na szlachetnym rumaku zaraz ci pręga wyskoczy... Pomyślcie tedy, ojcze dobrodzieju, jaką to musi mieć skóreczkę i na plecach i wszędy takie paniątko? — czy nie jak opłatek? — sami powiedzcie?

— A co mnie tam do tej skóry —odrzekł opryskliwie ksiądz Woynowski. — Mówcie lepiej, jakeście Marcyana przyłapili.

— Przysięgliśmy panu Cypryanowiczowi, że go nie rozsiekamy, aleśmy wiedzieli, że stary Krzepecki tu przyjedzie i wraz przyszło nam do głowy, że Marcyan wyskoczy naprzeciw. Tedy wedle umowy dwóch z nas przytaszczyło jeszcze do dnia wielką solówkę z dartem pierzem od jednej leśnikowej do smolarni, a dwóch wybrało na miejscu beczkę co gęstszej smoły — i czekaliśmy przy chałupie. Patrzym — jedzie stary Krzepecki — nic to niech jedzie! Czekamy, czekamy, aż nam się przykrzy i już myślimy, czyby nie jechać do Bełcząceczki, a wtem pachołek od smolarza daje znać, że nadjeżdża Marcyan gościńcem. Wyjechalim i my, stanęlim wpoprzekna drodze: Czołem! — Czołem! — A dokąd to? — Przed siebie (powiada), prosto borem. — A na czyją szkodę? — Na szkodę (powiada) czy na korzyść, odczepcie się! — I do szabli. A my go za kark. O! nie może być! W mig ściągnęliśmy z konia, którego Jan pochwycił, i wleczem. Począł krzyczeć, wywijać nogami, kąsać zgrzytać, a my go piorunem do beczek, które stały jedna przy drugiej, i prawim: O! taki synu! to sieroty będziesz krzywdził, panienkom hańbą gro-

ził, na wielką krew nie zważał — po pleckach smagał, myślisz, że nikt się za niemi nie ujmie: poznaj, że są litościwe serca. I buch go łbem na dół w smołę. Wydobylim i znów: Poznaj, że są czułe dusze! — I buch go w pierze! — Poznaj kawalerską fantazyę! — buch go drugi raz w smołę! — Poznaj Bukojemskich — buch go znów w pierze! Chcielim i trzeci raz, ale smolarz począł krzyczeć, że się zatknie, a on też oblepił się godnie, tak, że mu ni nosa, ni oczu nie było widać. Wtedy posadziliśmy go na terlicę i przywiązali nogi ciasno pod brzuchem, żeby nie zleciał. Konia pomaliwoliśmy kwaczem i posypali też puchem, a potem dość dzikiego z przyradzenia bachmata wysmagaliśmy batogami i, zdjąwszy mu uzdę, pognali przed się.

— I przygnaliście go tu?

— Jako osobliwego zwierza, bo chcieliśmy choć trochę panienkę pocieszyć i pokazać jej nasze braterskie afekta.

— A ładnieście ją pocieszyli! Ujrzawszy go przez okno, mało ze strachu nie umarła.

—No,ale jak ochłonie, to przecie wdzięcznie o nas pomyśli. Sierocie zawsze miło czuć nad sobą opiekę.

— Więcej wyście jej złego niż dobrego uczynili. Kto wie, czy jej teraz Krzepeccy nie odbiorą.

— Jako-że? na miły Bóg! Albo to my damy!

— A kto będzie dziewki bronił, gdy was do wieży zamkną?

Usłyszawszy to, bracia stropili się wielce i poczęli spoglądać na się frasobliwemi oczyma.

Wreszcie jednak Łukasz uderzył się w czoło i rzekł:

—Do wieży nas nie zamkną, bo pierwej na wyprawę ruszymy, ale jeśli tak, jeśli o bezpieczeństwo panny Sienińskiej chodzi, to i na to znajdzie się rada.

—Oj-oj! — zawołał Marek.

— Jaka rada? — zapytał ksiądz.

— Poślemy parol Marcyanowi, jak tylko ozdrowieje. Ni wyjdzie żyw z naszych rąk!

— A jeśli zaraz umrze?

— Tedy zaradzi Bóg.

— Ale wy gardłem przypłacicie!

Przedtem Turków nałuszczymy, za co Pan Jezus nam nagrodzi. Niech tylko jegomość wstawi się za nami do pana Cypryanowicza, bo gdyby Stach tu był, toby też kąpał Marcyana razem z nami.

— A Jacek to niby nie? — zapytał Mateusz.

— Jacek sprawi mu lepszą łaźnię! — zawołał, jakby mimowoli, ksiądz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Cypryanowicza, który właśnie przychodził z jakiemś ważnem i gotowem już postanowieniem, albowiem ozwał się z wielką powagą:

— Myślałem o tem, co nam czynić, należy—i wiesz jegomość com obmyślił? Oto trzeba nam wszystkim do Krakowa wraz z panną Sienińską jechać. Nie wiem czy tam obaczym naszych chłopaków, bo nikt nie wie, gdzie chorągwie będą i wedle jakiej dyspozycyi w pole ruszą, ale trzeba dziewczynę pod opiekę króla albo królowej Jejmości oddać, lub, gdyby się to nie udało, to choćby w jakowymś klasztorze ją na czas ubezpieczyć. Postanowiłem, jako jegomości wiadomo, zaciągnąć się na stare lata, aby razem z synem służyć, albo, jeśli taka wola Boska, razem i zginąć. Podczas naszej nieobecności nie byłoby dziewczynie bezpiecznie nawet i w Radomiu, pod opieką księdza Tworkowskiego... Tym ichmościom (tu wskazał na Bukojemskich) trza też prędko znaleźć się pod inkwizycyą hetmańską. Tu niewiadomo, co się stanie... Mam znajomych na dworze: pana Matczyńskiego, pana Gnińskiego, pana Grothusa—i myślę że potrafię ich protkcyę dla sieroty pozyskać, co gdy się stanie, rozpytam o chorągiew Zbierzchowskiego i prosto do syna ruszę — gdzie też i jegomościnego Jacka zobaczę. Co?

Dla Boga! — zawołał ksiądz Woynowski — to jest arcy przednia myśl. I ja z wami! i ja z wami!... do Jacka!... A co do panny Sienińskiej — jużci! Siła Sobiescy Sienińskim powinni! Będzie jej w Krakowie bezpiecznie — i bliżej... Bo i Jacek — jestem pewien — nie zapomniał... A po wojnie co Bóg da, to będzie... Dadzą mi tu zastępcę z Radomia do parafii — a ja z wami!...

— Wszyscy razem! — huknęli z radością Bukojemscy — do Krakowa!

— I na pole chwały! — zakończył ksiądz.

XXII.

Nastały narady o wyprawie, nietylko bowiem żaden głos nie odezwał się przeciw niej, ale nawet i ksiądz Woynowski począł starać się o drugiego wikarego w Radomiu. Zresztą było to postanowienie dawniejsze, zmienione tylko o tyle, że obecnie

przyłączył się do niego zamiar odwiezienia panny Sienińskiej do Krakowa i zabezpieczenia jej przed pościgiem Krzepeckich za pomocą opieki królewskiej lub klasztornej. Przewidywał pan Cypryanowicz, że królowi zajętemu wojną nie pora będzie mówić o sprawach prywatnych, ale pozostawała królowa, do której łatwo było znaleźć wstęp przez znajomych dygnitarzy, spokrewnionych po największej części z domami Sienińskich i Taczewskich.

Były obawy również, aby na Jedlinkę nie napadli po wyjeździe gospodarza i Bukojemskich Krzepeccy i nie zrabowali wielkich dostatków w sprzętach i srebrach, znajdujących się we dworze. Ale Wilczopolski zaręczał, że się z czeladzią i z borowymio broni i niczego tknć nie da. Srebra wywiózł jednakże pan Serafin do Radomia i w depozycie w klasztorze Bernardynów zostawił — gdzie już i poprzednio ulokował był znaczne sumy, nie chcąc ich trzymać w domu, śród rozległej puszczy kozienickiej.

Tymczasem nadstawiał pilnie ucha pan Serafin na wieści z Bełczączki, dużo bowiem od nich zależało. Gdyby Marcyan umarł, spadłaby na Bukojemskich ciężka odpowiedzialność; w przeciwnym zaś razie była nadzieja, że nawet i procesu nie będzie, trudno biwiem było przypuścić aby Krzepeccy chcieli dobrowolnie wystawiać się na pośmiewisko. Za pewniejszą jeszcze rzecz uważał pan Cypryanowicz, że i stary Krzepecki nie zostawi go z powodu panny Sienińskiej w spokoju; myślał jednak, że gdy sierota raz znajdzie się pod opieką królewską, to tem samem zbraknie treści do sprawy.

Wiedzili tedy przez piwniczego, że Krzepecki ojciec jeździł do Radomia i do Lublina, ale jakoś krótko tam bawił.

Co do Marcyana, przez pierwszy tydzień po wypadku chorzał ciężko i była obawa, że smoła, której napił się obficie, zadławi go, albo całkiem pozatyka mu wnętrzności. Lecz w drugim tygodniu uczyniło mu się lepiej. Nie opuszczał wprawdzie łoża, albowiem nie mógł trzymać się na nogach, kości bolały go okrutnie i czuł się "in summo grado fatigatus", ale począł już zionąć przekleństwa na Bukojemskich i rozkoszować się myślą o pomście. Jakoż po upływie dwóch niedziel poczęła się zjeżdżać do niego jego "radomska kompania": rozmaici obwiesie z szablami na konopnych rapciach, w dziurawych butach i z zapadłemi brzuchami, wiecznie głodni i spragnieni. A on uradzał z nimi i coś knował, nietylko przeciw Bukojemskim i panu Cypryano-

wiczowi, ale także przeciw pannie Sienińskiej o której bez zgrzytania nie wspominał i takie potwarze na nią wymyślał, że aż ojciec musiał go przestrzegać, iż to już kryminałem pachnie.

Echa tych knowań i groźb dochodziły do Jedlinki i rozmaite na różne osoby czyniły wrażenie. Pan Serafin, człowiek odważny ale i rozważny, trochę się niemi niepokoił, zwłaszcza gdy przychodziło mu na myśl, że ta nieprzyjaźń ludzi złych i niebezpiecznych spadnie także i na jego syna. Ksiądz Woynowski, który miał gorętszą krew w żyłach, oburzał się wielce — i prorokował, że Krzepeccy źle skończą, a zarazem, lubo już całkiem przejednany dla panienki, zwracał się jednakże od czasu do czasu to do pana Cypryanowicza, to do Bukojemskich, i mówił:

— Kto wzniecił wojnę trojańską? — mulier! to zawdy przyczyną bitew i kłótni? — mulier! I tym razem tak jest! Winna, czy niewinna, ale mulier!

Lecz Bukojemscy lekce sobie ważyli niebezpieczeństwo, grożące wszystkim od strony Marcyana, a nawet różne sobie obiecywali z tej przyczyny uciechy. Ostrzegano ich jednak z wielu stron bardzo poważnie, Panowie Sulgostowscy, panowie Silniccy, Kochanowscy i inni, wszyscy wielce oburzeni przeciw Marcyanowi, przyjeżdżali kolejno do Jedlinki z wiadomościami, że ów kupę zbiera i pono osaczników z puszczy nawet zaciąga. Ofiarowali też pomoc, ale bracia nie chcieli pomocy, i Łukasz, który najczęściej w imieniu wszystkich przemawiał, tak raz odpowiedział Rafałowi Silnickiemu, który zaklinał ich, by się mieli na baczności:

— Oj-jej! Nie zawadzi przed wojną przypomnieć sobie proceder i ręce, które nam już pordzewiały trochę, rozprostować i wprawić. Bełcząca nie żadna forteca, przeto niech Marcyan o własnem niebezpieczeństwie myśli, bo któż wie, co go może jeszcze spotkać, a jeśli nas chce niewdzięcznością nakarmić, to owszem! niech spróbuje!

Spojrzał na to z pewnem zdziwieniem po braciach pan Silnicki i odrzekł:

— Niewdzięcznością nakarmić? No! jużci wdzięczności on chyba waćpanom nie winien.

— Jakto nie winien? Zali to nie mogliśmy go rozsiekać? Któż go urodził? Raz pani Krzepecka, a drugi raz nasza dyskrecya, ale jeśli ciągle będzie na nią liczył, to powiedz mu waćpan, że się pomyli.

I dołóż, że tyle pannę Sienińskę zobaczy, ile własne uzsy — dodał Marek.

A Jan zakończył:

— Dlaczego nie? Nietrudno obcięte uszy zobaczyć.

I na tem skończyła się rozmowa. Bracia powtórzyli ją pannie Sienińskiej, aby ją uspokoić; co jednakże było zbyteczne, albowiem panienka nie była z natury bojaźliwa, a przytem, o ile bała się Krzepeckich, a w szczególności Marcyana w Bełcząćzce, o tyle była przekonana, że w Jedlince nic jej już nie grozi. Ujrzawszy przez okno na drugi dzień po przybyciu do Jedlinki Marcyana w pierzu, w postaci jakby jakiegoś szkaradnego zwierza, gnanego batami przez Bukojemskich, po pierwszych chwilach okrutnego przerażenia, pomieszanego ze zdumieniem a nawet litością, nabrała takiej ufności w potęgę i moc braci, że nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak ktokolwiek mógł ich się nie bać. Marcyan uchodził przecie za człowieka groźnego i za zabijakę, a oto co oni z nim zrobili. Wprawdzie poszczerbił ich wszystkich w swoim czasie Jacek — ale Jacek przerastał całkiem teraz w jej oczach zwykłych ludzi i wogóle pokazał się jej przed ostatnią rozłąką ze strony tak nieznanej, że wcale nie wiedziała, jaką go mierzyć miarą. Wzmianki jakie czynili o nim sami Bukojemscy i pan Cypryanowicz, wraz ze słowami księdza, który najczęściej o nim wspominał, utwierdziły w niej tylko podziw dla tego przyjaciela lat dziecinnych, który niegdyś był jej tak blizkim, a teraz stał się tak dalekim i odmiennym. Utwierdziły one w niej i tęsknotę za nim i to słodsze jeszcze uczucie, z którego raz wyspowiadawszy się w chwili uniesienia księdzu Woynowskiemu, zamknęła się znów w głębi serca, jak bywa zamknięta perła w muszli.

Miała przytem jakąś niezachwianą niczem pewność w duszy, że musi się z nim spotkać i że go nawet wkrótce zobaczy. Że zaś wyrwała się z domu Krzepeckich, że czuła nad sobą potężną opiekę ludzi życzliwych, więc ta pewność stała się otuchą i radością jej życia. Wróciło jej zdrowie, wróciła wesołość — i zakwitła znów, jak kwiat na wiosnę. Stało się od niej jaśniej w całym tak dotychczas poważnym dworze jedlińskim. Pozbadła zupełnie panią Dzwonkowską, pana Cypryanowicza i Bukojemskich. Było jej wszędzie pełno — a gdzie się pokazał jej zadarty nosek i zaświeciły jej młode, wesołe oczy, tam radość i uśmiechy pojawiały się wszystkim na twarzach. Bała się tylko trochę księdza Woynowskiego, albowiem zdawało się jej, że on trzyma

w ręku losy i jej i Jacka. Patrzyła też na niego jakby z pewną pokorą, ale i on, mając serce litościwe i wogóle jak wosk dla wszelkiego Bożego stworzenia miękkie, polubił ją szczerze, a co więcej poznawszy ją bliżej, choć czasem przezywał ją kraską i wiewiórką, że to, jak mówił: "tu jest, tu jej niema" — coraz więcej cenił jej czystą duszę.

Po owem pierwszem wyznaniu nie mówił jednak, jakby wskutek jakowejś spólnej umowy, o Jacku. Oboje czuli, że to zbyt "delikatna materya". Pan Serafin nie mówił o nim z nią także nigdy przy ludziach, natomiast we cztery oczy wcale się nie krępował i gdy pewnego razu zapytała go, czy zaraz w Krakowie spotka się z synem, odpowiedział również pytaniem:

— A czy waćpanna nie życzyłabyś też sobie z kimś się tam spotkać?

I myślał, że wykręci się żartem, lecz na jej jasnej twarzy ukazał się cień smutku i odrzekła poważnie:

— Komum uczyniła krzywdę, tegobym rada przeprosić jak najrychlej...

Więc popatrzył na nią z pewnym wzruszeniem, ale po chwili inna widać myśl przyszła mu do głowy, bo pogładził ją po różanym policzku i rzekł:

— Ej! masz ty czem nagrodzić, że i sam król lepiej nie potrafi — no!

A ona, usłyszawszy to, spuściła oczy i stała przed nim cudna i rumiana, jak zorza ranna.

XXIII.

Przygotowania do wyprawy szły szparko. Czeladź wybrano starannie, ludzi silnych i trzeźwych. Broń, konie wozy i bryki były gotowe. Nie przepomniano ówczesnym zwyczajem nawet i o chartach, które w czasie pochodu szły pod wozami, a któremi na postojach szczwano liszki i zające. Wielość przygotowań i zapasów nawet dziwiła pannę Sienińską, która nie spodziewała się że wyprawa wojenna tylu wymaga zachodów — i przypuszczając, że wszystko to czyni się dla jej bezpieczeństwa. poczęła rozpytywać się o te rzeczy pana Serafina.

On jako człowiek roztropny i doświadczony, tak na jej pytania odpowiedział:

— Pewnie że i osobę twoją mamy na względzie, gdyż tak myślę, że ze strony pana Marcyana nie obejdzie się bez jakowe-

goś gwałtu. Słyszałaś, że zabijaków zbiera, zmawia się z nimi i pije. Już-ci hańba byłaby dla nas, gdybyśmy pozwolili, aby cię nam z rąk wydarł. Co będzie to będzie, ale choćbyśmy mieli jeden na drugim paść, musimy odwieźć cię przezpiecznie do Krakowa.

Na to panna pocałowała go w rękę, mówiąc, że nie warta jest, by dla niej zdrowie narażali, a on machnął tylko ręką:

— Jużbyśmy też nie śmieli oczu ludziom pokazać — rzekł — a przytem tak się składa, że jedno da się doskonale z drugim pogodzić, bo na wyprawę wojenną nie dość jest iść, ale trzeba ją i roztropnie przygotować. Ty się dziwujesz, że na każdego z nas po trzy i cztery konie wraz z czeladzią wypada, ale to wiedz, że koń na wojnie grunt. Wiele ich pada przez same pochody, przez przeprawy po rzekach i błotach, albo z różnych przygód obozowych. A pote mco? Kupisz w prędkości innego konia, który ma rozmaite vitia i narowy — i ten cię w najcięższej chwili zawiedzie dlatego; chociaż sowite poczty a w nich zacne konie powiedli z sobą i mój syn i Jacek Taczewski, jednakże na wszelki wypadek pomyśleliśmy, żeby jeszcze po jednym rumaku dla każdego z nich przyprowadzić; a ksiądz Woynowski, nad którego nie masz większego znawcy, kupił za tanie pieniądze u starego pana Podlodowskiego takiego turka dla Jacka, że i hetman nie powstydziłby się na nim pokazać.

— Któren że jest przeznaczon dla syna waszmości? — zapytała panna.

Pan Cypryanowicz popatrzył na nią, ruszył głową, uśmiechnął się i rzekł:

— Wszelako ksiądz Woynowski ma racyę w tem, co o niewiastach mówi. Choćby to licho było najpoczciwsze, to i takie będzie chytre. Pytasz, któren koń jest dla mego syna? Tedy ci odpowiem tak: dla Jacka jest ten cisawy ze strzałką na czole i z białą zadnią lewą pęciną.

— Waćpan mi dokuczasz! — zawołała panienka.

I prychnąwszy na niego jak kotka, zakręciła się na miejscu i znikła. Lecz tego samego dnia poginęły ośródki z bułek chleba i sól z solniczek, a na drugi dzień zobaczył pan Łukasz Bukojemski rzecz wielce ciekawą: oto przy studni na podwórzu cisawy rumak trzymał nozdrza ukryte w białych rączkach panny Sieninskiej, a gdy natychmiast odprowadzono go do stajni, oglądał się za nią raz po raz, wyrażając krótkim urywanem rżeniem swoją tęsknotę. Pan Łukasz nie mógł wówczas zapytać o przy-

czynę tej "konfindecyi", gdyż wielce był ładowaniem wozu zajęty, więc dopiero po południu zbliżył się do dziewczyny z oczyma pełnemi zachwytu i rzekł:

— Czyś waćpanna zauważyła jedną rzecz?

— Jaką? — spytała panienka.

— Że nawet i bydlę pozna się na tem co jest prawdziwy specyał...

A ona, zapomniawszy że ją rano widział, i widząc ów zachwyt w jego oczach, podniosła ze zdumieniem swe śliczne brwi i spytała:

— Kogo waćpan ma na myśli?

— Kogo? — powtórzył Bukojemski: jackowego konia.

— Ach, konia!...

— To rzekłszy, parsknęła śmiechem i uciekła z ganku do pokoju, on zaś został zdziwiony i trochę zmieszany, nie rozumiejąc dlaczego uciekła i skąd jej się wzięła tak nagła wesołość.

Upłynął jeszcze tydzień — i przygotowania dobiegły do końca — ale panu Cypryanowiczowi jakoś nie pilno było w drogę. Odkładał z dnia na dzień, poprawiał rozmaite drobiazgi, narzekał na upały, a w końcu stał się całkiem frasobliwy. Panienka tęskniła do wyjazdu Bukojemscy poczęli się całkiem niecierpliwić, a wreszcie i ksiądz Woynowski uznał, że dalsza zwłoka byłaby tylko próżną stratą czasu.

Lecz pan Serafin tak im na ich przynaglania odpowiedział:

— Mam wiadomość, iż Króla Jegomości niemasz w Krakowie i nie zaraz tam będzie; tymczasem wojska tam mają ściągnąć, ale nie wszystkie i nie wiadomo kiedy. Przykazałem Stanisławowi, aby co miesiąc przysłał mi pachołka z listem i z dokładnem wskazaniem gdzie chorągiew stoi, którędy pójdzie i pod czyją komendą. Owóż upłynęło już siedm niedziel bez nijakiej wieści. Listu spodziewam się lada dzień i dlatego zwłóczę, a powiem waćpaństwu, że i trochę się niepokoję. Bo nie wyobrażajcie sobie, abyśmy ich koniecznie mieli zastać w Krakowie. Ba! może się zdarzyć, że ich tam wcale nie będzie.

— Jakto? — spytała z niepokojem panna Sienińska.

— Tak, że chorągwie wcale nie koniecznie potrzebją przez Kraków przechodzić Gdzie która stoi, stamtąd może iść prosto, jak sierpem rzucił, a gdzie znajduje się teraz pan Zbierzchowski — nie wiem. Nuż go wysłano gdzieś nad śląską granicę, albo od wojsk hetmana wielkiego, które od strony Rusi ciągną? Często tak bywa, że przed wojną przerzucają chorągwie z je-

dnego miejsca w drugie, choćby dlatego, by je do pochodów wdrożyć. W ciągu siedmiu niedziel rozmaite mogły przyjść roz kazy, o których powinien mnie był Stanisław zawiadomić — a że nie zawiadomił, przeto się i troskam, bo i to też wiadomo, że w obozach często bywają zwady i pojedynki. Nuż się co stało! Ale choćby i nic, trzeba nam przecie wiedzieć, gdzie jest chorągiew i skąd wyruszy.

Zasmucil się temi słowy wszyscy, lecz ks. Woynowski rzekł:

— Chorągiew przecie nie śpilka, ani też nie guzik, który jeśli się od kapoty oderwie a w trawę wpadnie, to go i odnaleźć trudno. Już się też waszmość nie troszcz! W Krakowie prędzej się o niej dowiemy niż w Jedlince.

— Ale się można z listem zminąć.

— To ostawić Wilczopolskiemu rozkaz, by list za nami posłał. Ot co jest! a przez ten czas w Krakowie obmyślemy przezpieczne schronienie dla panny Sienińskiej i gdy przyjdzie ruszyć, będziem już mieli wolną głowę.

— Racya! racya!

— Tedy tak radzę. Jeśli do jutra nic nie będzie, to wieczorem ruszymy chłodkiem do Radomia — a potem dalej na Kielce, Jędrzejów i Miechów.

— A możeby do Radomia pojutrze świtaniem, żeby zaś przez lasy nocą nie przejeżdżać i zasadzki ze strony Krzepeckich uniknąć.

— O nie wadzi nic! Lepiej chłodkiem! — zawołał Mateusz Bukojemski. — Jeśli mają napaść, to tak samo napadną w dzień jak w nocy, a noce teraz widne.

To rzekłszy, począł zacierać z zadowoleniem dłonie, a trzej pozostali bracia poszli zaraz za jego przykładem.

Lecz ksiądz Woynowski innego był zdania. Wątpił on bardzo aby Krzepeccy odważyli się na publiczną napaść. "Marcyan — może, ale stary Krzepecki zbyt jest na to mądry i nadto dobrze wie, czem taka sprawa pachnie i jak już niejeden gwałtownik przypłacił "raptus puellae." Wreszcie wobec ich siły i Marcyan nie mógłby liczyć na zwycięstwo, a natomiast mógłby w każdym razie liczyć na pomstę ze strony Jacka i Sta nisława.

Bukojemskim bardzo popsuły radość słowa księdza, ale po cieszył ich Wilczopolski, który począł zaprzeczać, trząść głową, stukać swoją drewnianą nogą w podłogę, a wreszcie rzekł:

— Choćby do Radomia, ba, do Kielc i Miechowa nie spotka-ła waszmościów żadna przygoda, radzę aż do samych bram kra-kowskich żadnej ostrożności nie poniechać, bo bory wszędzie po drodze są, a ja, jako najlepiej młodego Krzepeckiego znający, zupełnie jestem pewien, że ten dyabeł coś obmyśli.

XXIV.

Nadszedł wreszcie dzień odjazdu. Orszak wyruszył z Jedlinki świtaniem, o cudnej pogodzie, w okazałej liczbie ludzi i koni. Prócz kolaski obitej blachą i skórą, przeznaczonej dla panny Sienińskiej z panią Dzwonkowską i dla księdza Woynowskiego na wypadek gdyby dawny postrzał zbyt mu na koniu dokuczał, szło trzy bryki mocno ładowne, zaprzężone w cztery konie — przy każdej, licząc z woźnicą trzech czeladzi. Za panem Serafinem Cypryanowiczem sześciu konnych pachołków, przybranych w turkusową barwę, powodowało konie zapaśne. Ksiądz miał dwóch, panowie Jeło-Bukojemscy po dwóch, prócz jednego leśnika, który pilnował wózka z łubami, razem więc trzydziestu czterech ludzi dobrze zbrojnych w szable i bandolety ruszyło w daleką drogę. Wprawdzie, w razie jakowegoś napadu, kilkunastu z pomiędzy nich nie mogłoby wziąć udziału w obronie, albowiem musieliby pilnować wozów i koni, ale i tak panowie Bukojemscy byli przekonani, że w takiej liczbie mogli by świat przejechać i że niezdrowo byłoby ich zaczepić choćby trzykroć i czterykroć liczniejszej kupie. Serca ich rozdzierała radość tak wielka, że ledwie mogli usiedzieć na koniach. Czynili oni swego czasu mężnie przeciw Tatarom i Kozakom, ale były to ladajakie wojny, potem zaś, gdy osiedli w puszczy, młodość schodziła im jeno na "lutsracych" ostępów, na niedbałem pilnowaniu borowych, na biciu niedźwiedzi, których obowiązani byli strzedz dla króla i na pijaństwie w Kozienicach, w Radomiu i w Przytyku. I teraz dopiero, gdy jeden drugiego trącał strzemieniem, gdy szli na wielką wojnę z całą niezmierzoną potęgą turecką, czuli, że to właśnie jest ich prawdziwe przeznaczenie, że dawne życie było marne i liche, a ninie zaczyna się prawdziwe i one i iście takie, do jakiego Bóg Ojciec szlachcica polskiego stworzył, Syn Boży odkupił a Duch Święty oświecił. Nie umieli tego sobie jasno pomyśleć, ani wyrazić słowy, albowiem w tem nie byli nigdy zbyt mocni, ale chciało im się aż krzyczeć

z radości. Pochód wydawał im się zbyt wolny. Ot! wypuściéby im konie wichrem i lecieć ku temu wielkiemu przeznaczeniu, ku wielkiej bitwie Polaków z pogany, ku tryumfowi przez polskie ręce Krzyża nad półksiężycem, ku chwalebnej śmierci, ku wiekopomnej sławie. Czuli się jacyś wyżsi, czystsi, zacniejsi i jeszcze bardziej w swem szlachectwie uszlachceni. O Marcyanie Krzepeckim i o jego hultajskiej kompanii, o zawadach i przesz kodach na drodze prawie że nie myśleli. Wydawało im się to jakieś maluchne, marne i niewarte uwagi. A toć, gdyby im całe zastępy stanęły na drodze, przeszliby po nich jak burza, przejechaliby im jakby mimochodem po brzuchach i poszli dalej. Rozbudziły się w nich przyrodzone lwie żądze i bojowa rycerska krew poczęła w nich grać z taką siłą, że gdyby kazano im skoczyć we czterech na całą gwardyę sułtańską, nie zawahaliby się ani chwili.

A podobne i w dodatku jeszcze osnute na dawnych wspomnieniach uczucia napełniały serca i pana Serafina i księdza Woynowskiego. Ksiądz kwiat życia spędził na polu z szablą, albo kopią w ręku. Pamiętał całe szeregi klęsk i zwycięstw. Pamiętał straszliwą rebelię Chmielnickiego, Żółte Wody, Korsuń, Pilawce, przesławny Zbaraż i olbrzymią bitwę Berestecką. Pamiętał najście szwedzkie z nieskończoną ilością walk i napad Rakoczego. Był w Danii, gdy zwycięski naród, nie kontentując się pogromem i wygnaniem Szwedów z ojczyzny, posłała za nim niezwyciężone pułki Czarnieckiego aż hen, nad dalekie morza; brał udział w rozgromie Chowańskiego i Dołgoruckiego, znał największych mężów i największych rycerzy, był uczniem nieśmiertelnego Wołodyjowskiego, kochał się w bitwach, rzeziach, szturmach i przelewach krwi — ale wszystko to póty trwało, póki nie złamała mu duszy prywatna niedola i póki nie został księdzem. Od tego czasu zmienił się do gruntu i gdy, zwracając się z przed ołtarza do ludu, mówił: "Pokój z wami!" to mniemał, że wypowiada największe Chrystusowe przykazanie i że wszelka wojna, jako temu przykazaniu przeciwna, jest jednak "dyzgustem" Bogu i grzechem przeciw miłosierdziu i zakałą dla ludów chrześcijańskich. Dla jednej wszelako czynił wyjątek: dla wojny z Turczynem. "Bóg posadził na koniu naród polski — mawiał — i zwróciwszy go piersią ku wschodowi, tem samem mu jego przeznaczenie i swoją wolę oznajmił. Wiedział, dlaczego nas wybrał, a innych za plecami naszemi umieścił, przeto jeśli chcemy naszą misyę, jak również Jego rozkaz go-

dnie spełnić, to wiecznie nam tam sterczyć skałą ku temu morzu i plugawe jego fale piersią rozbijać''. — Sądził też ksiądz Woynowski, że Bóg umyślnie posadził na tronie takiego króla, któren już jako hetman tyle krwi pogańskiej wytoczył, aby przez jego ręce ostateczny cios tej potędze zadać i raz na zawsze zgubę od chrześcijańskiego świata odwrócić. Zdawało mu się, że właśnie teraz wielka godzina przeznaczeń i spełnienia woli Bożej nadeszła, więc patrzył na tę wojnę jak na świętą wyprawę krzyżową i radował się myślą, że wiek, trudy i rany nie tak jeszcze zupełnie przycisnęły go do ziemi, aby nie mógł w niej wziąć udziału.

Potrafi jeszcze chorągiew oganiać, potrafi jeszcze, dawny żołnierz na Chrystusowym ordynansie, wspiąć konia i skoczyć z krzyżem w ręku w największą gęstwę bitwy, z tą pewnością w sercu, że w ślad za nim i za krzyżem tysiąc kopij wrazi się w ciała pogan lub tysiąc szabel zazgrzyta na ich czerepach. Wreszcie poczęłu nadlatywać do głowy i bardziej osobiste, zgodne z dawną naturą myśli. Krzyż przecie można trzymać w lewej ręce a w prawej szablę. Nie podniósłby jej już. jako kapłan, przeciw żadnemu narodowi chrześcijańskiemu, ale przeciw Turkom! godzi się! godzi!... Otóż dopiero pokaże młodym, jako się gasi pogańskie świece, jako się goli, jak się kosi, jacy to byli dawni żołnierze. Ba! podziwiano go tam niegdyś na niejednem polu, może się teraz i sam Jegomość król zadziwi! I ta myśl tak wielką przejęła go uciechą, że począł się mylić w różańcu : "Zdrowaś Marya... bij morduj!... Łaskiś pełna — w nich!... Pan z Tobą—rżnij!" Aż się wreszcie opamiętał: "Tfy! do licha sława dym... Czy mnie to giez ukąsił? Non nobis! non nobis sed nomini tuo... I jął uważniej przesuwać paciorki.

Pan Serafin odmawiał także poranne pacierze, ale od czasu do czasu spoglądał to na księdza, to na panienkę, to na panów Bukojemskich, którzy obok nich toczyli końmi, to na drzewa i polanki leśne, skąpane w rosie. Wreszcie, gdy skończył ostatnią zdrowaśkę, zwrócił się do staruszka i odetchnąwszy głęboko, rzekł:

— Jegomość wydajesz mi się jakoś dobrej myśli?

— I waszmość także — odrzekł ksiądz.

— Bo pewnie. Póki człek nie wyruszy, to się krząta, zabiega i troska; dopiero, gdy go wiatr w polu obwieje, zaraz mu lekko na sercu. Pamiętam, że jakeście dziesięć lat temu szli pod Chocim, to taka jakaś dziwna ochota była we wszystkich lu-

dziach, że choć to działo się w listopadzie i w srogie niepogody, niejeden i opończę z siebie zrzucił, z przyczyny tej gorącości, która mu szła od serca. No — i Bóg, który dał wówczas tak wielką wiktoryę, da ją chyba i teraz, bo przecie wódz ten sam, a wigor i męstwo nie mniejsze. Chwalą, wiem ci ja, ludzie to szwedzkie wojska, to francuskie, ba nawet i Niemców, ale przeciw Turkom niemasz nad naszego żołnierza!

— Słyszałem, jak król jegomość raz to samo mówił — odpowiedział ksiądz. — "Niemcy (mówił) cierpliwie w ogniu stoją, ale, atakując, mrużą oczy, a moich (powiada) bylem nos w nos doprowadził, to już jestem spokojny, bo mi tak wygolą, jak żadna jazda nie wygoli." I prawda. Hojnie nas Pan Jezus co do tego obdarzył — a nawet nietylko szlachtę, ale i chłopów. A naprzykład nasze łanowe piechoty? Jak spluną w garść, a pójdą z muszkietami naprzód, to im i najtęższe janczary nie dostoją. Widzieliśmy to obaj nieraz.

— Byle Bóg Stacha i Jacka w zdrowiu zachował, to rad jestem że w pierwszym polu przeciw Turkom będą czynili. Ale jak też jegomość miarkujesz, przeciw komu Turczyn największą potęgę obróci?

— Wedle mego mniemania przeciw cesarzowi, bo z nim już wojuje, wspierając rebelizantów węgierskich, ale Turczyna stać na dwie i trzy armie i dlatego nie wiadomo, gdzie się nam z nim ostatecznie spotkać przyjdzie.

— Z tego też zapewne powodu niemasz u nas dotychczas jeneralnego obozu, a chorągwie, stosownie do wieści, jakie nadchodzą, ciągle przenoszą się z jednego miejsca na drugie. Stoją pułki z panem Jabłonowskim pod Trębowlą; inne ciągną ku Krakowowi, inne jak któremu wypadnie. Nie wiem, gdzie jest w tej chwili wojewoda wołyński — i gdzie chorągiew Zbierzchowskiego. Czasem myślę, że Stach dlatego tak dawno nie pisał, że może pułk zbliża się w te strony.

— Jeśli ma rozkaz pójść ku Krakowowi, to pewnie, że niedaleko musi przeciągać: zależy gdzie przed tem stał i skąd wyruszy. Może w Radomiu zasięgniemy jakich wieści. Wszakże w Radomiu pierwszy nocleg?

— Tak jest. Chciałbym też, by prałat Tworkowski dziewczynę zobaczył i ostatecznej rady udzielił. Ma nam dać listy w jej sprawie do Krakowa.

Rozmowa urwała się na chwilę, poczem pan Cypryanowicz podniósł znów oczy na księdza Woynowskiego i zapytał:

— A co jegomość myślisz, co będzie, jeśli się oni z Jackiem w Krakowie spotkają?

— Nie wiem: spotkają się, albo i nie spotkają... Będzie, jak Bóg zechce. Jacek mógłby z czasem przez małżeństwo fortunę rodową restaurować, a ona goła jak święta turecka... Bogactwo samo w sobie furda, jeno że o splendor rodu chodzi...

— Ale i ona familiantka. I, nie mówiąc już o tem, że dziewka jak złoto — to przecie wiadoma rzecz, że oni się na umor kochają.

— O! zaraz na umor!...

I widocznie niezbyt chętnie mówił o tej materyi, bo począł o czem innem:

— Ot — rzekł — lepiej pamiętajmy o tem, że na to złoto czyha rabuś. Pamiętasz waszmość, co mówił Wilczopolski?

Pan Serafin rozejrzał się na wszystkie strony po głębiach leśnych i rzekł:

— Nie ośmielą się Krzepeccy, nie ośmielą! Kupa nas grzeczna — i patrz jegomość, jak naokół wszystko spokojnie. Chciałem by dziewczyna siadła dla bezpieczeństwa do kolaski, ale się wypraszała... Nic się nie boi...

— No krew bo w niej dobra — mruknął ksiądz. — Ale też uważam, że waćpana to już ona całkiem pozbadła.

— E! trochę i jegomości — odparł Cypryanowicz — ale co do mnie to poprostu przyznaję. Jak zacznie o co prosić, to tak jakoś osobliwie umie ślepkami mrugać, że ani rusz odmówić. Różne sposoby mają niewiasty, a czyś jegomość zauważył, że ona ma właśnie to mruganie, przy którem ręce składa? W pobliżu Bełcząaczki każę jej wleźć do kolaski, ale tymczasem chciało się jej jechać koniecznie na podjezdku, że to (powiada) zdrowiej.

— I na taki czas pewnie, że zdrowiej.

— Patrz jegomość, jaka to już różowa — jak wilcze łyko.

— A co mnie po jej różowości?! — rzekł ksiądz — ale że dzionek piękny to prawda.

Jakoż pogoda była istotnie cudna, a ranek świeży, rosisty. Pojedyńcze krople na igłach sosen błyszczały tęczą jak dyamenty. Wnętrze lasu było jasne od leszczyny, przetykanej promieńmi rannego słońca. W głębinach gwizdały wesołe wiwilgi. Naokół pachniało igliwiem — i cała ziemia zdawała się radować słońcu i powietrznemu błękitowi bez chmurki.

Tak, posuwając się naprzód, dotarli nareszcie do owej smolarni, przy której Bukojemscy pojmali niedawno Marcyana

Krzepeckiego. Obawy jenakże, że w tem miejscu będzie urządzona jakaś zasadzka, okazały się płonne. Wedle studni stało tylko dwa wózki chłopskie ładowne smołą i zaprzężone w liche konieta ze łbami poukrywanemi w torbach z obrokiem. Woźnice stali obok koni, pożywiając się chlebem i serem, ale na widok okazałego orszaku pochowali żywność i na pytanie, czy nie widzieli zbrojnych ludzi, odrzekli, że od rana czekał tu jakiś jeździec, który przed chwilą ujrzawszy zdala orszak, puścił się co koń wyskoczy w przeciwną stronę. Wiadomość ta zaniepokoiła pana Serafina, sądził bowiem, że był to człowiek wysłany na zwiady przez Krzepeckich. Więc jako dowódca podwoił baczność. Dwom pacholkom kazał zjechać na boki, aby zbadać bór, ciągnący się po obu stronach gościńca, dwóch wysłał z rozkazem, aby, jeśli dostrzegą jakowąś kupę zbrojną, dali ognia z bandoletów i wracali co najspieszniej ku wozom. Upłynęła jedna godzina bez żadnego alarmu. Orszak posuwał się wolno na przód, pilnie spoglądając przed się, za się i na boki, ale w boru było cicho. Fiukały tylko wciąż wiwilgi, a tu i owdzie odzywało się pukanie pracowitych kowalików leśnych, dzięciołów. Wysunęli się wreszcie na obszerną polanę, przed którą pan Cypryanowicz i ksiądz kazali koniecznie panience zleźć z podjezdka i wsiąść do kolaski, albowiem mieli przejeżdżać teraz niedaleko Bełczączki, której drzewa, a nawet i ukryty między niemi dwór można było dojrzeć gołem okiem. Panna Sienińską spoglądała ze wzruszeniem na ów dom, w którym upłynęło tyle lepszych i niegorszych lat życia. Chciało się jej też popatrzeć przedewszystkiem na Wyrąbki, ale zasłaniały je lipy bełczączkie, tak, że z powozu nie można było nic zobaczyć. Przyszło jej jednakże na myśl, że może tych miejsc nigdy w życiu już nie nie zobaczy, więc westchnęła cicho i posmutniała.

Panowie Bukojemscy poczęli spoglądać bystro i wyzywająco na dwór, na wieś i na okolicę — ale wszędy panował spokój największy. Po przestronnych, zatopionych w świetle słonecznem ugorach pasły się owce i krowy, pilnowane przez kupki dzieci i psy; gdzieniegdzie bielały stadka gęsi, które, gdyby nie upał letni, można zdala poczytać za szmaty śniegu, leżące na pochyłościach; zresztą okolica wydawała się nawet pusta. Pan Cypryanowicz, któremu nie brakło kawalerskiej fantazyi, chcąc pokazać Krzepeckiemu, jak mało sobie z nich robi, nakazał umyślnie w tem miejscu pierwszy postój, aby "dać oddech" koniom. Stanął więc orszak śród przyginanych wiatrem, szc-

leszczących lekko łanów żyta i śród ciszy polnej, mąconej tylko parskaniem koni.

— Zdrów! zdrów! — odpowiedzieli im czeladnicy.

Jednakże najmłodszy z braci Bukojemskich, Jan któremu wcale w niesmak był ten spokój, zwrócił się w stronę dworu i począł, wymachując ręką, wołać nieobecnych Krzepeckich.

— A pójdźcie no ino tacy synowie! pokąż no ino, Pniaku, swoją psią mordę, wnet ci ją szablami okrzeszem!

Poczem pochylił się do kolaski:

— Widzisz waćpanna — rzekł nie śpieszno było na nas napadać ni Marcyanowi ze swoją kompanią, ni osadniczkom w puszczy.

— To i osadnicy napadają? — zapytała panienka.

— Oj—oj! ale nie nas. Małoż to ich w Kozienickiej puszczy i w lasach ku Krakowu. Żeby tak król jegomość darowanie win ogłosił, starczyłoby samych tutejszych na dwa grzeczne regimenty piechoty.

— Wolałabym spotkać osadniczków, niż tę kompanię pana Marcyana Krzepeckiego, o której tyle razy w Bełczączce straszne rzeczy ludzie rozpowiadali. Nie słyszałam żeby osacznicy napadli kiedy na jaki dwór.

— Bo zbój ma ten sam rozum co wilk. Uważ waćpanna, że wilk nigdy nie zarznie owcy albo bydlęcia w tej wsi, w której ma gniazdo.

— A jakże! dobrze mówi! — zawołali inni bracia.

Jan, rad z pochwały, tłumaczył dalej:

— Zbój też nigdy nie napada na wsie i dwory w tej puszczy, w której żywie, a to z tej przyczyny, że gdyby się miejscowi ludzie na niego zawzięli, to, jako świadomi borów i wszelkich w nich kryjówek, łatwieby go wytropili. Przeto osacznicy w dalsze strony wyprawy czynią, albo też na przejeżdżających następują, nie zważając, czy większa, czy mniejsza kupa idzie.

— Nie boją się?

— Boga się nie boją, a mieliby się ludzi bać?

Lecz panna Sienińska myślała już o czem innem, więc, gdy pan Serafin zbliżył się do kolaski, zaczęła mrugać po swojemu i prosić:

— A po co ja w kolasce, skoro żadna napaść nie grozi? Można-li na podjezdka? można mi?

— A po co? — odpowiedział pan Serafin — słonko wysoko i opaliłoby liczko waćpanny. Nużby kto z tego był nierad!

Usłyszawszy to panienka cofnęła się nagłym ruchem w głąb kolaski, a pan Cypryanowicz zwrócił się do braci:

— Czy nie prawda?

Lecz oni, nie mając nad miarę bystrych umysłów, nie zrozumieli o co chodzi i poczęli pytać:

— Kto? kto?

Więc pan Cypryanowicz wzruszył ramionami i rzekł:

— Ksiądz biskup krakowski, cesarz niemiecki i król francuski.

Poczem dał znak i kawalkata ruszyła dalej.

Minęli Bełczączkę i jechali znów śród pól uprawnych, ugorów, łąk i rozległych powietrznych przestrzeni, obramowanych na widnokręgu siną wstęgą lasu. W Jedlni zatrzymali się na drugi zastój, w czasie którego piwowarowie miejscowi oraz mieszczanie i chłopi żegnali się z księdzem Woynowskim — i przed wieczorem stanęli na pierwszy nocleg w Radomiu.

Marcyan Krzepecki nie dał najmniejszego znaku życia. Dowiedzieli się, że poprzedniego dnia był w Radomiu i pił z kompanią, ale na noc wrócił do domu; więc i ksiądz i pan Cypryanowicz odetchnęli swobodniej, sądząc, że żadne już niebezpieczeństwo nie zagraża im po drodze.

Prałat Tworkowski zaopatrzył ich w listy do księdza Hackiego, do podkanclerzego Gnińskiego, o którym wiedział, że całą chorągiew własnym kosztem na przyszłą wojnę zaciąga i do pana Matczyńskiego. Był też wielce rad i pannie Sienińskiej i księdzu Woynowskiemu, dla którego wiele miał przyjaźni, i panu Cypryanowiczowi, w którym cenił dobrego łacinnika, rozumiejącego wszelkie cytaty i maksymy. Słyszał i on o groźbach Marcyana Krzepeckiego, ale niewiele z nich sobie robił, sądząc, że gdyby ów miał istotnie zamiar napaść na orszak, to byłby zaraz w puszczy kozienickiej, która lepiej się nadawała do tego rodzaju przedsięwzięcia, niż lasy, leżące za Radomiem ku Kielcom. "Młody was nie napadnie — mówił panu Cypryanowiczowi — a stary waćpana nie pozwie, albowiem miałby ze mną do czynienia, wie zaś, że ja prócz cenzur duchownych mam i inne na niego sposoby." Gościł ich tedy przez cały dzień, a puścił dopiero przed wieczorem. Ponieważ zaś wszelkie niebezpieczeństwo zdawało się być tsanowczo usunięte, więc pan Cypryanowicz zgodził się na nocną podróż, tem bardziej, że rozpoczęły się srogie upały.

Jednakże pierwszą milę ujechali jeszcze za dnia. Nad rzeką Oronką, tworzącą gdzieniegdzie bagna, zaczynały się znów w owych czasach rozległe sosnowe bory, otaczające Orońsk, Sucha,, Krogulczą i ciągnące się aż do Szydłowca i dalej — do Mroczkowa i Bzina — aż hen... ku Kielcom. Posuwali się zwolna, albowiem stary gościniec szedł miejscami śród wydm i piachów miejscami zaś, zniżając znacznie, zmienił się w groble błotniste i wymoszczone śród trzęsawisk, przez które ni wóz ni konny człowiek nie mógł przedostać się nigdy: a pieszy tylko w lata bardzo suche. Te okolice nie cieszyły się też dobrą sławą, ale oni, czując się w mocy, nie bardzo o to dbali, radzi że jadą chłodkiem, gdy upał nie dokucza ludziom a ślepaki koniom.

Noc zaskoczyła ich niebawem, ale pogodna i jasna. Była pełnia. Z ponad boru podniósł się ogromny czerwony księżyc, który zmniejszał się i bladł w miarę tego, jak coraz wyżej wzbijał się ku górze, poczem, zbielawszy całkiem, płynął jak srebrny łabędź po granatowej toni jasnego nieba. Wiatr ustał. Nieruchomy bór pogrążony był w zupełnej ciszy, którą przerywały tylko głosy bąków, dochodzące z odległych stawów i derkaczy, grających śród traw na bliższych łąkach.

Ksiądz Woynowski zaintonował: "Zawitaj, Panno mądra, domie Bogu miły" — na co cztery basy panów Bukojemskich i głos pana Cypryanowicza odpowiedziały mu zaraz: "który złoty stół i siedm kolumn ozdobiły", do chóru przyłączyła się panna Sienińska, za nią czeladź i przez czas jakiś brzmiał bór pieśnią pobożną. Lecz gdy odśpiewali całe "Godzinki" i odmówili wszystkie zdrowaśki, zapadła znów cisza. Ksiądz bracia i pan Serafin rozmawiali jeszcze jakiś czas zniżonymi głosami, następnie poczęli drzemać, a w końcu posnęli na dobre.

Nie słyszeli też ani przyciszonych: wio! wio! woźniców, ani parskania koni, ani cmokania błota pod kopytami na długiej grobli, idącej przez grzązkie, pokryte sitowiem i tatarakiem, trzęsawisko, na którą wkrótce przed północą wjechali. Zbudził ich dopiero krzyk pachołka, jadącego na przedzie:

— Stój! stój!

Wszyscy pootwierali oczy. Panowie Bukojemscy wyprostowali się na kulbakach i żywo poskoczyli przed się.

— A tam co?

— Droga zagrożona! Rów w poprzek, a za rowem zasiek!

Szable braci zazgrzytały w pochwach i rozbłysły przy świetle miesiaca.

— Do broni! zasadzka!

Pan Cypryanowicz w jednej chwili znalazł się przed przeszkodą i zrozumiał: nie było się co łudzić! grobla była przekopana szerokim rowem, za rowem zaś leżały w poprzek całe sosny, wraz z konarami, spiętrzone w olbrzymi zawał. Ludzie, którzy zamknęli w ten sposób drogę, mieli widocznie zamiar wpuścić orszak na groblę, z której nie było zjazdu na boki, a następnie napaść go z tyłu.

— Do rusznic! do bandoletów! — zagrzmiał głos księdza Woynowskiego. — Idą!...

Jakoż, o sto kroków za niemi, jakieś ciemne postacie, dziwne, kwadratowe, całkiem do ludzkich niepodobne, poczęły pojawiać się na grobli i biedz szybko ku wozom.

— Ognia! — zakomenderował ksiądz.

Rozległ się huk i jaskrawe rzuty płomienia rozdarły nocną pomrokę. Jedna tylko postać potoczyła się na ziemię, inne poczęły biedz tem prędzej ku taborowi, a za nimi pokazywały się coraz gęstsze kupy.

Doświadczony przez całe lata wojen, ksiądz Woynowski domyślił się zaraz, że ludzie ci niosą przed sobą pęki trzcin, łoziny lub słomy i że dlatego pierwsza salwa wywarła tak mały skutek.

— Ognia! Kolejno! po czterech! i w kolana! — zakrzyknął.

Dwóch pachołków miało gardłacze ponabijane siekańcami. Ci, gdy zrównawszy się z innymi, plunęli po kolanach napastników, rozległ się krzyk boleści i tym razem cały pierwszy szereg pęków runął w błoto na groblę, lecz następny, przeskakując przez leżących, zbliżył się jeszcze bardziej ku wozom.

— Ognia! — rozległa się po raz trzeci komenda.

I znów zagrzmiała salwa, tym razem jeszcze skuteczniejsza albowiem atak został na chwilę powstrzymany, a w gromadzie uczyniło się zamięszanie.

Ksiądz nabrał ducha, zrozumiał bowiem, że napastnicy przemędrkowali w wyborze miejsca. Wprawdzie, w razie ich zwycięstwa, żywa dusza z taboru nie zdołałaby się wymknąć, i to głównie mieli na uwadze, ale natomiast, nie mogąc otoczyć taboru ze wszystkich stron, zmuszeni byli tylko atakować przez groblę, zatem wązkiem szeregiem, co znowu nadzwyczajnie ułatwiało obronę. W ten sposób pięciu lub sześciu ludzi mężnych i silnych mogło bronić przystępu choćby przez całą noc.

Napastnicy poczęli także strzelać, ale z powodu lichych widocznie strzelb nie przyczynili wielkiej szkody. Po pierwszym ogniu postrzelili tylko konia i jednego pachołka śluzem w udo. Wówczas panowie Bukojemscy jęli prosić, aby wolno im było skoczyć na nieprzyjaciela, zaręczając, ze zmiotą wszystkich na prawo i lewo w bagno, a kogo nie zmiotą, to go wtratują w błotnistą groblę. Ksiądz jednakże zachowując sobie ów sposób na ostatni wypadek, nie chciał na to zezwolić, kazał im natomiast, jako wybornym strzelcom, prażyć napastników zdaleka, a panu Cypryanowiczowi pilnować dobrze od strony rowu i zasieku.

— Jeśli z tej strony nas napadną — rzekł — to nic nam nie uczynią, ale i tak tanio nas nie kupią.

Poczem pospieszył na chwilę do kolaski, w której siedziała z panią Dzwonkowską panna Sienińska. Obie odmawiały głosem pacież, ale bez wielkiego strachu.

— Nic to! — rzekł — nie bójcie się!

— Nie boim się — odpowiedziała dziewczyna. — Chciałabym jeno przesiąść...

Strzały zgłuszyły dalsze jej słowa. Zmieszani chwilowo napastnicy parli znów groblą z dziwną wprost ślepą odwagą, jasnem bowiem było, że z tej strony niewiele będą mogli wskórać.

— Hm! — pomyślał ksiądz — gdyby nie te niewiasty, możnaby ku nim skoczyć.

I począł zastanawiać się, czyby nie puścić czterech braci Bukojemskich z takąż ilością dobrych pachołków, gdy wtem spojrzał na boki i zadrżał.

Oto z obu stron na trzęsawie pojawiły się gromady ludzi i skacząc z kępy na kępę, lub po wiązkach trzcin, umyślnie gęsto powrzucanych zawczasu w bagno, poczęły biedz ku taborowi.

Ksiądz zwrócił ku nim coprędzej dwa szeregi pachołków, lecz pojął zarazem cały ogrom niebezpieczeństwa. Czeladź była wprawdzie dobrana, złożona z ludzi, którzy bywali nieraz w różnych okazyach, ale niedość liczna, tem bardziej, że część musiała pilnować koni zapaśnych. Stawało się więc widocznem że po pierwszym niedostatecznem ze względu na liczbę napastników, wydaniu ognia, zanim broń zostanie powtórnie nabitą — przyjdzie do walki ręcznej, w której słabsi ulegną.

Pozostało zatem jedno: otworzyć sobie drogę z powrotem przez groblę, to jest zostawić wozy, kazać Bukojemskim znieść wszystko przed tobą i przedrzeć się tuż za nimi, mając niewiasty w środku między końmi. Więc, gdy z boków dawano jeszcze

ognia na obie strony, kazał ksiądz przesiąść się niewiastom na podjezdki i sformował szyk do ataku. W pierwszym szeregu stanęło czterech braci, za nimi sześciu pachołków, potem panna Sienińska i pani Dzwonkowska, a po bokach ksiądz i pan Serafin, tuż za nimi znów ośmiu pachołków, po czterech w rzędzie. Po uderzeniu i przedostaniu się na groblę, miał zamiar staruszek dopaść do pierwszej wsi, zebrać wszystkich chłopów i powrócić dla odzyskania wozów.

Wahał się jednak jeszcze przez chwilę i — dopiero gdy napastnicy byli już po obu stronach na kilkanaście kroków od grobli i gdy niespodzianie ozwały się dzikie wrzaski i z zasieku — zakrzyknął:

—Bij!

— Bij! — huknęli panowie Bukojemscy i ruszyli jak huragan, który w pędzie niszczy wszystko przed sobą. Dobiegłszy wspięli konie i runęli w zbitą kupę zabijaków, tratując ludzi, spychając ich w bagno, obalając całe szeregi i tnąc szablami bez miłosierdzia, bez wytchnienia. Uczynił się krzyk i ciężki pluskot ciał, padających w kałuże przy grobli, a oni parli naprzód, machając ramionami nakształt śmig wiatraka, które coraz większy podmuch coraz szybciej rozpędza. Niektórzy z napastników do browolnie skakali na boki w bagno, by się przed strasznymi jeźdzcami uchronić; inni zastawiali się im widłami i drągami. Pałki i oszczepy wznosiły się przeciwo Bukojemskim, lecz oni znów wspinali konie i łamiąc wszystko przed sobą, szli naprzód jak idzie wicher przez młody las.

I gdyby nie wązkość drogi, gdyby nie to, że rębani ludzie nie mieli gdzie pierzchać i gdyby stojący z tyłu nie popychali przodowych, byliby panowie Bukojemscy przeszli groblę. Lecz że niejeden ze zbójów wolał się bić niż topić w bagnie, przeto opór trwał i co większa czynił się coraz zaciętszy. Rozpaliły się serca i u napastników. Poczęli walczyć nietylko już dla łupu lub la porwania kogokolwiek, ale i z wściekłości. W chwilach, gdy milkły okrzyki, słychać było zgrzytanie zębów i przekleństwa. Pęd Bukojemskich wreszcie wstrzymany. Przyszło im wówczas na myśl, że może i zginąć przyjdzie.

A gdy nagle rozległ się przed niemi tętent koni, a zaś gromkie okrzyki ozwały się na całym okręgu zarośli. otaczających trzęsawiska, byli już pewni, że chwila zguby nadchodzi, więc poczęli tem okropniej łomotać, aby przynajmniej tanio życia nie sprzedać

Lecz nagle stało się coś dziwnego. Oto z tyłu za opryszkami rozległy się liczne głosy: "Bij"; szable zamigotały w blasku miesiąca. Jacyś jeźdźcy poczęli łamać i ciąć z przeciwnej strony napastników, których, wobec niespodzianego ataku, w jednej chwili ogarnęło przerażenie. Tylne ujście grobli było zamknięte, nie pozostało im więc nic innego, jak chronić się na boki. To też niektórzy tylko dawali jeszcze rozpaczliwy opór liczniejsi skakali jak kaczki na obie strony w torfowisko, które przerywało się pod ich ciężarem. Więc czepiali się szuwarów, sitowia, trzcin, przyczajali za kępami lub kładli na brzuchach, by się odrazu nie zapaść.

Jedna tylko mała gromadka, zbrojna w osadzone sztorcem kosy broniła się czas jakiś zaciekle, wskutek czego kilku jeźdzców zostało rannych, ale wreszcie i owa garstka, widząc, że niemasz dla niej żadnego ratunku, rzuciła broń i padła na kolana, żebrząc łaski. Wzięto ich żywcem, dla zeznań.

Wówczas jeźdźcy z obu stron stanęli naprzeciw siebie i zaraz podniosły się głosy:

— Stój! stój! Co za ludzie?

— A wy kto?

— Cypryanowicz z Jedlinki.

— Dla Boga! nasi!

I dwóch jeźdzców wysunęło się nagle z szeregów. Jeden pochylił się ku łękowi pana Cypryanowicza i, chwyciwszy jego dłoń, począł ją okrywać pocałunkami, drugi rzucił się w ramiona księdza.

— Stanisław! — zawołał pan Serafin.

— Jacek! — zakrzyknął ksiądz.

Chwilę trwały uściski i powitania, poczem pan Cypryanowicz pierwszy odzyskał mowę:

— Dla Boga, skąd wyście się tu wzięli?

— Chorągiew nasza idzie do Krakowa. My z Jackiem mieliśmy już permisyę, żeby jechać do Jedlinki, tymczasem w Radomiu na popasie dowiedzieliśmy się, że i ojciec dobrodziej, i ksiądz Woynowski, i Bukojemscy ruszyli przed godziną gościńcem ku Kielcom...

— Ksiądz Tworkowski wam mówił?

— Nie! Żydzi w Radomiu. Księdzaśmy nie widzieli. Jak tedy nam to powiedzieli, nie jechaliśmy już do Jedlinki, jeno razem z chorągwią, w tej myśli, że nijak się z wami nie zminiem. Aż tu po północy słyszym nagle strzały... Więc skoczyli-

śmy wszyscy na pomoc, myśląc, że osacznicy jakichś podróżnych napadli. Nie przyszło do głowy, że to was. Bogu dzięki, Bogu dzięki, że nie przybyliśmy zapóźno!

— Nas nie osacznicy napadli, jeno Krzepeccy. Chodziło o Sienińską, która tu jest.

— Na Boga! — zawołał Stanisław — to chyba z Jacka dusza wyjdzie!...

Pisałem ci o niej, ale widać list cię nie doszedł.

— Bośmy już od trzech niedziel w pochodzie: dlatego i ja w ostatnich czasach nie pisałem, żem miał sam przyjechać...

Okrzyki tryumfu panów Bukojemskich, pachołków i żołnierzy przerwały dalszą rozmowę. W tej chwili nadbiegli też czeladnicy z pozapalanemi pochodniami, których cały zapas kazał wziąć pan Cypryanowicz, aby w ciemne noce było czem świecić. Na grobli uczyniło się widno jak w dzień — i śród tych jasnych blasków ujrzał Taczewski siwego podjezdka, a na nim pannę Sienińską.

I oniemał na ten widok, ksiądz Woynowski zaś widząc zdumienie młodzieńca rzekł:

— Tak jest. I ona z nami.

Wówczas Jacek posunął konia i stanął przed dziewczyną, poczem odkrył głowę i stał tak przed nią — zapatrzony — bez słowa, niemal bez oddechu w piersi, z białą jak kreda twarzą

I po chwili czapka wysunęła się z dłoni na ziemię, oczy przymknęły się, a głowa pochyliła ku grzywie końskiej.

— Dy on ranny! — zawołał Łukasz Bukojemski.

XXIV.

Jacek ranny był rzeczywiście. Jeden z broniących się do ostatka napastników zaciął go osadzoną sztorcem kosą w lewe ramię, że zaś żołnierze byli w pochodzie bez pancerzy i naramienników, przeto sam koniec żeleźca przedarł mu dość głęboko rękę od karku aż do łokcia. Skaleczenie nie było zbyt ciężkie, ale krwawiło ogromnie, skutkiem czego młodzian zemdlał. Doświadczony ksiądz Woynowski kazał go ułożyć na wozie i, opatrzywszy mu ranę, polecił go opiece niewiast. Zaraz też potem otworzył Jacek oczy i począł znów patrzeć jak w tęczę w pochyloną nad nim twarz panny Sienińskiej.

Tymczasem czeladź w mig zasypała rów i rozebrała zasiek. Tabor i chorągiew przeszły za groblę na suchą drogę, gdzie zatrzymano się dla odpoczynku, dla wprowadzenia ładu w obobie i wybadania jeńców. Ksiądz od Taczewskiego udał się do panów Bukojemskich, aby obaczyć, czy nie ponieśli jakiego szwanku. Lecz nie! Konie mieli podrapane, a nawet pokłóte, lubo nieszkodliwie, widłami, sami zaś byli nietylko zdrowi, ale i w wybornych humorach, albowiem podziwiano powszechnie ich męstwo, "że natłukli jeszcze przed wojną tylu ludzi, ilu nie jeden żołnierz przez całe lata wojaczki nie nabije."

— Nużbyście waćpanowie zaciągnęli się pod pana Zbierzchowskiego — mówili ci i owi z towarzystwa — zdawna wiadomo, a Bóg da, że znów się pokaże, iże nasza chorągiew nawet między usarskiemi prym dzierży, to też nie byle kogo i niełatwo do niej pan Zbierzchowski przyjmuje, ale tak godnych kawalerów i on chętnie przygarnie i my radzi z serca waćpanom będziemy.

Panowie Bukojemscy wiedzieli, że nie mogło to być, gdyż nie stać ich było ani na odpowiednie poczty, ani na "wyprawę"konieczną do chorągwi tak górnej; jednakże z rozkoszą słuchali panów i, gdy manierki poczęły chodzić z rąk, nie dali się i na tem polu nikomu przewyższyć.

Kiedy się to działo, żołnierze wyciągali za łby z błota i przyprowadzali przed pana Zbierzchowskiego, pana Cypryanowicza i przed księdza pochwytanych napastników. Nie uszedł z nich poprostu żaden, albowiem w potężnej chorągwi, liczącej, prócz trzystu towarzystwa, dziewięćset pocztowych, dość było ludzi do otoczenia całego trzęsienia i obu wylotów grobli. Widok jeńców zdziwił jednak wielce pana Serafina. Spodziewał się znaleźć pomiędzy niemi, jak zapowiedział synowi, Marcyana Krzepeckiego i jego radomską kompanię szlachecką, tymczasem miał przed sobą umazaną w błocie i cuchnącą torfem obdartą gromadę zbójów, złożoną jak wszystkie podobne ze zbiegów z wybranieckiej piechoty, z wyrzutków z prywatnej czeladzi, z poddaństwa, słowem: z wszelkiego rodzaju dzikich i złowrogich hultajów, trudnicych się rozbojem w puszczach i borach. Grasowało takich kup dużo, zwłaszcza w lesistem województwie Sandomierskiem, a ponieważ zaciągali się do nich ludzie gotowi na wszystko i którym w dodatku groziły w razie ujęcia straszne kary, więc i napady ich były nadzwyczaj zuchwałe i bitwy z nimi szczególnie zacięte.

Przez jakiś czas trwało jeszcze poszukiwanie po trzęsawiskach, poczem pan Cypryanowicz zwrócił się do Zbierzchowskiego i rzekł:

—Mości pułkowniku myśleliśmy, że to całkiem kto inny, a to zwyczajni osacznicy i zwykły napad zbójecki. Niemniej wszelako wdzięcznem sercem dziękujemy waszmości i całemu towarzystwu za skuteczną pomoc, bo bez niej nie oglądalibyśmy już może dzisiejszego wschodu słońca.

A pan Zbierzchowski uśmiechnął się i odpowiedział:

— Bogdaj to nocne pochody! I upał nie dokuczy, i przysługę można komu oddać. Chcesz waszmość zaraz badać tych ludzi?

— Jakem się im zblizka przyjrzał, to niekoniecznie. Sąd ich i tak w grodzie zbada a kat im poświeci.

Na to wysoki kościsty chłop o posępnej twarzy i jasnych kudłach wysunął się z szeregu jeńców, i pochyliwszy się do strzemienia pana Cypryanowicza, rzekł:

— Wielmożny panie, darujcie nas zdrowiem, to powiemy prawdę. My zwyczajni osacznicy, ale napaść nie była zwyczajna.

Usłyszawszy, to, ksiądz i pan Serafin spojrzeli po sobie z zaciekawieniem:

— Ktoś ty jest? — zapytał ksiądz.

— Starszy. Było nas dwóch, bo i kup było połączonych dwie, ale drugi zabit. Darujcie nam, wielmożni panowie, to powiem wszystko.

Ksiądz zastanowił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Prawu nie możemy was odjąć, ale i tak lepiej wam dobrowolnie wyznać prawdę, niż żebyście ją mieli na mękach wyznawać. Może też w takowym razie i ludzki i boski sąd będzie dla was łaskawszy.

Chłop począł spoglądać po swoich, niepewny, czy ma mówić, czy milczeć, a tymczasem ksiądz dodał:

— I jeśli prawdę szczerą wyznacie, to jeszcze jedno możemy dla was uczynić, mianowicie wstawić się za wami do króla i jego miłosierdziu was polecić, który ponieważ grzecznych pachołków do piechoty potrzebuje, przeto często teraz sądom łaskawość poleca.

— Jak tak, to powiem wszystko — odrzekł chłop. — Ja się zwę Obuch, a starszym drugiej kupy był Kos, i obu nas najął jeden szlachcic, abyśmy na wasze miłości napadli.

— A wiecie, jako się ów szlachci zowie?

— Jam go przedtem nie znał, bom z dalszych stron, ale Kos go znał i mówił, że się zowie Wysz.

Ksiądz i Cypryanowicz znów spojrzeli na się ze zdziwieniem.

— Wysz, powiadasz?

— Tak jest.

— A nie było z nim nikogo?

—— Był drugi, cienki, chudy, młody.

Pan Serafin zwrócił się do księdza i szepnął:

— To nie oni...

— Ale może być Marcyanowa kompania.

Poczem głośno do chłopa:

— Cóż wam przykazali:

— Powiedzieli nam tak: Co z ludźmi uczynicie, ta wasza rzecz; wozy i łup wasze, ale w taborze jest panna, którą macie chwycić i manowcami między Radomiem i Zwoleniem ku Policznej prowadzić. Za Policzną napadnie na was nasza kompania i pannę odbije. Wy jej niby brońcie, ale tak, by szkody niejakiej w ludziach nam nie przyczynić. Dostaniecie za to po talarze na głowę, prócz tego co w wozach znajdziecie.

— To już jako na dłoni! —rzekł ksiądz.

I po chwili znów pytał:

— To tylko ci dwaj z wami gadali?

— Przyjechał później z nimi i trzeci w nocy, który dał nam po złotemu zadatku, ale, choć ciemno było jak w piwnicy, poznał go jeden mój człowiek, bo był z jego poddanych — i mówił, że to pan Krzepecki.

— Ha! otóż i on! — zawołał pan Cypryanowicz.

— A ten człowiek jest tu, czyli też legł? — zapytał ksiądz

— —Jestem!— ozwał się opodal jakiś głos.

— A pójdź-no bliżej. Tyś poznał pana Krzepeckiego? A to jakim sposobem, skoro tak było ciemno, że choć w pysk bij?

— Dy ja go od małości znam. Poznałem go i po pałąkowatych nogach, i po głowie, co mu jakoby w dole między garbami siedzi, i po głosie.

— To gadał do was?

— Mówił i z nami, a potem słyszałem, jak gadał do tych, co z nim przyjechali.

— Cóż impowiedział?

— Powiedział tak: "żeby wam można było pieniądze za-

wierzyć, to jabym tu nie przyjeżdżał, choćby noc była jeszcze ciemniejsza...''

— I zeznasz to przed burmistrzem, albo przed starostą w grodzie?

— Zeznam.

Usłyszawszy to, pan Zbierzchowski zwrócił się do pocztowych:

— Tego człowieka mi osobliwie strzedz.

XXV.

Poczem jęli radzić. Bukojemscy byli tego zdania, by przebrać w szatki panieńskie pierwszą lepszą babę, wsadzić na podjezdka, otoczyć czeladzią i pocztowymi, poprzebieranymi za osaczników i iść na umówione z Marcyanem miejsce, a gdy ów uczyni rzekomy napad, otoczyć go i albo zaraz pomsty nad nim dokonać, albo też do Krakowa go wziąć i tam sądom oddać. Sami ofiarowali się z wielką ochotą poprowadzić wyprawę i przysięgali, że rzucą związanego Marcyana pod nogi pannie Sienińskiej. Zamiar ów podobał się w pierwszej chwili wielce, gdy jednak poczęto go ppilniej rozważać, wykonanie jego okazało się trudne, a spełnienie niekonieczne. Pan Zbierzchowski mógł i miał prawo ratować w niebezpieczeństwie ludzi, spotkanych przypadkowo w pochodzie, ale nie miał prawa i nie chciał wysyłać żołnierzy na prywatne ekspedycye. Z drugiej strony, skoro znalazł się między napastnikami człowiek, który znał i got6w był wskazać sądem głównego sprawce napaści, to owego sprawcę można było w każdej chwili pociągnąć do odpowiedzialności i uzyskać nań wyrok hańbiący. Z tego powodu i pan Serafin i ksiądz Woynowski doszli do przekonania, że dość będzie na to czasu po wojnie, albowiem nie było obawy, aby Krzepeccy, posiadający znaczne majętności, opuścili je i zbiegli. Nie podobało się to tylko panom Bukojemskim, mieli bowiem żywą chęć załatwić sprawę odrazu. Oświadczyli też nawet, że skoro tak, to sami pojadą ze swymi pachołkami po Marcyana, ale nie pozwolił im na to pan Cypryanowicz, a powstrzymał ostatecznie Jacek, który zaklął ich na wszystkie świętości, aby jemu wyłącznie pozostawili Krzepeckiego.

— Ja tam — mówił — prawem przeciw niemu nie będę czynił, ale po tem, co tu od waszmościów słyszałem, jeśli na woj-

nie nie legnę, to go, jako Bóg na niebie odnajdę — i dopieroż się pokaże, czyby kondemnata niebyła mu lżejsza i milsza.

I jego "dziewczyńskie" oczy zaświeciły przytem tak strasznie, że panów Bukojemskich, lubo kawalerowie byli nieustraszeni, aż dreszcz przeszedł; wiedzieli bowiem, w jak dziwny sposób splata się w duszy Jackowej łagodność z zapalczywością i ze złowrogą pamięcią doznanych krzywd.

A on jeszcze powtórzył kilka razy: "gorze mu!" "gorze mu!" — i znów pobladł z poprzedniej utraty krwi. Jeszcze przedtem rozedniało już zupełnie. Zorza poranna pomalowała świat różaną i zieloną barwą i roziskrzyła się w kroplach rosy, wiszących na trzcinach, na sitowiu i na liściach drzew, a także na igłach karłowatych sosen, rosnących tu i owdzie po brzegach trzęsawiskach. Pan Zbierzchowski kazał jeszcze jeńcom pochować ciała poległych, co prędko poszło, albowiem torf łatwo ustępował pod łopatami i — gdy na grobli nie pozostał żaden ślad bitwy, pochód ruszył dalej ku Szydłowcu.

Pannie Sienińskiej radził pan Cypryanowicz, aby znów przesiadła do kolaski, w której może zażyć smacznego snu przed popasem, ale oświadczyła tak stanowczo, że nie odstąpi Jacka, iż nawet i ksiądz Woynowski nie próbował odwieść jej od tego przedsięwzięcia. Jechali tedy razem i prócz woźnicy we dwoje tylko, gdyż panią Dzwonkowską morzył sen tak okrutnie, że po małej chwili przeniosła się do kolaski.

Jacek leżał na wznak na wiązkach siana, poukładanych po jednej stronie wzdłuż wozu, a ona siedziała po drugiej, pochylając się co chwila ku jego zranionej ręce i bacząc, czy krew nie przedostaje się przez opatrunek. Chwilami przykładała rannemu do ust buklak ze starem winem, które widocznie działało wybornie, gdyż po pewnym czasie sprzykrzyło mu się leżeć i kazał woźnicy powyciągać wiązki siana, na których wspierał nogi.

— Wolę jechać siedzący — rzekł — bo już się całkiem czuję na siłach.

A rana? nie będzie tak waćpanu bardziej dolegać?

Jacek zwrócił oczy ku jej różanej twarzy i począł mówić głosem cichym i smutnym:

— Odpowiem waćpannie tak, jak dawno, dawno temu odpowiedział pewien rycerz, który, gdy go król Łokietek ujrzał na pobojowisku, przebodzonego krzyżackiemi włóczniami i zapytał, czy bardzo cierpi, pokazał na swe rany i rzekł: "To mniej boli".

Pana Sienińska spuściła powieki.

— A co więcej boli? — szepnęła.

— Więcej boli stęsknione serce i rozłąka i pamięć krzywd doznanych.

Przez chwilę panowało milczenie, tylko serca poczęły bić w obojgu z coraz większą mocą, albowiem zrozumieli, że nadchodzi chwila, w której mogą i powinni wypowiedzieć wszystko, co przeciw sobie mają.

— Prawda — rzekła panienka — pokrzydziłam waćpana wówczas, gdym go po owym pojedynku przyjęła z gniewną twarzą i nieludzko... Ale to było raz jedyny, i choć Bóg jeden wie, jakom potem tego żałowała, to przecie mówię: moja wina! i przepraszam waćpana z całej duszy.

— A Jacek przełożył zdrową dłoń do czoła.

— Nie to — odpowiedział — było mi cierniem, nie to największą boleścią!

— Wiem: nie to, jeno list pana Pągowskiego... Jakto? więc waćpan mogłeś mnie posądzić, żem ja o nim wiedziała, albo przyczyniła się do niego?

I poczęła opowiadać przerywanym głosem, jak wówczas było: jak błagała pana Pągowskiego, by krok do zgody uczynił, jak jej obiecał, że napisze list ojcowski i serdeczny, napisał zgoła przeciwny , o którym dopiero później dowiedziała się od księdza Woynowskiego, a z którego pokazało się, że pan Pągowski, mając już inne zamiary, chciał właśnie rozdzielić ich raz na zawsze.

Przyczem, ponieważ słowa jej były poniekąd wyznaniem, a zarazem odnową wspomnień przykrych i bolesnych, więc z przymusu i ze wstydu jasne rumieńce rozkwitały co chwila na jej policzkach, a oczy ćmiły się łzami.

— Zali ksiądz Woynowski — spytała w końcu — nie napisał waćpanu, żem ja o niczem nie wiedziała, i że nie mogłam nawet zrozumieć, dlaczego za moje szczere serce taką otrzymałam zapłatę?

— Ksiądz Woynowski — odrzekł Jacek — doniósł mi jeno, że waćpanna za mąż, za pana Pągowskiego, wychodzi.

— Ale nie doniósł, żem się na to zgodziła z bólu z sieroctwa, w opuszczeniu — i jeno z wdzięczności dla pana Pągowskiego... Bom wówczas jeszcze nie wiedziała, jak on z waćpanem postąpił, a wiedziałam to jedno, że mną wzgardzono i że o mnie zapomniano...

Usłyszawszy to, Jacek przymknął oczy i tak począł mówić z wielkim smutkiem:

— Że cię zapomniano?... Bogdaj tak!... Byłem w Warszawie, byłem na dworcu królewskim, jeździłem z chorągwią po kraju, ale cokolwiek mi czynić wypadło i wszędy, gdzie byłem, ani na chwilę nie schodziłaś mi z pamięci i z serca.... Szłaś za mną, jako idzie cień za człowiekiem... I nieraz w strapieniu, w boleści, poprostu z umęczenia wołałem do cię śród bezsennych nocy: Zlituj się! pofolguj! daj o sobie zapomnieć! Aleś ty nie odstępowała nigdy: ni w dzień, ni w nocy, ni w polu, ni pod dachem... Ażem wreszcie zrozumiał, że tylko wtedy mógłbym cię wyrwać z serca, gdybym i samo serce wyrwał z piersi...

Tu przerwał, gdyż głos zdławiło mu wzruszenie, ale po chwili mówił dalej:

— ....Więc potem nieraz mówiłem przy pacierzu: Daj, Boże, poledz, bo sam widzisz, że mi i do niej nie lża, i bez niej nie lża... I już anim się spodziewał tej łaski, że cię jeszcze w życiu zobaczę... ty, jedyna w świecie... ty, umiłowana!

To rzekłszy, pochylił się ku niej i oparł skroń o jej ramię.

— Tyś — szeptał — jako ta krew, która daje życie, tyś jak to słońce na niebie... Miłosierdzie Boże jest nade mną, że cię jeszcze widzę... umiłowana! umiłowana!...

A jej wydało się, że Jacek śpiewa jakąś pieśń cudną. Oczy jej zalała fala łez, a serce fala szczęścia. Uczyniło się między nimi znów milczenie, tylko dziewczyna płakała długo, tak słodkim płaczem, jakim nie płakała dotychczas nigdy w życiu.

— Jacku — rzekła wreszcie — po cośmy się tak namartwili oboje?

— Bóg nagrodził stokrotnie.

I po raz trzeci zapadła między nimi cisza — jeno wóz skrzypiał, posuwając się zwolna po piachach szerokiego gościńca. Za borem wyjechali na obszerne, skąpane w słońcu, pola, szumiące żytem, utkane bogato kraśnemi makami i modrym chabrem. Był wielki spokój. Nad zżętemi już gdzieniegdzie polami tkwiły w górze nieruchome, rozśpiewane skowronki, na krańcach pól migotały w oddali sierpy, z dalekich zielonych błoni dochodziły pokrzyki i pieśni pastusze. A im obojgu zdało się, że dla nich dzwonią skowronki, pokrzykują pastusi i że cały ów słoneczny spokój polny i wszystkie te głosy wtórują tylko ich szczęściu i upojeniu.

Z pamiętania rozbudził ich dopiero ksiądz Woynowski, któ-

ry, przysunąwszy się niepostrzeżenie do wozu, zapytał:

— Jako że ci tam, Jacuś?

Jacek drgnął i spojrzał na niego błyszczącemi oczyma, jakby zbudzony ze snu:

— Co, dobrodzieju!

— Jako że ci jest?

Ksiądz popatrzył uważnie naprzód na niego, potem na pannę.

— Ej! już i w raju nie będzie lepiej!

— Tak?... — rzekł.

I pocwałował z powrotem do kompanii.

Lecz ich objęła napowrót radosna rzeczywistość: poczęli spoglądać na się i tonąć sobie wzajem w źrenicach.

— Ty... nienapatrzona!... — rzekł Jacek.

Ona zaś spuściwszy oczy, jęła uśmiechać się kącikami ust, tak, że aż dołki utworzyły się na jej różowych policzkach.

— A panna Zbierzchowska zali nie gładsza? — spytała cicho.

Jacek spojrzał na nią ze zdumieniem:

— Jaka panna Zbierzchowska?...

Wówczas nie odrzekła nic, tylko poczęła się śmiać w piąstkę dźwięcznym jak srebrny dzwonek śmiechem..

Tymczasem gdy ksiądz przycwałował do kompanii, towarzysze, którzy lubili Jacka, poczęli o niego dopytywać:

— No, co tam? jakoż nasz ranny?

— Już go na świecie niema! — odrzekł ksiądz.

— Na Boga! co się stało? jakto go niema?

— Bo powiada, że już w raju. Mulier!!!...

Panowie Bukojemscy jako ludzie pomiernie z natury przywykli do prędkiego pojmowania tego co słyszą, nie przestali spoglądać na księdza z przerażeniem i zdjąwszy czapki, już-już mieli rozpocząć "wieczny odpoczynek", gdy wtem ogólny wybuch śmiechu pomieszał im te pobożne myśli i zamiary. Ale w tym śmiechu towarzystwa była szczera życzliwość i szczere spółczucie dla Jacka. Wiedzieli już niektórzy od Stanisława Cypryanowicza, jak "czuły był to kawaler", domyśleli się wszyscy, jak srodze musiał być utrapion, więc słowa księdza uradowały wszystkich wielce. Zaraz też ozwały się głosy:

— Dla Boga! widzieliście przecie, jako się z afektem borykał, jako na pytania odpowiadał nie do rzeczy, jako sprzączek na sobie nie dopinał, jako się przy jadle a nawet i piciu zapa-

miętywał i jako nocami na księżyc oczy przewracał: niezawodnie to były nieszczęsnej miłości signa!

Inni zaś mówili:

— Wiera, że mu teraz jak w raju, bo jeśli żadne rany gorzej od ran przez Amora zadanych nie bolą, to natomiast niemasz słodszego nad wzajemność specyału.

Takie i tym podobne uwagi czynili towarzysze Jacka. Niektórzy wszakże, dowiedziawszy się, przez jakie terminy przeszła panna i jak haniebnie obszedł się z nią Krzepecki, poczęli trzaskać szablami i wołać: — "Dawajcie go sam!" — niektórzy rozczulali się nad dziewczyną, niektórzy, dowiedziawszy się, co spotkało Marcyana od Bukojemskich, wynosili pod niebiosa ich przyrozony dowcip i mestwo.

Lecz po chwili ogólna uwaga skupiła się znowu na dwojgu zakochanych.

— "Nuże! — wołano — zakrzykniem im na zdrowie, na cześć et felices rerum successus!" — i wraz ruszono końmi tłumnie i hałaśliwie ku bryce.

W mig cała niemal chorągiew otoczyła Jacka i pannę Sienińską. Zagrzmiały gromkie głosy: "vivant! floreant!" inni zaś przed czasem jeszcze wołali: "crescite et multiplicamini!"

Czy panna Sienińska naprawdę była temi krzykami przelekniona, czy też, jako "mulier insidiosa", udawała tylko przestrach — tegoby i ksiądz Woynowski nie zdołał odgadnąć, dość że przytuliwszy swą jasną główkę do zdrowego ramienia Jacka zaczęła pytać zawstydzona i pomieszana:

— Co to, Jacku? co się to dzieje?

A on otoczył ją ramieniem i odrzekł:

— Ludzie mi cię dają, a ja cię wezmę, kwiatuszku mój najmilejszy.

— Po wojnie?...

— Przed wojną.

— Dla Boga, czemu tak prędko?

Lecz Jacek widocznie nie dosłyszał pytania, albowiem zamiast na nie odpowiedzieć, rzekł:

— Pokłońmy-ż się i podziękujmy miłym towarzyszom za życzliwość.

Więc poczęli się kłaniać na obie strony, co wzbudziło jeszcze większy zapał śród rycerzy. Widząc tedy spłonioną i śliczną jak zorza ranna twarz dziewczyny, żołnierze aż bili się dłońmi z podziwu po udach.

— Na miły Bóg! — wołali — dy to olśnić można poprostu!

— Anioł by się zakochał, a cóż dopiero człek grzeszny.

— Nie dziw, że z żalu po niej marniał!

I znów setne głosy huknęły jeszcze potężniej

— Vivant! crescant! floreant!...

Śród tych okrzyków i w obłokach złotej kurzawy wjechali do Szydłowca. Zlękli się w pierwszej chwili mieszkańcy i porzuciwszy stojące przed domami warsztaty na których wykrawali z piaskowca osełki, pouciekali do izb. Lecz wkrótce poznawszy, że to są okrzyki wesela nie gniewu, wylegli hurmem na ulice i połączyli się z wojskiem. Uczynił się tłum ludzi i koni. Ozwały się husarskie kotły, trąby i krzywuły. Ochota stała się powszechną. Nawet Żydkowie, których strach najdłużej trzymał w izbach krzyczeli: wiwajt! choć wielu nie wiedziało dobrze o co chodzi.

A Taczewski mówił do panny Sienińskiej:

— Przed wojną! przed wojną, choćby w godzinę później zginąć przyszło!

XXVI.

Jakże to? — mówił ksiądz Woynowski na uczcie, którą dla Jacka wyprawiło towarzystwo. — Za pięć albo za sześć dni ruszamy, możesz na wojnie zginąć; zali tedy opłaci ci się brać ślub przed wyprawą, zamiest szczęśliwego końca jej doczekać i dopiero potem spokojnie się ożenić?

Lecz towarzysze usłyszawszy te roztropne słowa, nuż w śmiech; niektórzy aż brali się za boki, inni zaś poczęli chórem wołać:

— Oj! opłaci się, dobrodzieju! a właśnie dlatego, że może zginąć, tem więcej się opłaci!

Ksiądz gniewał się nieco, lecz gdy trzystu drużbów z pod chorągwi, nie wyłączając pana Cypryanowicza, nalegało, a Jacek ani chciał słyszeć o zwłoce, musiało być tak, jak sobie życzył. Odnowione stosunki z dworem i łaska obojga królestwa ułatwiły wielce sprawę: Królowa Jejmość oświadczyła bowiem, że przyszła pani Taczewska zostanie przez cały czas wojny pod jej opieką i przy jej boku, a sam Jegomość obiecał być z asystencyą na ślubie, i o grzecznem wianie przy wolniejszej głowie pomyślić. Pamiętał on, ile majętności Sienińskich przeszło swe-

go czasu do Sobieskich i jak przodkowie jego na tem wyrośli, czuł się więc zobowiązany względem sieroty, która prócz tego ujęła go swą urodą, a zarazem wzbudziła w nim litość niedolą i nieszczęściami, przez które przeszła.

Pan Matczyński, przyjaciel z dawnych lat księdza Woynowskiego, a zarazem i królewski, obiecał też często dziewczynę panu przypomnieć, ale po wojnie,, gdyż teraz, gdy na barkach Jana III spoczywały losy całej Europy i całego chrześcijaństwa, nie wolno go było żadną prywatą zajmować. Ksiądz Woynowski ucieszył się jednak z tej obietnicy tak, jakby Jacek już "za ene starostwo" otrzymał, wiedziano bowiem powszechnie, że na każdem słowie pana Matczyńskiego można było polegać jak na słowie Zawiszy. On też, właściwie mówiąc, był sprawcą wszelkiego tego dobra, które pannę Sienińskę w Krakowie spotkało, on przypomniał księdza Woynowskiego królestwu, on wreszcie zjednał dla dziewczyny królowę, która lubo w upodobaniach zmienna i kapryśna, od pierwszej chwili zaczęła okazywać jej szczególną, aż prawie zbyt nagłą przyjaźń i łaskę.

Otrzymanie indultu od zapowiedzi poszło łatwo przy protekcyi dworu i łasce księdza biskupa krakowskiego. Przedtem jeszcze pan Serafin wystarał się dla przyszłych państwa młodych o piękną kwaterę u pewnego kupca krakowskiego, którego dziadowie handlowali swego czasu z Cypryanowiczami, gdy ci jeszcze mieszkali we Lwowie i sprowadzali bławaty ze Wschodu. Piękna też to była kwatera, jakiej przy natłoku cywilnych i wojskowych dygnitarzy w mieście nie miał niejeden wojewoda. Stanisław Cypryanowicz, który postanowił sobie, aby tych kilka dni przed wyprawą przyjaciel Jacek spędził tak właśnie, jakoby w prawdziwem niebie, ozdobił ją nadzwyczajnie makatami i świeżem kwieciem; inni zaś towarzysze pomagali mu w tem gorliwie, wypożyczając kto miał najlepszego z tyftyków, kobierców i tym podobnych kosztownych rzeczy, które w bogatych chorągwiach husarskich zabierano nawet w pochód ze sobą.

Słowem wszyscy okazywali młodej parze jak największą życzliwość i pomagali jej, jak kto mógł i w czem był mocen, z wyjątkiem tylko czterech panów Bukojemskich. Ci w pierwszych dniach po przybyciu do Krakowa przychodzili czasem i po dwa razy na dobę do Cypryanowiczów, do Jacka i pod wiechy do kupców, u których piło towarzystwo z pod chorągwi królewicza Aleksandra, ale potem jak w wodę wpadli. Ksiądz Woy

nowski myślał, że piją po przedmieściach, gdzie ich istotnie czeladź pewnego wieczora widziała — gdzie miody i wina były tańsze niż w samem mieście — ale właśnie zaraz potem słuch o nich zaginął. Księdza i panów Cypryanowiczów gniewało to ich postępowanie, mieli bowiem dla pana Serafina obowiązki wdzięczności, o których nie powinni byli zapominać.

— Żołnierze mogą być z nich dobrzy — mówił ksiądz — ale to lekkoduchy, na których stateczność wcale liczyć nie można. Znaleźli pewnie jakąś hultajską kompanię, w której im lepiej, niż między nami.

Posądzenie to jednak okazało się niesłuszne, gdyż właśnie w wigilię ślubu Jacka, gdy w kwaterze pełno było znajomych, którzy przychodzili składać życzenia i podarki, czterej bracia pojawili się, przybrani w najpiękniejsze jakie mieli szaty, uroczyści i z twarzami spokojnemi, ale pełnemi tajemniczości.

— Cóż się takiego z wami działo? — zapytał pan Serafin.

— Szlakowaliśmy zwierza! — odrzekł Łukasz.

Lecz Mateusz dał mu w tej samej chwili sójkę w bok i rzekł:

— Cicho! nie powiadaj przed czasem.

Poczem spojrzał na księdza, na obu Cypryanowiczów, wreszcie, zwróciwszy się do Jacka, począł odchrząkiwać, jak człowiek, który zamierza dłużej przemówić.

— Nuże! poczynaj wraz! — zachęcali go bracia.

Lecz on spojrzał na nich osowiałemi oczyma i zapytał:

— Jakże miało być?...

— Cóżeś to? zapomniał?...

— Zacięło mi się...

— Czekaj... już wiem — zawołał Jan — zaczynało się: "Przezacny nasz..." Dalej!

— Przezacny nasz Piłacie... — począł Mateusz.

— Dlaczego "Piłacie?" — przerwał ksiądz — może było "Pyladzie"?

— W sednoś dobrodziej utrafił! — krzyknął Jan — było: "Pyladzie", jako żywo!...

— Zacny nasz Pyladzie! — począł z otuchą powtórnie Mateusz. — Choćby nie żelazny Borystem, ale sam złotonośny Tagus przez rodzinne nasze ziemie przepływał, to jako exulowie, gorejących przyjaźnią, ofiarować byśmy ci nie mogli, ni też żadnym wdzięcznym upominkiem nie zołalibyśmy dnia dzisiejszego uczcić należycie...

— Tak ci gada, jakby orzechy gryzł! — zawołał z zapałem Łukasz.

Lecz Mateusz powtórzył jeszcze kilka razy: „należycie... należycie... należycie...'' — i właśnie zaciął się, począł więc spoglądać na braci, wzywając oczyma ich ratunku, ale oni zapo mnieli w ząb, co miało być dalej.

Towarzysze poczęli się śmiać a panowie Bukojemscy marsz czyć, co widząc pan Serafin, postanowił im przyjść z pomocą.

— Kto wam tę mowę ułożył? — zapytał.

— Pan Gromyka, z pod chorągwi pana Szumlańskiego — odrzekł Mateusz.

— Otóż to. Cudzy koń najłatwiej dęba stanie i na miejscu się zatnie; uściśnijcie tedy Jacka i powiedzcie poprostu, co macie powiedzieć.

— Pewnie, że tak najlepiej.

I poczęli kolejno brać Taczewskiego w objęcia, poczem Ma teusz rzekł:

— Jacuś! nam wiadomo, żeś nie żaden Piłat, a tobie wiado mo, że po odpadnięciu Kijowszczyzny chude z nas pachołki, a krótko mówiąc, golcy. Masz-że! przynosim ci, na co nas stać, a ty przyjmij, choć i to, wdzięcznem sercem.

To rzekłszy, wręczył mu jakiś przedmiot, zawinięty w kawałek czerwonego atłasu, a przez ten czas trzej młodzi bracia powtarzali z rozrzewnieniem:

— Przyjmij, Jacusiu! przyjmij! przyjmij!

— Przymuję i Bóg wam zapłać! — odpowiedział Jacek.

Tak mówiąc, położył przedmiot na stole i począł odwijać atłas — nagle cofnął się i zakrzyknął:

— Dla Boga! ucho ludzkie!

— A wiesz czyje? Marcyana Krzepeckiego! — zagrzmieli bracia.

— Cha!

Obecni zdumieli się tak okrutnie, że nastała chwila milczenia.

— Tfu! — zakrzyknął wreszcie ksiądz Woynowski.

I przemierzyszy jednego po drugim surowym wzrokiem, nabrał ich z góry:

— Cóżeście to Turcy, abyście mieli uszy pobitych nieprzyjaciół prezentować? Wstyd czynicie temu chrześcijańskiemu wojsku i wszystkiej szlachcie. Choćby Krzepecki sto razy na śmierć zasłużył, choćby nawet heretykiem albo zgoła poganiu

nem był, jeszcze byłaby niewypowiedziana hańba taką rzecz czynić. O, toście Jacka udelektowali, że aż spluwa tę ślinę, która mu do gęby popłynęła! A ja wam powiadam, że za takowy uczynek nie żadnej wdzięczności, jeno wzgardy się spodziewajcie, a w dodatku hańby; bo nie masz takiej chorągwi w całej jeździe, ba, nawet takiego regimentu w piechocie, któryby podobnych barbarusów jako kommilitonów przyjąć zechciał!

Na to Mateusz wystąpił przed braci, i płonąc wielkim gniewem, tak mówić począł:

— Oto wdzięczność, oto zapłata, oto sprawiedliwość ludzka i sąd ludzki, który, gdyby kto świecki wypowiedział toby się pewnie i drugie ucho znalazło z pierwszem do pary, ale gdy osoba duchowna tak mówi, to niechże ją Pan Jezus sądzi i za niewinnością się ujmie! Pytasz, jegomość: "cóżeście to Turcy?" a ja spytam: cóż to jegomość myślisz, że myśmy trupowi ucho obcięli?... Bracia rodzeni! sieroty wy niewinne, na toż wam przyszło, żeby z was Turków, nieprzyjaciół wiary, czyniono!... Co?...

Tu głos mu zadrżał, albowiem żałość gniew przemogła, pozostali zaś bracia, wzruszeni niesłusznem posądzeniem, poczęli wołać również żałośnie:

— Turków z nas uczyniono!

— Nieprzyjaciół wiary!

— Pogan bezecnych!...

— To powiadajcie, u licha, jako było! — rzekł ksiądz.

— Łukasz obciął Marcyanowi ucho w pojedynku.

— Skąd się Krzepecki tu wziął?

— Przyjechał. Od pięciu dni już tu był... Za nami przyjechał...

— Niech jeden mówi. Mów ty, jeno do rzeczy.

Tu ksiądz zwrócił się do najmłodszego Jana.

— Znajomek nasz, towarzysz z chorągwi ks. Biskupa sandomierskiego — począł Jan — powiedział nam przypadkiem przed trzema dniami, że widział w winiarni na Kazimierzu jako weś dziwo: "Szlachcic — powiada — jak pień, z ogromną głową, tak wciśniętą w kadłub, że mu ramiona do uszu sięgają; na krótkich (powiada) krzywych nogach, a pił jak smok. Bezeczniejszej małpy (powiada) w życiu nie widziałem!" A my, jako że nam Pan Jezus to już od urodzenia dał i że w lot wszystko pomiarkujem, zaraz spojrzelim po sobie: Nuż to to Krzepecki? Dopiero ja do towarzysza. Zaprowadzisz do winiarni? —

Zaprowadzę. I zaprowadził. Ciemno już było, ale patrzym: aż tu czerni się coś w jednym kącie za stołem. Łukasz podszedł i nuż krzesać iskry przed samemi ślepiami temu, co się tam krył: "Krzepecki!" — krzyknie — i cap go za kark! My do szabel, ale ów się wyrwał i widząc, że niema rady, bośmy byli od strony drzwi, kiedy to nie zacznie skakać przed nami! To tak ci pod skakiwał raz po razu jak gogut! — Cóż (powiada) zabijaki, my ślicie, że się boję?! W pojedynkę jeno za mną, nie kupą! chyba, żeście zbójcy, nie szlachta?

— Szelma! — przerwał ksiądz — a sam to cóż lepszego z nami chciał uczynić?

— Tak mu też rzekł Łukasz. "O! takiej matki synu — powiada — któż to całą watahę zbójów na nas najął? Katu (powiada) wartoby cię za to oddać, jeno że krócej będzie tak!..." To powiedziawszy, zaraz natarł — i poczęli się ścinać. Za trzeciem czy czwartem złożeniem, kiedy to nie zajedzie mu w bok głowy! Patrzym, aż ucho na ziemi. Podniósł je zaraz Mateusz i krzyczy. "Nie obcinaj drugiego, ostaw nam. To (powiada) będzie dla Jacka, tamto dla panny Sienińskiej." Ale Marcyan upuścił szablę, bo krew okrutnie zaczęła uchodzić — i omdlał. Leliśmy mu na łeb wodę, a w gębę wino, myśląc, że się ocknie i następnie stanie, wszelako nie mogło to być! Ocknął ci się wprawdzie i powiedział tak: "Skoroście sami sprawiedliwość uczynili, to innej szukać wam nie wolno" — potem znów omdlał. Myśmy też poszli, żałując drugiego ucha. Łukasz powiada, że mógł go zabić, ale nie uczynił tego umyślnie, żeby się dla nas, a w końcu i dla Jacka zostało... I nie wiem, czy kto potrafi postąpić polityczniej, bo nie grzech to taką gadzinę zgnieść, ale widać — nie płaci teraz polityka, skoro za nią jeszcze cierpieć musimy.

— Prawda! słusznie mówi! — wołali inni bracia.

— No! — rzekł ksiądz — jeśli tak, to co innego, ale zawsze niesmaczne to jest donum.

Bracia poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem.

— Jakto niesmaczne? — zapytał Marek — dyć my nie do zjedzenia Jackowi ucho przynieśli.

— Dziękuję wam z duszy za waszą życzliwość — odpowiedział Taczewski — gdyż tak mniemam, że nie przynieśliście tego i do schowania.

— Jużci, że trochę pozieleniało: chybaby w dymie uwędzić.

— Niech je pachołek zaraz zagrzebie — rzekł surowo ksiądz — bo zawdy chrześcijańskie to ucho.

— Lepsze my rzeczy w Kijowszczyźnie widzieli — mruknął Mateusz.

— Krzepecki niechybnie po to tu przyjechał — rzekł Jacek — aby nowy jaki zamach na Anulkę uczynić!

— Z dworu królowej jejmości przecie jej nie porwie — odpowiedział roztropny pan Serafin — ale nie myślę, żeby on po to tu przyjeżdżał. Napaść mu się nie udała, więc suponuję, że chciał się tylko przekonać, czy wiemy, że to on ją urządził i czyśmy go już oskarżyli, czy nie. Stary Krzepecki może po imprezie synowskiej nie wiedział, ale może i wiedział, a jeżeli tak, to wielce obaj muszą być teraz niespokojni i wcale mi to nie dziwno, że się Marcyan na zwiady tu wybrał.

Stanisław Cypryanowicz począł się śmiać.

— No — rzekł — ale że nie ma on szczęścia do Bukojemskich, to niema!

— Bóg z nim! — zawołał Taczewski — bo jam mu dziś gotów wszystko przebaczyć.

Więc Bukojemscy i Stanisław Cypryanowicz, którzy znali zawziętość młodego kawalera, spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a on, jakoby w odpowiedzi im, dodał:

— Bo Anulka wraz będzie moja, a jutro rycerzem będę chrześcijańskim i wiary obrońcą, który serce powinien mieć wszelkich nienawiści i prywat próżne.

— To cię za to Bóg błogosławi! — zawołał ksiądz

XXVII.

Nadszedł wreszcie dla Jacka dawno upragniony dzień szczęścia. W Krakowie, między mieszczaństwem, jeszcze poprzednio rozeszła się wieść, powtarzana ze zdziwieniem, że znajduje się w wojsku pewien rycerz, który jednego dnia się żeni, a drugiego siada na koń. Gdy się zaś rozniosło, że oboje królestwo mają asystować przy ślubie, tłumy poczęły się od rana zbierać w kościele i pod kościołem. Przyszło w końcu do tego, że trabanci królewscy musieli czynić na miejscu porządek, aby dla weselników pozostał przejazd wolny. Koledzy Taczewskiego zebrali się jak jeden człowiek, co uczynili zarówno z życzliwości i przyjaźni dla niego, jak i dla tego, że miło było każdemu być widzia-

nym w orszaku, w którym uczestniczył sam król, i należeć do jego jakby prywatnej kompanii. Stawiło się też i wielu dygnitarzy, nawet takich, którzy nigdy o Jacku Taczewskim nie słyszeli, albowiem wiadomo było, że królowa proteguje to małżeństwo — dużo zaś zależało na dworze od jej przychylności i łaski.

Lecz niektórym z panów wydawało się to niemniej dziwne niż mieszczaństwu, że król, na którego barkach spoczywały w tej chwili losy niemal całego świata, i do którego dzień w dzień przylatywali na spienionych koniach kuryerowie zagraniczni, znajduje jednak czas, aby być na ślubie prostego towarzysza. Więc jedni tłómaczyli to sobie dobrocią pańską i chęcią ujęcia wojska, drudzy czynili przypuszczenia, że pomiędzy Jegomością a Taczewskim istnieją jakieś blizkie, a trudne do wyznania, węzły rodzinne; inni nakoniec, śmieli się z tych przypuszczeń, słusznie mówiąc, że w takim razie królowa, tak mało pobłażliwa, że nawet i za kawalerskie grzechy musiał nieraz król przed nią odpowiadać, nie zajęłaby się tak gorliwie połączeniem kochanków.

Ludzie zapomnieli ju trochę o Sienińskich, więc by zapobiedz wszelkim potwarzom i plotkom, przypomniał król umyślnie, ile Sobiescy byli temu rodowi winni. Wówczas poczęto zajmować się panną Sienińską i jak to bywa na dworach, to litować się nad nią, to rozczulać się jej przygodami, to wychwalać jej cnoty i piękność. Wieści o jej urodzie rozchodziły się szeroko wśród mieszczan i mieszczanek, ale też, gdy ją wreszcie ujrzano, nikt nie doznał zawodu.

Przybyła ona do kościoła wraz z królową, więc w pierwszej chwili wszystkie spojrzenia zwróciły się na panią, której wdzięki świeciły jeszcze całym blaskiem przedwieczornego słońca; gdy jednak skierowały się na oblubienicę, wszędy — między dygnitarzami, między wojskowymi, szlachtą i mieszczaństwem — ozwały się szepty, a nawet i głośne uwagi:

— Cudna, cudna! Wiele oczom powinien, kto takom raz w życiu obaczył.

I była to prawda. Niezawsze w owych czasach ubierano dziewczyny biało do ślubu, ale ją panny z fraucymeru przybrały biało, bo taka była najlepsza jej suknia — i takie życzenie. Więc w bieli z zielonym wianuszkiem na złotych włosach z twarzą trochę zmieszaną i pobladłą, ze spuszczonemi oczyma, cicha smukła, wyglądała jak śnieżny łabędź, albo poprostu jak lilia biała.

Zdumiał się jej widokiem i sam Jacek Taczewski, któremu wydała się jakaś inna niż zwykle.

— Dla Boga! — rzekł sobie — jakoż ja do niej przystąpię!? Toż to istne królewiątko, albo i zgoła anioł, do którego grzech inaczej niż na kolanach gadać.

I zląkł się prawie w duszy. Lecz gdy wreszcie klęknął z nią przed ołtarzem, gdy usłyszał wzruszony głos księdza Woynowskiego, który zaczął przemowę od słów: "Dziećmi was znałem oboje", gdy stuła związała ich ręce, gy usłyszał ciche wyrazy: "Biorę cię za małżonka," a w chwilę potem wybuchła pieśń: "veni Creator", wtedy zdawało się Jackowi, że chyba szczęście rozsadzi mu piersi, i to tem łatwiej, że nie miał na nich pancerza. Kochał ją oddawna, od pacholęcych lat, i wiedział, że kocha ale teraz dopiero zrozumiał, jak bez miary i bez granic ją miłuje. I znów począł sobie mówić:

— Chyba polegnę, bo gdyby człowiek za życia był tak szczęśliw, to cóżby było w niebie?

Ale pomyślał, że nim polegnie, musi przedtem Panu Bogu odwdzięczyć i nagle przeleciały mu przed oczyma duszy tłumy Turków, brody, turbany, zawoje, krzywe szable, chorągwie, buńczuki. Więc z serca wyrwał mu się ku Bogu okrzyk:

— Odwdzięczę się! odwdzięczę!

I uczuł że dla tych nieprzyjaciół Krzyża i wiary stanie się lwem-niszczycielem. Trwało to widzenie tylko przez mgnienie oka, poczem zalała mu nanowo piersi niezmierna fala szczęścia i kochania:

Tymczasem ceremonia była skończona; orszak ruszył do mieszkania, przygotowanego dla państwa młodych przez Cypryanowiczów, a ozdobionego przez towarzyszów z pod chorągwi. Na chwilę tylko mógł tam Jacek przycisnąć młodą panią Taczewskę do serca, albowiem wnet musieli oboje wybiedz naprzeciw królestwa, którzy nadjechali z kościoła. Dwa wyższe krzesła były przygotowane dla nich za stołem, więc po błogosławieństwie przy którem oboje państwo młodzi przyklękli przed majestatem, prosił Jacek miłościwego pana i panią na ucztę weselną, lecz król odmówił:

— Miły towarzyszu — rzekł — radbym z tobą gwarzyć, ba, i z tobą krewniaczko, (tu zwrócił się do pani Taczewskiej) o przyszłem wianie pogadać, ale mi nijak. Chwilę ostanę i zdrowie wasze wypiję, siadać wszelako nie mogę, bo tyle mam na głowie, że mi każda godzina droga.

— A wiera! — zawołało kilkadziesiąt głosów.

Taczewski podjął pod nogi pana, a on wziął ze stołu nalany kieliszek.

— Mości panowie! — zawołał — zdrowie państwa młodych!

Uczynił się krzyk: "vivant! crescant! floerant!", poczem król znów zabrał głos:

— Używaj-że czasu i szczęśliwości swojej — rzekł do Taczewskiego — bo warto, a długo tego nie będzie. Jużci trzeba ci kilka dni zostać, a potem pilnie nas musisz gonić, bo my tu na ciebie nie będziem czekać.

— Łatwiej jejmość wytrzyma bez ciebie, niż Wiedeń bez nas — rzekł, śmiejąc się, pan Marek Matczyński.

— A przecie kawaler Lubomirski już tam Turków łuszczy — zauważył jeden z towarzyszów usarskich.

— I mam dobre o naszych wiadomości — rzekł król — któ re kazałem Matczyńskiemu wziąć z sobą, aby je umyślnie wasz mościom przeczytać, na pociechę żołnierskich serc. Oto, co mi pisze o bitwie pod Presburgiem książę Lotaryński, generalisimus cesarski.

I począł czytać, trochę powoli, gdyż czytał dla szlachty po polsku, a list był pisany po francusku:

"Kawalerya cesarska szła dzielnie i z zapałem, ale akcyi dokonali tylko Polacy, którzy Niemcom nic nie zostawili do ro boty. Niemogę znaleźć dość słów pochwały dla dzielności siły i zachowania się pana Lubomirskiego, oficerów i żołnierzy, któ rymi dowodzi"

— Oto, co pisze książę Lotaryński. Bitwa była wielka i chwała naszych niemała!

— Popiszemy się i my nie gorzej! — wołali żołnierze.

— Wierzę i ufam, jeno trzeba pośpiechu, bo późniejsze listy źle wróżą. Wiedeń ledwie już dyszy, a całe chrześcijaństwo ma oczy na nas zwrócone: nadążym, czy nie nadążym.

— Niewiele tu ostało chorągwi, a główne wojska, jako słyszałem, czekają już pod hetmanami w górach Tarnowskich — rzekł ksiądz Woynowski — ale pod Wiedniem, choć i potrzebne nasze ręce, ale nie tyle, ile obecność takiego wodza, jak w. k. mość.

Uśmiechnął się na to król i rzekł:

— Słowo w słowo pisze mi to samo książę Carolus. Trzy-

majcie tedy waćpanowie cugle w ręku, bo lada godzina każę trąbić przez munsztuk!

— Kiedy miłościwy panie? — spytało kilka głosów.

— król spoważniał nagle.

— Jutro ruszam te chorągwie, które jeszcze przy mnie zostały.

Poczem spojrzał bystro na Taczewskiego, jakby go chcąc wybadać i rzekł:

— Ale że i królowa jejmość odprowadzi nas aż do Tarnowskich gór, gdzie będzie rewia, przeto jeśli nie będziesz nas prosił o zgoła inną funkcyę, to możesz tu jeszcze pozostać, byleś nas prędko dogonił.

A Jacek otoczył żonę ręką, przysunął się wraz z nią o krok do króla i rzekł:

— Miłościwy panie; Żeby mi za nią cesarstwo niemieckie, albo nawet i królestwo francuskie ofiarowali, Bóg patrzy, w serce moje widzi, że nie oddałbym jej za żadną koronę, ni za żadne na świecie klejnoty. Ale żebym miał, dla szczęśliwości mojej, służby zaniechać, okazyę stracić, wojny za wiarę poniechać, wodza odstąpić — nie daj tego Bóg, bo sambym sobą wzgardził i ona, jako ją znam, takżeby mną wzgardziła. Nużby, miłościwy panie, trafiła się jaka przygoda, jakowaś napaść, któraby mi przecięła drogę, chybabym zgorzał ze wstydu i boleści...

Tu oczy zaćmiły mu się łzami, na policzkach wykwitły rumieńce i tak mówił drgającym ze wzruszenia głosem:

— Jam dziś przed ołtarzem pobluźnił, bom rzekł Bogu: "odwdzięczę się!" A czem? zali zdrowiem, zali życiem, zali krwią można się odwdzięczyć za takie szczęście, jakie mnie spotkało?... Ale właśnie dlatego o żadną inną funkcyę nie będę prosił i gdy ty wyruszysz, miłościwy królu i wodzu mój, nie ostanę ani na jeden dzień, jeno pójdę z tobą, chodźby mi jutro ledz przyszło.

I klęknął u nóg pana, a on pochylił się i uścisnąwszy go za głowę, rzekł:

— Takich mi więcej, a zagrzmi na świat imię polskie!

Ksiądz Woynowski miał łzy w oczach, Bukojemscy płakali jak bobry, wzruszenie i zapał ogarnęły wszystkich obecnych.

— Na pogan! za wiarę! — zagrzmiały liczne głosy.

I poczęło się trzaskanie szablami.

A gdy uciszyło się trochę, pani Taczewska pochyliła się do ucha męża i poczęła szeptać zbladłemi ustami:

— Nie dziwuj się moim łzom, Jacku, bo, gdy pójdziesz, może cię nie zobaczę więcej, ale idź.

XXVIII.

Jednakże dwa dni pozostali jeszcze z sobą razem. Dwór wyruszył wprawdzie następnego dnia, ale że królowa z całym fraucymerem i mnóstwo dygnitarzy świeckich i duchownych odprowadzało króla do obozu, do gór Tarnowskich, gdzie zapowiedziany był wielki przegląd wojsk, przeto tak liczny orszak, który z konieczności musiał poruszać się powoli, łatwo było dogonić. Następny pochód samych wojsk z królem na czele, od granicy aż pod Wiedeń, miał zadziwić świat pośpiechem, zwłaszcza że król nadążał w przedzie przed główną armią, ale do gór Tarnowskich wlokła się królowa jejmość z dworem przez dni sześć. Państwo Taczewscy dogonili więc orszak drugiego dnia poczem młoda pani przesiadła się do karoc królewskich, a Jacek skoczył na noc do obozu, by połączyć się z swoją chorągwią. Chwila rozstania zbliżała się. Dwudziestego drugiego sierpnia król pożegnał się uroczyście ze swą ukochaną ''Marysieńką' i wczesnym rankiem wsiadł na koń, aby przed jej oczyma sprawić wojsko, a następnie ruszyć na jego czele do Gliwic.

Zauważono że jakkolwiek rozstawał się z nią z największą przykrością miłując ją bowiem jak źrenicę oczu, bolał nawet nad krótkiem rozstaniem, tym razem miał twarz promienną. Więc świeckim i duchownym dygnitarzom, którzy wiedzieli, jak straszna jest wojna z tym nieprzyjacielem, który przytem nigdy dotychczas nie wystąpił z taką potęgą, przybyło zaraz serca. ''Poruszyli wprawdzie Turcy (mówiono sobie) trzy części świata, ale jeśli pan nasz, największy ich pogromca i niszczyciel, z taką radością idzie na tę wojnę, to już i my nie mamy się o co troszczyć.'' I otucha napełniła piersi, a widok wojsk powiększył ją jeszcze bardziej i zmieniał się w zupełną pewność zwycięstwa. Wojska wraz z taborem pełnym czeladzi wydawały się bardzo znaczne. Jak wzrok mógł sięgnąć, widać było rozbłyski słońca na hełmach, na pancerzach, szablach, na lufach muszkietów i dział. Blask był tak mocny, że oczy mrużyły się pod jego nadmiarem. Nad wojskiem grała w błękitnym powietrzu tęcza chorągwi i chorągiewek. Warczenie bębnów po pułkach

pieszych mieszało się z odgłosem trąb, kotłów, krzywuł z piekielnym hałasem kapeli janczarskich i ze rżeniem koni. Zaraz z początku rewii ruszył bokiem sam tabor, by nie tamować ruchów wojsk i dopiero potem rozpoczął się właściwy przegląd. Powozy królewskie stały na niezbyt wyniosłej równinie, nieco w prawo od drogi, którą miały przechodzić pułki. W pierwszym siedziała królowa, przybrana w pióra, koronki, i aksamity, błyszcząca od klejnotów piękna i okazała, z pełną majestatu twarzą kobiety, która posiadała w życiu wszystko, czego tylko w najśmielszych zamysłach mogła pożądać, bo koronę i niewypowiedzianą miłość najsławniejszego ze współczesnych monarchów. Równie jak dygnitarze z najbliższego otoczenia królewskiego była i ona pewna, że gdy król — jej małżonek — raz siądzie na koń, to w ślad za nim pójdzie, jak dotychczas zawsze szło, zwycięstwo i pogrom. I czuła że w tej chwili oczy całego świata począwszy od Carogrodu, aż do Rzymu, Madrytu i Paryża są na niego oczy zwrócone, że całe chrześcijańst., wyciąga do niego ręce i w nim jeno i wtych żelaznych jego wojskach widzi ratunek, więc serce jej wzbierało dumą niewieścią. "Potęga nasza wzrośnie, a sława wyniesie nad wszystkie inne króle" — mówiła sobie w duszy — i dlatego, choć ów małżonek prowadził zaledwie dwadzieścia tysięcy ludzi przeciw nieprzeliczonym zastępom tureckim, pierś jej zalewała radość i żadna chmura obawy lub niepokoju nie zasępiła jej białego czoła. "Patrzcie na zwycięzcę, patrzcie na króla ojca — mówiła do dzieci, wypełniając tak powóz, jak pisklęta wypełniają gniazdo — gdy wróci, świat uklęknie przed niw w podzięce".

W samych powozach widać było to wdzięczne twarze panien dworskich, to infuły biskupie, to poważne i surowe oblicza senatorów, którzy zostawali w domu, by sprawować rządy w zastępstwie pana. Sam król był już przy wojsku ale widać go było dobrze, opodal na wzgórzu, śród hetmanów i jenerałów, między którymi czynił wrażenie siedzącego na koniu olbrzyma. Wojska miały przechodzić poniżej, jakby u jego stóp.

Więc przetoczyła się naprzód z głuchym turkotem i ze zgrzytem łańcuchów artylerya pana Marcina Kąckiego, po niej szły regimenty piesze z muszkietami na ramionach, pod wodzą oficerów zbrojnych w szable, w bandolety i w długie trzciny, któremi ład czynili śród szeregów. Szły te pułki w czworobokach, do ruchomych fortec podobne, krokiem nad miarę, równym i grzmiącym. Każdy przechodząc wedle powozu królowej,

witał ją gromkim okrzykiem i zniżał chorągiew na znak czci. Były między niemi niektóre lepiej od innych przybrane i dość okazałą czyniącą postać, lecz najokazalej przedstawił się regi ment kaszubski, w błękitnych koletach z żółtymi ładownicami, złożony z tęgich, na schwał chłopów, rosłych i tak dobranych, że jeden wydawał się być drugiemu bratem, ciężkie muszkiety poruszały się w ich potężnych dłoniach jak trzciny. Na glos piszczałki stanęli przed królem jak jeden mąż i sprezentowali broń tak sprawnie, że król uśmiechnął się z zadowoleniem, a dygnitarze poczęli do się mówić: "Ej! z temi to i gwardyi sułtańskiej niezdrowo się będzie spotkać! lwy to prawdziwe nie ludzdzie!"

Lecz zaraz za nimi poczęły przeciągać chorągwie lekkiej jazdy polskiej! Rzekłbyś hipocentaury, tak każdy człowiek i koń jedną stanowili całość: nieodrodni synowie owych elearów którzy swego czasu stratowali całe Niemcy, roznosząc na szablach i kopytach pułki, ba nawet i całe armie wyznawców Lutra. Najcięższa obca jazda nie mogła się im w równej sile oprzeć, najlżejsza — uciec przed nimi. O nich to po Chocimiu mówił sam król: "Byle doprowadził, to wytną wszystko jako kosiarze trawę". I choć w tej chwili przeciągali wolno przed wozami, każdy, nawet wcale nie obyty z wojną człowiek łacnie odgadywał, że w danym razie, chyba wicher jeden mógł szybciej od nich pędzić, zwracać się i uderzać. Krzywuły i kotły grzmiały przed nimi, a oni szli, chorągiew za chorągwią, z gołemi szablami, które w drgającym blasku słonecznym wydawały się jak miecze ogniste. Minąwszy powozy dworskie, zakołysali się nagle jak fala i ruszyli rysią, potem cwałem i zatoczywszy olbrzymie koło, przeszli znów, ale już jak huragan koło królowej z przeraźliwym okrzykiem: "bij, morduj!" z szablami wyciągniętemi w prawicach jak do ataku, na koniach o rozdętych chrapach, rozwianych grzywach i jakby oszalałych od pędu. I przeszli tak jeszcze raz, drugi, a dopiero za trzecim zawrotem zatrzymali się prawie nagle, nie łamiąc szeregów, tak równo, zgodnie i dokładnie, że cudzoziemcy, których wielu było przy dworze, a zwłaszcza ci, którzy po raz pierwszy widzieli w polu jazdę polską, poczęli spoglądać na się ze zdumieinem, jakby oczom własnym nie wierząc.

Poczem zamigotało i zakwitło jakby kwieciem całe pole od dragonów. Niektóre ich pułki przyszły pod panem Jabłonowskich z pod Trębowli, niektóre wystawili magnaci, a jeden —

sam król z własnej szkatuły, którym pan de Maligny, brat królowej dowodził. Służył w dragonach po większej części lud prosty, ale do konia od dziecka zaprawny, ćwiczony w różnych bojach, w ogniu uporczywy, wręcz mniej od szlachty straszny, ale karny i na trudy wojenne najwytrzymalszy.

Lecz największą rozkosz dla dusz i oczu poczęła się dopiero wówczas, gdy ruszyły się chorągwie usarskie. Posuwały się one spokojnie, jak na tak górne pułki przystało. Trzymane w górę kopie sterczały nad nimi jak las, a w górze drgała, poruszana lekkim powiewiem, tęczowa chmura proporców. Konie ich większe, niż w innych chorągwiech, zbroje stalowe nabijane złotem na plecach skrzydła, w których pióra czyniły nawet w spokojnym pochodzie taki szum, jaki słyszeć można między gałęziami w głębi boru, wielka, bijąca od nich powaga i jakby duma — wszystko to czyniło takie wrażenie, że królowa, damy dworskie, senatorowie, a zwłaszcza zagraniczni goście, aż powstali w powozach, by się im lepiej przypatrzyć. Było coś groźnego w tym pochodzie, mimowoli bowiem przychodziło każdemu na myśl, że gdy taka ławica żelazna runie przed siebie — wówczas zmiażdży, rozniesie, zetrze wszystko przed sobą i ża niemasz siły ludzkiej, któraby się jej oprzeć mogła. Nie tak to dawne były czasy gdy trzy tysiące takiej jazdy starło na proch pięć razy liczniejsze zastępy szwedzkie; jeszcze mniej dawne, gdy jedna taka chorągiew przeszła jak duch zniszczenia przez całą armię Karola Gustawa, a całkiem świeże, gdy pod Chocimem ta sama husarya, pod wodzą tegoż samego króla, stratowała gwardye janczarskie, tak łatwo, jak łan zboża. Wielu z tych, którzy brali udział w owym pogromie chocimskim, służyło dotychczas pod dawnymi znakami i ci szli teraz pod mury obcej stolicy dumni, pewni siebie, spokojni — na nowe żniwo.

Siła i groza zdawała się być duszą tych chorągwi. Wstał nagle na ziemi południowy wiatr, zafurkotał w porporce, zwiał ku przodowi trefione grzywy końskie i uczynił szum tak mocny w skrzydłach, że aż andaluzy w powozach poczęły przysiadać na zadach. Chorągwie zbliżyły się na kroków dwadzieścia od karoc poczem zwróciły się w bok i szwadronami poczęły przechodzić mimo.

Wówczas to pani Taczewska ujrzała męża po raz ostatni przed wyprawą. Jechał z brzegu, w drugim szeregu, cały w żelazie, ze skrzydłem na zbroi i w hełmie, którego nausznice zakrywały mu całkiem policzki.

Rosło-złoto gniady natolski koń niósł go lekko mimo ciężkiej zbroi, rzucając głową, dzwoniąc wędzidłem i parskając rozgłośnie, jakby na dobrą wróżbę dla rycerza.

Jacek zwrócił swą, okrytą żelazem głowę w stronę żony i poruszył ustami, jakby szepcąc, lecz choć żadne wyraźne słowo nie doszło do jej uszu, odgadła przecie, że mówi jej ostatnie "bądź zdrowa!" — i taki poryw miłości i tęsknoty chwycił ją za serce, że gdyby mogła za cenę życia zmienić się naprzykład w jaskółkę, usiąść na jego ramieniu lub na proporcu jego kopii i towarzyć mu w drogę, nie byłaby się wahała ani chwili.

— Bądź zdrów Jacku! niech cię Bóg strzeże... — zawołała wyciągając ku niemu ramiona.

I oczy jej zrosiły się łzami, a on przejechał — błyszczący w słońcu i jakby uświęcony tą służbą, którą miał odsłużyć.

* * *

Za chorągwią królewicza Aleksandra nadciągnęły i przeszły inne, równie świetne i równie straszne, poczem, śladem innych pułków, zatoczywszy wielki krąg, ustawiły się na równinie prawie na tych samych miejscach, z których wyruszyły w czasie rewii, ale już w szyku pochodowym.

* * *

Z powozów, stojących na wyniesieniu, wzrok mógł ogarnąć całe niemal wojsko. W pobliżu i w dali widać było błyszczące zbroje, kraśne mundury, błyskania mieczów, sterczące lasy dzid chmury proporców, a na niemi wielkie chorągwie nakształt olbrzymich kwiatów. Od stojących bliżej pułków po wiew donosił zapach potu końskiego, i ochodziły krzyki komendantów, głuche odgłosy kotłów i świst piszczałek. A w tych odgłosach, w tych okrzykach, w tej radości i ochocie bojowej było coś zwycięskiego. Zupełna pewność zwycięstwa Krzyża nad półksiężycem spłynęła na wszystkie serca.

* * *

Król zabawił jeszcze przez mgnienie oka przy powozie królowej, poczem ruszył w skok do wojska, żegnany krzyżem z relikwiami przez biskupa krakowskiego. Po chwili przeraźliwy

dźwięk trąb targnął powietrzem i masy ludzi i koni zakolebały się i poczęły zwolna wydłużać, a wreszcie ruszyły przed się ku zachodowi. Na przedzie widać było znaki lekkich chorągwi, za niemi szły husarye, pochód zamykali dragoni.

* * *

Ksiądz biskup krakowski podniósł obiema rękoma krzyż z relikwiami jak najwyżej nad głową:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, Boże Jakóbów, zmiłuj się nad ludem Twoim!

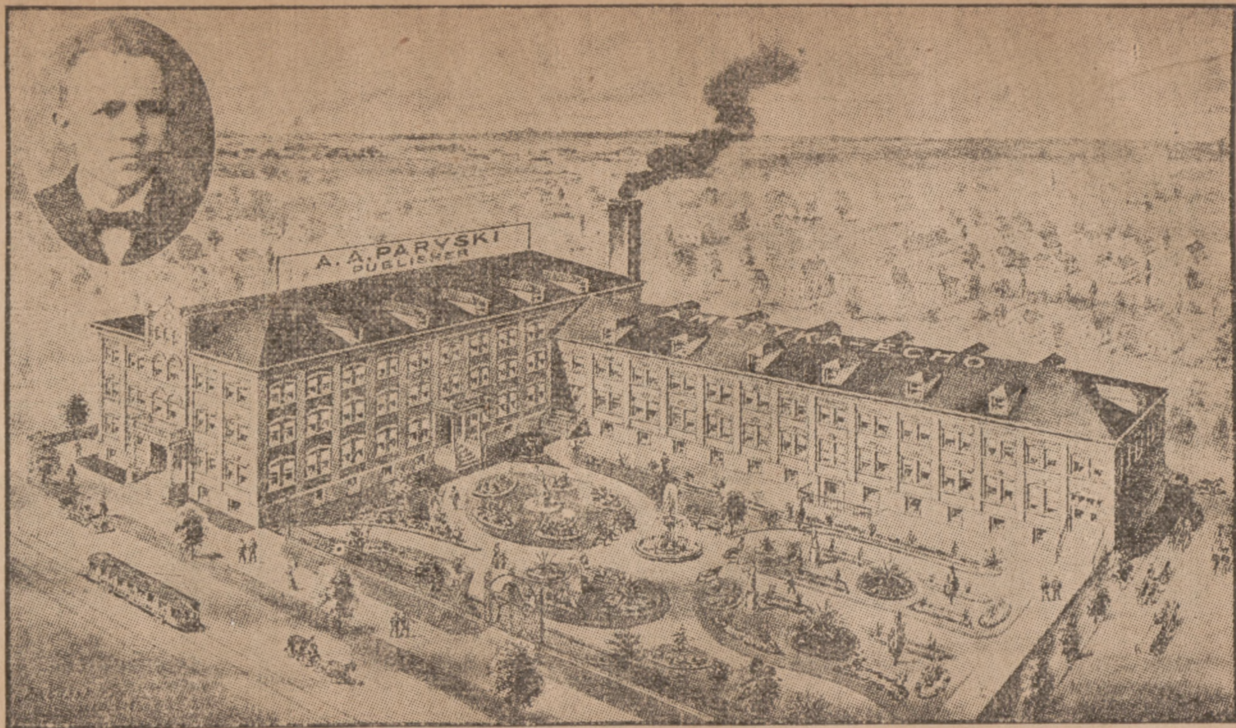
* * *

A w tej chwili z przeszło dwudziestu tysięcy piersi zabrzmiała pieśń, którą podobno pan Kochowski umyślnie na tę wyprawę ułożył:

Dla Ciebie, Panno czysta,
Matko Niepokalana,
Idziemy bronić Chrysta
Naszego Pana.

Dla cię, Ojczyzno droga,
I dla cię, Orle biały,
Idziemy gromić wroga
Na polu chwały.

KONIEC.



Zakłady Drukarskie A. A. Paryskiego w Toledo, O.

KATALOG KSIĄŻEK.

Abelino, Straszny Bandyta. Powieść bardzo zajmująca z dziejów Wenecyi............. .15

Album Królów Polskich, tj. Portrety wszystkich królów polskich w całych postaciach i królewskich ubiorach. Rysunki wykonane przez Walerego Eljasza. Nowe wydanie, uzupełnione Chronologią Królów Polskich, wierszem napisaną przez J. Morelowskiego. W oprawie .... .40

Ali-Baba. Historya o A. B. .... .15

Amerykański Polak w Galicyi. Nadzwyczaj zabawne opow... .10

Anegdoty. Fraszki i Opowiadania .... .40

Antek. Nowelka B. Prusa.... .10

Antoś Sierota, czyli Wdzięczność Sieroty. Wzruszające opowiadanie o małym Antosiu sierocie którego wychował leśniczy .20

Atlas Historyi Naturalnej. Zoologia, Botanika i Mineralogia, w 180 obrazkach, z tekstem Feliksa Wermińskiego .... .15

Aumueller Anna. Dyabelska sprawa ks. Schmidta. .... .25

Bailleut L. Jeden dzień prawdy .20

Bajarz Polski. Baśnie, Powieści i Gawędy Ludowe. Opowiedział A. J. Gliński................. .60

Bajeczka o Kominiarczyku. Opow. i Humoreski. 5

Bajka o Królewiczu z płomiennym sercem. Sześć historyjek. 5

Bajki co rozumu uczą. Zawiera: O głupim Gale. O parobku w piekle i na ziemi. Historya o biednej wdowie Żywcem wzięta przez dyabłów. Kradzione Jajka. Kabalarka. Wskazówki przy szukaniu żony..................... .10

Bajki i Prawdy. Książka zawiera 84 utwory, wierszem pisane, w których jest pełno dobrego humoru i prawdy. Napisał Jul. Ejsmond, utalentowany poeta i głęboki myśliciel............. .30

Bartek Łatka, czyli jak to Żyd po śmierci zrobił testament Łatce na pociechę.............. .05

Bartek w sieni piekielnej i w rajskim przedsionku. K. 1, J. Chociszewski 2-6 15

Bawmy się. Gry na wolnem powietrzu. Opracował stary Maciej. Z licznymi obrazkami .... .15

Beczka Pacierzy. Bardzo zajmujące opowiadanie, wierszem, p. J. Chęcińskiego............. .10

Bertrama przygody. Dziewica z broda .... .10

Bezrobocie Kowali, p. F. Coppe [Krwawy Strajk] 5

Biały Orzeł Śpiący. Proroctwo o Polsce .... .15

Biblia św. Wydanie mniejsze w sześciu tomach. Każdy tom kosztuje $1.00

Białe Fartuszki. Dziwne przygody pokojówki warszawskiej. Wesołe opowiadanie.............. .15

Biblia, czyli Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, podług tekstu łacińskiego Wulgaty przekład X. Jakóba . Wujka zatwierdzony przez Stolicę Apostolską. Wydanie nowe z objaśnieniami podług J. Fr. Allioli. Zaaprobowane p. Konsystorz Archidyecezyi Warszawskiej. Ozdobione 230 ilustracyami Gustawa Dore. Wielkość 11x14½ cali, 2232 stronic. W mocnej ozdobnej oprawie ... $25.00

Biedna matka. Obrazek przez łzy pisany dzieciom polskim Jadwiga z Łobzowa............. .15

Bitwa pod Koronowem .... .20

Bitwa Pod Raszynem. Powieść historyczna przez W. Przyborowskiego, z ilustrac......... .35

Blizna. Nadzwyczaj ciekawa powieść o tajemniczem zniknięciu małżonka i odnalezieniu go. Napisał Conan Doyle.......... .15

Bolesław, czyli dalszy ciąg i koniec życia Genowefy. Powieść piękna i wzruszająca............ .20

Boże Ciało. Wybór Pieśni ..... .10

Brelok. Pięć Ciek. Pow. ...... .10

Brandenburg. Powieść historyczna. w której opisane są krainy słowiańskich mogił i straszne barbarzyństwa Niemców......... .75

Budowa i życie ciała ludzkiego. Bardzo dokładny opis budowy ciała ludzkiego, z praktycznemi radami co czynić należy, aby osięgnąć normalny rozwój i dobre zdrowie. Napisała Dr. Anna Fischer-Dueckermann. Z licznymi rysunkami.................. .45

Bukiet Pieśni Światowych. Piosnki, dumki, arye krakowiaki, mazury, pieśni miłosne, myśliwskie, studenckie itd. .... .30

Cała Męka Pana naszego Jezusa Chrystusa .... .10

Castro Rodriguez, czyli Sraszliwa zbrodnia księdza. Z licznymj obrazkami .... .30

Chata Wuja Tomasza. Powieść z życia Murzynów (z czasów niewolnictwa) w Stanach Zjednoczonych. Napisała Henryeta Beecher Stowe, 4 tomy, z licznymi obrazkami................ $1.00

Chawa Rubin, czyli Zamordowanie Żydówki.................. .10

Choroby Weneryczne. Co to są choroby weneryczne? Jak się ich ustrzedz. Jak zachować się w każdym wypadku takiej choroby? Napisał Dr. F. Giedroyć .... .25

Chronologia Książąt i Królów Polskich. Najważniejsze wypadki z historyi polskiej i życia królów, opisane wierszem p. J. Morelowskiego 5

Ciekawe Gawędy Macieja Grzędy z różnymi ludźmi o różnych polsko-ameryk. sprawach... 35

Ciekawe powiastki i opowiadania. Sześć bardzo zajmujących i pouczających powiastek....... .10

Ciotka na wydaniu. K. 1. J. Bliziński 2-2 .... .25

Ciekawe, Pouczające i Pożyteczne Wiadomości z historyi, literatury, doświadczeń naukowych i mechanicznych oraz wiele pożytecznych przestróg i rad. 2 tomy. Każdy tom po .... .35

Cola Rienzi. Dramat historyczny z XIV wieku, w 5 aktach prozą oryginalnie napisany ...... .25

Collins Wilkie. Widmo zbrodni. 4 tomy. Brosz. $1.00

Co to jest oświata i czego od niej wolno się spodziewać. Napisał Aleksy Kurcynsz. Dobrodziejstwa Oświaty .... .10

Co to jest dzień roboczy? Książeczka nadzwyczaj zajmująca i treściwie napisana. Dlaczego robotnicy żądają skrócenia dnia roboczego? Walka o ośmiogodzinny dzień roboczy. Polityczny ruch robotniczy. Co oczekuje nas w przyszłości? .... .15

Co zbawi naród polski. Broszura o potrzebie wprowadzenia polskiej mszy św. o obrzędach religijnych. Przez ks. J. Łukaszkiewicza ...10

Córka Sybirskiego Wygnańca. Powieść z niedalekiej przeszłości. Bardzo ciekawa........... .15

Cuda Boże we Mszy Świętej .30

Cuda Boże w Przenajśw. Sakramencie.................. .25

Cudowna Historya o Jasiu Głuptasiu, Wieszczym Siwku Złotogrzywku, Kaczce Złotonosce i Śwince Perłosypce............. .10

Cyrulik Zbawca. Dziewica z brodą .... .10

Czarnoksiężnik Bosko. Bogaty zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonywania łatwo i tanim kosztem, z obr..................... .20

Czarny Piotr. Bardzo ciekawa powieść kryminalna z przygód Sherlocka Holmesa........... .15

Czarownica Pary-Banu. Nadzwyczaj ciekawe opowiadanie o latającym kobiercu. o czarnoksięskiej rurce z kości słoniowej, o uzdrawiającem jabłku i o cudownym namiocie........... .20

Czerwona Mara. Powieść na tle rewolucyi i bandytyzmu w Polsce po roku 1905. Napisał W. Przyborowski, z ilustracyami .50

Czerwony Znak. Powieść kryminalna....................... .50

Człowiek Nocy **Bardzo zajmująca** powieść pelna zawikłanych intryg i niespodzianek...... .50

Człowiek w żelaznej klatce, czyli wykrycie zbrodni nieuczciwej sługi, która zamordowała swoją panią i miejsce jej zajęła.... .15

Czort i pół kwarty wódki. Ciekawe i pouczające opowiadanie o pobożnym pustelniku, którego dyabeł skusił do wypicia wódki i jak z cnotliwego pustelnika zrobiła wódka zbrodniarza a w końcu wisielca.................. .10

Cztery piękne pieśni: O M. B. Leżajskiej. Do M. B. Różańcowej. O św. Rozalii, O pielgrzymie i pasterzu dobrym............ .10

Cztery Czarownice. Oświata, Porządek, Praca i Oszczędność. Pouczającą historya........... .10

Czwarte Księgi Mojż. Liczb ... .25

Czwarte Księgi Królewskie. Z Pisma Św. .... .25

Czyściec. Wieczność i Czas. Napisał ks. Felix Gondek. Z dodatkiem: Rozmyślania o Najśw. Ranach Chrystusowych, oraz Afekty Gorące do Ukrzyżowanego Chrystusa................ .40

Deklaracya Niepodległości Stanów Zjed. .... .10

Deklamator Polski. Zbiór poezyi religijnych narodowych i historycznych, stosownych do wygłaszania podczas uroczystości patryotycznych rodzinnych oraz wycieczek letnich. Z dodatkiem dya-

logów i sztuczek teatralnych .30

Delina bez wyjścia. Ciekawe przygody podróżników w górach Himalaja. Napisał Kapitan Mayne Reid, z obrazkami....... .50

Deuteronomium. Z Pisma Św .. .25

Dobry Franuś i zły Kostuś. Nadzwyczaj ciekawa opowieść o dwóch braciach różnie wychowanych Napisał ks. K. Schmidt... .50

Dobry syn. Bajka z przed lat tysiąca. Napisał Wład. Bełza... .20

Dobre Rady, czyli zbiór przep. o utrzymaniu czystości i porządku w domu i kuchni, o leczeniu dzieci i dorosłych domowymi środkami, o gustownem a taniem ubieraniu się i strojeniu domów, o pielęgnowaniu ogrodów, sadów itp. Bardzo pożyteczna książka dla każdego .... .25

Don Kiszot z Manszy. Niesłychanie śmieszna i ciekawa opowieść o błędnym rycerzu, który na chudej kobyle wyjechał w świat, żeby bronić stanu rycerskiego i czci kobiecej. Jego zabawne przygody w tej wędrówce ubawią każdego. Sześć tomów w jednej wielkiej księdze. Z ilustracyami Gustawa Dore. W opr..... $1.00

Dowcipne zapytania i odpowiedzi...................... .05

Długowieczność, czyli w jaki sposób żyć należy, ażeby dożyć do późnej starości a po niej zapewnić sobie lekką śmierć.... .05

Dramat w domu obłąkanych. Powieść przez Kamila Perta. Kto lubi czytać ciekawe i strasznie zawikłane powieści, ten będzie bardzo zadowolony z tej książki. Opisy są objaśnione licznymi obrazkami................ .35

Droga Krzyżowa czyli Obchód Stacyi, z dodatk. Gorzkich żalów i modlitw o Męce Pańskiej... .10

Drugie Księgi Mojżeszowe .... .25

Drugie i Pierwsze Księgi Ezdraszowe .... .20

Duch Puszczy. Opowiadanie z amerykańskich borów. Według Dra Birda opracował W. L. Anczyc. Z wieloma ilustracyami... .50

Dwie pieśni: Do M. B. Różańcowej o Matce Boskiej Giertzwaldzkiej..................... .05

Dwaj Rywale, czyli Co może miłość...................... .05

Dwie Dusze. Dusza zwykła i dusza pańszczyźniana, czyli dusza niewolniczej pokory i uległości wobec ciemiężycieli. Napisał J. Bojko...................... .25

Dwie Marye. Powieść z dawnych polskich czasów i wojen krzyżowych, F. K. Tuczyński.... .40

Dwie Wojny Żydowskie i Narodzenie Mesyasza. Trzy śmieszne utwory na rozpędzenie smutku .10

Dyabelska Sprawa, czyli Zamordowanie Anny Aumueller przez księdza Hansa Schmidta.. .25

Dyabelska Sprawa, czyli Zamordowanie Anny Aumueller przez księdza Hansa Schmidta. Ciekawy opis rozgłośnej zbrodni popełnionej w New Yorku .... .25

Dyadem, czyli poszukiwanie zagubionego brylantu przez wziętych na kawał detektywów..... .05

Dyamentowy Posąg Ciekawa i idealna powiastka o księciu Alasnamie i pięknej dziwicy, która królową Balsory została...... .10

Dzicy czy rycerze. Grunwald ... .20

Dzieje Apostolskie. Z Pisma Świętego, przez X Jakóba Wuka.................... .25

Dzieje Literatury Polskiej. Opracował Wiktor Doleżan. Z ilustracyami. W oprawie $1.00

Dzień Piąty Sierpnia 1864 roku. Rzut oka na powstanie polskie 1863 r. i poprzednie 5

Dziecko i Rodzina. Wskazówki kształcenia domowego dla matek, przez Dra E. Hauffe. Każda rodzina polska podręcznik taki posiadać powinna .... .50

Dziewica z Brodą, czyli Cyrulik zbawca .... .10

Dziwne Koleje Życia, czyli Historya o trzech derwiszach i pięciu damach bagdadzkich...... .25

Dziwne Przygody Chłopa Urbana Długonosa opowiedziane dla zabawy przez Figlarskiego.. .15

Dzieci Wdowy. Melodramat w 6 odsłonach, przez Józefa Janeczek 3-16.................... .25

Ekonomia polityczna. Czem jest i czego uczy. Napisał Dr. J. B. Marchlewski .... .25

Ekklesiastes i Przypowieści ... .25

Elektryczność. Wykład popularnonaukowy Władysława Umińskiego. Pomiędzy innemi zawiera: Pochodzenie elektryczności i jej wywoływanie. Pioruny i piorunochrony. Maszyny dynamo-elektryczne. Dzwonki. Światło elektryczne. Tramwaje i siatki elektryczne. Telefon i mikrofon. Telegrafia bez drutu. Leczenie elektrycznością i promienie Roentgena. W tekście 80 rysunków. .... .25

Elementarz Obrazkowy. Zastosowany do szkół polskich w Stanach Zjedn. W oprawie .... .25

Elementarz Polski. Dla użytku szkólnego i domowego. W oprawie .... .25

Emilia Plater, Litwinka, dziewica-bohater. Szkic biograficzny, z portretem .... .10

Encyklopedya Rodzinna. Podręcznik lekarski do pielęgnowania zdrowia i lecznictwa w rodzinie, z szczególnem uwzględnieniem chorób kobiecych i dziecięcych, położnictwa i pielęgnowania dzieci. Napisała Anna Fischer-Dueckellmann. Na polskie przełożyła Teresa Jaroszewska, z współudziałem Dra A. Czarnowskiego. Z 460 rysunkami oryginalnymi i licznemi tablicami.................... $2.00

Encyklopedyczny opis Polski. Polska .... .50

Ester i Joba Księgi .... .30

Eustachiusz. Powieść moralna z pierwszych wieków chrześcijaństwa.................. .25

Ewangelie Jezusa Chrystusa: 1. Ewangelia według św. Mateusza 2. Ew. według św. Marka. 3. Ew. według św. Łukasza. 4. Ew. według św. Jana. Z Pisma św. X. Jakóba Wujka............. .60

Exodus. Księgi wyjścia. Z Biblii .25

Ezaw i Jakób, czyli skradzenie syna książęcego przez brata w celu uzyskaniu spadku......... .15
wie 75

Ezdraszowe Księgi Pierwsze i Drugie .... .20

Fraszki i Opowiadania. Dowcipy, facecye i wesołe opowiadania z przeszłości. Ze starych szpargałów Karola Zery wypisał Zygmunt Gloger............. .40

Gałązka Heliotropu. K. 1, Adam

Asnyk. 2-4 .... .15

Garbus. Powrót do życia wysłanego na śmierć konkurenta i zasłużona kara dla niegodziwca .10

Garbus Szermierz. Romans historyczny $1.00

Genesis. Księgi Rodzaju. Pierwsze Ks. Mojż. .... .30

Geniusz i Asmodeusz, czyli Walka dwóch duchów. Dramat satyryczny w 3 scenach. J. Prawdzic .15

Genowefa. Wielka księga z licznymi obrazkami. Opisał J. Chociszewski. W oprawie pł. $2.00

Genowefa, Księżniczka Brabancka, niewinnie skazana na śmierć, a której uniknąwszy cudownem zrządzeniem, sześć lat przebyła na dzikiej puszczy. Wydanie mniejsze, bez obrazków.... .15

Gimnastyka wyprężna i Oddechowa. Bez nauczyciela bez przyrządów dla zdrowych i chorych dla młodych i starych bez różnicy płci .... .15

Głos zza Grobu. Powieść osnuta na tle zbrodni popełnionej na księdzu przez barona..... .20

Głos Synogarlicy na pustyni świata tego jęczącej tj. Nabożne duszy chrześcijańskiej rozmyślania do Pana Boga, Oblubieńca wiecznego wzdychania i w chrześcijańskiej doskonałości ćwiczenia. Z dodatkiem modlitw i pieśni na Wielki Post Ozdobione licznymi obrazkami.................. .75
W mocnej oprawie......... $1.00

Gramatyka dla Samouków, czyli Książka dla tych, którzy chcą dobrze mówić i czytać po polsku. Ułożyła W. Weychertówna .. .25

Gratulant, oraz Pieśni Weselne dla młodzieńców i drużbów. Zawiera: Zaprosiny na wesele, Oracye weselne, Mowy przed wyjazdem do kościoła i przed ślubem, Piosnki weselne itd .... .20

Grunwald. Pięćsetletnia Pamiątka .... .20

Gry Towarzyskie. 1. Jawor. 2. Dzięcioł. 3. Ślepa babka. 4. Obrączka. 5. Złota Kula. 6. Mruczek. 7. Kłaniamy. 8. Plotka wróblem leci. 9. Darowany. 10. Cenzurowany. 11. Cztery kąty a piec piąty. 12. Pani Starościna. 13. Klapanka. 14. Wszystko co pierze ma lata. 15. Serce mnie boli. 16. Nieme towarzystwo. 17. Budzę Cię. 18. Do czego jest myśl moja podobna. 19. Gra w zielone. 20. Rymy dorywkowe. 21. Wykupywanie fantów. 22. Kary za fanty. .... .10

Gry i Zabawy. Dla młodzieży i starszych, w pokoju i na świeżem powietrzu................ .15

Gry Umysłowe Zebrał Stary Maciej z rys.............. .15

Grzechy dzieciństwa. Przez Bol. Prusa .... .20

Grzechy Dzieciństwa. Napisał B. Prus...................... .20

High - Life (Z życia Arystokracyi). Nadzwyczaj ciekawa powieść Berty v. Suttner, 2 tomy...... .50

Historya o Miłości Kamaralzamana, Królewicza Chaldenu i Pięknej cesarzówny chińskiej. Ciekawe opisy starożytnych walk religijnych i narodowych. Z 1001 Nocy .... .25

Historya Seminaryum Polskiego w Detroit i Orchard Lake. Z okazyi 25-letniego jubileusza .... .50

Historya o Trzech Jabłkach i kilka innych opowiadań z 1001 Nocy .20

Historya Aminy, która niewinnie wiele wycierpiała od swego zazdrosnego męża........... .05

Historya o Aladynie i Lampie Cudownej. Nadzwyczaj zajmujące opowiadanie o synu biednego krawca, który został sułtanem, z obrazkami .... .30

Historya o Ali Babie i Czterdziestu złodziejach, zgładzonych przez jedną niewolnicę .... .15

Historya o cud. odmianie księżnej i szewc 5

Historya o Garbusku i 13 ciekawych bajek .... .30

Historya o Grzegorzu Papieżu który pokutował lat 17 przykuty do skały .... .15

Historya o Koniu Zaczarowanym 15

Historya o Królewiczu, którego bezwiednie własny ojciec dyabłu zaprzedał .... .20

Historya o Królewnie, która nie mogła płakać 5

Historya o Miłości Królewicza Kamaralzamana i pięknej Badory, cesarzówny chińskiej .. .25

Historya o Rycerskim Owczarku, który zabił strasznego smoka i został królem .... .15

Historya o Rycerzu Złotoskrzydłym, o porwanej dziewicy z drogim klejnotem i złotym zamku .... .10

Historya o Siedmiu Mędrcach, którzy nadzwyczaj zajmującemi powieściami wybawili od śmierci królewicza Dyoklecyana 15

Historya o Trzech Jabłkach i kilka innych opowiadań o nadzwyczajnych przyg. miłosn. .... .20

Historya o Żołnierzu który miał fajkę niewykurkę, kieskę złotodajkę i wór samochwyt 5

Historya klątwy. Klątwy biblijne, ich geneza i skutki klątwy u starożytnych Greków i Rzymian. Klątwa u Mahometan. Klątwa w kościele katolickim. Różnica między zwykłem przekleństwem a klątwą. Napisał J. Wójcik. .... .10

Historya Polski. Zarys Historyi Społecznej Państwa Polskiego przez Dra. Kazimierza Gorzyckiego. Broszur .... .80
W oprawie $1.00

Historya Starożytna $1.00

Historya Wieków Średnich $1.20

Historya Nowożytna Tom I $1.00

Historya Stanów Zjednoczonych. Napisał J. Sawicki. Poczynając od pierwszych momentów, gdy nieliczni przybysze europejscy osiedlili się w tym kraju, aż do czasów dzisiejszych, autor barwnie i żywo przedstawił historyę rozwoju potężnej dziś Unii Stanów Zj. Am. Północnej. Dzieło pisane jest zwięźle, jasno i krytycznie oraz ozdobione mnóstwem ilustracyj .... .80

Historya ziemi i istot żyjących. [Roślin, Zwierząt i Człowieka]. Czy ziemia i wszystko, co na niej żyje, ulega zmianom i jakim zmianom ulega .... .10

Hodowla Kur w Stanach Zjednoczonych. Nadzwyczaj praktyczne wskazówki i rady......... .20

Hodur Jakób. Nowelki .... .15

Hrabia Monte-Christo. Sensacyjny i nadzwyczaj zajmujący romans z francuskiego Aleksandra Dumas, 8 tomów $2.00

Hrabia Sinobrody .... w druku.

Humor i Satyra. Zbiór najśmieszniejszych żartów, dowcipów, fraszek, anegdot, opowiadań i wierszyków. Ozdobione licznymi obrazkami. .... .30

Hygiena. Co każdy o Hygienie (pielęgnowaniu zdrowia) wiedzieć powinien? Mieszkanie i odzież pod względem zdrowia i czystości. Jak można przez odpowiednie zachowanie warunków hygieny uniknąć chorób i zyskać zdrowie...................... .15

Hypnotyzer. Powieść osnuta na tle ciekawych doświadczeń hypnotycznych pewnego uczonego doktora. Napisał Stefan Kotze .. .30

Icek Herszko i jego stary kapelusz. Ciekawa bardzo i śmieszna historyjka 5

Icek Szwagermacher. Nadzwyczaj ciekawe opowiadanie, z obrazkami. .... .10

Izdebski W. Książe Rycerz .... .20

Indyk za 5 koron. Humoreska przez Aka. Zob. Przy. Maćka.

Jabłoń. Pięć Ciek. Pow. .... .10

Jak Serafin sprzedał Żydowi gospodarstwo? 5

Jak się to weselisko czasem skojarzy? 5

Jak to Łuka czegoś szuka? Zabawna historya 5

Jak powstają choroby? Czego należy się strzedz i jak się zachowywać, by w wielu razach uniknąć choroby, a przynajmniej zapobiedz jej rozwinięciu się. Napisał Dr. Rudolf Askler..... .10

Jak dostać papiery obywatelskie? Dokładne objaśnienia praw naturalizacyjnych i obywatelkich w Ameryce .... .15

Jaki jest rząd Stanów Zjedn. Rząd S. Z. .... .30

Jak osięgnąć bogactwo i wpływ w Ameryce? Spostrzeżenia, uwagi i wskazówki praktyczne ...... .15

Jak osięgnąć wykształcenie? Część I. Wykształcenie elementarne. Napisała H. Piotrowska. Zbiór wskazówek i praktycznych wiadomości dla kształcącej się młodzieży polskiej i rodziców .... .35

Część II. O szkołach średnich, zawodowych i wyższych w Ameryce Północnej, ich przeznaczeniu, zakresie nauk i przywilejach .. .35

Jak pisać listy polskie i angielskie? Najlepszy podręcznik do pisania listów po polsku i po angielsku. Opracował M. Kobylański .25

Jak robić wino tańsze od piwa z jabłek i innych owoców, oraz jagód leśnych.............. .05

Jak zbudowane jest ciało człowieka? Popularny wykład anatomii. O wszystkich częściach ciała ludzkiego, z objaśnieniem do czego one służą i jaką w organizmie odgrywają rolę. Wydanie nowe poprawione z licznymi rysunkami...................... .30

Janko Muzykant. Nowela H. Sienkiewicza 5

Jan Olbrych Szaniecki, dzielny obrońca sprawy włościańskiej w czasie powstania 1830-31 r. Napisał Bolesław Limanowski .. .10

Jan Okpiświat zwany także Sowizdrzałem. Słynny trefniś, jego figle i awantury, z obrazk. .. .20

Jaskinia Beatusa. Wzruszająca powieść .... .20

Jasna Główka. Bardzo zajmująca powieść wykazująca, że prawda i sprawiedliwość muszą w końcu

odnieść tryumf nad fałszem i obłudą. Napisał Leon Sazie, tłom. z franc. 2 tomy .... .75

Jedenaście Najciekawszych Bajek, wybranych z "Tysiąca i Jednej Nocy" .... .25

Jezioro Balaton. Legenda węgierska o złym ojcu, jego dobrej córce Jolance i jej kochanku .. .5

Jeden dzień prawdy. Powieść przez Ludwika Bailleul. .... .20

Joba i Ester Księgi .... .30

Jozuego Księgi. Z Biblii .... .20

Józefata Dolina czyli Sąd Ostateczny........................ .20

Józef Zaliwski, bohater z powstania w 1830-31 r. Napisał Bolesław Limanowski .... .10

Judith i Tobiaszowe Księgi .... .20

Kabała kart .... .05

Kamaralzamana Historya .o miłości .... .25

Kantyczki czyli Pastorałki i Kolędy, z dodatkiem pieśni przygodnych w ciągu roku używanych. 4x5 cali, 704 str. Opr....... .60

Kapłańskie Księgi .... .20

Karol Bogumił Stoltzman, niezłomny patryota i partyzant z lat 1831-1848. B. Limanowski .... .10

Katechizm Rzymsko-Katolicki do użytku szkolnego i domowego. Opracowany przez ks. J. D. .20

Katechizm Wolnego Myśliciela. Napisał Andrzej Niemojewski. Jak szerzyć oświatę. .... .10

Kiejstut. Tragedya w 5 aktach, Adam Asnyk................ .30

Kielnia Masońska przeciw Krzyżowi, Kościołowi i Społeczeństwu, czyli niebezpieczeństwo dla religii, państwa i ludów ze strony Masoneryi. Opracował Ks. Dr. B. M. Skulik. .... .25

Kiwon. Pociecha, żywot i śmierć męczennika żydowskiego. Nadzwyczaj śmieszne 5

Kodeks Światowy, czyli Znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi, na podstawie najlepszych źródeł ułożył Spirydion ..... .15

Komedya Konkursowa, K. 1. Ad. Asnyk 2-4................ .15

Kominiarczyka Bajeczka. Opow. i Humor 5

Konstytucya Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Z dodatkiem poprawek konstytucyi do chwili obecnej .... .10

Kopalnia Srebra. Piękna i pouczająca pow. 5

Kopalnie Króla Salomona. Ciekawe przygody poszukiwaczy skarbów w Afryce .... .50

Kopciuszek. Piękne opowiadanie, z obrazk. 5

Koronowo. Bitwa pod Grunwald .20

Koszyk Kwiatów. Opowiadanie o uczciwej i pracowitej dziewczynie, posądzonej niesłusznie o kradzież pierścienia .... .25

Królewskie Księgi Czwarte. Z Pisma Św. .... .25

Królewskie Księgi Trzecie .... .25

Królewna Morska, czyli Historya o Królu Bedasze i Królewnie Dżóhasze .... .15

Królowa Nieba i Ziemi. Litania i modlitwa do Matki Boskiej Skępskiej 5

Krótka Nauka Pływania, dla młodych przyjaciół. Napisał Stary

Maciej. Z 12 rycinami. Dobrodziejstwa Oświaty .... .10

Królewskie Księgi Wtóre ..... .20

Krwawe Róże, czyli Występna miłość szaleńca, który porwał mężowi młodą żonę .... .15

Krwawy Rok (1846). Opowiadanie historyczne. Napisał Dr. K. Ostaszewski-Barański. .... .65

Krwawy Strajk, czyli Bezrobocie kowali. Obrazek z życia biednego robotnika 5

Krzak Róży, czyli Skromność, praca i pokora nie zostają bez nagrody .... .15

Krzysztof Kolumb i Odkrycie Ameryki 15

Krzyżacy. Powieść historyczna H. Sienkiewicza. W oprawie płóciennej 4 tomy razem 1.50

Krzyżactwo. Grunwald .... .20

Księga Mądrości Życia. Psychologia praktyczna. Umotywowane rady i wskazówki, jak żyć z ulgą w gorączce tegoczesnej walki o byt powszedni. Napisał Dr R. Ploehn. .... .30

Księga Mądrości Życia. W jaki sposób stawać się mądrzejszym. Sztuka wystrzymałości. Jak najlepiej wychodzić z ludźmi. Jak wzmacniać wolę. Jak pokonywać wady i ułomności. Unikanie błędów. Jak się pozbyć trosk i smutków. Unikanie gniewu. Prowadzenie kłótni. Leczenie ducha. Znoszenie bólu. Wzmacnianie nerwów. Postawa ciała i nastrój ducha. Zdobywanie stanowiska. Wybór powołania. Pomyłki miłości. Podział miłości. Dobre małżeństwa. Logika kobiety. Prawa dzieci. Złe dzieci. Technika nauki. Świeżość umysłu. Zdobywanie i zachowanie humoru. Zadowolenie z życia. Spokój duszy .... .30

Księga Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego. Napisał Adam Mickiewicz .... .15

Księga Wiadomości Naukowych i Pożytecznych. Zebrała Redakcya "Ameryki" .... .40

Kształcenie pamięci. Mnemonika .25

Książę Rycerz. Opowiadanie historyczne na tle wojen Czarnogóry z Turcyą .... .20

Książka Punktowania, czyli wróżenie za pomocą kropkowania 10

Księgi Czwarte Królewskie. Z Pisma Św. .... .25

Księgi Trzecie Królewskie .... .25

Księgi Drugie Mojżeszowe .... .25

Księgi Ester i Joba. Z Biblii ... .30

Księgi Kapłańskie .... .20

Księgi Pierwsze Paralipomenon. Z Biblii .... .25

Księgi Królewskie Pierwsze ... .25

Księgi Jozuego. Z Biblii .... .20

Księgi Liczb. IV Mojżeszowe .. .25

Królewskie Księgi Pierwsze. .. .25

Księgi Machabejskie I i II .... .40

Księgi Mojżeszowe IV Liczb ... .25

Księgi Przypowieści i Ekklesiastes. .... .25

Księgi Tobiaszowe i Judith ... .20

Księgi Prorocze. Zawierają wszystkie proroctwa z Pisma św. przez X. Jakóba Wujka .... .90

Księgi Psalmów. Z Pisma św. Starego i Nowego Testamentu przez X. Jakóba Wujka .... .50

Księgi Powtórzonego Prawa. Z Pisma Św. .... .25

Księgi Ruth. Z Biblii .... .10

Księgi Pierwsze i Drugie Ezdraszowe. Z Biblii .... .20

Księgi Rodzaju. Genesis. I. Ks. Moj. Genesis .... .30

Książe Rycerz. Opowiadanie historyczne na tle wojen Czarnogóry z Turcyą. Napisał Wład Izdebski .... .20

Księgi Sędziów. Z Pisma św. z objaśnieniami, przekład X. Jakóba Wujka .... .20

Księgi Trzecie Mojżeszowe .... .20

Księgi Wtóre Królewskie ..... .20

Księgi Wyjścia. Exodus .... .25

Ksiądz Schmidt, morderca Dyabelska sprawa .... .25

Ksiądz Damazy Macoch. Prawdziwa historya zbrodni w klasztorze Jasnogórskim w Częstochowie. Jak księża kradli, cudzołożyli, oszukiwali mordowali i jak urządzali pośmiewisko z ludu, który szczerze wierzył w religię .. .30

Kuba Opryszek. Nadzwyczaj śmiałe awantury odważnego rozbójnika 5

Kucharka Polska i Amerykańska. Zawiera 336 przepisów kucharskich i wiele pożytecznych wskazówek o taniem i smacznem przyrządzaniu rozmaitych potraw mięsnych, zup, barszczów, bigosów, zrazów, flaków, ryb i różnego pieczywa............ .25

Kucharz Polski. Obejmuje 1553 przepisy kucharskie na wszelkie potrawy mięsne i postne, gotowane, smażone, pieczone, swojskie i obcych pomysłów pod właściwą sobie nazwą do polskiej kuchni wprowadzone, oraz przepisy pieczenia ciast, tortów, przygotowania konfitur, galaret, mermelad, soków, różnych napojów itd. Ułożyła Bronisława Leśniewska. W oprawie.......... $1.00

Kula Ziemska w pojęciach dawnych filozofów. O ziemi i jej kształtach, z 8 rysunkami 5

Kusicielka. Ciekawe i pouczające opowiadanie o bezdusznej i lekko myślnej dziewczynie 5

Latarnik. Powiastka H. Sienkiewicza .... .10

Leczenie Zwierząt Domowych: Koni, bydla świń, owiec i psów. Wykład popularny dla użytku gospodarzy oraz tych wszystkich którzy chowają i lubią zwierzęta. Napisał J. Łepkowski...... .40

Lecznictwo bez Trucizn. Spis wszystkich chorób ludzkich w porządku alfabetycznym i podanie rad, jak się leczyć środkami domowymi i kiedy należy wzywać pomocy lekarskiej. Książka ta to skarb nieoceniony w każdej rodzinie. Ozdobiona licznemi ilustracyami. Napisała Dr. Anna Fischer-Duechellmann. W mocnej oprawie płóciennej........ $1.25

Legenda o Najśw. Maryi Pannie: Gdy Najśw. Panienka po świecie chodziła (pieśń) 5

Legendy o sierotach w nędzy narze kających. Ach miłosierny, wszechmocny Boże 5

Lekarka obłąkanych zbrodniarką.... .... .15

Lekarz Domowy i Apteka Domowa. Najprędsze i najlepsze środki ratowania siebie i drugich bez bez pomocy lekarza. Ułożył Dr. A. Będziński.............. .20

Leviticus. Księgi Kapłańskie. III

Liczb Księgi. IV Mojżeszowe .. .25

Licytacya. Pięć Ciek. Pow. ..... .10

Mojżeszowe .... .20

Lirnik Polski. Zawiera 547 Dumek Aryi Krakowiaków, Piosnek Ludowych i Patryotycznych, oraz Śpiewy rzemieślnicze i zawodowe .... .60

Listy Apostołów i Objawienie św. Jana. Z pisma św. przekład X. Jakóba Wujka .... .65

Listy Bazylego Szturkajły do żony w Starym Kraju i jej odpowiedzi. Nadzwyczaj dowcipne listy emigranta, w którym śmiechu do rozpuku .... .20

Listy Hyacynta Poczciwiny z Ziemi Obiecanej do Redakcyi "Echa Polskiego" .... .25

List św. Michała Archanioła, który znaleziony był w Rzymie przed ołtarzem św. Michała 5

Listy Miłosne. Przewodnik dla zakochanych, zawierający wielki wybór najpiękniejszych listów i bilecików miłosnych oraz rozmaitych pamiątkowych wierszyków. Poradnik we wszystkich ważniejszych sprawach przy zawieraniu małżeństw zachodzących. Z dołączeniem toastów weselnych i pieśni miłosnych .... .25

Literatura Powszechna. Krótki zarys literatury powszechnej. Napisał A. Lange .... .25

Lud i Duchowieństwo. Posłannictwo księdza. Ksiądz jako duchowny, jako człowiek i jako dziennikarz i byznesista. Nadużycia władzy duchownej [Święta Inkwizya]. Klątwy i nowoczesne nadużycia księży. Konkluzye. .. .20

Ludwik Mierosławski. Naczelnik powstania poznańskiego w 1840 r. i bohater z pod Miłosławia i Wrześni. Napisał B. Limanowski .... .15

Lunatyczka z Warszawy, czyli Garbus hypnotyzerem. Ciekawa powieść z życia wyższych sfer 15

Machabejskie Księgi I i II ..... .40

Madejowe Łoże. Opowiadanie historyczne z XI wieku przez Walerego Przyborowskiego ... .40

Mądrość życia. Księga Dr. R. Ploehn. .... .30

Mądrości Salomona, zawierające przepowiednie przyszłości za pomocą cudownego koła planetarnego i ziarnek pszenicy 5

Magnetyzm i Spirytyzm czyli Tajemnice duszy ludzkiej. — Dwie niewidzialne i dotąd mało zbadane potęgi, kierujące czynami człowieka. Napisał Goston Danville, tłom. z francusk. K. Drzewiecki .... .50

Mały Henryś. Ciekawa powiastka o chłopcu porwanym przez zbójców .... .15

Manuela. Romans osnuty na tle wojen Napoleońskich w Hiszpanii .... .35

Margrabianka Marya. Nadzwyczaj ciekawy romans dramatyczny przez Pawła d'Aigremont 1.00

Marya Regina. Powieść p. Piotra Mael. Opr. 1.00

Matka. Powieść z życia ludu przez Sewera 35

Memoryał Polskich Skonfererowanych Stronnictw Niedodległościowych do Konferencyi Ambasadorów w Londynie .... .15

Mężobójczyni. Nadzwyczaj zajmująca powieść .... .10

Miłe Zatrudnienia, w wolnych chwilach. Z 46 rycinami. 1. Jaje postawić na czubku. 2. Kto potrafi stać

na jednej nodze. 3. Ołówek akrobatą. 4. Powiesić wiadro na kiju, 5. Uparty dolar. 6. Bezskuteczne wysiłki. 7. Utrzymać równowagę. 8. Zapalić świecę klęcząc na jednem kolanie. 9. Karafka na nożach. 10. Tańcząca figurka. 11. Praktyczny świecznik. 12. Pływające jaje. 13. Tańczący cent. 14. Karuzel. 15. Bąk 16. Zatoczyć koło szklanką z wodą. 17. Tańczące jaje. 18. Zaczarowany papier. 19. Sprężystość słomki. 20. Jednem uderzeniem złamać laskę. 21. Miedziak igłą przedziurawić. 22. Zawiesić pierścien w powietrzu. 23. Pojedyńczy wodotrysk. 24. Aby się woda ze szklanki nie wylała. 25. Jaje w karafce. 26. Wydobyć monetę z kieliszka. 27. Spadochron. 28. Wartołka. 29. Wiatraczki. 30. Pędziwiatr. 31. Lichy wzrok. 32. Dyabeł na ścianie. 33. Krążące tarcze. 34. Woda zimna czy gorąca. 35. Moneta na czole. 36. Łatwy sposób robienia pudełek. 37. Figle spirytystyczne. Dodatek: Powiastka wigilijna i Jak się Franek oświadczył .. .20

Moc Ducha. Zasady wzmacniania ducha i ciała, kształcenia siły woli i osiągnięcia prawdziwego szczęścia. Niezwykle interesująca pouczająca i pożyteczna książka. Każdy bez różnicy stanu, płci i wieku książkę tę czytać i stosować się do podanych w niej rad i wskazówek powinien. Usilnie polecamy ją naszym czytelnikom. — Napisał Prentice Mulford. Tłumaczył z oryginału angielskiego Z. Raszycki .... .50

Modlitwa Nabożna do Pana Jezusa i 10 Pieśni. Z obrazkami .... .15

Mojżeszowe IV Księgi Liczb ... .25

Mojżeszowe Trzecie Księgi .... .20

Mojżeszowe Księgi Drugie .... .25

Mojżeszowe Księgi Piąte. Deuterenomium. .... .25

Mój pierwszy "Thanksgiving Day"........ 5

Monologi i Dyalogi. Napisał Fr. Reinstein.................. .20

Monti-Gudż Buntownik. Ciekawe opowiadanie 5

Moszek z Małki pięć kawałki ...5

Morska Królewna. K. M. ...... .15

Motu Proprio. Encyklika Piusa X-go .... .15

Mnemonika, czyli sztuka kształcenia i wzmacniania pamięci, tudzież sposoby ułatwiające naukę języków obcych, spamiętanie imion własnych, chronologii, statystyki, chemii itd. Ułożył podług najnowszych i najlepszych źródeł P. Kalina .... .25

Msza św. po polsku. Co zbawi naród polski. .... .10

Muenhausen Nowy. Ten z długim nosem, czyli Dziwaczne podróże i figle .... .10

Na Polu Chwały, czyli Sobieski pod Wiedniem. Powieść historyczna przez Henryka Sienkiewicza .50

Na Sądzie Boskim. List górnika z nieba. Poemat satyryczny na tle stosunków polsko-amer 5

Na stromych ścieżkach pokuty. Powieść bardzo ciekawa i sensacyjna tłómaczona z franc. .. 75
W oprawie 1.00

Nasze Odżywianie Jak się należy odżywiać, aby być zdrowym i silnym. Z czego składają się pokarmy przez ludzi używane. Z ilustracyami.................. .60

Nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusowego 5

Nad brzegiem przepaści. Sensacyjna powieść .... .25

Na dwóch półkulach, czyli Ucieczka z pod kul moskiewskich polskiego rewolucyonisty 25

Najprawdziwsza Kabała czyli odkrycie Tajemnic przyszłości za pomocą kart .... .05

Najsławniejsze Polki. Życiorysy znakomitych kobiet w Polsce, które swoimi czynami wywarły niezatarty wpływ na życie narodu ... .15

Nauka Pływania .... .10

Nauka Wymowy Angielskiej. Najłatwiejszy i najpraktyczniejszy sposób do nauczenia się czytać i wymawiać po angielsku. Opracował Antoni Paryski ...... .15

Na Zgliszczach, Powieść wiejska. Napisał Klemens Junosza .. .25

Niby bieda a nie bieda, Pocieszna przygoda jednego pijaka .. .5

Niewolnik Miłości, Nadzwyczaj wzruszający i fantastyczny romans arabski .... .15

Nie zabijaj, Ciekawa rozprawa Leona Tołstoja o pseudo-chrześcijaniźmie .... .10

Nochal, czyli Przygody chłopca zamienionego w karła ...... .10

Nowelki, czyli Wesołe i Krótkie powiastki: 1. Kuzynka Klara. 2. Kto pod kim dołki kopie. 3. Zbawienna rada. 4. Straszny gość. 5. Nauczycielka. 6. Powrót nieboszczyka. 7. Nieprawomyślność. 8. Złamana przysięga. 9. Wiara u człowieka. 10. Zmartwienie. 11. Znienawidzona potęga. 12. Koń podoficera Angetowa. 13. Pierwszy krok. 14. Tajemnicza sprawa. 15. Próba. 16. Dlaczego Jasiek się zabił. 17. Historya jakich wiele. 18. Mowa kwiatów. 19. Antek Pomidor z Mandżurgi .... .30

Nowelki Jakóba Hodura: 1. Popis. 2 Kulawka. 3. W niełasce. 4. Partya Szachów. .... .15

Numeri. Księgi .Liczb. IV ks. Mojż. .... .25

Nowa Księga Sybilińska, zawierająca 62 proroctwa dotyczące upadku i odrodzenia Polski oraz innych państw. Zebrał i uwagami opatrzył Jan Swoboda. Z licznemi ilustracyami .... .30

Nowożytny Ali Baba. Ciekawe opowiadanie o chłopcu, który odkrył jaskinię zbójecką .... .10

Obcięte Uszy czyli straszna kara dla wiarołomnej żony i jej uwodziciela .... .15

Obrazki Cieniowe. Zgadnij .... .15

Obrazkowy Elementarz Polski, czyli nauka czytania i pisania. Ułożona podług najlepszej metody dla szkół elementarnych w Północnej Ameryce. W oprawie płóciennej .... .25

Ofiara hypnotyzmu. Historya nieszczęśliwej dziewczyny, która padła ofiarą hypnotyzera .... .10

O formach rządu. Szkic Ig., Daszyńskiego. .... .10

OGNIEM I MIECZEM. Powieść z lat dawnych przez Henryka Sienkiewicza. Z objaśnieniem wyrazów staropolskich i obcych. Nowe wydanie , w mocnej płóciennej oprawie $1.00

Ograbiacze Trupów. Ciekawa historya .... .10

O Janie Królewiczu, .Żar-Ptaku i O Królewiczu z płomiennem sercem Sześć historyjek 5

O Maćku Junaku, co na haku swe dziecko powiesił i z tego się jeszcze naśmiewał 5

